

„Każdego nowego szwedzkiego pisarza kryminalnego  
reklamuje się dziś jako następcę Stiega Larssona.  
Przy Eriksonie ten numer nie przejdzie,  
bo to jeden z nauczycieli autora MILLENNIUM.”  
Piotr Bratkowski „Newsweek Polska”

MISTRZ  
SZWEDZKIEGO  
KRYMINAŁU

# KJELL ERIKSSON

CZARNE KŁAMSTWA

CZERWONA KREW



**KJELL  
ERIKSSON**

**CZARNE KŁAMSTWA  
CZERWONA KREW**

Przekład  
EWA CHMIELEWSKA-TOMCZAK



Redaktor serii  
Małgorzata Cebo-Foniok  
Korekta

Barbara Cywińska

Magdalena Stachowicz

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© Leppakivar/Thinkstock

Tytuł oryginału

Svarta lögner, rött blod

Copyright © by Kjell Eriksson 2007

Published by agreement with Ordfronts Förlag AB,

Stockholm and Leonhardt & Høier Literary Agency A/S, Copenhagen.

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5530-9

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego

P.U. OPCJA

[juras@evbox.pl](mailto:juras@evbox.pl)

**Jesteś inny** – powiedziała Ann Lindell.

Wytarty frazes, banalne słowa, ale lepszych nie było.

– Czy to dobrze?

Anders Brant leżał z zamkniętymi oczami, z jedną ręką na brzuchu i drugą pod głową. Patrzyła na niego, na ciemne, lepiące się od potu włosy na skroniach, drżące powieki, którym brzask poranka nadał czerwony odcień, i ślad zarostu – co za utrapienie, że ciągle muszę się golić, powiedział – który ją drapał.

Nie był mocno zbudowany, niewiele wyższy od niej. Z tym chłopięcym ciałem nie wyglądał na czterdzieści cztery lata, które miał skończyć w sierpniu. Od pępka do włosów łonowych biegła ciemna, kędzierzawa linia przypominająca wykrzyknik.

Miał szczupłą twarz o niezbyt wyrazistych konturach, która nabierała życia, kiedy się uśmiechał. Może właśnie to jego pogodne usposobienie zwróciło jej uwagę. Kiedy poznała go lepiej, obraz trochę się skomplikował. Był inny w takim właśnie sensie: często lekkomyślny i beztroski, a zarazem płonął w nim wewnętrzny żar, który ujawniał się czasem w spojrzeniu i żywej gestykulacji. Wtedy wcale nie był taki beztroski. Patrząc na jego odprężoną twarz, pomyślała, że przypomina jej z usposobienia Sammy'ego Nilssona, kolegę, któremu mogła zaufać i rozmawiać nie tylko o codziennej pracy.

– Nie wiem – odparła tonem bardziej zdecydowanym, niż zamierzała, i poczuła się jeszcze bardziej banalna.

Może jednak zrozumiał: zakochała się. Dotąd żadne z nich o niczym takim nie napomknęło.

Ale czy to dobrze? Rozstawiała się na wszelkie możliwe sposoby ze swoimi mężczyznami. Właściwie nie było ich wielu: dwa dłuższe związki, z Rolfem i Edvardem, i kilka przelotnych, ale te parę tygodni z Andersem Brantem mocno nią wstrząsnęło.

Po raz pierwszy od dawna czuła się pożądana. Nie krył się z tym, że za nią tęskni, potrafił zadzwonić do niej do pracy i szeptać w słuchawkę słowa, które odbierały jej mowę, a kiedy się później spotykali, przytulał ją – miał szczupłe ciało, ale silne ręce. Czasami się wzbraniała, bała się, że zaskoczy ich Erik, a na początku obawiała się też tego napięcia, jakie czuła w całym ciele, jakby robili coś niedozwolonego.

– Przytulanie się nikomu jeszcze nie zaszkodziło – mawiał. – Odpręż się.

Uwodził ją i mówił – nigdy jeszcze jej mieszkania nie wypełniało tyle słów. Rozmowy, ale nie o przeszłości czy przyszłości, zawsze o dniu dzisiejszym. Niechętnie odsłaniał szczegóły ze swojego wcześniejszego życia i nie zająknął się

nawet słowem o marzeniach i planach na przyszłość.

Ann nie wiedziała nic o jego rodzinie, prócz tego, że był najstarszy z czworga rodzeństwa i jego mama mieszkała gdzieś w południowej Szwecji. Ojciec zniknął z ich życia wcześniej i nie było nawet wiadomo, czy żyje. Kiedy go o to pytała, mamrotał tylko: „To był cholernie nieciekawy typ”.

Niewiele rzeczy go dziwiło, opowieści z jej życia przyjmował z umiarkowanym zainteresowaniem i nie wiązał ich z żadnymi własnymi przeżyciami.

Największe zaangażowanie przejawiał, kiedy oglądali razem wieczorne wiadomości. Bywał wtedy wzburzony albo cyniczny i szyderczy. Koledzy dziennikarze, którzy jego zdaniem nie wykonywali rzetelnie swojej pracy, prowokowali drwiące, niekiedy wręcz pełne nienawiści komentarze.

Mimo jego dziwnej powściągliwości w odsłanianiu prywatnych spraw nigdy nie czuła się znudzona czy zaniedbywana. Wśliznął się w jej życie prawie niepostrzeżenie. Podobało jej się to. Miała przeczucie, że kontrast w porównaniu z jej wcześniejszą uporządkowaną egzystencją byłby zbyt duży, gdyby wdarł się w nią z namiętnymi wyznaniem miłosnymi i budował w marzeniach zamki na piasku.

Tak jakby było dla niego oczywiste, że mają być razem.

Czasem dostrzegała u niego pewien niepokój. Milkł wtedy, rozpraszał się i jakby od niej oddalał, choć w tym, co mówił, nie było irytacji. Parę razy zostawiał ją siedzącą na kanapie lub przy stole i wychodził na balkon. Tylko wtedy widziała, jak pali małe cygaretki, którymi się rozkoszował z zamkniętymi oczami, siedząc wygodnie w pleconym fotelu, który dostała kiedyś w prezencie od Edvarda. Wiedziała, że w takich chwilach chce być sam.

Po wypaleniu cygaretki zawsze mył zęby, to też się jej podobało.

– Muszę wyjechać – powiedział, przerywając nagle tok jej myśli. – Może mnie nie być przez tydzień lub dwa.

Zerwał się z łóżka, ubrał szybko i wyszedł.

**Miejsce było równie nędzne jak zapewne życie zmarłego.** Niepotrzebne, zimne, wietrzne i surowe. Rośliny, które zdołały się przebić przez grubą warstwę żwiru, emanowały wprost ubogą w chlorofil marnością. To było miejsce zesłania, Guantanamo dla roślin.

Ola Haver sądził, że nawet robotnicy, którzy kładli fundamenty i zbrojenie, zalewali je i żwirowali, zapomnieli, że kiedykolwiek tutaj byli. Nie mieli czym się chwalić.

Jego ojciec wyraził coś takiego, kiedy mijali wiadukt przy skrzyżowaniu z drogą krajową. Zahamował nagle i stanął na poboczu.

– Co za cholerne miejsce! – wybuchnął, patrząc z pogardliwym wyrazem twarzy na nasyp z kruszywa.

Wyjaśnił, że wiele lat temu pracował przy budowie tego wiaduktu, lecz od tamtego czasu zapomniał o tym niby-miejscu. Ola usłyszał wtedy po raz pierwszy, jak mówi źle o swojej pracy. Zwykle pokazywał z dumą wszystkie domy i inne obiekty, do których zbudowania się przyczynił.

Niby-miejsce. To tu zabito tę żalosną, sponiewieraną postać leżącą teraz u stóp Havera. Denat leżał na brzuchu z rozbitą czaszką i rozrzuconymi ramionami, jakby wyskoczył w przestworza z samolotu i natychmiast zetknął się brutalnie z ziemią. Pechowy spadochroniarz.

To właśnie zobaczył i o tym pomyślał Ola Haver. Dlaczego tutaj? Kiedy i jak? Odczytywał znaki z martwego ciała: dłonie ściskające żwir, poranione kostki palców, tłuste włosy, niedomyta szyja, toporne buciorzy z niedbale zawiązanymi kolorowymi sznurowadłami, poplamione spodnie i wyraz rozpaczyp wypisany na widocznej połowie twarzy. Haver miał wrażenie, że ten nienaturalny kąt wziął się z tego, że mężczyzna w chwili śmierci próbował odwrócić głowę, by ostatni raz spojrzeć na niebo. Czy był wierzący? – przebiegła mu przez głowę zupełnie nieracjonalna jak na policjanta myśl i nawet jeśli wydawało się to mało prawdopodobne, chciał, żeby tak właśnie było. Że zdążył zobaczyć niebo. Bo nawet jeśli zmarły był niepoprawnym grzesznikiem, Bóg okaże miłosierdzie człowiekowi, który tak marnie zginął, o tym Haver był przekonany.

Ile mógł mieć lat? Na oko koło czterdziestu pięciu. Nie znaleźli w jego kieszeniach portfela ani żadnego dokumentu, który mógł potwierdzić wiek i tożsamość.

I dlaczego właśnie tutaj? Dlatego że jego życie wyglądało dokładnie tak, jak to miejsce? Może mieszkał niedaleko? Sto metrów dalej stał podniszczony barakowóz, może to był jego dom?

Kiedy? Miał wrażenie, że od zabójstwa minęło już trochę czasu, może doba.

Niedługo uzyskają potwierdzenie.

Nad miejscem unosiła się jak mroczny cień zjawa jego ojca. Często, za często jego zdaniem myślał o nim i jego niespodziewanej śmierci. Bardzo rzadko o nim mówił, lecz dręczyła go myśl, że żyje już dłużej niż on.

W tle słyszał rozmowę techników. Morgansson gadał jak najęty. Johannesson jak zwykle niewiele się odzywał. Haver stał za daleko, by usłyszeć, co mówią.

Allan Fredriksson łaził dookoła w swój zwykły bezplanowy sposób. Pewnie szuka rzadkich ziół, pomyślał nie bez goryczy Haver. Przyrodnicza pasja kolegi nie znała granic. Nawet na miejscu zbrodni oceniał, rejestrował i systematyzował, rzucając przy tym na ogół dość abstrakcyjne dla otoczenia uwagi na temat fauny i flory. We wnętrzach, w umeblowanych pokojach lub budynkach publicznych, wyglądał na zagubionego. Najlepiej czuł się na dworze, nawet w miejscach, których należało się strzec. Roślinom i żyjątkom nie robiło to różnicy. One zawsze miały jakiś punkt zaczepienia, więc duszek leśny Fredriksson też.

Haver coraz bardziej nie znosił tego, że kolega potrafił odsunąć na bok najbardziej nieludzkie aspekty zbrodni, którą mieli wyjaśniać, by spokojnie obserwować przyrodę. Uważał to za niegodne. Dla Havera śmierć była tak niezwykłym wydarzeniem, że nic nie mogło od niej odciągnąć jego uwagi. Za każdym razem, kiedy stawał nad martwym ciałem, myślał o ojcu. Fredriksson natomiast mówił o kiełkującym życiu, ptakach, osobliwych owadach i wszystkim, co dostrzegał. Havera dręczyły myśli o bezsensie, a Fredriksson wręcz się ożywiał.

Może po prostu mu zazdroszczę? – pomyślał Haver, patrząc na pochyloną postać Fredrikssona. Cienki płaszcz kolegi był rozpięty i powiewał wokół chudego ciała, kiedy mocniej zawiąło między betonowymi słupami.

Może to optymistyczne, że Fredriksson potrafił dostrzegać życie i przyszłość w najbardziej przygnębiającym otoczeniu? Haver poczuł wyrzuty sumienia. Kim jestem, by oceniać innych? Fredriksson nie jest ani gorszym, ani lepszym policjantem niż ktokolwiek z nas, więc czemu mam potępiać jego przyrodniczą pasję? Może to jego sposób, by radzić sobie z rzeczywistością, uczynić ją zrozumiałą i możliwą do zniesienia?

Kątem oka dostrzegł zbliżającego się Johannessona. Technik, który pracował w ich wydziale dopiero od pół roku, szedł powoli, z ociąganiem, jakby się wahał. Haver drgnął bezwiednie i poruszył nerwowo ramionami, jak gdyby chciał strząsnąć z siebie coś nieprzyjemnego.

– Co jest? – zapytał Johannesson.

Haver postanowił zignorować pytanie.

– Co znaleźliście?

Technik wykonał nieokreślony gest.

– Myślę, że to miejsce zbrodni – powiedział. – Dwa uderzenia i po



wszystkim. Dziadek upadł po pierwszym ciosie i następny dostał w tył głowy. Ale więcej na ten temat powie lekarz.

„Dziadek”, pomyślał Haver. Zamordowany mógł być młodszy od niego.

– Kartka w kieszeni spodni – dodał Johannesson.

– Kartka?

– Jedyne, co znaleźliśmy.

Gadaj, człowieku, pomyślał Haver. Fredriksson zakaszłał z tyłu. Rano narzekał, że źle się czuje.

– Z numerem telefonu – wykrztusił w końcu Johannesson.

Haver patrzył na samochody przejeżdżające drogą niedaleko miejsca, gdzie znaleźli ofiarę. Ruch zgęstniał. Oni nic nie wiedzą, pomyślał. Jadą teraz do pracy, w błogosławionej nieświadomości, że z tak bliska mijają śmierć.

– Z numerem telefonu?

Technik pokazał plastikową torebkę ze świstkiem papieru w środku.

– Przynajmniej sądzę, że to numer telefonu. Chcesz go zapisać?

Haver skinął głową, wyjął długopis i kartkę. Sześć cyfr, w tym trzy czwórki. Zawsze coś, pomyślał, trzy czwórki biją dwie pary. Do kogo dzwoniłeś? Do kogo miałeś zadzwonić?

Fredriksson zbliżał się do nich. Johannesson niespodziewanie się do niego uśmiechnął.

– Idę do barakowozu – oznajmił Haver, wskazując miejsce ręką.

Z drogi dobiegło donośne trąbienie klaksonu ciężarówki. Johannesson odwrócił głowę i przyglądał się wartkiemu strumieniowi pojazdów. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale się rozmyślił i wrócił z neutralnym wyrazem twarzy do ciała zamordowanego.

Haver odszedł, nim Fredriksson zdążył do niego podejść.

Umarłeś na miejscu z widokiem, pomyślał, oglądając scenerię zbrodni, którą popołudniowa prasa z pewnością opíše jako „zabójstwo bezdomnego” lub jakoś podobnie.

Barakowóz miał sflaczałe opony, lecz ogólnie był w dobrym stanie. Dyszel wyglądał na nowy. Był to mniejszy model firmy Valla w kolorze żółtym, z czterema miejscami do siedzenia, jak zauważył Haver. Stał wciśnięty między dwa potężne świerki, element krajobrazu, który jeszcze parę lat temu można byłoby określić jako wiejski albo przynajmniej graniczny między miastem a wsią. Teraz ekspansywne miasto wchłaniało, przeżuwało i wypluwało dawny las, zastępując go drogami i węzłami komunikacyjnymi.

Drzwi były zamknięte. Kiedy Haver włożył cieką rękawiczkę i nacisnął klamkę jednym palcem, otworzyły się same. Po lewej stronie znajdował się kącik, który kiedyś był przebieralnią, lecz usunięto z niego wszystkie szafy. Przy jednej ścianie stało łóżko polowe bez pościeli, z szarym kocem złożonym w nogach, po

drugiej stronie kilka dużych plastikowych skrzyń z zamkiem i wielka skrzynia na narzędzia. Na gwoździu wisiał kask. Szkoda, że nie miał go na sobie, pomyślał Haver.

Włożył ochraniacze na buty i stanął przy drzwiach, by ogarnąć wzrokiem pomieszczenie. Nie zajęło mu to wiele czasu, gdyż liczyło jakieś dziesięć metrów kwadratowych.

Barakowóz był prawdopodobnie miejscem zamieszkania zmarłego. Jeśli nie, istniało jakieś powiązanie. Była to prowizoryczna kwatery bezdomnego.

Po prawej stronie stał przymocowany do podłogi stół i cztery krzesła. Błat był zawalony różnymi rupieciami: parę narzędzi, zwój stalowego drutu, paczka suchego pieczywa, stos brudnych papierowych talerzy, ale żadnych butelek ani puszek po piwie, co Haver stwierdził z pewnym zdziwieniem.

Wyszedł z wozu i wrócił do techników.

– Musicie też tam zajrzeć – powiedział.

Morgansson kiwnął głową.

Fredriksson wciąż chodził dookoła, lecz na widok powracającego Havera skierował się w jego stronę.

Haver spojrzał ostatni raz na martwe ciało, obrócił się na pięcie i poszedł do samochodu. Wzbierało w nim rozgoryczenie. Niech nikt, a przede wszystkim Fredriksson, nie waży się nic mówić! Wtedy się wścieknie i wyrzuci z siebie rzeczy, których będzie żałował do końca życia. Wystarczy, że zostawił kolegów samych.

Na jego oczach ojciec osunął się bez słowa na ziemię; energiczny, silny murarz błędnął dłonią przy gardle i dławił się na śmierć od ukąszenia osy.

Odchodząc stąd, chronił ojca zamordowanego przez owada. Chronił siebie, zaciskając dłoń wokół serca, by powstrzymać wewnętrzny wybuch.

Przy samochodzie zaczął żałować tego, co zrobił, ale przekręcił kluczyk w stacyjce, wrzucił bieg i odjechał. Niech Fredriksson robi, co chce, może się zabrać z technikami, pomyślał bezczelnie.

**Przypomniała sobie nagle pieczenie.** Czy on dał jej klapsa? Bezwstydnie uniosła pośladki. Miała uczucie, jakby jego dłonie wciąż spoczywały ciężko na jej biodrach.

Wzięła głęboki wdech, potem wydech, opuściła wzrok, pokręciła lekko głową i pociągnęła nosem. Lizał jej pachę. Z początku było to dziwne, prawie nieprzyjemne, ale szybko ogarnęło ją zadowolenie. Tak to się zaczęło, od jego języka.

– ...dwa uderzenia w głowę... rany...

Głos Allana Fredrikssona wdarł się na moment z oddali w tok jej myśli, więc uniosła głowę i spojrzała na kolegę po drugiej stronie stołu. Napotkał jej wzrok i umilkł, lecz po chwili potok słów popłynął dalej:

– ...miejsce znalezienia ciała jest przypuszczalnie miejscem zbrodni.

Ottosson pociągnął nosem i wyjął wielką chustkę. Fredriksson usłyszał donośne trąbienie i podniósł wzrok znad notatek.

– Spróbuj echinacei – poradził.

Ottosson pokręcił głową i starannie złożył chustkę.

„Dupeczka”. Dlaczego użył tego skańskiego wyrażenia? Czy pochodził ze Skanii? Raczej nie, pamiętała, jak pogardliwie się wyrażał o ludziach stamtąd, że są ospali i prowincjonalni, o co na pewno nie można było posądzić Andersa Branta.

Był inteligentny, szybko to zauważyła, i od razu łapał, o co chodzi. Teraz jednak myślała o jego penisie. Inteligentny czy nie, był najlepszym kochankiem, jakiego miała w życiu. Sprawiał, że czuła się piękna i pożądana. Patrzył na linie jej ciała jak nikt przed nim. Jestem po czterdziestce, protestowała, ale tylko się uśmiechnął, prowadząc delikatnie dłoń wzdłuż jej pleców do zaokrąglenia pośladków. „Zakręt śmierci”, rzekł i powiódł dalej dłonią do jej łona. Rozsunęła figlarnie nogi, lecz jego dłoń powędrowała dalej po udzie do zagłębienia kolana.

Nie spieszył się, mówił czasami o seksie tantrycznym, o którym nigdy wcześniej nie słyszała, ale bywał też namiętny. Zawsze brał pod uwagę jej nastrój i życzenia; koneser seksu, jak nazwała go Görel.

Spotykali się od trzech tygodni, tylko u niej w domu. On uważał, że tak jest wygodniej, bo u niego jest ciasno, no i nie dba zbyt o porządek. Jej też to pasowało, gdyż nie musiała się martwić o opiekunkę do dziecka. Erik nie zwracał większej uwagi na mężczyznę, który przychodził i znikał, bo Anders zawsze wychodził, nim chłopiec budził się rano, i Ann nie była pewna, czy mały zdaje sobie sprawę z tego, że został u nich na noc. Któregoś wieczoru grali razem w grę komputerową i następnego ranka Erik zapytał, gdzie się podział ten facet.

W ciągu ostatnich dwunastu godzin kochali się trzy razy – dla niej więcej niż

przez ostatnie dwa lata przed spotkaniem Andersa. Zerknęła na zegar. Minęła niewiele ponad godzina, odkąd się z niej wysunął.

Poczuła skurcze w dole brzucha. Lizał ją jak nikt inny, wzdłuż kręgosłupa aż do kości ogonowej i dalej, rozsunął jej pośladki i przesuwał po nich ciepłym językiem, delikatnie rysując wzór jego koniuszkiem.

– ...i tak właśnie sędzę.

Fredriksson umilkł.

Ann chwyciła leżący przed nią na stole długopis.

– Ty też masz temperaturę? – zapytał Fredriksson.

– Nie, nie – zapewniła.

– Wyglądasz na rozgorączkowaną.

Parsknęła śmiechem. Słyszała, jak głupio zabrzmiał, dziewczęco i nerwowo. Koledzy siedzący wokół stołu zaczęli się jej przyglądać. Haver ze zdziwieniem, Beatrice z pewną pobłażliwością, a Ottosson z tą zmarszczką niepokoju między brwiami. Fredriksson chyba w ogóle nie wiedział, o co chodzi, lecz Sammy Nilsson się uśmiechnął i ułożył palce w znak V.

– Jestem tylko trochę...

– Trochę jaka? – zapytał Ola Haver.

On wie, pomyślała Ann. Ich spojrzenia się spotkały, nim uciekła wzrokiem. Wyteżając całą siłę woli, próbowała zebrać dryfujące swobodnie myśli i połączyć je z powrotem.

Dopiero teraz uderzyło ją, że odmówiła przyjścia do domu Oli i Rebecki poprzedniego wieczoru. Każdego lata urządzali grilla. Brała w nim udział w ostatnich latach, lecz w tym roku się nie pojawiła. Na pewno komentowali jej nieobecność.

Popatrzyła na Fredrikssona.

– Co wiemy o kręgu jego znajomych?

– Miałaś udar, Ann? Allan właśnie mówił, że nie znamy jego tożsamości.

Po słowach Sammy'ego wbiła wzrok w blat stołu.

– Trochę odpłynęłam – przyznała cicho.

– Dokąd? – zainteresowała się Beatrice.

Lizał mnie pod pachą, pomyślała. Uśmiechnęła się i podniosła wzrok.

– Zwiedzałam miejsce, w którym ty nigdy nie byłaś, Beatrice – odpowiedziała po paru sekundach, nadal się uśmiechając. – Jeśli pozwolicie, mam pilną rozmowę telefoniczną.

Wstała, biorąc ze stołu notes i długopis. To widać, pomyślała, wychodząc z pokoju i czując na sobie ich spojrzenia.

– Pilna – mruknęła cicho pod nosem, gdy już była na korytarzu, i uśmiechnęła się.

Po panicznej ucieczce z sali zebrań Ann zabarykadowała się w swoim

pokoju, odsunęła telefon i usiadła, lecz nie przy biurku, tylko na krześle dla gości, które stało pod jedną z krótszych ścian, między dwiema wielkimi szafami na archiwa. Pokój był taki mały, że krzesło zawsze przeszkadzało, gdy stało przy biurku. Gdyby ktoś uchylił drzwi i zajrzał do środka, pomyślałby, że jej nie ma. Czowała się zresztą, jakby była gdzieś indziej.

Zadowolenie wczesnego poranka przeszło niepostrzeżenie w uczucie nieokreślonego niepokoju.

Była pobudzona, lecz przede wszystkim rozkojarzona. Musi sobie poukładać to, co się zdarzyło. Minęło sporo czasu, odkąd musiała się mierzyć z takimi uczuciami jak zakochanie czy nadzieja. Z samotnością i tęsknotą radziła sobie całkiem nieźle. Ale z tym? Czy powinna porównywać to z Rolfem lub Edvardem, dwoma rozdziałami z dawnego życia? Czy można zacząć od nowa? – zapytała samą siebie i od razu знаła odpowiedź.

Spotkali się parę miesięcy temu u Görel – już wtedy się nim zainteresowała i przeczuwała, że poznanie ich ze sobą było też zamiarem przyjaciółki. Próbowала tego wcześniej, lecz bezskutecznie, i narzekała żartobliwie na małe zaangażowanie Ann.

Miał otwartą twarz, i to się jej spodobało, wyobrażała sobie, że odzwierciedla jego wnętrze. Potrzebowała mężczyzny, który mówi bez oporów to, co myśli. Brakowało jej takiej szczerości aż do bólu. Żadnych haczyków, żadnych niewypowiedzianych zastrzeżeń, żadnych niedomówień.

Potem się nie odezwał, choć napomknął coś o tym, że zadzwoni, ale płynęły dni i tygodnie, więc dała sobie spokój.

Zadzwonił po miesiącu. Umówili się na obiad – najbardziej cywilizowana rzecz, jaką dwoje ludzi może zrobić razem, jak to wyraził. Zaproponował włoską restaurację przy S:t Olofsgatan, a ona się zgodziła. Erik miał zostać na noc u kolegi z przedszkola. Anders Brant przyszedł po nią pół godziny przed czasem. Stała jeszcze w bieliźnie, wyjrzała przez wizjer, owinęła się poplamionym szlafrokiem i otworzyła.

Nie poszli do restauracji. W dziesięć minut później leżeli już w jej łóżku.

To trwało trzy tygodnie. Namiętne pieprzenie się, nie umiała nazwać tego inaczej. Był czuły. Nieprzyzwyczajona do okazywania jej takich względów, do takich dłoni, języka i penisa, z początku czuła się oszołomiona i myślała czasem, że jest jej za dobrze, za dużo tego wszystkiego dostaje.

Tego ranka wstał z łóżka, przesunął dłonią po podbrzuszu i powiedział, że musi wyjechać na tydzień, może dwa. Zapytała dokąd, ale nie dostała żadnej konkretnej odpowiedzi. Taka była z niej śledcza! Uspił moją czujność, pomyślała ponuro, wciąż oszołomiona i osłabiona.

Przeszedł ją dreszcz strachu. Czy on wróci? Starła się uspokoić, zadając sobie pytanie: Czemu miałby nie wrócić? Wydawał się z nią szczęśliwy.

Przychodził do jej domu i łóżka dobrowolnie, często i miała wrażenie, że chętnie.

Po godzinie ktoś zapukał ostrożnie do drzwi. Domyśliła się, że Ottosson. Drzwi otworzyły się powoli i szef wydziału zajrzał do środka. Zauważył Ann między masywnymi szafami.

– Co z tobą? Wyglądasz na trochę zmachaną – zaczął w niezwykły dla siebie, bezpośredni sposób, nie komentując miejsca, na którym siedziała.

Słyszała, że stara się mówić lekkim tonem pomimo zmarszczki między brwiami.

Wysunęła krzesło, pogłaskała go po ramieniu i zajęła miejsce za biurkiem. Ottosson usiadł na krześle dla gości.

– Rozgrzane – powiedział, a jej zajęło sekundę zrozumienie, że miał na myśli krzesło.

– Myślałam o czymś – rzekła. – Przesłuchaj tych w Grocie, na pewno go kojarzą.

– Ola i Beatrice już tam jadą – odparł z uśmiechem.

Grota była stałym punktem w życiu wielu spośród tych bezdomnych. Działalność prowadziło wolontaryjnie kilku zapaleńców z niewielkim wsparciem gminy i prywatnych sponsorów. Tam owi nieszczęśnicy, za których nikt właściwie nie chciał wziąć odpowiedzialności ani nawet o nich wiedzieć, mogli dostać trochę jedzenia, ubrań i zainteresowania.

Ann skinęła głową i odwzajemniła uśmiech. Zmarszczka między brwiami Ottossona trochę się wygładziła.

– Był wczoraj ten grill?

– Ola przełożył, więc masz jeszcze jedną szansę.

Domyśliła się, że chciał się dowiedzieć, co robiła poprzedniego wieczoru, co było tak ważne, że wybrała to zamiast tradycyjnego grilla. Może myślał, że to z jej strony jakaś demonstracja, sposób, by przekazać, że nie nadaje na tej samej fali z kolegami w wydziale.

– To dobrze – rzuciła bez większego entuzjazmu.

Ottosson bębnił palcami po poręczy krzesła.

– Co ty o tym sądzisz? – zapytała.

Jej szef odchylił się na oparcie krzesła. Palce znieruchomiały.

– To, co zwykle – odrzekł. – Jeden zawodnik pijackiej drużyny zabił w alkoholowym widzie drugiego.

– Ale on nie był pijany, prawda?

Nagle poczerwieniała. A jeśli to też źle zrozumiałam?

– Nie, ale morderca mógł być.

– A ten numer telefonu na kartce?

– Nikt nie odbiera. Berglund sprawdza co pewien czas.

– Kim jest abonent?

– Nazywa się Anders Brant, jakiś dziennikarz.

Ann wpatrywała się w Ottossona z otwartymi ustami, lecz nie wydobyło się z nich nawet jedno słowo. Bezwiednie uniosła rękę, jakby chciała powiedzieć: zaczekaj, powtórz!

– Znasz go?

Mimo oszołomienia pomyślała z podziwem, jak łatwo szef ją przejrzał.

– Opowiadaj – ponaglił Ottosson. – Przeprowadzał z tobą wywiad?

Ann pokręciła głową.

– Nie, tylko spotkaliśmy się przypadkiem.

– Jaki on jest?

– Właściwie nie wiem.

Ottosson uważnie się jej przyglądał.

– Jaki według ciebie może być związek między zamordowanym a Brantem?

– Nie mam pojęcia – stwierdziła Ann.

– Ale skoro go znasz...

– Nie znam go.

– Cokolwiek...

– Nie słyszysz, co mówię? Nie znam go!

Wsparała się rękami o krzesło, jakby chciała się podnieść, ale z westchnieniem opadła z powrotem.

Ottosson uniósł ręce obronnym gestem. To się zdarzało wcześniej, chwile załamania w ich ogólnie zażyłej relacji. Nie mieli ostrych starć, ich sprzeczki nigdy nie trwały długo ani nie zakłócały poważnie współpracy. Tym razem też tak będzie, była tego pewna.

Uśmiechnął się do niej. Zmarszczka między brwiami znikła. Tak jakby starał się ją sprowokować, by się odsłoniła, zdradziła coś, co mogło być wyjaśnieniem. Dobrze ją znał. Sam unikał konfliktów, lecz był dość mądry, by rozumieć, że powściągliwa zwykle koleżanka może w złości powiedzieć coś więcej. Z góry lodowej Lindell odpadał czasem zamrożony kawałek, który powoli się roztapiał, dryfując w morzu. Znała jego taktykę i swoją słabość wobec niego.

Tym razem nie będą ci się zwierzać, pomyślała buntowniczo, lecz zdobyła się na krótki śmiech, gest i wyraz twarzy, który mógł wskazywać na rezygnację, nie z powodu Ottossona, lecz raczej na formę usprawiedliwienia, niewypowiedziane: widzisz, Otto, taka jestem i musisz to jakoś znieść.

– Mam swoją *cold case* – przypomniała, a on zrozumiał aluzję.

– Okej, nie znasz go, ale my z czasem poznamy. Sammy go sprawdzi. A jak idzie z tą dziewczyną?

– Jeszcze tego nie wyjaśniłam.

Szesnastolatka wyszła w kwietniu ze swojego domu w Berthåga i nie wróciła. Ann włożyła mnóstwo pracy w próbę wybadania, co się stało, lecz nie

znalazła nic ani też nikogo, kto umiałby wyjaśnić, dlaczego Klara Lovisa Bolinder jakby zapadła się pod ziemię.

Co roku wychodzi z domu i nie wraca pewna liczba Szwedów; większość ucieka dobrowolnie od codzienności, pracy i rodziny. Ze zrozumiałych powodów, jak myślą niekiedy prowadzący takie sprawy policjanci.

Zaginięcie Klary Lovisy było natomiast zagadką. Ann wpatrywała się w zdjęcia młodej dziewczyny, z których najlepsze zostało zrobione zaledwie na tydzień przed jej zniknięciem. Przedstawiało roześmianą jasnowłosą nastolatkę z długimi, prostymi włosami z przedziałkiem, z niebieskimi oczami i rasowym nosem, który mógł wskazywać na rzymską krew płynącą w jej żyłach. Uśmiechała się do aparatu. Miała ufne spojrzenie, ufała fotografowi.

Była osobą zwracającą uwagę, Ann przeczuwała to od pierwszej chwili, a potwierdziła rodzina i przyjaciele. Tym dziwniejsze było, że absolutnie nikt jej nie zauważył od chwili, gdy dwudziestego ósmego kwietnia 2007 roku wyszła z domu, by pojechać do centrum i kupić wiosenną kurtkę.

– Znajdę ją – powiedziała cicho Ann.

Ottosson skinął głową. Schylił się i położył dłoń na jej dłoni. Oboje wiedzieli, że szanse odnalezienia Klary Lovisy żywej są w zasadzie równe zeru.



**Wizyta w Grocie pozwoliła ustalić tożsamość zabitego**, nazwisko jego byłej żony oraz paru osób, które można było nazwać przyjaciółmi Bo Gränsberga albo przynajmniej jego znajomymi.

Camilla Olofsson, kierowniczka azylu dla bezdomnych, długo przyglądała się fotografii.

– Bosse był uczynnym człowiekiem – powiedziała w końcu, lecz ani Haver, ani Beatrice Andersson nie wzięli jej słów za dobrą monetę. To była typowa reakcja, niewielu chciało mówić źle o zmarłym. Zamiast tego podkreślano jego zalety.

– Był uczynny – powtórzyła kierowniczka – dużo pomagał. Złota rączka. Wszystko nam tu naprawiał. Pamiętam, jak mieliśmy... zresztą nieważne.

Ola Haver odsunął się, by zrobić miejsce koleżance.

– Nikt nie zasługuje na taką śmierć – rzekła Beatrice.

Camilla z zaciśniętymi zębami pokiwała głową.

– Czy może nam pani pomóc? Potrzebujemy listy nazwisk osób, które mogłyby nam coś powiedzieć o Bossem, co robił, z kim utrzymywał kontakty, jakie miał plany.

– Plany – powtórzyła kierowniczka głosem bez wyrazu i zapatrzyła się w jakiś odległy punkt. – Ostatnio był trochę weselszy – powiedziała w końcu. – Jakby w jego życiu działo się coś pozytywnego. Przychodził tu parę lat temu, kiedy było naprawdę źle. A potem miewał wzloty i upadki.

– Ale teraz był weselszy – podjęła Beatrice. – Czy mówił coś, co by tłumaczyło...

– Nie, nic. Bosse nie był zbyt rozmowny. Skrywał w sobie większość rzeczy. Starał się, to było widać, ale nie zawsze wychodziło. Nigdy się nie pozbierał po rozwodzie. I po wypadku, oczywiście.

– Jakim wypadku?

– Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło, ale spadł w czasie pracy, był robotnikiem budowlanym czy kimś w tym rodzaju. Uszkodził rękę i bark. Widziałam czasem, że go boli.

– Zna pani nazwisko jego byłej żony?

– Gunilla Lange. Mieszka chyba w Svartbäcken. Mam tam brata i widziałam ją parę razy w miejscowych lokalach. Była tu nawet parę razy, zostawiła ubrania i inne rzeczy. Polubiłam ją. Myślę, że też martwiła się o Bossego. Pytała, jak się czuje. Może był zbyt dumny, by przyjąć od niej pomoc, więc zamiast tego przynosiła ubrania. Może jego stare, skąd mam wiedzieć?

– Nic nie mówił o pracy, mieszkaniu ani o niczym takim?

Camilla spojrzała na policjantkę.

– Praca i mieszkanie – prychnęła. – Nie wiesz, jak wygląda życie tych ludzi.

– Nie wiem – przyznała Beatrice – ale pani tak. Dlatego rozmawiamy.

– To wstyd, że musiał umrzeć, żebyście się zainteresowali – podsumowała Camilla.

Dostali listę złożoną z kilku nazwisk, pięciu mężczyzn i jednej kobiety. Zdaniem Camilli prawdopodobne było, że mężczyźni pojawią się później w Grocie.

Beatrice zadzwoniła do Berglunda, a on obiecał, że spędzi w Grocie kilka godzin po południu, by ewentualnie nawiązać kontakt z paroma osobami, które mogły powiedzieć, co Bosse robił w ostatnim czasie.

Czy go żałuję? Powtarzała sobie w duchu to pytanie, odkąd wyszli od niej policjanci. Rozmawiali z nią dobrych parę godzin, potem podali ręce i pożegnali się. Policjantka była bardzo miła, zachwyciła się jej firankami, pytała, czy sama je uszyła. Nie wszyscy je zauważali. Ten drugi uciekał wzrokiem, jakby się wstydził albo jej obawiał.

Tak, żałuję, stwierdziła w końcu, żałuję życia, jakie mogliśmy mieć. Byli małżeństwem przez szesnaście lat, w dwóch częściach, jak mecz piłkarski. Długa pierwsza połowa, która trwała dwanaście lat, była dobra. Potem zdarzył się wypadek.

Nie mieli dzieci. Tego żałowała. On może też, na pewno, kochał dzieci. Prawie o tym nie rozmawiali w ciągu tych wszystkich lat. Oboje byli winni bezdzietności, więc po co mieli o tym gadać. Wiedziała, że to głupie z racjonalnego punktu widzenia, ale po aborcji, którą miała przy jego wsparciu w wieku dziewiętnastu lat, traktowała bezdzietność jak karę. Miała... mieli szansę i ją zaprzepaścili.

Czy byłoby inaczej, gdyby mieli dziecko? Raczej nie. Dzieci są miłością, ale nie życiem, jak powiedziała kiedyś jej przyjaciółka, i to zdanie wniknęło głęboko w jej świadomość.

Ich życie, zwłaszcza Bossego, potoczyło się torem, którego nikt nie mógł przewidzieć. Zawsze był dumny, i to stało się jego nieszczęściem. Łatwo było mu być dumnym, dopóki miał z czego, ale potem?

Opowiedziała policji o jego pracy, o tamtych latach, kiedy przychodził do domu trzeźwy, pełen życia i właśnie dumny. Ciężko pracował i dobrze zarabiał. A potem jeden uszkodzony nerw odebrał mu zdolność do pracy jako monter rusztowań. Nie mógł podnieść ręki. Ból. Patrząc na fasady domów i wiedzieć, że się jest bezużytecznym...

– Jak do tego doszło? – zapytał policjant, po raz pierwszy okazując głębsze zainteresowanie losem Bossego.

Opowiedziała o wypadku, który na zawsze wywrócił do góry nogami jego

życie, a przez to ich wspólne. Nie mógł nikogo winić, to był jego błąd, jego niecierpliwość i pośpiech, które skazały go na bezczynność. Przeklinał własną niezręczność, nazywał siebie „amatem”.

Jak wielu innych, wybrał wódkę. Mówił „woda”, nigdy alkohol ani konkretny gatunek, jak czysta, dzin czy whisky. To miała być woda. Jej zdaniem brzmiało to szorstko, lecz tak właśnie miało być. W picciu Bossego nie było niczego wyrafinowanego ani przyjemnego. Woda była zapomnieniem. Woda była nienawiścią. Woda była rozbratem z życiem.

Wstała, podeszła do okna i wyjrzała na podwórze. Z tyłu majaczyła nowo wybudowana komenda. Nie musieli daleko iść, by zanieść jej wiadomość. Jak można pracować w policji? W budynku wypełnionym zbrodnią, nienawiścią, kłamstwami, winą i żalobą? Chciała zapytać, jak to wytrzymują, ale przeczuwała, że nie ma na to dobrej odpowiedzi.

Zegar w salonie wybił pierwszą. Zaraz przyjdzie Bernt, miał dziś wcześniej skończyć, by iść po południu do przychodni. Zjedzą zapiekankę z ziemniaków i pieczoną szynkę. Powie mu o śmierci Bossego. Bernt nie będzie zadawał wielu pytań. Wiedziała, że w głębi duszy poczuje ulgę, może nawet radość. Był zazdrosny o to, że w jej życiu istniał ktoś tak ważny, i to jeszcze zanim się poznali; taka zazdrość o przeszłość, której nigdy nie rozumiała. Bernt też był przecież wcześniej żonaty i mówił bez oporów o swojej pierwszej żonie.

Nie chciałyby widzieć jej łez ani słuchać opowiadań. A ona postara się go zadowolić. Płacz teraz, nie później, pomyślała. I płakała, płakała nad zmarnowanym życiem. Bossego. A może swoim własnym, nie była pewna. Nigdy nie miała dużych wymagań, lecz przeczuwała, że można żyć inaczej.

Z piekarnika dochodził zapach zapiekanki. Wyjęła szynkę i zaczęła kroić w plastry. Lubił cienkie i tylko lekko wypieczone. Nagle znieruchomiała w połowie ruchu. Policja chciała, by przyszła do kostnicy i zidentyfikowała zwłoki byłego męża.

– Z tego, co wiemy, jest pani najbliższą osobą – powiedziała ta policjantka.

To prawda, pomyślała, byłam i jestem najbliższa. Mieli po nią przyjechać o trzeciej.

Ile plastrów będzie chciał? Patrząc na szynkę, poczuła obrzydzenie. Odłożyła nóż. Jak umarł? Nie przyszło jej do głowy, by o to zapytać. A jeśli się pomylili i to był ktoś inny?

Po wizycie u Gunilli Lange Ola i Beatrice postanowili odwiedzić drugą kobietę z listy, z tego prostego powodu, że jako jedyna miała stały adres, na Sköldungagatan w Tunabackar.

Ingegerd Melander była nietrzeźwa, nie całkiem pijana, lecz wystarczająco, by Haver poczuł niesmak. Był dopiero środek dnia. Z uczuciem antypatii przyglądał się przedwcześnie postarzałej twarzy, zmarszczkom, które biegły

wzdłuż jej policzków jak półksiężycy i pogłębiały się, gdy się uśmiechała, próbując ukryć swój stan. Efekt był wręcz odwrotny.

Włosy miała związane w koński ogon, co nadawało jej mimo wszystko trochę dziewczęcy wygląd. Haver widział za tą zniszczoną twarzą kobietę, która kiedyś musiała być naprawdę atrakcyjna.

– Wychodzę na zakupy – rzuciła, kiedy jej się przedstawili.

– Przychodzimy w sprawie Bossego Gränsberga – oznajmił Ola Haver.

Beatrice spojrzała na niego z boku.

– Czy możemy wejść i chwilę porozmawiać?

Ingegerd pokręciła lekko głową, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia, lecz odsunęła się i wpuściła ich do środka.

Usiedli przy kuchennym stole. Beatrice nie skomentowała firanek, bo ich nie było. Poza tym kuchnia była zaskakująco, wprost klinicznie czysta. Na blacie, stole i innej powierzchni nie stały żadne rzeczy i ani jedna doniczka nie zdobiła parapetu. Jediną oznaką jakiegokolwiek ludzkiej aktywności był kalendarz ścienny z zakładu blacharskiego Kjella Petterssona. Haver zauważył, że czerwone kółko otacza wczorajszą datę.

– Mam złą wiadomość – zaczęła Beatrice.

– Jak zawsze w przypadku Bossego – skomentowała kobieta.

– Ale my chyba nie przychodziliśmy wcześniej z jego powodu?

Kobieta pokręciła głową.

– Co zrobił?

– Nic, z tego, co nam wiadomo – odparł Ola Haver. – Nie żyje.

Poczuł, że nienawidzi siebie i swojej pracy. Z trudem powstrzymał impuls, by wstać i wybiec z tego mieszkania.

Ciało kobiety skurczyło się, jakby przeszył je prąd, i opadła nad stołem jak dmuchana lalka, w którą ktoś wbił igłę. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i jakiś głos zawołał:

– Nareszcie w domu!

Beatrice pochyliła się nad stołem i położyła dłoń na drżącym ramieniu kobiety. Haver wstał. Do kuchni wszedł mężczyzna, który od razu wydał mu się znajomy.

– Co ty do diabła tu robisz? – zapytał tamten.

Jego spojrzenie wyrażało mieszaninę zdziwienia, nieufności i gniewu.

– Nazywam się Ola Haver i jestem z policji.

– Przecież widzę!

– Mamy złe wiadomości.

– Jak zawsze – odparł mężczyzna.

Spojrzał ponad ramieniem Havera.

– Co zrobiliście Ingegerd?

– Bosse Gränsberg nie żyje.

– Co?

Mężczyzna przełknął ślinę.

– Nie żyje?

Haver skinął głową.

– O cholera? Dlaczego? Odebrał sobie życie?

– Nie, ktoś odebrał jemu.

Jeszcze raz zobaczył przed sobą tę scenę: Bo Gränsberg leżący na żwirze.

Ingegerd wyprostowała się nagle i uniosła na krzesło. Jedną ręką opierała się ciężko o stół, a drugą wycelowała w mężczyznę. Drżała jej dłoń. Drżało całe ciało.

Z kącika jej ust sączyła się strużka śliny. Twarz miała całą w czerwonych plamach, a policzki mokre od łez. Nienawiść, pomyślał Haver. Tak wygląda nienawiść. Chciała krzyknąć, ale głos uwiązł jej w gardle, więc opuściła rękę.

– To dlatego – wymamrotała.

– Co dlatego?

– Wczoraj skończyłam czterdzieści lat.

Haver zerknął na kalendarz. Ingegerd opadła na krzesło. Haver dał mężczyźnie znak, by poszedł za nim do pokoju.

– O co tu do diabła chodzi?

– O morderstwo – rzucił Haver. – Bosse został zamordowany.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Jak się nazywasz?

– Johnny Andersson. Bo co?

Co za kretyn, pomyślał Haver. Rozpoznał nazwisko z listy, którą dostał w Grocie od Camilli.

– Ty też znałeś Bossego – rzekł. – Jak myślisz, co się stało?

– Ja? A co mam myśleć?

– Kiedy ostatni raz się z nim widziałeś?

Johnny Andersson nagle jakby się przestraszył.

– Nie myślisz chyba...?

– Odpowiedz na pytanie. – Haver z trudem panował nad zmęczeniem i poirytowaniem.

Z kuchni dobiegały głośne łkania.

– Parę dni temu – odparł Johnny obrażonym głosem. – Nie możecie tu wpadać jak jakieś cholerne Gestapo...

– Kiedy i gdzie?

– Widzieliśmy się na mieście. Chyba w niedzielę.

– O której?

– Przed południem.

– Co robiliście?

– Wpadliśmy na siebie przypadkiem. Wiesz, na placu Świętego Piotra.

Haver skinął głową. Mały plac w samym centrum, przy którym umawiał się z Rebecką, kiedy mieli załatwić coś razem na mieście. „Widzimy się przy fontannie”, mówiła.

– Jaki wtedy był?

– Eee, jak zwykle. Trochę pogadaliśmy. On był jak zwykle... jak to się mówi? Trochę przygięty.

– Przygięty?

– Jakby kulił się w sobie, chciał wydawać się mniejszy niż naprawdę.

– Miał metr osiemdziesiąt sześć – zauważył Haver.

– Tak, coś koło tego.

Zdawał się rozważać fakt, że między nim a zmarłym było co najmniej dziesięć centymetrów różnicy wzrostu.

– Nie sprawiał wrażenia niespokojnego, pobudzonego czy smutnego?

– Jeśli chodzi... chodziło o Bossego, można było się tego domyślać.

– Jeszcze jedno. – Haver ściszył głos. – Czy Bosse i – zrobił ruch głową w stronę kuchni – byli w związku?

Johnny uciekł wzrokiem. Teraz skłamię, pomyślał Haver.

– Tak, wcześniej.

– Kiedy wcześniej?

– Może miesiąc temu.

– Więc zerwali ze sobą?

Johnny skinął głową. Haver nie był już tak przekonany, że zaserwowano mu kłamstwo, może dlatego, że łatwo było je zdemaskować. Wyczuwał, że Johnny jest zainteresowany kobietą w kuchni. Było coś w jego postawie, a może bardziej w tym radosnym powitalnym okrzyku, kiedy wszedł do mieszkania, nie dzwoniąc.

– Kto zerwał?

– Ingegerd.

– Innymi słowy, Bosse był nieszczęśliwy. Miał jakiegoś rywala?

Johnny pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, to nie.

Teraz skłamał, pomyślał Haver.

Dwoje policjantów opuszczało Sköldungagatan w niewesołym nastroju. Trochę im się poprawił dopiero w okolicach skrzyżowania z Luthagsleden.

– Czasami dobrze jest być we dwójkę – powiedziała w końcu Beatrice.

Haver pokiwał głową. Beatrice skrzyła w prawo.

– Bosse i Ingegerd byli wcześniej w związku – rzekł Haver.

– Tak, mówiła mi o tym. Myślała jednak, że złoży jej życzenia urodzinowe.

– Dlaczego zerwała?

– Za dużo imprezowania, jak stwierdziła. Dziwne było, a przynajmniej

Ingegerd tak uważała, że Bosse nie pił od dnia ich zerwania. Ani kropli.

– Chciał się poprawić i robić wszystko dobrze – oznajmił Haver i sam zauważył, że przybrał niedbały, niemal prześmiewczy ton.

Beatrice spojrzała na niego z boku.

– Jak tam w domu? – zapytała bez ogródek.

– Co masz na myśli?

– Też chcesz się poprawić i robić wszystko dobrze?

Popatrzył na nią i w przyływie złości zacisnął dłonie w pięści.

– Daj spokój – ciągnęła Betty. – Mam przecież oczy i uszy. Marnie wyglądasz. Nie jest wam dobrze.

– Co to cię obchodzi?

– Wpływa na twoją pracę.

Kiedy światła przy Syslomansgatan zmieniły się na zielone, wyrwała do przodu na długo przed innymi kierowcami.

– I moją – dodała.

– Odczep się – warknął Haver.

Skręciła ostro w lewo w Rackarbergsgatan i zahamowała tak gwałtownie, że Haver poleciał do przodu, zawisając na pasie bezpieczeństwa.

– Słuchaj – powiedziała, zwracając się do kolegi. – Weź się uspokój! Pracujemy razem. Jesteśmy od siebie zależni. Ja mogę dużo znieść, ale gdy widzę, jak się wyżywasz na innych ludziach w pracy, to już przesada. Zrozum, przestałeś być dobrym policjantem!

Haver patrzył przed siebie. Najchętniej wysiadłby z samochodu.

– Dobrze się znamy, pracujemy razem od wielu lat i dlatego mogę być szczerą. Nie jesteś jakimś aspirantem, tylko mądrym i doświadczonym oficerem śledczym. Więc tak się zachowuj.

Zamknij się, pomyślał, lecz nie powiedział tego głośno. Beatrice nie zniechęciła jego kamienną twarzą.

– Weź zwolnienie, jeśli podle się czujesz. Wyjedź gdzieś. Zrób coś przyjemnego. W najgorszym razie się rozwiedź!

Zmieniła bieg i samochód podjechał pod górę. Zamierzali jeszcze sprawdzić adres w Stenhagen, pod którym mieszkał dawny kolega z pracy Gränsberga. Gunilla Lange powiedziała im, że jest na długim zwolnieniu lekarskim i Bosse często o nim mówił. Według byłej żony spotkali się parę razy w ciągu ostatniego miesiąca.

Jednakże, jakby działając w niemym porozumieniu, zawrócili w lodowatej ciszy do komendy.

**Ledwie Ottosson wyszedł**, Ann wyjęła książkę telefoniczną i wyszukała numer Andersa Branta.

Wybierała cyfry z narastającym podnieceniem. Chciała, by odebrał i wyjaśnił, jak to wszystko się łączy, ale po sześciu sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka: „Cześć, dodzwoniłeś się do Andersa Branta, który nie może teraz odebrać. Zostaw wiadomość”. Anders Brant, mężczyzna, który dał jej więcej rozkoszy niż ktokolwiek przedtem, przy którym jej ciało rozkwitło. Kiedy usłyszała jego głos, powróciły intensywne uczucia z poranka, zadowolenie i napięcie. Nie powiedział, że nie ma go w domu, tylko że nie może odebrać.

Nigdy wcześniej do niego nie dzwoniła. Nawet nie знаła numeru jego komórki. On zawsze kontaktował się pierwszy i dotąd nie widziała w tym niczego osobliwego. Teraz wydało jej się to tym bardziej dziwne.

Nie odbierał i, co gorsza, jego nazwisko pojawiło się w śledztwie w sprawie morderstwa. Teraz nagle gdzieś wyjechał. Zadzwoiła jeszcze raz, z tym samym rezultatem, i rozważała przez sekundę, czy nie zostawić wiadomości, ale z tego zrezygnowała.

Mógł ją odsłuchać ktoś inny niż Anders.

Kim on był? Mówił, że dziennikarzem, teraz wolnym strzelcem po tym, jak złożył wypowiedzenie w czasopiśmie, którego nazwy nigdy nie słyszała, nie mówiąc o czytaniu. Magazyn kulturalny, wyjaśnił, który stał się trochę zbyt wyrafinowany jak na jego gust. Wspomniał coś o „babsztylu” w redakcji, z którym nie mógł się dogadać.

O czym pisał? Nie wiedziała. Mogła się domyślać, że artykuły o kulturze. Czula wtedy, że stąpa po nieznanym terenie, i to też był powód, dla którego nie przejawiała większego zainteresowania. Nie chciała się przyznać, jak wielką jest w tej dziedzinie ignorantką.

Właściwie dużo nie rozmawiali, głównie flirtowali i kochali się i Ann nie protestowała, spragniona pieścizot.

A teraz gdzieś wyjechał. Nie wiedziała dokąd i nie miała pomysłu, jak mogłaby szybko i sprawnie się tego dowiedzieć. Tydzień, może dwa, powiedział. Domyślała się, że miało to coś wspólnego z jego pracą. Był w Szwecji czy za granicą? Może Görel coś wiedziała? Gdzie i kiedy oni się poznali, Ann też nie miała pojęcia. Görel nie była osobą, która kojarzyła się z czasopismami kulturalnymi.

Weszła na Eniro i zdobyła numer jego komórki. Była wyłączona, o czym poinformował ją mechaniczny głos z poczty.

Ogólnie Anders Brant był jednym wielkim znakiem zapytania. Domyślała



się, że zamordowany miał przy sobie kartkę z numerem jego telefonu z powodów czysto zawodowych. Ale o czym Bo Gränsberg mógłby opowiedzieć dziennikarzowi czasopisma kulturalnego? Może znali się wcześniej, może nawet byli spokrewnieni?

Pytań było wiele. Postanowiła, że porozmawia z Sammym Nilssonem, a potem z Görel, ale to dopiero wieczorem. Łapanie jej w pracy było kłopotliwe i niezbyt mile widziane.

Ann uderzyło nagle, że przyjaciółka nie odzywała się do niej w czasie, kiedy Brant baraszkował w jej łóżku. Czy nie wiedziała, że się spotykają? Na pewno była ciekawa, ale jeśli Brant nic jej nie powiedział, mogła pomyśleć, że jej próba swatania się nie powiodła. Dzwoniła zwykle od czasu do czasu, lecz milczała przez ostatnie tygodnie, a Ann nawet nie pomyślała, by zadzwonić pierwsza. Za dobrze mi było, pomyślała i nie mogła powstrzymać uśmiechu, w głębi ducha bardzo zadowolona z doświadczeń ostatnich tygodni. I nie chciała wierzyć, że to już koniec. To nie mogło się tak skończyć. Więc skąd to ćmiące, nieprzyjemne uczucie, doświadczane wręcz fizycznie, że to jednak koniec, że przez parę tygodni tylko zaglądała do miejsca, które tak naprawdę nie było jej? Okazjonalna wizyta.

Wstała z głębokim westchnieniem. Nigdy, pomyślała, nigdy nie może być dobrze, nigdy bez komplikacji.

Sammy też nie odbierał. Doświadczenie podpowiadało jej dwie możliwe przyczyny: albo rozmawiał z „klientem”, jak uparcie ich nazywał, albo trenował. Zważywszy na okoliczności, skłaniała się ku pierwszej opcji. Nagrała wiadomość i poprosiła, by jak najszybciej oddzwonił.

Potem usiadła przy komputerze i weszła w Google. „Anders Brant”, wpisała w okno wyszukiwania i po jakiejś sekundzie monitor zapełnił się informacjami. Ogółem 2522 wyniki, nawet jeśli wiele pochodziło oczywiście z tego samego źródła.

Pierwszy pokazał się krótki artykuł opublikowany w czasopiśmie Naturskyddsförening<sup>[1]</sup>, traktujący o biopaliwach, potem kilka dłuższych reportaży o Putinie i Rosji, opublikowanych w czasopiśmie, którego nie знаła, a po nich artykuł na ten sam temat, opublikowany w „Dagens Nyheter”.

Przebiegła tekst wzrokiem. Ukazywał innego Andersa Branta niż ten, którego znała. Pisał w tonie polemicznym, a mimo to dobrym stylem. Dobrze napisane, pomyślała i poczuła coś w rodzaju dumy z jego zdolności. Pieprzyliśmy się tamtego dnia, przypomniała sobie. „Dagens Nyheter” wprowadzała jego materiał na stronę z publicystyką, a on wprowadzał we mnie co innego, pomyślała z niemądrym uśmiechem.

Zadzwonił telefon i wyświetlił jej się numer Sammy’ego.

– Dobrze, że dzwonicz – ucieszyła się. – Myślę o tym Brancie.

– Ja też – odparł. – Właściwie jestem w jego mieszkaniu.

Ann poczerwieniała.

– Gdzie on mieszka?

– W Svartbäcken. Nikogo nie ma w domu. Rozmawiałem z kilkoma sąsiadami i jeden z nich widział go, jak dziś przed południem wychodził z domu z walizką. Wrócił około ósmej rano taksówką. Te babska, które wszystko kontrolują, są pożyteczne. Ale tym razem był to facet, pan Nilsson, jak małpka Pippi Långstrumpf.

– Z walizką – powtórzyła bezmyślnie, nie potrafiąc ukryć zawodu, choć przecież powiedział, że wyjeżdża.

Rozważała przez moment, czy nie powiedzieć o Brancie i ich związku. Sammy potrafiłby to przyjąć bez wzburzenia ani nie robiłby jej wyrzutów. Przeciwnie, sądziłby nawet, że to ekscytujące. Pogratulowałby jej i stwierdził, że nie ma sprawy. Siedź cicho, przekonywałby ją, przecież nie pracujesz nad tą sprawą. Znajdziemy Branta, przesłuchamy i wyłączymy ze śledztwa.

Kiedy miała te słowa na języku, gotowe wyfrunąć – bo tak się właśnie teraz czuła, musiała wypowiedzieć nazwisko Brant, pozbyć się jego gorzkiego smaku w ustach – Sammy podjął wątek.

– To nam oczywiście wprowadza bałagan. Miał też małą walizkę, sąsiad sądzi, że na laptop.

– Jest dziennikarzem – zauważyła Ann.

Sammy parsknął śmiechem.

– To już wiemy. Jak się czujesz?

– Świetnie!

Brant musiał zadzwonić po taksówkę, kiedy od niej wychodził, uderzyło ją nagle. Teraz był Brantem, nie Andersem.

– W pół godziny później pojechał inną taksówką – ciągnął Sammy.

– Sprawdziłeś kurs?

– Tak. Uppsala Taxi. Małpka to zauważyła.

Ann wzięła głęboki wdech, starając się wymyślić jakąś inteligentną odpowiedź.

– Aha – powiedziała tylko.

– Dlaczego pytasz? Masz coś nowego w związku z naszym przyjacielem pismakiem?

– Nie, nie, byłam tylko ciekawa, przecież wiedziałam, że będziesz go sprawdzał. Ottosson o tym wspomniał.

Sammy nie odpowiedział. Może czekał na coś więcej? Ale dlaczego mówił „małpka”? Przecież sam nazywał się Nilsson.

– Będziemy w kontakcie – powiedziała w końcu, kiedy cisza stała się zbyt niezręczna.

– Jasne. Cześć!

Po tej rozmowie Ann przez dłuższą chwilę siedziała w fotelu i biła się z myślami, czy powinna iść do Ottossona i powiedzieć mu to, czego nie potrafiła powiedzieć Sammy'emu. Zdecydowała się jednak milczeć. Na monitorze błysnęło jego nazwisko i zamknęła komputer.

– Cholerny facet – mruknęła.

Apatycznie otworzyła teczkę z najnowszymi materiałami w sprawie Klary Lovisy. Na samym wierzchu leżała fotografia i Ann jak zwykle przyjrzała się jej dokładnie, nim zaczęła szukać dalej, i znalazła sporządzone naprędce notatki z wczorajszego dnia.

Yngve Sandman, mieszkaniec Skärfälten, leżącego niecałe dziesięć kilometrów na zachód od miasta, widział młodą dziewczynę w towarzystwie mężczyzny. Rysopis się zgadzał, świadek podał do tego właściwy kolor jej kurtki i spodni. Szli razem spacerem drogą w stronę Uppsala Näs.

W dzień po zaginięciu, kiedy informowały o nim media, zadzwonił na numer dyżurny policji, ale nikt nie zainteresował się tym, by dokładnie go przesłuchać.

Wczoraj zadzwonił znowu, trochę rozgoryczony, lecz bardziej zdziwiony brakiem reakcji, i połączono go z Ann Lindell.

– Sam mam córkę – rzucił.

Lindell nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego nikt z policji się z nim nie skontaktował. Niedbalstwo, pomyślała, lecz nie mogła oczywiście powiedzieć tego głośno. Zawsze przy zaginięciach, zwłaszcza kiedy chodziło o młode kobiety, napływały setki wskazówek i informacji. Większość okazywała się fałszywymi tropami. Telefon tego mężczyzny zapewne utonął w morzu innych.

Ann znów wzięła od niego dane i obiecała, że się odezwie w ciągu dwóch dni. Kiedy zadzwoniła, mijała właśnie doba. Umówili się, że od razu do niego pojedzie.

– To było tutaj – rzekł Yngve Sandman, wskazując miejsce. – Jechałem na motorze, a oni tam szli, drugą stroną drogi.

Ann popatrzyła na niego.

– Więc szli po niewłaściwej stronie – stwierdziła, jakby to było ważne. – Jechał pan motocyklem?

– Tak, zbieram zabytkowe motocykle, zrobiłem jazdę próbną na starym Puchu. Ma więcej lat ode mnie. Nie jechałem szybko, więc zdążyłem im się przyjrzeć.

– Proszę opowiedzieć, jak szli, jak wyglądali i tak dalej.

– Ona szła od strony drogi. Nie spieszyli się, nie wyglądali na zdenerwowanych. Ale chyba ze sobą nie rozmawiali, w każdym razie nie w chwili, kiedy ich spotkałem.

– Jakie wrażenie sprawiała dziewczyna?

Yngve wzruszył ramionami.

– Co mam powiedzieć? Wydała mi się urocza, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

Ann skinęła głową.

– Odniósł pan wrażenie, że się znają? Nie wyglądała na wystraszoną czy coś w tym rodzaju?

– Wyglądali jak para znajomych na spacerze. Ale w końcu można się też bać znajomego.

– Jak byli ubrani?

– Już mówiłem, najpierw w kwietniu, a potem wczoraj pani.

– Proszę powiedzieć jeszcze raz.

– Ona miała na sobie ciemnozielone spodnie, wyglądały prawie jak wojskowe, z kieszeniami z przodu, i jasnoniebieską kurtkę. Pomyślałem, że dość krótką, przecież wtedy było zimno. Nie zwróciłem uwagi na buty, ale chyba były czarne, podobne do kozaków.

Sandman ma rację, pomyślała Ann. Klara Lovisa w dniu zaginięcia miała na nogach krótkie czarne botki.

– A on?

– Niebieskie džinsy i kurtka z postawionym kapturem. Ciemna, może granatowa. Na nogach chyba sneakersy.

– Jak wyglądał?

Niebo nagle pociemniało i oboje spojrzeli w górę. Czarna chmura przeszła szybko, zasłaniając na parę chwil słońce.

– Dwadzieścia pięć lat, może młodszy – odrzekł Sandman, gdy powróciło słońce. – Jasne włosy, ale kaptur zakrywał większą część głowy.

– Okulary?

Mężczyzna pokręcił głową. Skierował wzrok na drogę.

– Miałem wrażenie, że idzie z pewnym trudem, ale to może dlatego, że szedł blisko rowu, jeśli pani rozumie, co mam na myśli.

– Utykał?

– Nie, nie dosłownie, ale jakoś...

Przez chwilę stali w milczeniu.

– Sam mam córkę. Gdyby zaginęła, wie pani...

– Tak – powiedziała Ann. – Oczywiście.

– Czy ona ma rodzeństwo?

– Nie.

Pokręcił głową i milczał przez chwilę.

– Może będzie padać – rzekł, kiedy nowa, czarna jak sadza chmura przesłoniła niebo.

– Wracał pan tą samą drogą?

– Tak, zawróciłem przy krajowej 72. Choć zatrzymałem się na chwilę i coś

poprawiłem przy motorze. Trochę stuknęło, więc musiałem naciągnąć linkę hamulca.

- Ile czasu minęło, nim pan tutaj wrócił?
- Dziesięć minut, może kwadrans.
- I pary już nie było?
- Nie, ani żywej duszy na drodze.
- O której ich pan widział?
- Około wpół do dwunastej.

Klara Lovisa wyszła z domu w sobotę dwudziestego ósmego kwietnia godzinę wcześniej. Ann rozejrzała się dookoła. Pola, kilka domów, mała wiejska droga schodząca do doliny. Jechała nią chyba kilkanaście razy. Co mogła tutaj robić Klara Lovisa? Jak duże jest prawdopodobieństwo, że to ją widział Yngve Sandman? I kim był ten młody mężczyzna?

Klara Lovisa nie miała chłopaka, przynajmniej oficjalnie. Jej przyjaciółki mówiły o jakimś Andreasie, z którym się spotykała od siódmej klasy, ale on już dawno został wyłączony ze śledztwa. W dniu jej zaginięcia był z mamą w Gävle.

Czy młody mężczyzna u jej boku mógł być jakimś tajemniczym wielbicielem, którego znała, a przynajmniej kojarzyła? Wyglądało na to, że spacerowała szosą dobrowolnie. Jeśli to w ogóle była Klara Lovisa.

Sandman był jej jedynym punktem zaczepienia. Sprawiał wrażenie porządnego człowieka, który nie stara się tylko zwrócić na siebie uwagi. Przeklinała nieznanego kolegę, który zlekceważył wcześniejszą informację. Wtedy była zupełnie świeża, teraz upłynęły już prawie dwa miesiące.

Postanowiła skorzystać z teczki, którą porządkowała od pierwszego tygodnia śledztwa.

- Chcę, by spojrział pan na kilka zdjęć młodych dziewczyn.
- Dobrze – odpowiedział bez większego entuzjazmu.

Ann poszperała przez chwilę w teczkę i wyjęła pierwszą fotografię. Pokręcił głową. Podobnie zareagował na zdjęcia numer dwa, trzy i cztery. Przy piątej dziewczynie zawahał się przez chwilę, nim zaprzeczył. Zdecydowanie odrzucił zdjęcie szóste, siódme, ósme i wszystkie następne.

- Zostało nam jeszcze dziewiętnaste – rzekła Ann.
- To wygląda jak casting do roli świętej Łucji – skomentował – ale żadnej z nich tu nie widziałem.
- Na pewno?

Sandman stanowczo kiwnął głową. Ann wyjęła ukrytą w teczkę dwudziestą fotografię.

- To ona – odpowiedział bez namysłu.

Nie musiał nic mówić, bo w chwili, gdy spojrział na Klarę Lovisę, wstrzymał oddech i wykonał ruch ręką, jakby chciał pokazać, że widział ją na tej drodze.

– To ona – powtórzył. – Biedactwo.

Ann nie była przekonana. Sandman mógł równie dobrze rozpoznać twarz ze zdjęcia w gazecie, ale to utwierdziło ją w przekonaniu, że jest rzetelnym świadkiem. „Klientowi” zwykle tak bardzo zależało na tym, by okazać się użytecznym dla policji – i z jakiegoś powodu częściej był to mężczyzna niż kobieta – że przy konfrontacji wyłaził ze skóry, by kogoś „rozpoznać”, może nie wskazać zdecydowanie, ale przynajmniej trochę się wahać, jakby konsekwentne zaprzeczanie było czymś niegrzecznym. On natomiast zaprzeczył, że rozpoznaje którąkolwiek z dziewczyn – nawet przy zdjęciu, o którym myślał, że jest ostatnie.

– Dziękuję – powiedziała. – Bardzo pan mi pomógł.

Yngve Sandman nie miał chyba takiego poczucia.

Wrócili do zaparkowanych samochodów. Stali tam jeszcze przez chwilę w milczeniu. Słońce znów przebiło się przez chmury, mieli wrażenie, że patrzą na zainscenizowaną grę światła i cienia zmieniającą cały krajobraz: kamienistą łąkę ciągnącą się pod las i pole kłującego jęczmienia po drugiej stronie – teraz skąpane w świetle, później spowije je niemal mityczny mrok.

– Czynniki ludzkie – przerwał w końcu ciszę.

– Co pan ma na myśli?

– Takie rzeczy nie mogą się zdarzać w mojej pracy. Chodzi mi o to, że ktoś przegapił mój pierwszy telefon, prawda?

Ann mogła tylko potwierdzić.

– Może wtedy jeszcze żyła?

– Pewnie tak – przyznała Ann. – Wtedy bylibyśmy w lepszej sytuacji.

– I jej rodzice też, nawet jeśli...

Yngve spojrzał na pobocze. U jego stop rósł mniszek. Kopnął go tak, że żółty kwiat oddzielił się od łodygi.

– Mieszkam tam na wzgórzu – oznajmił, wskazując ręką. – Nie widać stąd domu, ale jest z tyłu. To ładny dom, spłacony. Mieszkam prawie za darmo. Dzieci wyfrunęły z gniazda. Jakoś leci. Dłubię przy moich motorach. Ten las jest pełen jagód i grzybów.

Ann spojrzała w kierunku, który wskazał. Miejsce jak każde inne. Miała mgliste wspomnienie, że kiedyś zbierała tu grzyby, ale to mogło być po drugiej stronie drogi 72.

– Stina odeszła kilka lat temu.

Powiedział to bez goryczy, po prostu stwierdził fakt. I uśmiechnął się.

– Ile pan ma dzieci?

– Dwoje. A pani?

– Jednego synka – odrzekła Ann. – Na jesieni pójdzie do szkoły.

– Ja się pospieszyłem – powiedział. – Mam wiatrak na działce – dodał z niespodziewanym ożywieniem. – Jest koszmarnie brzydki, ale zbudował go ojciec.

To znaczy, gdyby pani tamtędy przejeżdżała, zobaczy pani wiatrak.

– Czym się pan zajmuje?

– Jestem kontrolerem lotów.

– To zwraca pan uwagę na szczegóły. – Ann odwzajemniła jego uśmiech. –

Nie może pan niczego przeoczyć.

– Właśnie. Dla mnie nie istnieje czynnik ludzki.

– Miło było pana spotkać – rzekła Ann, wyciągając do niego rękę – choć okoliczności mogły być bardziej przyjemne.

– Tak, to jest przykre – odparł, ujął jej dłoń trochę niezgrabnym ruchem i zrobił nieokreślony ruch drugą ręką.

Po chwili milczenia znów próbował się uśmiechnąć, lecz tym razem wyszedł mu raczej grymas.

Ann wyczuwała, że jest człowiekiem dość przystępnym, takim, którego trudno czymś zaskoczyć lub wyprowadzić z równowagi. Miała wrażenie, że ta równowaga jest wyuczona, może nawet wywalczona. Bo za tym jego majsterkowaniem i zbieraniem jagód krył się człowiek prawdopodobnie bardzo samotny.

A teraz równowaga została naruszona. Zaginięcie dziewczyny wzbudziło w nim niepokój, to było widać, ale nie wiedziała oczywiście, co tak naprawdę dzieje się w jego głowie.

Rozstali się, każde poszło do swojego samochodu. Ann pomachała mu ręką, odjeżdżając. On nadal stał przy samochodzie i patrzył na drogę. Chyba nawet nie zauważył jej gestu.

Mężczyźni, pomyślała Ann. Wyraźnie ją podrywał: samotny, dzieci wyprowadziły się z domu, napomknął o dobrej sytuacji materialnej i odpowiedzialnej pracy. I do tego ten komentarz o wiatraku, odsłaniający romantyczną stronę jego natury. Yngve Sandman nie był twardzielem, zachował koszmarny wiatrak z powodów sentymentalnych.

Ale miał rację, jeśli ich procedury tak działały, sprawa zaginięcia była przegrana. Jeśli naprawdę widział Klarę Lovisę. A o tym Ann była głęboko przekonana, kiedy jechała powoli w stronę miasta.

Na wysokości Berthåga poczuła impuls, by skręcić i zajechać do domu rodziców dziewczyny. Jej mama na pewno była w domu. Od zaginięcia córki przebywała na zwolnieniu lekarskim.

Pojechała jednak dalej w stronę centrum. Zanim znów ich odwiedzi, powinna odświeżyć pamięć, przeczytać jeszcze raz liczne protokoły przesłuchań poukładane w teczkach leżących na stosie w jej pokoju.

W kwietniu i w maju przeprowadzono ich około stu pięćdziesięciu, by stworzyć obraz życia dziewczyny, jej kontaktów i aktywności w czasie poprzedzającym zaginięcie.

Może znajdzie się wśród nich jedna kartka ze wzmianką o młodym blondynie w granatowej kurtce z kapturem i dżinsach. Mężczyźnie, który przekonał Klarę Lovisę, by dała sobie spokój z zakupem wiosennej kurtki i wywabił ją z miasta.



**Beatrice Andersson** nie widziała jeszcze tak poplamionego podkoszulka. Kiedyś biały, teraz cały był upstrzony plamami. Nie mogła oderwać od niego wzroku. Klatkę piersiową mężczyzny porastały ciemne włosy. Kiedy ujął brzeg podkoszulka i podciągnął go na muskularnym brzuchu, by samemu obejrzeć feerię barw, mogła stwierdzić, że ma włosy także na grzbiecie dłoni i palcach.

Göran Bergman parsknął śmiechem.

– Tak, wiem – powiedział – jeśli sprzedaje pani proszki do prania, to dobrze pani trafiła. Choć może lepszy byłby rozpuszczalnik.

W mieszkaniu unosił się zjełczały zapach zmieszany z aromatem kawy.

Przedstawiła się i zapytała, czy ma czas na krótką rozmowę.

– Oczywiście – odrzekł. – O jedenastej mam przerwę na kawę.

Odsunął się i wpuścił ją do mieszkania. Na podłodze pod wieszakiem, na którym wisiały tylko dwie sztuki garderoby, stał worek ze śmieciami, wiadro z odpadami kuchennymi, trzy pary butów, same ciężkie robocze, i jedna para sandałów.

Odstawił worek ze śmieciami na bok.

– Siedzę i maluję – wyjaśnił, odwrócony do niej plecami, i znikł w kuchni znajdującej się tuż na prawo. – Nie trzeba zdejmować butów!

Beatrice weszła za nim. Kuchnia była mała i najwięcej miejsca zajmowały w niej sztalugi. Na pół ukończony obraz przedstawiał zagajnik.

– Czego policja może chcieć od kogoś takiego jak ja? – zapytał. Wyjął dwa kubki i bez zbędnych ceregieli napełnił je kawą. – Świeżo zaparzona – zaznaczył. – Proszę usiąść! Czy chodzi o samochód? Ktoś podpalił mój samochód?

– Nie czyta pan gazet?

Bergman pokręcił głową.

– Za bardzo podróżowały, a poza tym jest tam tylko szajs.

Upiła łyk kawy i czekała, aż usiądzie naprzeciw niej.

– Nie mam dobrych wiadomości. Pana kolegę, Bo Gränsberga, znaleziono wczoraj martwego. Przykro mi.

Bergman powoli postawił kubek i wbił w nią wzrok.

– Nie dał dłużej rady – stwierdził.

– Nie zginął z własnej ręki – powiedziała Beatrice.

– Ktoś go zabił?

– Tak, dokładnie tak.

Opowiedziała mu, kiedy i w jakich okolicznościach znaleźli Gränsberga.

– A jak znaleźliście mnie?

– Jego była żona powiedziała nam, że się widywaliście.

Bergman pokiwał głową i utkwiał wzrok w obrazie.

– Podobał mu się, choć jest brzydki jak noc. Chciałem mu go dać w prezencie.

– Gdzie by go powiesił? – zapytała Beatrice.

Bergman spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Pracowaliście razem?

– Tak, przez wiele lat. Był najlepszy. Właściwie to my byliśmy najlepsi. Najszybsi i najsolidniejsi monterzy rusztowań w mieście.

– Ale potem on miał wypadek?

– Tak, cholernie głupi i pechowy. A ja tu siedzę uziemiony z chorymi nogami. Mam czterdzieści osiem lat i kolana do niczego.

– Co planowaliście?

– Aha, Gunilla wygadała – rzekł Bergman z krzywym uśmiechem i zaczął opowiadać.

Plan był taki, że dwaj starzy kumple z pracy mieli założyć firmę, montaż rusztowań, oczywiście, ale i inne rzeczy. Ze słów Bergmana nie wynikało, co te „inne rzeczy” miałyby oznaczać. Podkreślał, że mieli wiedzę i kontakty, a do tego ugruntowaną renomę, w przypadku Bossego trochę nadszarpniętą, lecz nikt nie mógł mu odebrać tych prawie dwudziestu lat, które przepracował na budowach.

Nie mogli już pracować fizycznie, to znaczy stawiać rusztowań, ale, jak zaznaczył Bergman, a Beatrice nie miała powodu tego kwestionować, jak mało kto potrafili organizować pracę. Znali wszystkie zawodowe triki, znali się na ludziach i mieli realistyczny obraz tej roboty.

Czy ja mam problem z budowlańcami? – pomyślała Beatrice. Kiedy zostawiła Havera przed komendą i powiedziała, że pójdzie do Bergmana sama, zapytał ją, co wie o robotnikach budowlanych. Jakby sam był jakimś ekspertem tylko dlatego, że miał ojca w tej branży. Wiedziała o tym, a przede wszystkim o jego przedwczesnej nagłej śmierci, więc nic nie odpowiedziała. Wszyscy w wydziale wiedzieli, że to drażliwy rozdział z jego życia, z którym ciągle się zmagał mimo upływu lat. Nie widziała powodu, by dokładać mu ciężaru, ale triumfowała w duchu, że Bergman tak się przy niej rozgadał.

A Bergman mówił dalej, jakby chciał zagłuszyć myśl o śmierci przyjaciela, i wszystko wydawało się jej takie rozsądne i przemyślane. Zrobili to, o czym nie myśli wielu innych, którzy zamierzają rozpocząć coś nowego, a mianowicie badanie rynku. Bergman obdzwonił i odwiedził osobiście ponad trzydziestu „aktorów na rynku”, jak to wyraził, w większości znajomych lub przynajmniej znanych mu z wcześniejszych czasów.

– Kapitał. – Beatrice przerwała potok jego wymowy.

Bergman umilkł nagle, ale szybko odzyskał rezon.

– Oczywiście – powiedział z naciskiem. – Potrzeba kasy, nie jakichś

wielkich sum, ale zawsze.

Beatrice zakładała, że Bo Gränsberg nie miał żadnych ukrytych dochodów.

– Proste pytanie: ma pan te pieniądze?

– Nie całą kwotę, ale sporo.

– A Bosse?

– Miał je zdobyć – rzekł Bergman z nieszczęśliwą miną, bo chyba właśnie zrozumiał, że brutalna śmierć Bossego mogła mieć związek z pieniędzmi.

– Miał włożyć mniejszą część – wyjaśnił. – To znaczy, nie pięćdziesiąt procent.

– Ile?

– Jakieś sto pięćdziesiąt kafli.

– To dużo jak na bezrobotnego i bezdomnego.

Bergman kiwnął głową. Nie patrzył jej w oczy. Przypomniał sobie nagle, że ma przed sobą kubek z kawą, i pociągnął z niego spory łyk.

– Wystygła – stwierdził.

– Jak pan myśli? – zapytała Beatrice.

– Ale o czym?

– Skąd miał wziąć sto pięćdziesiąt tysięcy?

Göran Bergman wypił kolejny łyk kawy.

– To delikatna sprawa – powiedział w końcu. – Nie wiem, czy powinienem o tym mówić, ale widziała się pani przecież z Gunillą, jego eks, to naprawdę dobra dziewczyna. Ona zawsze...

– Mogła mu pożyczyć taką sumę?

Beatrice odniosła wrażenie, że Gunilla Lange żyje bardzo skromnie, lecz może właśnie dlatego mogła zaryzykować tyle pieniędzy dla bezdomnego i zapijaczanego byłego męża.

– Przynajmniej sto – odparł Bergman.

– Niezła kasa – skomentowała, a Bergman potwierdził to skinieniem głowy.

– Ale dlaczego? Bosse nie był chyba najpewniejszą inwestycją, jaką można sobie wyobrazić?

– Nie, ale prawdą jest, że nie pił od kilku miesięcy. Naprawdę wierzył w ten projekt i ja też. Wiem, że dalibyśmy radę. Gunilla widać też tak myślała, widziała go już przecież w szczytowej formie. Potrafił naprawdę zasuwać, kiedy było trzeba.

– Ale wtedy był trzeźwy, sprawny i miał uporządkowane życie – zauważyła Beatrice.

– To prawda, ale teraz naprawdę tego chciał. Zawziął się. „To moja szansa” – mówił.

– Czy między Bossem a Gunillą coś było?

– Nie, nie, ale myślę, że nadal bardzo się lubili. Często to powtarzał.

– Ale z tego, co zrozumiałam, miał inną kobietę?

– To prawda – przyznał Bergman. – Tylko jest chciwa na pieniądze. Wie pani, że jest uzależniona od gier? Może siedzieć godzinami przed tymi automatami. A czasem jedzie na Wyspy Alandzkie i przepuszcza kupę kasy na ruletkę.

– Nigdy nie wygrywa?

– Ingegerd to loserka – podsumował Bergman.

– A potem zerwała?

– Zgadza się – przyznał ponuro Bergman. – Bosse miał wtedy nawrót i chłnął przez dwa dni. Wiedział w głębi ducha, że Ingegerd to nie kobieta dla niego, ale i tak miał doła, bo człowiek musi czasem do kogoś się przytulić.

Beatrice pokiwała głową.

– A pan ma do kogo się przytulić?

– O, tak. – Znow się uśmiechnął. – Nazywa się Ursula. Najlepsze, co mi się przytrafiło, jak mówią, ale w moim przypadku to prawda. Dobra dziewczyna to jak dar z nieba. To ona zachęca mnie do malowania. Wzięła kilka obrazów i zawiozła do galerii w mieście, no i na jesieni będę miał wystawę. Wyobraza sobie pani?

Pokręcił głową i znow zaczął się przyglądać obrazowi na sztaludze.

– Może nie ten – dodał i roześmiał się nerwowo, ale po chwili znow spoważniał. – Ale Bosse się podniósł! Siedział tu, pocił się i trzął przez cały dzień. A ja robiłem kawę i malowałem, i gadaliśmy, gadaliśmy. Przekimał na sofie i wstał jak normalny człowiek. Następnego dnia poszedł i przyniósł parę gratów, które miał u tej laski. Potrafił być silny. Wiem, że by się nam udało! Östen, ten z galerii, był tu się rozejrzeć. Chciał zobaczyć parę obrazów. Nazwał mnie naiwistą, i to prawda, kurczę, że czasem jestem naiwny, ale z firmą byśmy z Bossem dali radę.

– Też tak myślę – zgodziła się Beatrice.

Bergman rzucił jej szybkie spojrzenie. Miał zamglony wzrok.

– Właściwie spodziewałem się takiej wiadomości – rzekł. – Bosse był bardzo smutnym gościem.

**W ciągu dwóch dni**, jakie upłynęły od znalezienia Bo Gränsberga, wyłonił się obraz człowieka, który właśnie się podniósł. To Beatrice zacytowała słowa Görana Bergmana podczas porannej odprawy.

Bosse Gränsberg miał w chwili śmierci czterdzieści cztery lata. Urodził się w parafii katedralnej. Jego rodzice, Gerhard i Greta Pettersson, pracowali w tej samej firmie odzieżowej, matka jako krawcowa, a ojciec jako ktoś w rodzaju majstra do wszystkiego, stróża i kierowcy. Kiedy Bo miał pięć lat, zmienili nazwisko na Gränsberg, od nazwy miejscowości w regionie Västerbotten, w której urodził się Gerhard.

Nie miał rodzeństwa, a rodzice nie żyli od wielu lat. Miał jednak, według słów Gunilli Lange, jasny obraz swojego dzieciństwa i nigdy nie powiedział o rodzicach złego słowa.

To, czego Beatrice dowiedziała się o jego młodości, nie odbiegało znacząco od przeciętnego życia chłopca z klasy robotniczej: brak szczególnych osiągnięć w szkole, najlepsze oceny z matematyki i wychowania fizycznego, po skończeniu szkoły podstawowej kształcił się na robotnika budowlanego w Bolandsskolan i od razu po niej dostał pracę jako stolarz w BPA. Przepracował tam pięć lat, nim przyjął ofertę pracy jako monter rusztowań. Wtedy poznał Görana Bergmana.

To on dostarczył najwięcej informacji i podkreślił, że wtedy, w wieku dwudziestu pięciu lat, Bosse przeżywał najlepszy okres w swoim życia. Od paru lat był razem z Gunillą, wynajmowali dwupokojowe mieszkanie w Petterslund, on był pracowity i dobrze zarabiał, dzięki karierze sportowej miał przyjaciół i dużą pewność siebie.

Potem zdarzył się wypadek. Jeden wadliwy bezpiecznik w elewacji, jego własny błąd, jeden bolec zmienił nagle jego życie. Na początku był pełen nadziei, choć lekarze z Bygghälsan zapatrywali się dość pesymistycznie na jego szanse powrotu do dawnej pracy i zachęcali go, by się przekwalifikował. Bosse był natomiast przekonany, że uraz da się wyleczyć, argumentował, że budowlaniec może przecież znieść jeden mały prztyczek. Ale gdy mijały miesiące i ból nie chciał ustąpić, stawał się coraz bardziej zgorzkniały i ponury. Pocieszenie znajdował w butelce. Wcześniej, według słów Gunilli, nie miał problemu z alkoholem, nie pił więcej niż inni i właściwie pogardzał tymi, którzy nie potrafili zachować umiaru.

Po kolejnych obietnicach trzeźwości i równie licznych nawrotach Gunilla odeszła, choć nadal była w nim zakochana. Chciała chronić siebie, świadoma, że żony alkoholików nigdy nie żyją własnym życiem, tylko zawsze są współuzależnione, i nie ma przy tym znaczenia, czy same piją, czy nie.

Bosse przeprowadził się do kawalerki w Eriksbergu, pił coraz więcej, trafił do ośrodka leczenia uzależnień, ale wkrótce przerwał odwyk i od tamtej chwili przyspieszał swój upadek. Po roku został wykwaterowany z mieszkania i powiększył armię bezdomnych.

Zwrot nastąpił wczesną wiosną 2007 roku. Bergman i Gränsberg przez cały ten czas utrzymywali ze sobą kontakt, nawet jeśli w najgorszych okresach był on sporadyczny, a wtedy pojawił się pomysł, by razem założyć firmę zajmującą się stawianiem rusztowań i świadczeniem usług dla przedsiębiorstw budowlanych.

Bergman wierzył głęboko, że im się uda, i wyglądało na to, że przekonał Beatrice podczas ich rozmowy. Malarz naiwista w sprawach dotyczących stawiania rusztowań był twardo stąpającym po ziemi profesjonalistą. Pytała też o niego innych ludzi z branży i wszyscy poświadczali o jego umiejętnościach i przedsiębiorczości.

Gränsberga oceniali podobnie, choć jego picie w ostatnich latach zaciemniało ten obraz. Większość była jednak skłonna zgodzić się z Bergmanem: ich pomysł na biznes wcale nie był głupi i miał całkiem spore szanse powodzenia.

– To okrutne – stwierdziła Beatrice po swojej prezentacji – że gdy po takich przejściach zaczął stawać na nogi, ktoś go zatłukł. Właśnie się podnosił, ale ktoś powalił go na dobre.

– Dziękuję, Beatrice – rzekł Ottosson. Zakaszłał i sprawiał wrażenie trochę bezradnego.

Szef wydziału był znany ze swojej słabości wobec nieszczęść dotyczących ludzi, lecz także ich zdolności dźwigania się, podnoszenia z upadku, może nawet z bezsilności i nienawiści. To zawsze go wzruszało.

Popołudnie, które Berglund spędził w Grocie na rozmowach z kilkunastoma „towarzyszami niedoli” Gränsberga, jak ich nazwał, przyniosło podobny obraz.

– Można to podsumować, że był dobrym człowiekiem – zakończył.

– Alleluja – skomentował Riis. – Czy jesteśmy na zebraniu Armii Zbawienia? Nie ma żadnej skazy? Facet się wałęsał i chlał na okrągło. Skąd miał pieniądze? Żadnych napadów, kradzieży, choćby drobnych? Nie był chyba złotym chłopcem.

– Opowiedz o barakowozie – zwrócił się Ottosson do Morganssona. Wstydział się za Riisa, może głównie dlatego, że był z nimi prokurator Fritzén.

Morgansson zdał relację, że znaleźli w barakowozie odciski palców trzech osób oprócz Gränsberga. Dwie zostały zidentyfikowane – to Johnny Andersson i Manfred Kvist, dwaj bezdomni, którzy zostawiali swoje odciski w różnych miejscach. Obaj także przyznali, że odwiedzili Gränsberga, ale nie potrafili podać kiedy, tylko tyle, że w ciągu ostatniego miesiąca. Kvist przy tej okazji przespał się tam na podłodze, to było pod koniec maja.

Poza tym nie znaleźli niczego ciekawego, żadnego alkoholu ani narkotyków,

i żadnej rzeczy, co do której mogliby mieć podejrzenia, że została skradziona.

Raport Morganssona był krótki i rzeczowy, jak zwykle. Ann obserwowała go, kiedy mówił, i stwierdziła, że jest coraz lepszy.

– A te trzecie odciski? – zapytała.

– No tak – technik rzucił jej szybkie spojrzenie – znaleźliśmy je na okładce notesu, takiego zwykłego w błyszczącej czarnej oprawie, z liniowanymi stronami. Wygląda na zupełnie nowy, z tyłu jest nawet nalepka z ceną, i nikt jeszcze w nim nie pisał.

– Czy to mogą być odciski palców sprzedawcy?

– Raczej nie – odparł lakonicznie Morgansson – chyba że sprzedawał je domokrażca, bo takie same znaleźliśmy na szybie jednego z okien, tego, przy którym stoi stół. Ta szyba jest właściwie z plastiku. Mam teorię, że ten nieznany gość siedział przy stole, otworzył okno, by wpuścić trochę świeżego powietrza, a potem je zamknął i zabił gwoździem. Albo je otworzył, żeby coś wyrzucić, ale to nie zmienia obrazu. Odciski palców są tam.

Morgansson umilkł i z wyrazu jego twarzy zrozumieli, że skończył.

– Może ten mężczyzna w samochodzie – wtrącił Sammy Nilsson.

Wszyscy zwrócili się teraz w jego stronę.

– To informacja z dzisiaj. Kręciłem się koło miejsca zbrodni i spotkałem dwóch gości, którzy kładą tam przewody. Widzieliście pewnie wykop biegnący wzdłuż drogi. Dziś rano byli tam ludzie. Kopali, by przeciągnąć kable czy coś w tym rodzaju. Pomyślałem, że pewnie spędzili tam trochę czasu, więc się zatrzymałem. Krótko mówiąc, widzieli samochód zaparkowany pięćdziesiąt metrów od miejsca znalezienia ciała, mniej więcej tam, gdzie postawiliśmy nasze wozy. W poniedziałek, są tego absolutnie pewni. We wtorek i środę pracowali gdzie indziej. Gränsberga znaleźliśmy we wtorek, więc leżał tam przez dobę, jak sądził biegły.

– Jaki to był samochód? – zapytał Ottosson.

– Białe, trochę zdezelowane, nieznanej marki, powiedzieli ci kołesie w wykopie.

– Kiedy?

– Zobaczyli, że tam stoi, po przerwie na kawę o jedenastej. Nie zauważyli, kiedy odjechał. Stali przecież w wykopie i mieli ograniczoną widoczność.

– Anders Brant ma białą toyotę – ciągnął Sammy. – Ośmioletnią. Stoi na jego miejscu parkingowym.

Ann wpatrywała się w stół. Cholerny facet! – mamrotała niedosłyszalnie.

– I nadal go nie znaleźliście? – zapytał prokurator Fritzén.

– Właśnie – odparł Sammy. – Spakował się i wyjechał we wtorek rano.

– Musimy wejść do jego mieszkania – stwierdził Fritzén – nie ma innej rady.

Zabierzemy też samochód.

– Czy on nie ma komórki? – zapytał Fredriksson, który dotąd siedział zupełnie biernie.

– Nie ma włączonej – odrzekł Sammy. – Sprawdziłem loty we wtorek. Wyszedł z domu około ósmej i wiemy, że pojechał do Arlandy, na terminal piąty, czyli lot zagraniczny. W rachubę wchodzi mnóstwo kierunków.

– Sprawdź wszystkie – polecił Fritzén. – Musi być na którejś liście pasażerów.

– Madryt – wtrącił Ola Haver. – Poleciał liniami Spanair do Madrytu. Zarezerwował bilety przez Internet w zeszły piątek.

Ottosson uśmiechnął się szeroko i spojrzał na Fritzéna. Sammy wyglądał na zdziwionego, żeby nie powiedzieć zaskoczonego. Beatrice też się uśmiechnęła i pokazała Haverowi uniesiony kciuk, on jednak zachował kamienną twarz, jaką miał w ostatnim tygodniu.

– Dam głowę, że ten pismak tam był i zapaćkał barak odciskami palców – skomentował Riis.

Dla niego wszyscy dziennikarze byli jedną sitwą.

– Powiedziałeś, że Brant przyjechał do mieszkania taksówką we wtorek wczesnym rankiem. Gdzie wsiadł? – zapytał Fredriksson.

Ann popatrzyła na kolegę, a potem zwróciła wzrok w stronę Sammy’ego, który już się pozbierał niespodziance, jaką sprawił Haver w kwestii Madrytu.

– Przy Vaksala targ – odrzekł. – Według taksówkarza przyszedł pieszo Vaksalagatan i zatrzymał taksówkę.

Ann głośno odetchnęła. Wyglądało na to, że Brant przeszedł spory kawałek od jej domu, ale wiedziała, że jej kręactwa prędzej czy później wyjdą na jaw. Może miał numer jej telefonu w notesie w mieszkaniu? Jej tajemnica, że ona i Brant byli kochankami, czy jak tam inni by to nazwali, pęknie w dniu, w którym sprawdzą jego połączenia z telefonu stacjonarnego. Na pewno z niego do niej dzwonił. Co wtedy powie? Że chciał umówić się na wywiad? Że był znajomym znajomego, z którym miała sporadyczny kontakt? A może powinna pójść do Ottossona i o wszystkim opowiedzieć?

Z każdą minutą coraz trudniej było pozostać uczciwą, z każdą sekundą coraz bardziej wychodziła na kłamcę i, co jeszcze ważniejsze w oczach kolegów, osobę utrudniającą śledztwo.

Może dzwonił do niej tylko z komórki? Chwyciła się tej nadziei, choć była bardzo krucha, i postanowiła poczekać na odpowiedni moment. Gdyby tylko najpierw mogła się z nim skontaktować!

We wtorek wieczorem zadzwoniła do Görel, która nie miała pojęcia, gdzie Brant może się podziewać ani jak go złapać. Nie знаła jego adresu mailowego. Kiedy Ann spytała, gdzie się poznali, powiedziała, że na kursie salsy. Zaznaczyła, że nie jest nadzwyczajnym tancerzem. A co poza tym? – zapytała. Ann



wymamrotała coś w odpowiedzi, podziękowała za pomoc i szybko zakończyła rozmowę, krzycząc na Erika.

A więc tak się czują, uderzyło Ann, ludzie, których przesłuchujemy, a oni wykręcają się półprawdami i unikami? Nie muszą być niczemu winni, ale wstyd lub źle pojęta lojalność czynią ich krętaczami i kłamcami.

Prokurator wydał nakaz rewizji, „na słabych podstawach”, jak sam zaznaczył, ale nie mieli innych punktów zaczepienia. Pozostawała nadzieja, że zdołają ustalić, że to odciski palców Branta znaleźli w barakowozie. I wezmą toyotę na badanie techniczne, choć szansa na bezpośrednie powiązanie jej z miejscem zbrodni była niewielka. Po części dlatego, że upłynęło już parę dni, a po części dlatego, że robotnicy w wykopie nie widzieli zaparkowanego samochodu z bliska. Poza tym droga do barakowozu wysypana była grubym żwirowym tłuczniem, więc nie mogli liczyć na odciski opon, tym bardziej że jechało nią też kilka wozów policyjnych.

Grupa, pokrzepiona decyzją prokuratora, dyskutowała dalej, jak ogólnie poprowadzić śledztwo. Berglund chciał kontynuować rozmowy z bezdomnymi w Grocie. Beatrice miała porozmawiać jeszcze raz z Gunillą Lange i jej nowym partnerem, Berntem Fribergiem. Poza tym mogła ewentualnie przesłuchać ponownie Görana Bergmana. Ola Haver miał pociągnąć trop madrycki i wyglądał na zadowolonego, kiedy wstał i opuścił pokój. Beatrice odprowadziła go wzrokiem, lecz gdy odwrócił się w drzwiach, szukał spojrzenia Ann.

– A tobie jak idzie? – zapytał Ottosson, zwracając się do Ann, kiedy skończyli już na dziś ze sprawą Gränsberga i prokurator udał się do innych zajęć.

Jak cholera, chciała odpowiedzieć.

– Mam na myśli tę zaginioną dziewczynę.

– Zrozumiałam – odparła krótko ze znużeniem w głosie. – No cóż, znalazłam świadka – i opowiedziała mu o spostrzeżeniach Yngvego Sandmana, zaznaczając, że uważa je za wiarygodne i z pierwszej ręki.

„Znalazłam” brzmiało dobrze. Nie wspomniała o informacji przeoczonej w dzień po zaginięciu.

Skontaktowała się znów z rodzicami i paroma przyjaciółmi Klary Lovisy, próbując wybadać, czy ktoś z kręgu jej znajomych może pasować do opisu młodego człowieka na drodze, ale nie dowiedziała się niczego nowego.

– Szukam dalej. Może gdzieś chodzi na wolności młody mężczyzna, mający na sumieniu czyjeś życie.

– Myślisz, że ona nie żyje?

Ann kiwnęła głową i między brwiami Ottossona znów pojawiła się zmarszczka.

– Klara Lovisa nie była dziewczyną, która znika dobrowolnie – powiedziała.

Miała świadomość, że takie sądy bywają ryzykowne, bo skąd można

wiedzieć, o czym myśli drugi człowiek? Doświadczali tego już wcześniej, kiedy pozornie dobrze funkcjonujący młodzi ludzie uciekali, by po jakimś czasie pojawić się w innym mieście, w innym kraju. Mogło to trwać dzień lub dwa, ale również pół roku albo dłużej. Sama miała kiedyś przypadek dziewczyny, która po dwóch latach odnalazła się w Kopenhadze. Może dlatego dostała sprawę Klary Lovisy? Skoro coś mogło się zdarzyć raz, to... może Ottosson wierzył w jej szczęśliwą rękę.

Po zebraniu Ann wróciła do swojego pokoju. Wyczuwała, że koledzy zaczynają coraz bardziej dostrzegać, że się izoluje. Trzymała się na uboczu, nie spotykała z nimi w przerwach na kawę, tylko zaszywała się w pokoju sama.

Od nadziei do rozpacz; ta huśtawka była dla niej trudna do zniesienia. Przez parę tygodni żyła w upojeniu, z początku oszołomiona i trochę zdziwiona, że może przeżywać coś podobnego, być adorowana i pożądana, może nawet kochana. Anders Brant zabrał ją w podróż, której nigdy dotąd nie przeżyła ani nawet się tego nie spodziewała.

Historia miłosna z Edvardem była fantastyczna pod wieloma względami, naprawdę go kochała, bardziej, niż sobie z tego zdawała sprawę, w szczytowym momencie ich związku.

Potem przyszła ta noc z obcym mężczyzną, którego poznała w lokalu, i po pijaku, ale też dla zaspokojenia niejasnej potrzeby bliskości i bardziej wyraźnego podniecenia z obu stron, wylądowali w jej łóżku. Nigdy więcej nie chciała się z nim spotkać, zresztą miał żonę. Ona była jego skokiem w bok i czuła się potem niemal zbrukana. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu zaszła w ciążę, lecz nie powiadomiła o tym biologicznego ojca, a jej związek z Edvardem się rozpadł.

Edvard był dobry, lecz zbyt melancholijny, czasami trudno było do niego dotrzeć i przekonać go, że życie nie musi być tylko ciężką pracą. Lubiła jego powagę, lecz z biegiem lat zrozumiała, że dobrze się stało dla nich obojga, że każde poszło swoją drogą.

Anders był inny, bardziej lekkomyślny. Odprężony, nie komplikował spraw ponad miarę. Musiała też przyznać, że nie miał sobie równych w łóżku. Nigdy wcześniej nie przeżywała takich uniesień. Był na przemian delikatny i gwałtowny. Może grał, ale robił to świetnie.

Najbardziej ją dziwiło, że tak mało o nim wiedziała. Wspominał czasem o swojej pracy, mówił, że lubi pisać o ruchach społecznych, o tym, co oznaczają dzisiaj. Może wyczuł jej niepewność i dlatego nie rozwijał tego tematu. Wiedziała tylko, że nie goni za sensacją i traktuje swoją pracę poważnie. Czasami się zapalał i stawał bardziej gadatliwy. Wtedy mówił o sprawiedliwości. Miała wrażenie, że dość ogólnikowo, i kiedy rzuciła żartem, że ona też pracuje w służbie sprawiedliwości, umilkł na chwilę. Widząc jego minę, była przygotowana na sprzeciw, lecz w następnej sekundzie powiedział równie lekkim tonem coś o

szwedzkim królestwie bogatych<sup>[2]</sup>. Słyszała to już wcześniej, więc nie zrobiło na niej większego wrażenia.

– Chcesz powiedzieć, że pracuję tylko dla bogatych?

– Nie, nie całkiem – odparł. – To tylko takie wyrażenie.

Właśnie, pomyślała. Tylko takie wyrażenie, ale co wyraża? Nic jednak nie powiedziała.

To był jeden z tych nielicznych momentów, kiedy rozmawiali o jej pracy. Przejawiał zadziwiająco małe zainteresowanie. Ludzie, których poznawała, zwykle prosili, by opowiadała, opisywała różne przypadki, pytali, czy praca policjanta nie jest okropna i czy ona się nie boi. Nierzadko mówili o drastycznych przykładach przestępczości, jakie znali z doświadczenia własnego i innych.

Innym razem zapytał ją, jaka jest kara za szantaż. Odpowiedziała dość ogólnie, że to zależy od okoliczności, bo nie była pewna. Po prostu nigdy nie pracowała nad taką sprawą. Kiedy zapytała, czemu go to interesuje, odparł, że był tylko ciekawy, i dodał, że czytał książkę o włoskiej mafii. Potem zmienili temat.

Ale ona przepadła. I zaczęła robić sobie nadzieję. Marzyć, spoglądać na Erika i zastanawiać się, czy chciałby mieć zastępczego ojca. Brant nie miał dzieci, a dla niej było już za późno myśleć o kolejnym.

Jej pociąg jeszcze nie odjechał. „Jesteś na torze”, jak powtarzała do znużenia Görel, próbując przekonać Ann, by była bardziej aktywna i zaangażowana.

Teraz była aktywna i zaangażowana, i to w związek z mężczyzną, który znikł, pozostawiając mnóstwo znaków zapytania zarówno w sprawach zawodowych, jak i prywatnych.

Musi się z nim skontaktować; ta myśl zdominowała wszystkie inne. Dzwonienie na komórkę nie miało sensu – była pewna, że ma wyłączoną w podróży. Może ją włączy, kiedy sam będzie chciał zadzwonić.

Pozostawał mail – z całą pewnością dostarczał artykuły drogą elektroniczną. Zadzwoniła pod 118 118, dostała numer do Naturskyddsforeningen i poprosiła o połączenie.

W centrali zapytała o redaktora ich pisma i od razu mogła porozmawiać z mężczyzną o dziwnym nazwisku Gunnar Göök, a może Höök? Przedstawiła się i wyjaśniła, że w związku ze śledztwem musi się skontaktować z jednym ze współpracowników gazety, który teraz jest w podróży i można go złapać tylko drogą mailową.

Göök wahał się, przeciągał słowa, pytał, o co chodzi, miał wątpliwości, czy powinien tak po prostu podać jej ten adres, i zaczął coś mówić o ochronie źródeł.

– To nie jest tak po prostu – odparła Ann – i na pewno nie ujawnia pan źródeł. Proponuję zadzwonić na policję i poprosić Ann Lindell, wtedy będzie pan wiedział, że jestem policjantką.

– Jakby to coś zmieniało – mruknął Göök.

– Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa, może to coś zmienia? Brant nie jest podejrzany o żadne przestępstwo, ale może mieć ważne informacje. Proszę nie przedłużać i zadzwonić!

Göök ku jej zdziwieniu posłuchał. Po paru minutach zadzwonił telefon i dostała bez dalszej dyskusji to, czego potrzebowała. Podziękowała za pomoc i rozłączyła się.

Patrzyła na nabazgrany w pośpiechu adres Teli. On na pewno sprawdza pocztę w sieci, pomyślała. Jeśli jest teraz w Hiszpanii, nie będzie żadnego problemu.

Wysłała krótką wiadomość: „Zadzwoń do mnie natychmiast! To ważne! Powtarzam: zadzwoń do mnie natychmiast! Ann”. Potem wysłała esemesa o podobnej treści, lecz z jeszcze większą liczbą wykrzykników.

Żadnych miłosnych gruchań, żadnych dociekań, jak on się teraz czuje i gdzie jest. Nie było na to miejsca i wahała się, czy mogłaby dodać coś osobistego, nie czując się jeszcze bardziej przez niego oszukana niż teraz.

Choć ryzykowała, że ktoś inny przeczyta jej wiadomości, poczuła się lepiej. Przynajmniej coś zrobiła, zamiast tylko bezmyślnie siedzieć i czekać, aż sufit spadnie jej na głowę.

**Dozorca wpuścił dwóch policjantów** z wyraźnym ożywieniem.

- Co on zrobił? – zapytał znowu.
- Nic – odparł Sammy zmęczonym głosem po raz trzeci.
- Ale może coś?
- Tak, coś na pewno, ale my o tym nic nie wiemy – skwitował Morgansson.
- Może pan teraz iść. Zamkniemy za sobą drzwi, kiedy będziemy wychodzić.

Mieszkanie Andersa Branta składało się z dwóch pokoi, kuchni i malutkiej łazienki. Sammy i Morgansson stali przez chwilę w przedpokoju, pozornie niezdecydowani, nim włożyli ochronne ubrania i rękawiczki.

– Spróbuję na początek zabezpieczyć jakiś odcisk – oznajmił Morgansson i znikł ze swoją walizką w kuchni.

Sammy zaczął od pokoju łączącego funkcje sypialni i gabinetu. Na środku stało łóżko, zaścielone i starannie przykryte narzutą. Ściany od podłogi do sufitu były zakryte książkami, oprócz jednej z dłuższych, do której pod oknem wychodzącym na podwórze zamontowana była płyta na wspornikach.

Nie było na niej dużo rzeczy: staromodny segregator, parę stosów książek, stojak z różnymi długopisami, notes i kubek z resztkami zaschniętej kawy. Żadnego komputera, ale router, który błyskał zielonymi diodami.

Pod płytą stały dwie komody. Sammy wyciągnął jedną szufladę, pełną papierów i plastikowych koszulek w różnych kolorach z karteczkami samoprzylepnymi w prawym rogu. Na leżącej na samym wierzchu było napisane „biopaliwa”.

Wyciągał szufladę za szufladą. Głównie wydruki komputerowe i wycinki z gazet, ale w dolnej z prawej strony znalazł materiały biurowe: dziurkacz, zszywacz, pudełko spinaczy i wszystko, czego można się spodziewać w domowym biurze.

Przeglądał papiery bez większego entuzjazmu, choć wiedział, że musi to zrobić. Na razie zostawił jednak biurko, by popatrzeć na półki z książkami. Dużo literatury pięknej, rozpoznał kilka tytułów, które też miał. Szwedzka *Encyklopedia Powszechna* i inne encyklopedie i słowniki zajmowały całą sekcję. Było tam również to, co Sammy określał jako literaturę polityczną: pozycje dotyczące zagadnień środowiska i globalizacji, uderzająco wiele w języku angielskim.

Intelektualista, podsumował Sammy i wyszedł z pokoju. Pokój dzienny był łatwy do przeszukania: zestaw wypoczynkowy składający się ze skórzanej sofy, model z lat sześćdziesiątych, i dwóch foteli, które z pewnością były bardzo nowoczesne, lecz wyglądały na okropnie niewygodne, tekowy stolik, na którym stały świeczki do podgrzewania na ceramicznych podstawkach, telewizor i odtwarzacz DVD na półce z Ikei, wysoka mosiężna lampa podłogowa z trzema

abazurami – rodzice Sammy’ego mieli podobną, szafka, w której znajdował się zestaw muzyczny marki BW i kolekcja płyt kompaktowych, głównie z muzyką bluesową i klasyczną. W ścianie zamontowane zostały dwa głośniki.

To było wszystko. Niemal bezosobowo, podsumował Sammy. Łatwa robota – to była następna myśl, która dodała mu trochę otuchy, zważywszy na papiery w pokoju sąsiednim.

– Znalazłeś coś?! – zawołał w stronę kuchni.

– Na razie jeden odcisk, zakładam, że Branta – odparł Morgansson.

Sammy usiadł w jednym z foteli i zyskał potwierdzenie swoich obaw.

Jeśli to Brant odwiedził barakowóz Gränsberga w dniu, w którym tamten został zamordowany, jego sytuacja nie przedstawiała się najlepiej. Ale jaki mógł mieć motyw?

Rozmyślenia Sammy’ego przerwał technik, który stanął w drzwiach. Trzymał w ręce nowe odciski palców.

– To on – stwierdził krótko.

– Jesteś pewien?

Morgansson nie odpowiedział, tylko popatrzył na Sammy’ego wzrokiem bez wyrazu i obrócił się na pięcie. Nowy Ryde, pomyślał Sammy. Eskil Ryde był poprzednim szefem wydziału technicznego, teraz na emeryturze. Zawsze miał stuprocentową pewność.

Sammy wstał z trudem z ewidentnie źle skonstruowanego fotela i wrócił do sypialni. Stanął przy łóżku i ostrożnie uniósł narzutę. Równie ostrożnie odchylił kołdrę i spojrzął na prześcieradło.

Na nocnym stoliku z małą szufladką, który zauważył dopiero teraz, leżała książka Samira Amina. Boże, jaki poważny facet, pomyślał Sammy, wyciągając szufladę. Były w niej dwa rodzaje gumy – jedna do żucia, pół opakowania jakiejś zagranicznej marki Chiclet, Sammy poczuł impuls, by jej spróbować. Druga w postaci prezerwatyw.

W opakowaniu było ich na początku dwadzieścia, teraz zostały cztery. Prócz tego w szufladzie leżał bilet na metro, Sammy zgadywał, że z Nowego Jorku, kilka długopisów i kalendarzyk kieszonkowy na rok 2006, który szybko przekartkował. Był wypełniony drobnym, lecz w pełni czytelnym pismem. Spotkania i zebrania, wizyty u dentysty i inne trywialne sprawy wypełniające dzień powszedni człowieka. Dokładnie rok temu Anders Brant dzwonił do jakiejś kobiety, przynajmniej napisał przypomnienie z trzema wykrzyknikami: „Zadzwoń do Rose!!!” Sammy rozejrzał się za telefonem i znalazł go na regale z książkami.

Znowu spojrzął na prześcieradło; sprawiało niemal zbyt intymne wrażenie. Czuł się niezręcznie z tym, że naruszają czyjąś prywatność. Zajął się więc biurkiem. Truchlał na myśl o stosach papierów, lecz zaczął od tych, które wydawały się najbardziej aktualne: od teczek leżących na wierzchu.

Wszystkie były starannie oznakowane, na pewno materiał z researchu, może potrzebny do artykułów. Mieszanka wydruków komputerowych, odręcznych notatek i wycinków z prasy.

Pierwsza teczka zawierała teksty w języku rosyjskim i była podpisana „Putin”, druga krótko „MST”, też z tekstami w obcym języku, prawdopodobnie hiszpańskim. Pod nią leżała następna z równie niezrozumiałym dla Sammy’ego skrótem i zawartością nie mniej zadziwiającą jak poprzednia. Znow w tym samym języku.

Morgansson wszedł do pokoju.

– Coś ekscytującego?

Sammy odwrócił się, pokazując mu jedną z koszulek.

– Prawdopodobnie materiały do pracy – odrzekł, podając mu gruby plik.

Technik przeglądał go przez chwilę.

– Większość jest po portugalsku – stwierdził i oddał teczkę.

Jesteś pewny? – chciał zapytać Sammy, ale się powstrzymał i skinął głową.

– Kuchnia?

– Nic ciekawego. Całkiem czysto, pozmywane, lodówka opróżniona, jakby właśnie wyjeżdżał, żadnego worka ze śmieciami. Znalazłem dwa różne odciski palców, jego własne i kogoś innego, zostawione na wazonie i na kominku.

– Gdzie do cholery jest ten facet? – mruknął Sammy. – Nie podoba mi się to.

Morgansson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To znaczy, kręcimy się po mieszkaniu zupełnie obcego człowieka. Pomyśl sam. Czy naprawdę mamy powód do tego wtargnięcia?

– To się okaże – odparł technik, nie wykazując większego zainteresowania drażnieniem tego tematu.

– Mam na myśli...

– Wiem, co masz na myśli – uciął Morgansson. – Teraz wezmę się do łóżka.

Sammy skinął głową. Z zewnątrz usłyszał odgłos jakiegoś cięższego pojazdu. Podszedł do okna. To było pogotowie techniczne, które miało zabrać samochód Branta. Nyman, nowy aspirant, zaglądał do białej toyoty. Obok stał dozorca i coś do niego mówił. Aspirant wyprostował się, zrobił ruch, jakby chciał odsunąć Nilssona, a drugą ręką dał znak kierowcy samochodu technicznego. Jak gdyby ten potrzebował pomocy przy wjeździe tyłem na puste podwórze, pomyślał Sammy. Jediną przeszkodą mógł być sam Nyman.

Sammy odwrócił się od okna. Nie mógł przewyciężyć uczucia niesmaku. Potraktowali Branta jak zasadnie podejrzanego, i to na bardzo kruchych podstawach. Mieli już pewność, że odwiedził barakowóz Gränsberga, i wiele przemawiało za tym, że zrobił to w dniu morderstwa. Wyjazd za granicę następnego dnia rano mógł być ucieczką, lecz równie dobrze zaplanowaną podróżą. Zarezerwowanie miejsca na kilka dni przed wylotem nic nie znaczyło.

Dziennikarz, pomyślał Sammy Nilsson, wolny strzelec zainteresowany zagadnieniami społecznymi, czy zabiłby bezdomnego byłego montera rusztowań? Tak, zdarzają się niespodziewane rzeczy, dyskutował dalej sam ze sobą, ale jak wysokie jest prawdopodobieństwo?

– Ty, myślisz, że to Brant jest naszym sprawcą?

Morgansson przerwał pracę, lecz się nie wyprostował, tylko obrócił głowę i popatrzył na kolegę.

– Nie – odrzekł, trochę niespodziewanie dla Sammy’ego, ale nie rozwinął tej myśli.

– Zostanę tu jeszcze – oznajmił Sammy.

Morgansson skinął głową i wrócił do swojej pracy.

Sammy usiadł w drugim fotelu w podświadomej nadziei, że okaże się trochę wygodniejszy, i myślał dalej. Słyszał, jak samochód pogotowia technicznego wyjeżdża z parkingu.

Morgansson wszedł do pokoju po kilku minutach i usiadł w drugim fotelu.

– Nie zmieniał od jakiegoś czasu pościeli – rzekł. – Zabezpieczyłem dwa rodzaje włosów, jasne i bardzo ciemne. Poza tym są plamy, prawdopodobnie spermy, na poszewce.

– O, fuj. – Sammy skrzywił się.

– Może podkładał poduszkę pod tyłek – skomentował technik.

Potem upłynęło parę minut niewymuszonej ciszy. To zaleta tych gości z Västerbotten, pomyślał Sammy, że można z nimi milczeć bez uczucia skrępowania. Ale to Morgansson odezwał się pierwszy.

– Co myślisz o Haverze?

Sammy zdziwiony podniósł głowę.

– A co mam o nim myśleć?

– Chyba zauważyłeś, jaki się zrobił dziwny, ciągle chodzi skwaszony i mrukliwy. Myślę, że Beatrice też ma tego dość.

– Jest po prostu zmęczony – odparł Sammy, czując się dość niezręcznie.

– Wszyscy jesteśmy, mniej lub bardziej – odrzekł technik. – To coś innego.

– Na pewno wyjdzie kiedyś z dołka.

– Myślę, że coś jest nie tak u niego w domu – ciągnął Morgansson, który najwyraźniej nie chciał zmienić tematu.

– Z Rebecką?

Technik skinął głową.

– Nic o tym nie wiemy – oznajmił Sammy, tym razem tonem otwarcie zniechęcającym do dalszej rozmowy.

– Może coś z Lindell?

– Co?

– Ona też ostatnio nie jest sobą.



- Chcesz powiedzieć, że Ola i Ann ze sobą kręcą?
- Kręcą albo nie, skąd mam wiedzieć? – Morgansson zaczął się wycofywać.
- Ty znasz ją lepiej niż większość – rzucił Sammy.

Technik momentalnie poczerwieniał. Jest zazdrosny, niech to szlag, pomyślał Sammy. Ann i Morgansson mieli krótki romans tuż po tym, jak technik przeprowadził się tutaj z Umeå.

– Ona też jest trochę z boku – zauważył Morgansson. – Czasem w ogóle nie kontaktuje.

- Dręczy ją sprawa Klary Lovisy.

Morgansson pokręcił głową.

- To miłość – zawyrokował, a Sammy zaczął się śmiać.

– I myślisz, że powodem jest Haver? Że oni dwoje mieliby... i że Haver myśli o rozwodzie, tak uważasz?

- Coś w tym rodzaju – skwitował technik.

Sammy pokręcił głową.

- Nigdy w życiu – rzekł i wstał z fotela.

Morgansson parsknął niepewnym śmiechem.

- Niezłe fotele – mruknął i pogłaskał poręcz.

**Andreas Davidsson miał oryginalną fryzurę**, z wygoloną po bokach czaszką i krótkim skalpem na ciemieniu. W jednym płatku ucha tkwił kolczyk. Wystylizował się na twardziela, pomyślała Ann, ale czuć od niego strach.

– Skończyłeś właśnie szkołę podstawową – stwierdziła.

Skinął głową.

– Co zamierzasz robić od jesieni?

– GUC<sup>[3]</sup> – odpowiedział.

– To dobrze?

– Tja.

Czy taki będzie kiedyś Erik, pomyślała, małomówny i opryskliwy, niepatrzący rozmówcy w oczy?

– Na początek chcę powiedzieć, że o nic cię nie podejrzewamy. Byłeś w Gävle, kiedy zaginęła. Wiemy, że ty i Klara Lovisa chodziliście ze sobą w zeszłym roku, prawda?

Znów skinienie głową, ale teraz chłopak wyglądał, jakby się miał rozpłakać.

– A potem ona zerwała na początku roku, dokładnie pierwszego stycznia – wykrztusił.

Ann pokiwała głową. O tym wiedziała już od przesłuchania, które przeprowadzili z nim jeszcze w kwietniu.

– Masz nową dziewczynę?

Andreas pokręcił głową. Wyczuwała, że nadal często myśli o Klarze Lovisie. Nie tylko dlatego, że zaginęła w dramatyczny sposób, lecz także dlatego, że wciąż był w niej zakochany.

– Czy interesował się nią jakiś inny chłopak? To znaczy, czy o tym wspominała?

Zacisnął szczęki i rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Nie mówiła, że spotyka się z kimś innym?

– Nie, tylko odeszła.

– Ale może podejrzewałeś...

– Nie, przecież już mówiłem!

– Okej – wycofała się szybko Ann. – Wierzę ci, ale sam rozumiesz, że musimy się czasem powtarzać. Chcę tak samo jak ty dowiedzieć się, co się stało. W ogóle nic nie mówiła o innych chłopakach? Jest śliczna.

– Ktoś ją nękał na jesieni – powiedział niespodziewanie Andreas.

– Co znaczy „nękał”?

– Łaził za nią.

– Kto to był?

– Nie wiem. Nie chciała nic powiedzieć, mówiła tylko o jakimś debil, który próbował. Miał ją zaprosić do Sztokholmu.

– Aha, a jak myślisz, dlaczego ci o tym powiedziała?

Westchnął w odpowiedzi.

– Może chciała wzbudzić w tobie zazdrość?

Jakiś ptak, Ann wydawało się, że kos, zbliżał się, podskakując na trawniku, do altany, w której siedzieli. Obserwowała go, zastanawiając się, jak pociągnąć to dalej.

– Co mieli robić w Sztokholmie?

– Zakupy i iść do parku rozrywki czy jakoś tak, nie wiem.

– Ale nie doszło do tego wyjazdu?

– Nie, z tego, co wiem.

Uśmiechnął się pozbawionym radości uśmiechem.

– Myślisz, że to był ktoś ze szkoły?

– Nie, ktoś starszy.

– O ile starszy?

Wzruszył ramionami.

– W każdym razie miał prawo jazdy. Tak mówiła.

– Kiedy dokładnie to było? Mówiłaś, że na jesieni.

– Może we wrześniu.

– A potem już nic nie mówiła o tym tajemniczym wielbicielu?

– Nie, nic.

Było jej żal siedzącego naprzeciw niej chłopaka, kiedy patrzyła, jak bezwiednym, nerwowym ruchem chwytając prawą dłońią lewy nadgarstek i wykręca go, jakby próbował zdjąć bransoletkę, i wciąga powietrze przez nos, by powstrzymać płacz. Okrutne było zmuszanie go, by przechodził przez to jeszcze raz.

Są wakacje, powinien robić wspaniałe rzeczy, świętować ukończenie dziewięcioletniej szkoły, leżeć na plaży czy cokolwiek, zamiast rozmawiać z policją i wspominać dziewczynę, o której wciąż śnił. Nie było w tym niczego ekscytującego, tylko tęsknota. Wspomnienie o Klarze Lovisie zblednie, lecz Ann była przekonana, że do końca życia będzie pamiętał jej włosy do ramion, ładny profil i delikatne dziewczęce piersi, które może pozwoliła mu pieścić. Może spali ze sobą, może to był ich pierwszy raz?

– Co się działo zeszłej jesieni z Klarą Lovisą? Czy dobrze jej szło w szkole, robiła coś szczególnego, czy wydarzyło się coś, co pamiętasz?

– Nie. Jej zawsze wszystko szło dobrze.

– Nic, co odbiegało od normy, co ją martwiło, może szybko minęło, ale ją zasmuciło albo rozżłościło?

– Nie, niczego takiego nie pamiętam.

– Spaliście ze sobą?

Policzki Andreasa zapłonęły, a zaraz po nich uszy.

– Nie chciała – odrzekł cicho.

– Ale ty tak?

Skinął głową.

– Chciała zaczekać.

– Do kiedy?

Wzruszył ramionami. Patrzyła na jego dłonie, dość silne jak na tak młodego chłopca, ale jeszcze niedoświadczone, w pracy i pewnie też w pieśczościach. Miał zadbane paznokcie.

– Dziękuję, Andreas – rzekła, wyciągając rękę. – Przykro mi, że znów to wszystko poruszyłam.

Ujął niezgrabnie jej dłoń.

– Myślę o niej codziennie. – Pociągnął nosem i w jego oczach pokazały się łzy. – Ciągle o niej myślę.

Przytrzymała jego dłoń w swojej, objęła ją.

– Była taka ładna, a teraz jej nie ma! Nie żyje, prawda?

– Nie wiemy – odparła Ann, jeszcze mocniej ściskając jego rękę. Wiedziała, że nie pocieszą go żadne słowa.

– Bardzo się lubiliśmy. Naprawdę.

– Rozumiem. Dobry z ciebie chłopiec.

Nie powiedziała, że na pewno spotka nową dziewczynę i się w niej zakocha. To nie były słowa, jakie chciał teraz usłyszeć.

Ann wyjechała z podjazdu do garażu Davidssonów po krótkiej rozmowie z mamą Andreasa, małomówną kobietą, która odprowadziła ją z udręczonym wyrazem twarzy.

Co za cholerna praca, pomyślała, i jej myśli od razu powędrowały do Andersa Branta. Potrzebowała teraz kogoś, do kogo mogłaby zadzwonić, z kim mogłaby zaplanować coś na wieczór, a ten typ gdzieś znikł i do tego jest zamieszany w sprawę o morderstwo! I przez to jeszcze jej narobił kłopotów. Gdyby chociaż powiedział, dokąd jedzie, pomyślała, ale w tej samej chwili uświadomiła sobie, że to nie zmieniłoby znacząco sytuacji.

Zmusiła się, by myśleć o Klarze Lovisie i jej tajemniczym wielbicielu, który chciał ją zaprosić do Sztokholmu. Facet z gestem, który wiedział, jak poderwać młodszą dziewczynę, ale w jej przypadku wyraźnie mu to nie wyszło. Starszy, powiedział Andreas. Gdzie, w jakich okolicznościach nastolatka spotyka starszego chłopaka? Czy był synem któregoś z sąsiadów?

Wiedziała, że jest na właściwym tropie, albo przynajmniej sobie to wmawiała, bo to był jedyny punkt zaczepienia wobec braku innych.

Wrzesień 2006, pomyślała. O względy Klary Lovisy stara się młody

mężczyzna z prawem jazdy, lecz ona go spławia. Jak reaguje? Daje sobie spokój czy próbuje dalej? Klara Lovisa nie powiedziała Andreasowi niczego więcej na ten temat, ale to nie musiało nic znaczyć. Może jednak uległa z czasem tamtemu i zerwała z Andreasem tuż po Nowym Roku?

Ann zahamowała i spojrzała we wsteczne lusterko, nim wzięła szeroki zakręt i zawróciła tą samą drogą.

Małomówna kobieta całkiem zaniemówiła, kiedy Ann znów wjechała na ich podjazd i wysiadła z samochodu. Tylko się w nią wpatrywała.

– Zapomniałam o coś zapytać Andreeasa – wyjaśniła Ann. – Czy jest jeszcze w domu?

Jego matka otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Ann poczuła przyływ niechęci, widząc jej bierną postawę.

– Czy mogę wejść? – zapytała.

Kobieta nie odpowiedziała, lecz wskazała ręką drzwi i skinęła głową. Ann otworzyła i zawołała chłopaka. Niemal natychmiast pokazał się na szczycie schodów. Wyglądał na zdziwionego i trochę zaniepokojonego.

– Tylko jedno pytanie – uspokoiła go Ann.

Chłopiec zszedł parę stopni w dół.

– Co robiłeś w sylwestra?

– Ja?

– Tak, ty.

– Byłem z paroma kumplami.

– Nie z Klarą Lovisą?

– Nie, ona była na innej imprezie.

– Z kim?

– Ze znajomymi z drużyny piłkarskiej.

– Grała w piłkę nożną?

– Nie, wtedy już nie. Rzuciła to, ale była na ich imprezie.

Ann przez chwilę milczała.

– Kiedy przestała grać?

– W drużynie? Zeszłej jesieni. Miały przed sobą jeszcze parę meczów.

Mówiła, że sporo osób było na nią złych, że odeszła w takim momencie.

– Jak się nazywa ten klub?

– Najlepsze.

– Klub nazywa się Najlepsze?

– Tak, chciały być najlepsze, to normalne.

– A były?

Andreas pokręcił głową.

– Dziękuję – odrzekła Ann, otwierając łokciem drzwi.

Kobieta stała w tym samym miejscu. W ręce trzymała łopatkę ogrodową.

– Ma pani dobrego syna – powiedziała Ann.

– On nic nie zrobił – odezwała się kobieta – więc czemu pani ciągle tu przychodzi? Przecież byliśmy w Gävle! Nie ma z tym nic wspólnego! Stracił dla niej mnóstwo czasu, zresztą nie tylko czasu!

Ann stanęła jak wryta, słysząc, że matka Andreasa potrafi wypowiedzieć więcej niż pięć słów jednym ciągiem.

Magdalena Davidsson zrobiła parę kroków w stronę Ann. Trzymała łopatkę, jakby chciała wymierzyć nią cios.

– Powinna pani wiedzieć!

– Ale o czym?

– Musiał biegać z ulotkami, sprzedawać skarpety i Bóg wie, co jeszcze, wszystko dla niej.

– Ma pani na myśli Klarę Lovisę?

Kobieta umilkła na chwilę, nie spuszczając wzroku z Ann.

– Czemu nie wymawia pani jej imienia? Nazywa się Klara Lovisa.

– Przecież wiem! Pracował po szkole, chciała mieć różne rzeczy i Andreas nie umiał jej odmówić. On jest za dobry, o wiele za dobry, mówiłam mu to. A teraz go prześladowacie. On nie ma z tym nic wspólnego!

– Nie, i nikt tego nie twierdzi, ale dobrze ją znał.

– Niepotrzebna mu ta presja. Musi o tym zapomnieć. Jesienią zaczyna liceum, będzie miał dużo nauki.

GUC, pomyślała Ann, tam się nie przemęczają, przynajmniej jeśli wierzyć choć w połowie temu, co opowiadał Sammy Nilsson. Miał bratanka, który tej wiosny zdał tam maturę.

– Dobrze – odparła przyjaznym głosem.

Klara Lovisa chodziła do klasy tańca w szkole w Vaksala i na jesieni miała dalej uczyć się tańca w Sztokholmie.

**Policja układa puzzle**, pomyślał Sammy Nilsson, widząc swoich kolegów przed tablicą. Nie pamiętał, czy zna tę frazę z jakiejś książki, czy z komiksu, który czytał w młodości.

Na tablicy widniało dwanaście nazwisk, w tym dwóch kobiet: Gunilli Lange i Ingegerd Melander.

Rzucało się w oczy, że wszyscy, z wyjątkiem Andersa Branta, który przeprowadził się tu z rodziną w wieku dziesięciu lat, urodzili się i dorastali w tym mieście, jak zauważył Berglund. Uppsala była miastem przyjezdnych, wiele osób przyjeżdżało tu studiować na którymś z dwóch uniwersytetów lub szukać pracy w przemyśle albo służbie zdrowia. Miasto usług, które kiedyś było także miastem przemysłowym. Berglund wspominał wcześniej, jak niewielu studentów było tu w latach sześćdziesiątych, zanim zaczął się boom na edukację. Jak była tu cegielnia, fabryka butów i odzieży, Uppsala Ekeby ze swoją ceramiką, wytwórnia siatek metalowych, która potem przerzuciła się na produkcję syntetycznych sit do maszyn papierniczych, przędzalnia jedwabiu oraz fabryka mydła, parę browarów, fabryka czekolady i rowerów.

Uniwersytety rozrosły się i teraz uczyło się na nich kilkadziesiąt tysięcy studentów, podczas gdy po epoce przemysłowej zostało tylko wspomnienie. Jego namiastka w postaci przemysłu farmaceutycznego i laboratoriów wysokiej technologii nie mogła mierzyć się z czasami, kiedy ulice Uppsali i osiedla mieszkaniowe były pełne zwykłych ludzi, jak to wyraził Berglund.

Znakiem nowych czasów było to, że dwie branże, o których mówiło się najwięcej w kontekście pracy przyszłości, stanowiły produkcja kosmetyków przeciwmarszczkowych i rozwój gier komputerowych.

Ale wszyscy na tablicy, oprócz Branta, byli tutejsi i mieli swoje korzenie w Uppsali z przeszłości.

Wszyscy znali zamordowanego. Jedna z tych osób, Gunilla, była kiedyś jego żoną, a druga, Ingegerd, jego ostatnią partnerką.

Jeden z listy, Göran Bergman, pracował z Gränsbergiem. Pozostali z nim się upijali, nie licząc Bernta Friberga, który był partnerem Gunilli. Nikt z przesłuchiwanym nie miał pojęcia, co mogło łączyć Branta z Gränsbergiem – jego praca dziennikarza wydawała się jedynym rozsądnym wyjaśnieniem.

W końcu pozostało dziesięć nazwisk. Jednym z nich mogło być nazwisko mordercy. Czysto intuicyjnie wykluczyli Bergmana, którego żal wydawał się szczery. Zostało dziewięć.

Berglund podejrzewał pijacką awanturę.

– W baraku Gränsberga doszło do jakiejś bijatyki, która wymknęła się spod

kontroli. Zaczęło się od kłótni o jakieś głupstwo, potem ktoś chwycił żelazną rurę i jeden z weteranów padł nagle na ziemię.

Beatrice myślała o Berncie Fribergu, a motywem mogła być zazdrość.

– Nie zgodził się, by Gunilla pożyczyła dziesięć tysięcy byłemu mężowi – twierdziła. – Powiedziała mi, że nie mówiła mu o swoich planach, lecz Friberg odkrył to przypadkiem i był wściekły.

– Czy doszło do rękoczynów? – zapytał Berglund, a Sammy uśmiechnął się, słysząc taki dobór słów.

– Z tego, co wiem, to nie, ale Friberg wygląda na krewkiego gościa, który łatwo traci panowanie nad sobą – odrzekła Beatrice. – Kiedy go przesłuchiwałam, siedział przez cały czas z zaciśniętymi pięściami, purpurowy na twarzy, a gdy doszłam do Gränsberga i jego dobrej relacji z Gunillą, prawie pluł słowami. Był naprawdę wściekły, choć teraz powinien być spokojniejszy, kiedy Gränsberg wypadł z gry.

– Nie starał się nawet zachować pozorów? – zdziwił się Sammy. – W tej sytuacji powinien chyba udawać, że mu przykro, i uprzejmie rozmawiać.

Beatrice pokręciła głową.

– Myślę, że to Brant – zaczął Sammy – i to z jednego powodu: na pewno tam był.

– To jeszcze nie jest udowodnione – sprzeciwiła się Beatrice.

– Żwir w rowkach opon jego toyoty pochodzi z drogi prowadzącej do barakowozu, jestem pewny na sto procent. Zdjęliśmy tam jego odciski palców, no i teraz ten wyjazd.

– Podróż była zaplanowana przed morderstwem – zauważył Berglund. – Zrobił rezerwację kilka dni wcześniej.

– Morderstwo też mogło być zaplanowane – odrzekł Sammy.

– Dlaczego?

– To my mamy ustalić. – Uśmiechnął się.

– Towarzysze niedoli, jak ich nazywasz – zwróciła się Beatrice do Berglunda. – Kto jest twoim faworytem?

Berglund pokręcił głową. Beatrice miała nadzieję, że wypowie jakieś nazwisko, bo wszyscy mieli spory respekt dla intuicji starszego kolegi. Wiele razy trafiał w dziesiątkę, zwłaszcza w przypadkach, kiedy ofiara i morderca pochodzili z tego samego środowiska co Berglund, które zwykle określał jako „wschodni brzeg Fyris”.

– Brant i Gränsberg są rówieśnikami – powiedział nagle Sammy. – Czy to może coś oznaczać?

Berglund od razu zrozumiał, co ma na myśli.

– Na przykład, że chodzili razem do szkoły?

– Sprawdzę to – rzekł Sammy.



– Jeśli odrzucimy pijacką bójkę i zazdrość – podjęła Beatrice – jaki motyw nam pozostaje? Co Gränsberg mógł wiedzieć lub posiadać na tyle wartościowego, by uzasadnić przemoc? Nie był bogaty, nie miał żadnego majątku i właściwie nic, co mogło być dla kogoś przedmiotem pożądania.

– Może jakaś stara sprawa? – rzucił Sammy. – Coś, co się zdarzyło wiele lat temu. Może Gränsberg oszukał kogoś na pieniądzach, nie oddał pożyczki czy coś w tym stylu.

– A teraz rozeszła się pogłoska, że wkłada sporo kasy w założenie firmy z Bergmanem – podchwycił Berglund – i morderca zobaczył szansę ściągnięcia dawnego długu. Gränsberg oczywiście go spławił i skończyło się paroma ciosami w czaszkę.

– Musimy znów przesłuchać Bergmana i Gunillę – orzekła Beatrice. – Może oni mają jakiś pomysł. A jakie alibi mają jego kumple? – zapytała.

– Nie najgorsze – odparł Berglund i zajrzał do notatek, co było dla niego czymś nowym.

Po operacji, podczas której usunięto mu guz mózgu, jego pamięć się pogorszyła, zauważyli to wszyscy w „zabójstwach”. Wcześniej sypał nazwiskami i historiami jak z rękawa. Z drugiej strony mógł to być też zupełnie normalny objaw starzenia się. Berglundowi pozostało kilka miesięcy do emerytury.

– Manfreda Kvista możemy wykluczyć – stwierdził Berglund. – Przed południem miał pedikiur, pokazywał mi stopy, a jeśli ktoś potrzebuje pedikiuru, to na pewno nasz drogi Manfred. Stamtąd poszedł prosto do Młyna i spotkał paru kumpli. Wypili trochę wódki, Manfred chciał kupić jakąś zakąskę i poszli do Torgkassen. Przy kasie okazało się, że ma za mało pieniędzy, i zrobiło się trochę zamieszania. Potwierdziły to dwie osoby z personelu. Potem poszedł z kumplami na rynek, by zjeść lunch, to znaczy flaszkę wódki i podgrzaną kiełbasę. Facet, który sprzedaje kwiaty na rynku, uważał, że za bardzo hałasują i zwrócił im uwagę. Znał Manfreda już wcześniej i był pewny, że widział go w tej wesołej gromadce. Mustafa, czy jak mu tam, sprzedawał wtedy kwiaty i pamięta, że był to poniedziałek.

Berglund znów zajrzał do notatek i wrócił do swojej relacji.

– Po południu był w Grocie, to potwierdzone, a potem...

– Innymi słowy, możemy go raczej wykluczyć – przerwał mu Sammy. – A reszta?

Berglund podniósł wzrok znad notatek, poprawił okulary i spojrzał na Sammy’ego, nim podjął wątek.

– Dwaj, Johnny Andersson i Molle Franzén, jego na pewno znacie – Berglund powiódł po nich wzrokiem, lecz i Beatrice, i Sammy pokręcili głowami – nie bardzo wiedzą, co robili we wtorek. Pili dość ostro przez cały weekend i jeszcze w poniedziałek, więc dobrze nie pamiętają.

– Johnny twierdzi, że na pewno odwiedził swoją mamę w domu starców w Svartbäcken, jak w każdy poniedziałek po południu, ale kiedy z nią rozmawiałem, pamiętała jeszcze mniej niż syn. Ma zaawansowaną demencję. Jakaś kobieta z personelu mówiła, że chyba go pamięta, ale mogła pomylić dni, to równie dobrze mógł być wtorek.

– Spotkałam Johnny’ego u Ingegerd Melander, wygląda na to, że przejął ją po Gränsbergu – wtrąciła Beatrice.

– Mamy go w kartotece – ciągnął Berglund – włamanie i pobicie trzy lata temu. Dostał rok, próbował uciec i mu przedłużyli.

– O co poszło? – zapytał Sammy.

– O to, co zwykle. Włamał się z kumplem do warsztatu samochodowego, zwinęli trochę pieniędzy i narzędzi. Potem nie mogli dojść do porozumienia przy podziale łupu i Johnny pobił kumpla.

– Przyjemniaczek – mruknął Sammy.

– I Molle Franzén... mówi, że był w Grocie, chociaż nikt go tam nie pamięta. Jednak większość bywających tam gości ma skłonność do mylenia dni. I właściwie co w tym dziwnego?

– A Camilla, kierowniczką, też go nie pamięta? – zapytała Beatrice.

– Z nią jest tak samo: panowie przychodzą i wychodzą. Jeśli nie zdarzy się nic szczególnego, nie jest w stanie określić, kogo widziała w który dzień.

– A inni? – zapytał Sammy.

– Viktor Skam, zwany Pięknym Viktorem z racji swej potwornej brzydoty, ledwo pamięta, jaki jest brzydki, a jeszcze mniej, co robił w poniedziałek. Wygląda, oględnie mówiąc, na słabeusza, pytanie, czy dałby radę kogoś zabić.

– Naprawdę nazywa się Skam<sup>[4]</sup>?

– Tak, to chyba norweskie nazwisko.

– Też tak myślę – zgodził się Sammy.

– Olle Olsson – wyliczał dalej Berglund. – Trochę stuknięty i lubi filozofować, zawsze ma przy sobie Biblię. Zdaniem wielu dość uciążliwy, gdy deklamuje te swoje wersety. Kiedyś był maszynistą pociągu, ale się załamał, gdy przejechał nastolatkę na przejściu w Bergsbrunna. Jeśli chcecie znać moje zdanie, możemy go wykluczyć, nawet jeśli nie potrafi powiedzieć, co robił w dniu morderstwa.

Berglund zrobił przerwę na wzięcie oddechu.

– Dobra robota – rzekł z uznaniem Sammy.

– Jest jeszcze kilku – ciągnął Berglund – kręci ich się trochę po mieście, to znaczy w kręgach, w których obracał się Gränsberg. Część to całkowicie bezdomni, inni przychodzą i odchodzą, może mieszkają tymczasowe kwatery, a potem znów wracają na ulicę albo nocują przez miesiąc u jakiegoś kumpla, dopóki ten się nie zmęczy.

- Ale on utrzymywał z nimi kontakt?
- Z tymi najbliższymi – potwierdził Berglund.
- Trochę mieszane towarzystwo, to znaczy Gränsberg wydawał się jednym z tych ambitnych – wtrąciła Beatrice. – Czemu miałby się zadawać akurat z nimi?
- Mieszane – zgodził się Berglund – i wszyscy mają ambicje, tylko na różnych poziomach.
- Jak w wydziale zabójstw – mruknął Sammy, a Beatrice posłała mu uśmiech.
- To może być ktoś spoza tego kwartetu, jest trochę tych zagubionych dusz – zauważyła Beatrice, nieświadomie przybierając mentorski ton, który od lat tak drażnił kolegów w wydziale.

Berglund przyglądał się jej w milczeniu.

- On gdzieś jest, tyle wiemy – oświadczył, zamykając teczkę. – Posiedź przez jeden dzień w Grocie i popatrz na tych ludzi, na te zagubione dusze. Spotkasz wśród nich mojego kuzyna, prawdziwego Berglunda. To może być on. Oczywiście. To może być Sundin, kiedyś najlepszy spec od wykładzin w Uppsali, albo Nils Stopa, który bił żonę, a dziesięć lat temu przejechał go autobus numer sześć, a przynajmniej jego prawą stopę; to może być on. Roger Gustavsson, żyjący na amfetaminie od pierwszej kropli matczynego mleka, jest dość szalony, by zabić pół miasta. To może nawet być kobieta, Bella... została zgwałcona jako siedemnastolatka i dostała padaczki pourazowej. Z czasem godnie zastąpiła Emmę Nożowniczkę, która grasowała po mieście w latach sześćdziesiątych. Chcesz więcej nazwisk? Bertil Wall, zwany królem finansów, pracował kiedyś w banku. Dzisiaj zbiera puszkę. Kurt Johansson, z którym grałem w piłkę trzydzieści lat temu, stoczył się szybko, kiedy jego żona uciekła – nie zgadniesz – z listonoszem. Przemiały facet, był sentymentalny już jako nastolatek, ale może kiedyś kogoś zatłucze. Nigdy nie wiadomo.

Tym razem Berglund nie musiał się wspierać notatkami. Sammy i Beatrice byli przekonani, że mógłby jeszcze bardzo długo ciągnąć tę wyliczankę. Jego głos brzmiał niezwykle ostro, lecz Beatrice nie zamierzała brać na siebie całej winy za ten wybuch, choć wiedziała, że to ona go sprowokowała.

- Przepraszam – powiedziała – nie chciałam być niemiła.
- Ale byłaś – odparł Berglund spokojnie, choć zupełnie niespodziewanie. Wstał powoli.

– Jestem zmęczony – rzekł.

Sammy rzucił Beatrice szybkie spojrzenie.

- Jedź do domu – odezwał się. – Umordowałeś się z tymi koleśkami.

Domyślił się, że Berglund natknął się w Grocie na kuzyna.

- Zresztą pracujesz na niepełnym etacie – dodał.

Berglund zbierał powoli swoje dokumenty. Sammy i Beatrice czekali na

jakieś mądre słowo od weterana, który znał Uppsalę jak własną kieszeń, lecz ich starszy kolega już się nie odezwał, jakby ten długi wykład o „towarzyszach w niedoli” był z jego strony wystarczającym opisem sytuacji w śledztwie i może nie tylko tego.

– Do widzenia – powiedział, skinął głową w stronę Beatrice i popatrzył na Sammy’ego, po czym bez dalszych ceregieli opuścił pokój.

Kiedy Sammy mijał pokój Ann Lindell, zobaczył otwarte drzwi, co było tak niezwykle, że zwrócił na to uwagę. Rozmawiała przez telefon, ale dała mu znak ręką, by zaczekał.

Oparł się o framugę. Wciąż odczuwał przygnębienie, jakie wywołały w nim słowa, a jeszcze bardziej ogólna postawa Berglunda. Zaczyna się starzeć, pomyślał, a więcej takich policjantów już nie będzie.

Ann rozmawiała dalej. Bezwiednie przesunęła dłonią po włosach, w których pojawiło się już parę siwych nitek, Sammy jednak wyczuwał, że to nie jest dobry sposób na rozpoczęcie rozmowy.

Zdziwił się, że rozmawia o piłce nożnej, i kiedy położyła słuchawkę, od tego właśnie zaczęła.

– Słuchaj, Sammy, trenujesz dzieciaki i tak dalej, znasz może klub o nazwie „Najlepsze”?

– Tak, może... czy to nie te, które puściły ponad sto bramek w zeszłym sezonie? Chyba pisali o tym w gazecie. Drużyna żeńska. Słyszałem, że przechrzciły klub na „Najgorsze”.

– Klara Lovisa grała tam do ubiegłej jesieni – rzekła Ann.

– Dlatego zaginęła?

– Skończ z tymi żartami. Głupie pytanie: czy to powszechne, że mężczyźni trenują piłkarki?

– Tak, to się zdarza. Właściwie dość często, może nawet w większości klubów. Brakuje kobiet trenerek. Czy na coś wpadłaś?

Sammy wyczuwał, że Ann jest na jakimś tropie.

– Może – odparła. – Rozmawiałam właśnie z trzema koleżankami z jej drużyny, były na sylwestrowej imprezie. Grupa dziewczyn, które postanowiły świętować nadejście Nowego Roku – a ona się odłączyła o wpół do dwunastej, po odebraniu esemesa. Dziwne, prawda?

– Czy ja wiem? Może nie takie dziwne.

– W Nowy Rok zrywa ze swoim chłopakiem, z którym była od siódmej klasy, ładnym, sympatycznym chłopcem.

– I?

– Nie udawaj, że nie rozumiesz! Dostała esemesa od jakiegoś faceta i poszła. Rzecz w tym, że nikt z jej znajomych nie wie, dlaczego zerwała z Andreasem, i żaden nowy chłopak nie pojawił się zimą ani wiosną. „Stała się bardzo

tajemnicza”, jak powiedziała jedna z koleżanek.

– Myślisz, że spotykała się z kimś po kryjomu?

Sammy ujrzał nagle przed sobą Ann i Havera i nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Z czego się śmiejesz? Co jest tak strasznie zabawne?

Sammy uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy zobaczył, jak się rozzłościła i jak poczerwieniały jej policzki.

– Po kryjomu – powtórzył. – To bardzo emocjonujące.

– Daj spokój!

Sammy uniósł ręce obronnym gestem, ale na taką wysokość, że wyglądało to, jakby się bronił przed ciosem. Ann spojrzała na niego i pokręciła głową, nim podjęła wątek.

– Też sędzę, że to ten starszy chłopak z prawem jazdy. I myślę, że to on dwudziestego ósmego kwietnia zabrał Klarę Lovisę na wycieczkę za miasto i była to ostatnia rzecz, jakiej doświadczyła w swoim życiu.

– Cholera – mruknął Sammy.

– A gdzie piętnastolatka spotyka starszego chłopaka? Nie w szkole, tylko...

– ...w tak zwanym życiu towarzyskim – dokończył Sammy. – Myślisz, że to ten młody człowiek, którego widziano w Skärfälten?

– Tak, właściwie jestem tego pewna – odparła Ann. – Teraz trzeba go tylko znaleźć.

– A były chłopak?

Pokręciła głową.

– Był w Gävle i odwiedzał babcię w jakimś domu opieki.

– Kto tak mówi?

– Jego mama.

– A pytał ktoś starszą panią?

– Tak, zrobił to jeden z naszych kolegów stamtąd. Jej mąż był komisarzem w wydziale kryminalnym. Nie żyje, lecz ten kolega poznał ją wcześniej na jakiejś imprezie.

– Stuknięta wdowa po policjancie – mruknął Sammy. – Na takich można polegać.

– Kto powiedział, że jest stuknięta?

– Nie może być taka stara, a siedzi w domu opieki.

– Koło siedemdziesiątki, jeśli dobrze pamiętam.

– A widzisz.

– Chcesz powiedzieć...

– Matka chroni syna, Andreas się maskuje, a starsza pani jest stuknięta i potwierdza to, co każe jej córka. Przesłuchuje ją policjant, który jest życzliwie nastawiony, bo kiedyś pracował z jej mężem. Myk – i chłopak ma alibi.

Ann milczała przez chwilę.

– Ale to rozłożyłeś – rzekła w końcu.

– To moja praca – odparł Sammy.

Nie może być tak źle, powtarzała sobie w myślach po wyjściu Sammy'ego.

Teraz jednak sporo rzeczy tak się przedstawiało. Klara Lovisa zginęła i prawdopodobnie nie żyła. To było źle jak wszyscy diabli. Jej własna teoria o młodym mężczyźnie z prawem jazdy, zbudowana na piasku, łatwo dawała się obalić. Że aż tak można się pomylić! Jeżeli Sammy miał rację, że alibi Andreasa wymyśliła jego rodzina, to też było źle. Szarpanie nieszczęsnego chłopaka od nowa wydawało się jeszcze gorsze.

Także sprawa Andersa Branta wyglądała źle! Sprawdziła co chwila pocztę, od niego nie było ani słowa. Tylko mnóstwo śmieci, które nie miały żadnego znaczenia, ani prywatnie, ani zawodowo. Miała wrażenie, że policja zatrudnia całą kadrę urzędasów, którzy zajmują się wyłącznie produkowaniem bezużytecznych informacji.

Ostatni był jednak od matki, która z pomocą komputera sąsiadki Olofsson i przy jej życzliwym wsparciu od pewnego czasu przysyłała jej maila co drugi dzień.

Tym razem chodziło o ojca i jego „depresję”. Pytał o nią! Ann nie wierzyła własnym oczom. Zbliżał się czas urlopu i mama chciała, by Ann przyjechała do Ödeshög. „Tata chce”. Fatalnie! Takie nastawienie do rodziców budziło oczywiście wyrzuty sumienia, lecz Ann nauczyła się z tym żyć. Pogodziła się z tym, że powrót do domu dzieciństwa w Ödeshög nie sprawia jej żadnej radości. Czy przez to jestem gorszym człowiekiem? – zadawała sobie pytanie. Na pewnym poziomie lubiła i szanowała rodziców – spłodzili ją i wychowali, zapewnili bezpieczne dzieciństwo, w którym nigdy nie zaznała biedy, byli łącznikiem między tym, kim była, a tym, kim się stała.

Wdzięczność, tak mogła podsumować swoje uczucia, ale nie czuła już przywiązania. Kiedy się spotykali, po krótkiej chwili radości, że się widzą, i wymianie obowiązkowych ploteczek, następowało niezręczne milczenie. Na tym etapie matka stawiała się cierpka i wścibska, robiła uwagi i stawiała wymagania, które Ann odbierała jako wbijanie szpilek i wtrącanie się w jej prywatne życie, tak dalekie od Ödeshög i zaduchu dziewczęcego pokoju.

Ojciec patrzył na nią z miną wyrażającą zdziwienie i zwątpienie, jakby zadawał sobie pytanie: czy to jest Ann, moja córka? Potem zwyciężała obojętność i nie wykazywał już żadnego zainteresowania jej życiem. Oboje zapadali powoli w stan wzajemnej obcości, nastrój, który odpowiadał jej bardziej niż narzucanie się matki.

Przez wiele lat próbowała wzbudzić w sobie jakiś entuzjazm, wmawiać, że miłość do rodziców to coś, co człowiek odczuwa automatycznie, a wszystko inne jest przeciwną naturze oznaką podłości. Jednak Ödeshög i nawet najkrótszy pobyt z

rodzicami jawił się jej jako zesłanie i uczucie to jeszcze się nasiliło przed tym latem.

W myślach planowała spędzenie dużej części urlopu z Brantem. Wtedy również on i Erik mogliby zacząć się poznawać. Teraz jednak trudno było przewidzieć, jak to się potoczy.

Lecz Ödeshög, siedzenie nad filiżanką kawy na coraz bardziej zaniedbanym tarasie, gapienie się na żywopłot z tawuły i plastikowe skrzynki z oklapniętymi aksamitkami i lśniącymi fioletowymi surfiniami oraz słuchanie coraz bardziej makabrycznych tyrad matki o życiu sąsiadów i ich rzekomej złośliwości – nigdy!

Trener damskiej drużyny Najlepszych nazywał się Håkan Malmberg, jak ustaliła Ann w rozmowie z Eliną Strindberg, jedną z koleżanek Klary Lovisy. Był sam, ale według słów Eliny miał „ślicznego synka”. Sądziła, że trener jest na urlopie. Zwykle jeździł motocyklem po Szwecji, a czasem nawet po kontynencie. Tego lata też. Elina powiedziała również, że Malmberg miał przez krótki czas asystenta, który nazywał się „Fredde jakimśtam” i był „typowym dwudziestodwulatkiem”.

Ann dyskretnie wypytała o Freddego pod pretekstem, że może wiedzieć, na jakim etapie swojej motocyklowej odysei jest teraz Malmberg.

Elina tak nie myślała: powodem, dla którego Fredde pracował z drużyną tylko przez parę miesięcy, było to, że Malmberg nie lubił tego „snoba”, jak nazywał swojego asystenta.

Ann poprosiła Elinę, by spróbowała sobie przypomnieć nazwisko Freddego, może zajrzała w jakieś stare dokumenty albo podzwoniła po koleżankach, a przy okazji ewentualnie sprawdziła, czy ktoś ma numer komórki Malmberga. Oczywiście, że może. Ann wyczuwała w głosie dziewczyny pewne napięcie, w końcu nie jest się codziennie proszonym przez policję o pomoc w śledztwie, więc rozładowała je trochę, mówiąc, że społeczeństwo jest najlepszym przyjacielem policji. Miała nadzieję, że te słowa nie zabrzmiały w uszach Eliny jak wytarta klisza, którą tak naprawdę były. Dała dziewczynie numer swojej komórki i powiedziała, że może dzwonić, kiedy chce, nawet wieczorem.

Elina zadzwoniła już po półgodzinie. Fredde miał nazwisko Johansson, a trener Malmberg rzeczywiście był na motocyklowym urlopie. Ann dostała numery na komórki ich obu.

– Żeby wszyscy tak skutecznie pracowali – powiedziała i pochwaliła Elinę za szybkość działania.

Dziewczyna była zachwycona i zadeklarowała, że chce pomóc w odnalezieniu Klary Lovisy, ale potem zapytała ostrożnie, czy Fredde i Håkan są podejrzani.

– Nie, skąd – zapewniła ją Ann – staramy się tylko zebrać jak najwięcej informacji o wszystkim, co ma związek z Klarą Lovisą.

Elina, w której głosie brzmiał dotąd wielki zapal, zawahała się przez moment.

– Fredde był trochę sztuczny – rzuciła.

– Co masz na myśli?

– No, trochę dziwny.

– To znaczy, był snobem?

Ann czuła, że to nie zachęciło Eliny do mówienia o asystencie trenera, ale chciała, by mówiła dalej. Z pewnością przewąłkowała z koleżankami temat „dziwności” Freddego.

– Nie mówi dużo – rzekła w końcu Elina.

– Może jest nieśmiały?

– Nie – w głosie Eliny brzmiało wahanie – a może tak – poprawiła się szybko – ale on tak dziwnie patrzył na... wydawał się...

– Patrzył dziwnie na dziewczyny w drużynie?

– Mhm.

– Na ciebie?

– Tak. Jest ładny, i w ogóle, i...

– Więc na początku byłaś zainteresowana?

– Może nie tak wprost.

– Czy zwracał uwagę na więcej dziewczyn? Klarę Lovisę albo jakąś inną?

– Klovisa uważała, że jest nawet niezły.

– Nazywacie ją Klovisa?

– Tak, nie wiedziała pani?

– Nie – odrzekła Ann i zapisała to w notatniku.

Wydało jej się dziwne, że nie słyszała tej formy wcześniej, ale w tym śledztwie było wiele dziwnych rzeczy. Niewybaczalne było to, że jakaś oferra zapomniała o telefonie Yngvego Sandmana i że umknęło im, że Klara Lovisa grała w piłkę nożną. Jej umknęło!

– Czy dlatego przestał pracować jako trener? To znaczy, stał się natrętny?

– Nie, nigdy niczego nie zrobił. Tylko Håkan się na niego wściekał, kilka razy.

– Mieli różne koncepcje treningu?

– Nie, to chyba było coś innego. Håkan po prostu go nie lubił.

– Ale dziewczyny go lubiły?

– Niektóre – przyznała Elina i teraz w jej głosie nie było słychać wcześniejszego zapalu i pewności siebie.

– Dziękuję, Elino, to bardzo miło, że poświęciłaś mi tyle czasu.

– To było fajne – odpowiedziała dziewczyna.

Fajne? – pomyślała Ann, kiedy zakończyły rozmowę.

Po przerwie na sprawdzenie poczty, na wypadek gdyby Brant miał



odpowiedzieć właśnie teraz, zadzwoniła na oba numery, które dostała od Eliny, lecz z marnym rezultatem. W komórce Håkana Malmberga włączyła się poczta, więc zostawiła w niej wiadomość.

W przypadku Freddego Johanssona zabrzmiał sygnał, jakby numer nie był już aktualny albo Elina podała jej błędny.

Sprawdziła również ich nazwiska i stwierdziła, że nie byli notowani. Kryształowo czyści.

Nagle zapiknęła komórka. Wyjęła ją i spojrzała na wyświetlacz: wiadomość odebrana. Charles Morgansson informował ją, że odciski palców należące do zamordowanego Bo Gränsberga znaleziono w toyocie Andersa Branta.

Wiedziała, że musi coś zrobić. A tym czymś była sprawa zaginięcia Klary Lovisy. Poza tym mogła tylko rozmyślać o Brancie.

Wyszła z komendy, wzięła samochód i pojechała Svartbäcksgatan na północ. Po niespełna godzinie dotarła na miejsce.

**Zacząło się jak sztuka teatralna** z akcentami komicznymi, a skończyło jak tragedia.

Już późnym popołudniem wymiana zdań nabrała rozpędu. Potężne detonacje, wybuchy niezliczonych fajerwerków urozmaicały awanturę, która rozgrywała się przez parę godzin, wzbierała falami, chwilami słabła, by nagle wzmóc się z odnowioną energią i intensywnością.

Kurtyna opadająca stopniowo wraz z zachodzącym słońcem nie robiła żadnej różnicy. Mężczyźni wydawali się niestrudzeni. O co właściwie im chodziło? Nie dało się stwierdzić, do Andersa Branta dobiegały tylko fragmenty zdań. Może właśnie eksplodowała skumulowana od dłuższego czasu niezgoda w wielu różnych sprawach – kiedy przerobili jeden problem, brali się za następny.

Na pewno rozpałał ich alkohol. Brant zobaczył w którymś momencie, jak jeden z mężczyzn odchodzi i w chwilę później wraca z Mulata Boa. Rozpoznał etykietę z daleka: zalotna Mulatka w bikini, obejmująca dłońmi uniesioną butelkę.

Butelka krążyła dookoła i nie robiono różnicy między zwaśnionymi stronami. Każdy dostał należną mu część zabójczo mocnego alkoholu.

Jak wyreżyserowana sztuka z aktorami, którzy tylko chwilami byli widoczni na scenie. Scenie, która kiedyś była podłogą, a teraz tylko betonową nawierzchnią, wystawioną na słońce i krótkie, gwałtowne opady deszczu, i zasłaną różnymi śmieciami. Leżały tam zardzewiałe puszkę, stos żelaznych rur, zniszczone leżaki, parasol bez płótna, pęknięty sedes i wiele innych rzeczy, które w Szwecji natychmiast trafiłyby do kontenerów w punkcie recyklingowym.

Gniewne okrzyki przyciągnęły go do okna, potem znów usiadł przy komputerze, ale szybko powrócił do punktu obserwacyjnego. W tym wszystkim było coś przyciągającego, jakby nie działa się naprawdę, jakby grali w teatrze i tylko dla niego. Nie byłoby dobrze, gdyby jedyny widz ich zawiódł.

W spektaklu brało udział trzech młodych mężczyzn. Wchodzili i wychodzili z tej części domu, która wciąż pozostawała względnie nienaruszona. Starszy mężczyzna siedział w wybrakowanym fotelu plażowym, stojącym pod ścianą. Nie wtrącał się do słownej utarczki, lecz śledził ją uważnie, obracając głowę, jakby oglądał mecz tenisa. Była tam jeszcze kobieta, która teraz zaczęła krzyczeć. Na początku klótni próbowała mediacji, ale w końcu sama dała się w nią wciągnąć. Nie potrafiła podjąć decyzji, po której stronie się opowiedzieć. Może jej lojalność nie była stała?

Kiedy wystrzeliły największe fajerwerki, strony przerwały klótnię. Jeden z mężczyzn, może ten, który leżał teraz na ulicy, roześmiał się w pewnej chwili i powiedział coś do starego w fotelu, a ten wybuchnął śmiechem i uniósł w górę

kciuk – gest, który w tym kraju mógł znaczyć wszystko: pozdrowienie, ogólną zgodę lub twierdzącą odpowiedź na konkretne pytanie.

Teraz już się nie śmiał. Miał złamany kark, nie trzeba było medycznego wykształcenia, by to wiedzieć. Starszy mężczyzna wstał z fotela i patrzył nierozumiejącym wzrokiem na miejsce, w którym młody jeszcze przed chwilą stał.

To było morderstwo. Brant widział przecież rękę. A może jej tam nie było?

– Popchnął go! – zawołał po szwedzku, nawet się nad tym nie zastanawiając. Stary usłyszał jego krzyk i podniósł wzrok.

Co właściwie widział? Spojrzał na chwilę w niebo, by sprawdzić, czy nie zwiodło go jakieś dziwne zjawisko atmosferyczne. Była pełnia i może przepłynęło parę chmur, zasłaniając na moment księżyc i tworząc ruchomy cień, dający złudzenie ruchu. Ale nie, niebo było bezchmurne i niewinne. Księżyc świecił ciepłym żółtym światłem.

Oświetlenie z głównej ulicy było wprawdzie skąpe i rzucało słaby blask na ruiny domu, ale ze swojego miejsca, z okna znajdującego się sześć metrów wprost nad ulicą i kilka metrów nad poziomem, z którego runął mężczyzna, miał najlepszy możliwy widok. To nie było złudzenie optyczne!

Może tego nie planował, może nie chciał zabić, ale ręka nieubłaganie popchnęła. Pewnie trafiła między łopatki – więc jeśli nie morderstwo, to zabójstwo.

Nie trzeba było dużej siły mięśni, bo mężczyzna, który spadł i złamał kark o uliczny kamień, stał pochylony nad niskim murkiem i miał punkt ciężkości przesunięty poza jego koronę. Wystarczyło lekkie szturchnięcie.

Sprawcę zasłaniała wyższa część muru, który jeszcze całkiem niedawno był ścianą podtrzymującą dach.

Tak łatwo jest zabić, uderzyła go myśl, kiedy przyglądał się poruszeniu na ulicy. Źle wymierzony cios, nieszczęśliwy upadek przeciwnika i koniec.

Czuł dziwny spokój, choć na jego oczach właśnie umarł człowiek. Rejestrował wszystko z chłodną precyzją: starą kobietę, która nadeszła szybkim krokiem, podekscytowane dzieci, skąd nagle tyle się ich pojawiło?, głośno paplające i gestykulujące z ożywieniem, gromadkę ludzi na przystanku na rogu, gdzie ulica łączyła się z główną, ciekawskich, wyciągających szyje, lecz uważających, by nie przegapić autobusu, kobietę, która stała oparta o ścianę i krzyczała jak szalona, i mężczyznę, który wyszedł z mroku, położył dłoń na jej ramieniu i coś do niej powiedział. Czy to był on? Czy ręka, która teraz pocieszała, pół minuty temu była narzędziem zbrodni?

Z ust i uszu zmarłego płynęła krew, mieszała się z białą malarską farbą, którą ktoś tu rozlał w nocy, i barwiła bruk ulicy.

Brant pomyślał o polkagrisar<sup>[5]</sup>. Potem podniósł wzrok i znów spojrzał na mężczyznę. Nadal stał zupełnie biernie, trzymając dłoń na ramieniu kobiety. Pytanie, czy w ogóle spojrzał ponad mur. Nagle cofnął rękę i wykonał gest, który

mógł oznaczać cokolwiek. Rozłożył ręce i schylił głowę jak w modlitwie, sprawiał wrażenie niemal wyczerpanego.

Potem podniósł głowę i napotkał przez parę sekund spojrzenie gringo; uśmiechnął się niespodziewanie, po czym odwrócił i powlókł w stronę ruin, jakby opuściły go wszystkie siły.

Należał do grupy bezdomnych, jednej z wielu w tym kraju. Czy to on zabił? Kim był mężczyzna na ulicy? Czy łączyło ich jakieś pokrewieństwo?

Brant zmusił się, by jeszcze raz popatrzeć na zwłoki, które ktoś przewrócił właśnie na plecy. Widział lśniące białka oczu. Ręce spoczywały na podłożu, z otwartymi dłońmi i rozstawionymi palcami. Może byli braćmi, dostrzegał pewne podobieństwo.

Ktoś wyciągnął karton ze stosu przy ścianie. Może zrobił to ten sam człowiek. Rodzina, która gnieździła się w na wpół zburzonym domu, zbierała rupiecie. Brant domyślał się tego, patrząc na stojące przy ulicy taczki.

Teraz karton, w który kiedyś zapakowana była zamrażarka marki Consul, posłużył za całun.

Dźwięk syren zbliżał się i po chwili na uliczkę zajechał samochód policji stanowej. Na jego dachu pulsowało niebieskie światło. Dwaj mężczyźni wysiedli i stali nieruchomo przez kilka sekund, obserwując scenerię, nim podeszli do zwłok. Jeden z nich odsunął nogą karton.

Czy powinienem zejść? – pomyślał.

Drugi policjant podniósł wzrok na fasadę, prześliznął się obojętnym spojrzeniem po kobiecie, która teraz na wpół leżała na murze, wyczerpana, niezdolna dłużej wykrzykiwać swoją rozpacz. Brant widział, jak jej ciało zwija się w spazmach.

– To twój mąż?! – krzyknął policjant, lecz nie dostał odpowiedzi.

Jeden spośród zgromadzonych mężczyzn podszedł do policjanta i coś powiedział, wskazując najpierw na ciało, a potem na dom.

Właściwie jestem świadkiem, być może jedynym, myślał dalej Brant. Czy mam powiedzieć o kłótni i ręce, którą zdawało mi się, że widziałem?

Nagle ruszył się starszy mężczyzna, którego Brant widział wcześniej siedzącego w plażowym fotelu. Kobieta pociągnęła nosem i próbowała go powstrzymać, lecz się wyswobodził i przyklęknął z wysiłkiem na sztywnych kolanach przy zmarłym. Wyciągnął rękę i zamknął jego szeroko otwarte oczy.

Gromada zebranych umilkła. Jeden z policjantów zrobił znak krzyża i to stało się sygnałem dla pozostałych, którzy też się przeżegnali.

Nawet ruch uliczny się zatrzymał wobec spokoju wypełniającego stopniowo zaułek.

Starszy mężczyzna położył dłoń na piersi zmarłego i przytrzymał przez kilka sekund, nim za pomocą uczynnych rąk dźwignął się do pozycji stojącej.

– Gringo płacze! – zawołał jeden z chłopców na ulicy, wskazując palcem w górę.

Anders Brant zamknął okno, cofnął się w głąb pokoju i usiadł przy komputerze w chwili, gdy ten przeszedł w stan czuwania.

Głosy na ulicy wzmożyły się, śmiertelny wypadek stał się sprawą całej okolicy, małej faweli wciśniętej między bardziej regularne zabudowania.

W ciągu ostatnich lat wiele razy zatrzymywał się w tym prostym, lecz zadbanym pensjonacie i mógł obserwować, jak się zmienia otoczenie. W pierwszych latach bał się wracać późno do domu, zawsze podjeżdżał taksówką pod same drzwi. Nigdy nie miał przy sobie większej kwoty w gotówce i absolutnie nie nosił żadnych sygnetów ani złotego łańcuszka na szyi.

Straszne opowieści o napadach i rabunkach naznaczyły początki jego pobytu w mieście. Teraz, po kilku podróżach do tego kraju, przyzwyczyił się, wiedział, jak się zachować, a poziom bezpieczeństwa też stopniowo się podnosił.

Śmierć w zaułku nie zmieniała zasadniczo sytuacji, ale przypominała mu o tamtej męczącej niepewności pierwszych lat. Widział morderstwo, teraz nie miał już wątpliwości, że stał się świadkiem przestępstwa. Ręka była tam naprawdę, popchnięcie też.

Najbardziej przerażała go i oburzała obojętność tego mężczyzny. Nawet dłoń na ramieniu kobiety była machinalnym, o ile nie szyderczym gestem bez głębszego znaczenia. Zdawkową próbą pocieszenia, która przyniosła też ograniczony efekt.

Potem ten uśmiech, kiedy zostawił kobietę samą przy murze. Spojrzał na ulicę, na gringo w oknie i uśmiechnął się. Co wyrażał ten uśmiech? Może był to grymas odrazy lub nagłego bólu, może gniewu.

Olimpijski spokój mężczyzny przerażał najbardziej. Przekaz był jasny: wiem, że widziałeś, co się stało, ale to nie ma znaczenia. Nikt ci nie uwierzy, i co ważniejsze: nigdy się nie odważysz o tym powiedzieć. Brant coraz lepiej rozumiał, że była to zawołowana groźba.

Poruszył się niespokojnie na skrzypiącym krześle, zastanawiając się, czy nie wyrzeć przez okno, ale nie chciał jeszcze bardziej rzucać się w oczy. Krzyk chłopca, że płakał, poruszony nieporadnym, lecz pełnym godności zachowaniem starego, wywołał niepotrzebne zainteresowanie jego obecnością.

Może zadzwoni do niego policja? Co ma im powiedzieć? Że przyciągnął go do okna hałas na dole i nie widział, co działo się wcześniej?

To zdarzenie mogło oczywiście mieć wpływ na pozostały czas, jaki miał spędzić w mieście, i z pewnością na jego pisanie. Był znany z ostrego, lecz rzeczowego i suchego stylu, nie zapalał się, tylko pozwalał mówić faktom. Czy da radę opisać w swój spokojny, wyważony sposób sytuację bezdomnych w tym kraju, zlecenie dla „Dagens Nyheter”, po którym na pewno zostanie jeszcze dość materiału na kilka dodatkowych artykułów?

Czy mógł potraktować zdarzenie w zaułku – teraz w myślach nazywał to „zdarzeniem”, nie morderstwem – jako punkt wyjścia do artykułu? Czy mógł to zrobić, nie wspominając o swojej biernej, a jednak centralnej roli w dramacie?

Wstał z krzesła, stoczył ze sobą walkę, by nie wyjrzeć przez okno, i poszedł do kuchni zaparzyć kawę. Rutynowe czynności, jakie wykonywał przy ekspresie, charakterystyczny zapach środka czyszczącego, którego właścicielka używała przez wszystkie te lata do mycia podłogi i uczucie ulgi, że okna kuchni wychodzą na podwórze, to wszystko razem trochę go odprężyło.

Niepokój jednak wrócił. Kiedy codzienność odpędziła rozmyślania o „zdarzeniu”, powrócił w myślach do tego, co sprawiło, że usiadł wcześniej do komputera. Nieczęsto włączał komórkę i tym razem pośród wszystkich spodziewanych przypomnień i zapytań znalazł krótką wiadomość od Ann, która zwróciła jego uwagę lekko zdesperowanym tonem i brakiem jakichkolwiek akcentów miłosnych; nie zdobyła się nawet na „całuję”.

Co mogło skłonić kobietę, którą poznał jako osobę dość zrównoważoną i nieskłoną do komplikowania spraw, do wysłania takiej wiadomości? Tylko jedno. I poczuł ogromne znużenie, może nawet strach, chociaż robił wszystko, by zepchnąć to uczucie w głąb świadomości.

Zamierzał wysłać maila i wytłumaczyć swój nagły wyjazd z miasta, a przynajmniej zaszerwować jakąś półprawdę. Na pewno odbierze to jako ucieczkę, czego innego miałyby się spodziewać?

Czy mógł jej wyjaśnić, jak to wszystko ze sobą się wiąże, nie ryzykując, że się od niego odsunie? Jeden jedyny błąd i zostanie ukarany. Bo właśnie kary się spodziewał. Bał się, że na zawsze straci Ann, kobietę, która weszła mu w krew w rzadki i niespodziewany sposób.

Kiedy domyśliła się prawdy? I jak? Czy poznała całą prawdę? Tego nie wiedział. Gdyby w swojej wiadomości podała trochę więcej informacji, czułby się lepiej. I jaki sens miałyby serwowanie jej półprawdy, gdyby miała już cały obraz? Powinien odsłonić się wprost i wyjść na notorycznego kłamcę.

– A nie jestem nim? – zapytał sam siebie.

Woda zagotowała się i zaparzył kawę. Usiadł przy kuchennym stole, nasłuchując głosów na ulicy, gdzie wciąż trwało larum.

Zaczekam, postanowił i od razu poczuł się lepiej.

**Kafejka na obrzeżach Laxå** była dokładnie tak obskurna jak zapowiadała to fasada budynku. Håkan Malmberg miał nadzieję, że popękane panele w kanarkowym kolorze, zardzewiały blaszany dach i stojący przy drodze szyld z błędami to tylko pozory skrywające miłą niespodziankę.

Wnętrze było jednak jeszcze bardziej zapuszczone, ze zniszczonymi krzesłami i stołem, wytartymi obiciami i plastikowymi kwiatami pokrytymi nieprawdopodobnie grubą warstwą kurzu. Kawa była letnia, a serowa bułka twarda jak suchar – jedyna przekąska, jaką odważył się kupić, zważywszy na ryzyko zatrucia, jakim groziły inne kanapki, zaparowane za przesuwaną plastikową szybą: klopsiki z sałatką z buraczków i kanapki z krewetek skąpanych w majonezie.

Był sam w lokalu. Domyślał się dlaczego.

Mimo marnego podwieczorku czuł zadowolenie i nie dopuszczał do siebie niewesołej myśli, że pewnie będzie musiał jeszcze raz zatrzymać się na jedzenie przed Uppsalą.

To była piękna podróż, miniurlop trwający trochę ponad tydzień. Po raz pierwszy w życiu zobaczył wyspy Koster i odwiedził starego znajomego, który przeprowadził się tam na stałe. Zabawił kilka dni w Göteborgu i zupełnie niespodziewanie spotkał kolegę z dzieciństwa, którego nie widział od co najmniej piętnastu lat. Ostatnie dwie doby spędził na kempingu w Kinnekulle, kąpał się w lodowatym jeziorze Wener i wypił całe czerwone wino kupione w Göteborgu.

Teraz po raz pierwszy od wyjazdu z Koster włączył komórkę. Pięć wiadomości i osiem nieodebranych połączeń.

Odsłuchał wiadomości. Pierwsze nie były interesujące: dwie od kumpla motocyklisty, który też był w trasie i pytał go, gdzie w tej chwili jest, i dwie od siostry, która potrzebowała pomocy przy przeprowadzce. Piąta wiadomość wzbudziła w nim tym większy niepokój.

Policjantka, niejaka Ann Lindell, poszukiwała go „w pilnej sprawie”. Chodziło o Klarę Lovisę.

Håkan odsunął talerz z resztkami bułki, wstał szybko i wyszedł z lokalu.

– Do widzenia i zapraszamy ponownie – usłyszał głos, lecz się nie odwrócił i nie odpowiedział. Nawet nie ma za co dziękować, pomyślał ponuro, i nagle poczuł wściekłość na całe to miejsce. Jak, do cholery, można pracować w takiej spelunie! Nawet nie dbać o czystość. Z trudem powstrzymał impuls, by się odwrócić i wrzasnąć na kobietę za kontuarem:

– Niech szlag trafi wszystkie baby!

Do domu pozostały dobre dwie godziny jazdy. W chwili, gdy uruchomił motocykl, wpadł na pomysł, by zamiast tego skręcić w lewo na E18 i pojechać do

Oslo. Miał tam paru kumpli motocyklistów i mógł zniknąć na tydzień lub dwa. Do tego czasu może tu się uspokoi. W Uppsali nic na niego nie czekało.

– Sama może się przeprowadzić – mruknął.

Siostra przeprowadzała się po raz trzeci w ciągu trzech lat, zawsze latem i zawsze z założeniem, że on jej w tym pomoże.

Wyjechał na E20, trzymając się agresywnie blisko środkowej linii, i samochody, które mijał jeden za drugim, coraz bardziej zostawały teraz z tyłu.



**Związek Bernta Friberga i Gunilli Lange** można było streścić jednym słowem: ciało.

Wtulali się w siebie w ciemności jak zwierzęta. Gunilla oddychała w jego ramię, a on chował się za jej uchem.

Jest wspaniałym człowiekiem, mogła pomyśleć Gunilla, słysząc jego ciężki oddech. Wiedziała, co robi w dzień, czuła ciężar jego ciała, drżenie mięśni.

Kocham cię, mógł powiedzieć Bernt, zanim zasnął.

Chwile ciała wynagradzały wiele niespełnień.

Wpatrywała się w ciemność. Leżeli ciasno spleceni, on z jedną nogą na jej udzie, ona z ręką spoczywającą na jego barku. Tak było co wieczór, zawsze leżeli blisko, chłonąc ciało drugiej osoby.

– Co się stało? – zapytał, odwracając głowę.

Poczuła jego słowa na szyi i usłyszała w nich niepokój. Nie złość, tylko niepokój, uczucie, jakiemu często dawał wyraz w ciemności.

– Myślę o Bossem – odpowiedziała bez strachu.

Co innego mogła powiedzieć? Zdradzić Bossego, mówiąc: „Nic”?

– Nie myśl tak – wymamrotał.

Co znaczy „tak”? – zastanawiała się.

– Jego nie ma – rzekł. – Teraz masz mnie.

– Wiem – odpowiedziała.

Czekała przez chwilę na ciąg dalszy. Normalnie usłyszałaby długą litanie, ale teraz milczał.

– Chciał się wyrwać z takiego życia – dodała.

– Chyba nikt naprawdę nie wierzył w tę firmę, może Bergman, ale on jest postrzelony.

– Co masz na myśli?

– Siedzi w domu, bazgrze na płótnach i marzy – odparł Bernt.

– Ja wierzyłam w ich firmę. Wiem, co potrafił, co obaj potrafili.

– To było kiedyś. – W pojednawczym tonie Bernta pojawiła się ostrzejsza nuta.

– Zasługiwał na lepsze życie.

– Masz mnie – powtórzył Bernt.

Wciąż leżeli ciasno spleceni, lecz zwykły spokój gdzieś się ulotnił. Nagle położył dłoń na jej piersi, popieścił delikatnie, chwycił brodawkę kciukiem i palcem wskazującym i wymamrotał coś, czego nie zrozumiała.

Nie chciała jego dłoni na swojej piersi, lecz brodawka stwardniała wbrew jej woli. Wyswobodziła się delikatnie, odwracając od niego plecami. Poczuła, jak

sztynnie i przyciska się do jej pleców i pośladków. Oddychał coraz gwałtowniej. Wbrew woli poczuła wilgoć w środku i pomyślała o Bossem, kiedy w nią wszedł.

Kiedy się obudziła w środku nocy, nie było go w łóżku. Zwykle wstawał raz w ciągu nocy, lecz nie słyszała odgłosu spuszczonej wody.

Odchyliła kołdrę, przerzuciła nogi przez krawędź łóżka i siedziała tak przez parę minut, nim wstała, otuliła się szlafrokiem i podeszła do zamkniętych drzwi sypialni, nasłuchując. W mieszkaniu było cicho.

Drzwi lekko zaskrzypiały, kiedy je otwierała. Usłyszała słaby odgłos z kuchni i pomyślała o szczeniaku, którego miała jako dziecko. O szczeniaku, który nigdy nie dorósł, bo w wieku zaledwie trzech miesięcy został przejechany przez samochód, a który w nocy skomlał żałośnie u wezłowia jej łóżka, nie mogąc do niego wskoczyć.

Siedział przy kuchennym stole, nagi, z napiętymi ramionami i twarzą opartą na dłoni. Przed nim stały dwie butelki piwa. Jedna była pusta, druga wypita do połowy. Bernt, który w tygodniu nie pił ani kropli, nawet piwa.

– Co się stało?

Drgnął i szybko się odwrócił. W oczach miał strach. Owłosiona klatka piersiowa uniosła się w głębokim wdechu.

– Obudziłem się – powiedział, wypuszczając powietrze.

– Coś ci się śniło?

Pokręcił głową. Wiedziała, że nie zdoła go skłonić do mówienia, lecz podjęła jeszcze jedną próbę.

– Podobało mi się to, co zrobiłeś – powiedziała, uświadamiając sobie w tej samej chwili, jak głupio to zabrzmiało. – To znaczy, mnie też było cudownie.

Domyślała się, że chciał usłyszeć coś takiego.

Nie odpowiedział, tylko pociągnął kolejny łyk.

– Nie przyjdiesz się położyć?

Znów pokręcił głową.

– Równie dobrze mogę tu posiedzieć. I tak zaraz będę się zbierał.

Spojrzała na zegar przy kuchence: 4.13.

– Możesz pospać jeszcze godzinę.

Za piętnaście szósta miał być na placu Heidenstama. Każdego ranka spotykał się tam z czterema kolegami z pracy i jechali razem do Jakobsbergu. Robili tak od marca i zamierzali jeszcze przez parę tygodni, nim na jesieni znów ruszy kolej podmiejska.

Pod tym względem Bernt i Bosse byli do siebie podobni. Lubiła ranki, bo miała wtedy uczucie, że to jakby dalszy ciąg życia z Bossem. Bernt też pracował w budownictwie i wychodził wcześniej do pracy. Bosse nigdy nie był specjalnie rozmowny rano, Bernt też nie.

– Że też musicie pracować w sobotę.

– Wiesz, jak jest – odparł.

Wiedziała. Ileż to razy Bosse pracował w weekendy?

– Wstawić kawę?

Nie odpowiedział, więc wzięła to za zgodę.

Pili kawę razem. Spojrzała na niego z boku.

– Nie zmarzłeś?

– Trochę.

Poszła do sypialni po kołdrę i okryła go. Zdziwił się, ale się uśmiechnął i wypił łyk kawy.

– Dobry pomysł – powiedział. – Potrzebowałem trochę ciepła.

– O czym myślisz?

Miała poczucie, że śmierć Bossego pozwala jej zadać takie pytanie o wpół do piątej rano. Nie umiała tego wytłumaczyć, ale tak właśnie było.

– O nas – rzucił. – Jesteś mi taka droga.

Wyciągnęła rękę nad stołem i ujęła jego dłoń. Nigdy nie zapomnę tej chwili, pomyślała.

Wyglądał na zmęczonego. Na jego twarzy widniał ślad czarnego zarostu.

– Nie miałem na myśli nic złego – powiedział.

– To znaczy?

– To wszystko razem – odrzekł po dłuższej chwili.

Nadal nie rozumiała, lecz czekała na dalszy ciąg.

– Jerker jest chory – oznajmił niespodziewanie.

– Przeziębził się?

– Nie, płuca. Ciężko mu oddychać.

Jerker Widén był od wielu lat kolegą Bernta z pracy.

– Może to dusznica.

– Nie wiedzą. Ale on się martwi.

– A ty czym się martwisz?

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Że cię stracę – stwierdził.

Gunilla zaczęła płakać. Cofnęła dłoń i zasłoniła nią twarz. Bernt zaczął coś mówić z zapalem, lecz szybko umilkł, zawstydzony własnymi słowami.

– Nie mów tak – zaprotestowała. – Nie musisz niczego tłumaczyć. Ja wiem.

– Ja też myślę o Bossem. Nie chciałem, żeby tak się stało, tylko żeby znikł z twojego życia. Przecież wiedziałem, że nadal go lubisz. I jeszcze te pieniądze.

– Potrzebował ich – wtrąciła zapalczywie.

Pokiwał głową.

– Muszę się już zbierać – rzekł. – Zajadę po drodze do magazynu.

Wstał i wyszedł z kuchni. Zrozumiała, że to już koniec rozmowy, i właściwie było jej to na rękę.

Słyszała, jak się szykuje. Na koniec wyjął z lodówki pojemnik z lunchem i kanapki w plastikowym opakowaniu i włożył wszystko do torby.

Kiedy przechodził koło Gunilli, pogłaskała go po plecach, a on odwrócił się w drzwiach.

– My też potrzebujemy tych pieniędzy – powiedział.

Skinęła głową, nie chciała o tym dyskutować.

– Jerker chce sprzedać łódź.

Wbiła w niego wzrok.

– Mamy kupić łódź?

– Musimy czasem gdzieś wyjechać. – Jego głos brzmiał zaskakująco defensywnie.

– Łódź? – powtórzyła z miną, jakby właśnie jej zaproponował rejs dookoła świata.

– Cumuje w Skarholmen – rzekł, skinął głową i wyszedł. W zamku zachrobotało, kiedy ostrożnie zamykał za sobą drzwi.

Gunilla pokręciła głową. Nigdy nie wspomniał, że interesuje go woda i łodzie. Czy Jerker wsączył mu do głowy ten pomysł? Byli najlepszymi kumplami, na pewno rozmawiali o jej pożyczce dla Bossego, a teraz, kiedy była już nieaktualna, można było włożyć te pieniądze w łódź.

„Musimy czasem gdzieś wyjechać”, powiedział, i z tym się zgadzała, ale nigdy nie utopiłaby – dosłownie – pieniędzy w takim projekcie.

Słyszała, jak Jerker mówi o łodzi, lecz nawet nie wiedziała, czy to motorówka, czy żaglówka, to zresztą nie miało znaczenia. Nigdy nie będzie żadnej łodzi!

### **Dlaczego kłamałeś?**

Andreas Davidsson ani razu nie spojrzął Ann w oczy, tylko uparcie wpatrywał się w posadzkę. Czasem poruszał jedną stopą, Ann tego nie widziała, lecz słyszała tarcie podeszwy o kamienne podłoże.

Siedzieli, jak poprzednio, na tarasie. Ann zaproponowała, by matka usiadła razem z nimi, lecz Andreas się temu sprzeciwił. Oświadczył, że wtedy nie powie ani słowa. Matka nie oponowała, tylko od razu się ulotniła. Czy w ogóle przeczuwała, że też będzie przesłuchiwana? Ann zaczęła jeszcze mocniej podejrzewać, że daje się zwieść i popełnia błąd, który nie pozwala jej w pełni zrozumieć konsekwencji ich rodzinnego kłamstwa.

Uprzedziła ich, że będzie nagrywać rozmowę. Andreas miał ukończone piętnaście lat i podlegał odpowiedzialności karnej.

– Nie wiem – wymamrotał.

– Mów głośniej – powiedziała, przesuając w jego stronę magnetofon. – Okej, więc wygląda to tak: Klara Lovisa zaginęła w dniu swoich szesnastych urodzin, ty i twoja mama twierdziliście przez cały czas, że w tamtą sobotę byliście w Gävle, by odwiedzić grób dziadka i zjeść obiad z babcią. Babcia potwierdziła tę wersję. Aż do wczoraj, kiedy ją odwiedziłam. Miała chyba dobry dzień. Sam wiesz, że ona często nie wie, co się dzieje, to nic nowego dla ciebie i twojej rodziny, prawda?

– No, nie.

– Była zła na ciebie, wiesz? Za to, że nie przyjechałeś w tamtą sobotę. To nie były urodziny tylko Klary Lovisy, lecz także twojego dziadka. Gniewała się, że zostałeś w domu.

– Ona ma kręcka – mruknął Andreas.

– Tak, czasami jest trochę zagubiona, oboje o tym wiemy, lecz teraz masz problem, bo twoja ciocia, którą poznałam dopiero wczoraj, potwierdziła ostatnią wersję babci, tę prawdziwą. Też była na grobie i na obiedzie i na pewno nie ma kręcka. Z nią też rozmawiałam. Bardzo dobrze pamięta tamten obiad i kłótnię babci z twoją mamą, że ciebie nie ma. Zostałeś w Uppsali, prawda?

Nie odpowiedział.

– Przestań szurać nogami i odpowiedz na pytanie!

Pokręcił głową.

– Co to ma znaczyć?

– Byłem w domu.

– Dobrze, więc to mamy z głowy. Miło, że wreszcie mówisz prawdę.

Następne pytanie nasuwało się samo, lecz postanowiła odczekać chwilę w

milczeniu. Po upływie mniej więcej pół minuty Andreas po raz pierwszy na nią spojrzał, choć tylko przez sekundę. Skinęła głową, starając się zachować przyjazny wyraz twarzy.

- Co robiłeś w sobotę dwudziestego ósmego kwietnia?
- Byłem w domu, przecież już mówiłem.
- Przez cały dzień?
- Tak.
- W sobotę? Była piękna wiosenna pogoda. W ogóle nie wychodziłeś?
- Nie.
- Ktoś cię odwiedził?
- Nie.
- Ktoś dzwonił?
- Nie pamiętam.
- Czekalesz, aż ktoś zadzwoni?

Odpowiedź przeciągała się w czasie i nadeszła w formie przeczącego ruchu głową.

- Może myślałeś, że Klara Lovisa zadzwoni?
- Niech pani przestanie! Nie rozumie pani, że to był koniec!?
- Miała urodziny.
- Przecież wiem!
- Może wysłałeś jej esemesa z życzeniami?

Ann nagle zrobiło się żal chłopaka. Na jej oczach przechodził najgorszą udrękę. Teraz zrozumiała, dlaczego został w domu. Czekał na jej odpowiedź. Na pewno wysłał jej esemesa, może nawet napisał, że chce ją odwiedzić.

- Czy nie było tak, że pojechałeś do niej do domu?
- Nie.
- Kiedy się dowiedziałeś, że zaginęła... gdy napisali o tym w gazecie?
- Wiedziałem wcześniej. Mama Klovisy tu dzwoniła.
- W sobotę wieczorem?
- Tak, pytała, czy ją widziałem.
- I wtedy twoja mama postanowiła, że skłamięcie, że byliście w Gävle?
- Przecież o niczym nie wiedzieliśmy.
- Więc wymyśliła to kłamstwo, kiedy przeczytaliście w gazetach, że zaginęła – stwierdziła Ann. – Ale przecież nie mieliście powodu, by to robić. Siedziałeś przez cały dzień w domu i nie miałeś z nią kontaktu, więc po co ta cała kombinacja?

– Nie wiem.

– Miałeś z nią kontakt, prawda? Dobrze się zastanów, zanim powiesz nowe kłamstwo. One mają krótkie nogi. Ja to wiem, jestem policjantką, rozmawiałam z setkami takich jak ty. Prawda prawie zawsze wychodzi na jaw.

– Wysłałem jej esemesa – przyznał w końcu.

– Kiedy?

Andreas wyjął komórkę. Ann domyśliła się, że zachował tę wiadomość, i poczuła ukłucie w sercu.

– O 9.22 – odpowiedział.

– Co napisałeś?

– „Najlepsze życzenia w dniu 16. urodzin. Zobaczymy się?” – przeczytał z wyświetlacza.

– Nie dostałeś odpowiedzi.

– Nie.

Mogła sobie wyobrazić jego katusze – przed wysłaniem wiadomości i potem, kiedy czekał na ewentualną odpowiedź Klary Lovisy.

Siedzieli w milczeniu. Ann spojrzała na zegarek. Za godzinę powinna odebrać Erika z przyjęcia urodzinowego przy Botvidsgatan. Kolega z przedszkola kończył siedem lat.

Domyślała się, że chłopak powiedział prawdę z tym esemesem, i sądziła, że nie spotkał się z nią w tamtą sobotę. Już w kwietniu wypyтали wszystkich sąsiadów Davidssonów, czy może widzieli Klarę Lovisę, ale nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

– Gdzie się spotykaliście?

– Tu albo u niej – odparł Andreas.

– A kiedy chcieliście pobyć trochę sami?

– W krematorium, to znaczy za nim. Jest tam miejsce, gdzie składają stare kamienie, żeby potem użyć ich znowu. Taki recykling.

Ann nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc to słowo, ale też dlatego, że miejsce nie wydawało się szczególnie romantyczne na randkę. W tej samej chwili przypomniała sobie, że po raz pierwszy w życiu widziała penis w erekcji właśnie na cmentarzu w Ödeshög.

– Czy mogę wziąć na chwilę twoją komórkę?

– A po co? Przecież przeczytałem.

– Chcę tylko coś sprawdzić – rzekła Ann, wyciągając rękę.

Po chwili wahania podał jej telefon. Przeczytała wiadomość. Ominął „ściskam Cię” na końcu. Cofnęła się i sprawdziła wiadomości odebrane. Domyślała się, że jeśli dostał od niej odpowiedź, też ją zachował. Nie było jednak żadnych esemesów od Klary Lovisy.

Oddała mu komórkę.

– Dziękuję – powiedziała – dobrze, że się wyjaśniło, prawda?

Skinął głową.

– Dostanę jakąś karę? – zapytał.

– Nie – odrzekła Ann i wyłączyła magnetofon.

Karę powinna dostać jego matka, pomyślała.

Andreas siedział z telefonem w ręce. Ciekawe, ile razy czytał swojego esemesa? – pomyślała, bardziej przygnębiona niż zadowolona, że udało jej się obalić jego alibi.

– Jeszcze jedno, wyłączyłam już magnetofon – zaznaczyła. – Kiedy spytałam, czy spaliście ze sobą, powiedziałeś, że Klara Lovisa chciała poczekać. Na co?

– Aż skończy szesnaście lat.

W samochodzie zastanawiała się nad znaczeniem ostatnich słów Andreasa. Na pewno miał nadzieję, że to on będzie tym pierwszym. Esemes był szansą na kontakt, na pewno na to liczył.

Nie wierzyła, że Andreas ma coś wspólnego z jej zaginięciem, ale nie mogła tego oczywiście wykluczyć. Znów spojrzała na zegarek; Erik nie będzie zadowolony, jeśli się spóźni, ale oceniła, że jeszcze zdąży rzucić okiem na okolice krematorium i cmentarza.

Zacząła się rozglądać i widząc starszą panią idącą Berthågavägen zatrzymała się, by zapytać, gdzie kościół przechowuje stare nagrobki. Kobieta najpierw spojrzała na nią pytającym wzrokiem, a potem ze współczującą miną, jak gdyby pomyślała, że Ann przyjechała tu, by wybrać któryś z tych nagrobków, wskazała jej drogę.

Ann wysiadła z samochodu. Wyraz twarzy kobiety sprawił, że pomyślała o rodzicach, o tym, że któregoś dnia, może w nie tak bardzo odległej przyszłości, rzeczywiście będzie musiała wybrać nagrobny kamień.

Na otwartym placu nagrobki różnych kształtów leżały jak na paradyżu. Przeczytała napisy na kilku z nich. Niektóre były już mocno naruszone zębem czasu.

Spacerowała tu i tam, zajrzała za płot i przyglądała się uważnie ziemi. Między usypanymi zwałami gruzu i kawałków betonu rosły bujnie chwasty. Czy Klara Lovisa i Andreas spotkali się tu mimo wszystko w dniu jej urodzin? Może się ucieszyła, że o nich pamiętał, nawet jeśli zarazem odrzuciła jego próbę odnowienia związku. Czy mogła tu leżeć pochowana?

Andreas wyglądał na ostrożnego chłopca, lecz Ann wiedziała, co mogą zrobić z człowiekiem szalejące hormony w połączeniu z miłosnym zawodem.

Opuszczała to miejsce przygnębiona, jakby dokonała wtargnięcia, podobne uczucie, jakiego się doświadcza, będąc świadkiem rozpaczliwego obcego człowieka.

Wiedziała, że powinna powiązać to skromne, nastrojowe miejsce z Klarą Lovisą. To mogło być miejsce jej spoczynku, dopóki jej nie znajdą.



**Itaberaba – portal de Chapada**”, głosił napis na ścianie dworca autobusowego. Lepszy byłby napis „brama do piekła”, pomyślał Anders Brant.

W ciągu ostatniej godziny walczył z muchami, patrzył niewidzącym wzrokiem na głośno grający telewizor, wypił kubek zbyt słodkiej kawy i odprawił kilku taksówkarzy.

Powinien był skorzystać z pierwszej oferty, lecz zamarudził niezdecydowany na dworcu. Podróż zajęła mu cztery i pół godziny i teraz, będąc już u celu, najbardziej na świecie chciał wsiąść do pierwszego lepszego autobusu powrotnego.

Pocił się i okropnie go denerwowali kręcący się wokół niego ludzie. Przyłapał się na tym, że wyszukuje ich wady – jeden był za gruby, drugi miał śmiesznie brzydkie ubranie, trzeci plół trzy po trzy. Takie zachowanie było do niego zupełnie niepodobne.

Nie był z natury przewrażliwiony, raczej pobłażliwy wobec ludzkich pomysłów i słabości, ale teraz miał wrażenie, jakby całe miasto, a przynajmniej jego dworzec autobusowy, było jedną wielką kpina.

Był już wcześniej w Chapadzie, mieszkał w hipisowskim pensjonacie w Lencois i stamtąd wyruszał na różne wyprawy, wędrował po górach, jechał na narowistym koniu podczas trzydniowej wycieczki z przewodnikiem, który przez cały czas mówił głównie o seksie, i płynął rzeką na gumowej tratwie razem z trzema Holenderkami, to wszystko było przyjemne i emocjonujące. Lubił Chapadę, ale nie tym razem.

Teraz nie czekały na niego żadne wycieczki. Ze strachu zaczął się jeszcze bardziej pocić. Wypił drugą kawę. Mężczyzna za kontuarem zapytał go, na jaki czeka autobus.

Brant pokręcił tylko głową i udał, że nie rozumie, ale wiedział, że jako gringo zwraca na siebie uwagę, zwłaszcza jeśli nie wygląda na takiego, który dokądś jedzie, tylko się wałęsa jak bezdomny, który próbuje jakoś zabić czas.

Podszedł do kosza, wyrzucił plastikowy kubek i stwierdził, że nie może dłużej czekać. Powrót z niezalatwioną sprawą byłby równie żałosny co nieodpowiedzialny.

Przygotował to, co miał powiedzieć. W szerokim pasie na brzuchu ukrył kopertę z pieniędzmi. Wyszedł z dworca z jakimś fatalistycznym uczuciem, jakby nie potrafił postąpić inaczej, przynajmniej tak sobie wmawiał. Właściwie nie miał wyboru, wszystko zmierzało nieuchronnie do haniebnego końca.

Kiedyś oczywiście miał wybór, mógł wyjść z lokalu nawet po tym, jak nawiązali ze sobą kontakt i zaczęli prowadzić ten typ rozmowy, w którym Brazylijki są takie dobre – skromny, a przy tym kokieteryjny. On jednak chciał posłuchać zespołu muzycznego, który miał wystąpić godzinę później, i postanowił zaczekać. A równie dobrze mógł spędzić ten czas w towarzystwie. Przedstawiła się jako Vanessa. Zamówił piwo, które wypili razem, a potem jeszcze jedno.

Gdyby wyszedł z koncertu i wrócił ostatnim promem na wyspę, nie musiałby teraz jechać do Itaberaby jak jakiś łajdak, ze słowami i pieniędzmi, ale bez honoru. Napaliłeś się, po prostu, przyznaj się, idioto, myślał, idąc w stronę pierwszej z brzegu taksówki. Powinienem być jechać do domu, spuścić się i obudzić o wschodzie słońca trzeźwy i wolny.

Jazda taksówką trwała krótko, może piętnaście przecznic. Kosztowała osiem reali. Brant dał dziesięć, wysiadł z samochodu, czując pot spływający z czoła, i zaczął iść w stronę niebieskiego domu z jasnoczerwonym murem, który mu opisała.

Na ulicy bawiło się kilkoro dzieci. Dostawca gazu ciągnął wózek, wykrzykując, że przyjechał. Brant rozejrzał się dookoła w nadziei, że zobaczy coś, co da mu szansę ucieczki. Czy Vanessa nie mogłaby przechodzić z jakimś facetem u swojego boku? Wtedy on mógłby się skryć za budką z lodami, obserwować ich, zaczekać na namiętny pocałunek, który by wykluczył jakiegokolwiek nieporozumienie, a potem pójść dalej ulicą. Ona pomachałaby temu mężczyźnie na pożegnanie i weszła przez bramę do niebieskiego domu.

Fantazje! Ale czy nie mógłby stworzyć wymyślonego mężczyzny? Rywała. Wrócić do Salvadoru, a potem ze Szwecji napisać list, pełen bólu, krzywdy i gniewu.

Daj spokój! Vanessa jest dobrą kobietą, a ty jesteś zwyczajnym gówniarzem. Podejdź teraz do bramy i zadzwoń, nie mów wszystkiego, tylko tyle, ile trzeba, zaproponuj jej wsparcie, pieniądze, cokolwiek, by to ułatwić i złagodzić ból. Daj jej wszystko oprócz swojej wierności i miłości. Daj zdradę. Potem ucieknij. Zwalcz niesmak i wyrzuty sumienia, buduj dalej mit Andersa Branta, nieskazitelnego Szweda, który przez dwadzieścia lat nigdy nie zapłacił za seks ani nawet nie miał romansu podczas wszystkich swoich podróży do krajów Trzeciego Świata. Przeciwnie, zawsze twierdził z pewną moralną wyższością, że to byłoby okrutne i krzywdzące.

Mężczyźni, skandynawscy, niemieccy, amerykańscy czy skądkolwiek pochodzili, którzy dzięki władzy dolara kupowali seks i chwilową bliskość, na dzień, tydzień, urlop, żeby poczuć się jak królowie, z penisem jak berłem, zostawiali za sobą zniszczone kobiety i chory system ekonomicznej prostytucji.

Vanessa nie była dziwką, a on sam nie był zwykłym klientem. Ich znajomość nie zaczęła się od transakcji, odczuwali szczerą radość i fizyczny pociąg, może nawet się w sobie zakochali. On właściwie nie wiedział, czy się zakochał, czy tylko stał się ofiarą pragnienia mężczyzny w średnim wieku, ze świata Zachodu, by poczuć się sprawnym i atrakcyjnym.

Nie widział przed sobą wspólnego życia z Vanessą, po prostu. Miała wiele zalet, była piękna jak marzenie i miła w obejściu, a jednak nie było dla nich dalszego ciągu. Ona widziała przyszłość, on nie.

Zadawał sobie oczywiście pytanie dlaczego, ale skoro nie potrafił sformułować wyjaśnienia, które w pełni przekonałoby jego samego, jak mógł przekonać ją?

To było coś więcej niż poczucie społecznej nierówności. On zawsze byłby tym silniejszym, tym bogatym, i przede wszystkim tym, który mógłby odejść. A gdyby odszedł, co stałoby się wcześniej czy później, zostawiłby Vanessę w znacznie gorszej sytuacji niż teraz. Miała dwadzieścia dziewięć lat, mówiła o dziecku, dla niego rzecz nie do pomyślenia. On był o piętnaście lat starszy i nie wyobrażał sobie, by mógł w tym wieku zostać ojcem. Poza tym nie miał pewności, czy byłby do tego zdolny czysto fizycznie. Przez ostatnie dwa lata trwającego pięć lat związku z pewną kobietą starali się o dziecko, lecz im się nie udało. W dwa lata później zaszła w ciążę z innym mężczyzną i teraz miała czworo dzieci, jak prawdziwa bogini płodności.

Czy to były tylko wymówki, by móc uciec, zachowując honor, choć trochę nadszarpnięty? Nie, odpowiedział sam sobie.

Nie chciał rezygnować ze swojej niezależności i nie chciał uwięzić Vanessy w tym związku. Nie było w tym żadnego męskiego szowinizmu, stwierdził, przeciwnie – wyraz troski o nią.

A jednak czuł się jak zdrajca.

Zabrzęczał dzwonek. Żeby nie było jej w domu, zdążył pomyśleć, nim otworzyły się drzwi. Wyraz zdziwienia na jej twarzy szybko zmienił się w szeroki uśmiech. On też próbował się uśmiechnąć.

Pobiegła do bramy. On poprawił pas na brzuchu.

**Ann spotkała Fredrika Johanssona na mieście.** Kiedy się z nim skontaktowała, znowu dzięki Elinie, która pomogła jej zdobyć jego aktualny numer komórki, był w drodze na trening w starym aquaparku, i umówili się, że się spotkają w Dombron.

– Muszę już iść – oznajmił. – Mówiłem przecież, że spotykam tam paru kumpli i będziemy trenować.

– Okej – zgodziła się Ann. – Spotkamy się tu za godzinę i pojedziemy do komendy.

Odwrócił się i odszedł bez słowa. Ann szła za nim przez chwilę, lecz zatrzymała się na Gamla Torget i usiadła na ławce. Patrzyła, jak wchodzi do budynku, gdzie miał się odbyć trening.

Burczało jej w brzuchu, lecz nie chciało jej się szukać Kurda sprzedającego kielbaski na deptaku, a jeszcze mniej tłoczyć się z ludźmi w jakiejś restauracji oferującej na lunch danie dnia, którego nazwa nic jej nie mówiła.

Postanowiła poczekać na ławce. Miała sporo do przemyślenia w związku ze sprawą Klary Lovisy, lecz jej myśli natychmiast pobiegły do Andersa Branta i zaczęła spekulować, kim on właściwie jest, co miał wspólnego z Bossem Gränsbergiem oraz dokąd i dlaczego wyjechał. Do słońca, uderzyło ją nagle. Był zaskakująco brązowy na całym ciele, musiał opalać się nago. „Czasami wyjeżdżam”, odpowiedział lekkim tonem, kiedy go spytała, czy był na urlopie, ale nie wyjaśnił dokąd ani czy dla wypoczynku, czy służbowo.

Bolał ją właśnie ten lekki ton. Dla niego mogła być tylko krótkotrwałą miłosną przygodą, zresztą jedną z wielu. Nie miała wątpliwości, że ceni sobie jej towarzystwo i ich życie seksualne, często o tym mówił i okazywał jej to. Ale było coś, na co dopiero teraz znalazła odpowiednie słowo, coś niefrasobliwego w jego postawie, jakby nie traktował ich kielkującego związku zupełnie poważnie.

Wtedy, a było to zaledwie parę dni temu, specjalnie się nad tym nie zastanawiała, w pełni zajęta przeżywaniem swoich ponownych narodzin dla miłości. W miłosnej gorączce stała się nieuważna. Teraz dopadł ją prawdziwy kac, z demonem samotności przycupniętym na jej ramieniu. Uśmiechał się złośliwie do jej zamków na piasku. Wiedziała, że posiedzi tam dłużej.

Zdrada, pomyślała. To będzie zdrada, jeśli mnie teraz zostawi. Zdrada, jeśli się wplątał w coś nielegalnego. Nigdy mu tego nie wybaczę! Ani sobie.

Tak płynęły jej myśli, kiedy siedziała na ławce. Było lato, ludzie spacerowali powoli, rozkoszując się ciepłem. Kilku turystów fotografowało kaskadę przy dawnym młynie. Młoda para podniosła wysoko swoje dziecko, by mogło popatrzeć na strumień wody znad barierki na moście Dombron. Ann wyczuwała ich zachwyt i

spokojne szczęście rodzicielstwa, które nawet z daleka było widoczne na młodych, niewinnych twarzach. Potem kobieta lekkim ruchem postawiła swoją latorośl na chodniku. Mężczyzna coś powiedział, a ona się do niego uśmiechnęła. Tak wygląda bycie we dwoje, pomyślała, czując gorzki zazdrości.

Nie poprawiało jej nastroju, że na dniach spodziewała się miesiączki, udręki, która w ostatnim czasie znów dała o sobie znać z pełną siłą, osłabiając ciało i psując humor. Tak jakby nic nie miało znaczenia, gdy zbliżał się ten trudny czas.

A ona marzyła o wspólnym urlopie! Urlopie wypełnionym śmiechem i bliskością. Ann, Erik i Anders na odkrywczej wyprawie w nieznaną, wszystko jedno dokąd i jak, samo wyobrażanie sobie tego wspólnego projektu sprawiało, że śmiała się do siebie, a jej ruchy nabierały życia.

Czy to już koniec? Podświadomie nabierała przeświadczenia, że tak. Będzie jej smutno, lecz nie pozwoli sobie na całkowite załamanie. Wzniesie wewnętrzne mury, zdławi ból, wmówi sobie, że to lepiej dla niej i Erika, że Brant definitywnie znikł z ich życia.

Obok niej na ławce usiadł starszy mężczyzna, z szeroko rozstawionymi nogami i dłońmi spoczywającymi na lasce. Nosił ciężkie buty, gabardynowe spodnie i podniszczoną marynarkę, a na głowie kapelusz od słońca. Miał ogorzałą twarz, słońce i wiatr wyżłobiły bruzdy na jego policzkach i zaimpregnowały skórę. Ann wyobraziła sobie, że jest greckim pasterzem, który siedzi na górskim stoku i dogląda swojego stada.

Powiedz mi coś, chciała go prosić, opowiedz, jak się potoczyło twoje życie.

Odwrócił powoli głowę, jakby ten ruch wymagał dużego wysiłku, i spojrzął na nią. Miał przekrwione białka oczu.

– Ładny dzień – zagaił.

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Zwykle siedzę tu albo tam – wskazał na ławkę po drugiej stronie placu – to zależy od słońca.

Jego akcent utwierdził ją w przekonaniu, że pochodzi z jakiegoś kraju śródziemnomorskiego, więc czemu nie z Grecji? – pomyślała z nadzieją.

– Jesteś z Grecji?

Skinął głową, nie okazując najmniejszego zdziwienia, że to odgadła.

– Ludzie przychodzą i odchodzą, a ja na nich patrzę. Latem interesują mnie przede wszystkim kobiety. Lubię powiewające spódnice.

Roześmiał się wesołym, chłopięcym chichotem.

– Niestety, nie mam na sobie spódnicy – rzekła Ann.

– Nie masz dziś humoru na spódnicę.

– Humor na spódnicę?

– Tak, myślę o radosnym śmiechu, kiedy widzę ładną kobietę w ładnej spódnicy. Ale dziś spódnica by do ciebie nie pasowała.

Ann spojrzała na swoje czarne dżinsy. Na nie też nie miała dziś humoru.

– On wróci – zapewnił Grek.

– Kto?

– A kiedy wróci, włoż spódnice w pięknych i wesołych kolorach.

Spojrzała na niego, wzruszona i zarazem wzburzona jego słowami. Uniósł dłoń spoczywającą na lasce i położył na jej kolanie. Miała wrażenie, że jego ręka waży tonę.

– Teraz dziadek pójdzie do domu – rzucił.

Cofnął rękę, wstał z wysiłkiem i wziął głęboki oddech.

– Jesteś pasterzem?

– Nie, mierniczym, ale teraz nie mam już ziemi do mierzenia. Zaufaj mi – powiedział, nie patrząc na nią, i poszedł w swoją stronę. Po paru sekundach znikł jej z oczu.

Co miał na myśli? Ann patrzyła na dom, za którym skręcił. Czy widział ją z Fredde na moście, kiedy ją zostawił, a ona dość niezdecydowanie poszła za nim, a potem usiadła na ławce? Czy naprawdę pomyślał, że są parą? Przecież mogła być matką Freddego!

A może rozważania o zaginionym dziennikarzu były tak widoczne na jej twarzy? Może stary mierniczy był jasnowidzem?

I to gadanie o spódnicach! Nie potrafiła w nim jednak dostrzec podglądacza, siedzącego i śliniącego się na widok spódnic, które powiewają, odsłaniając kobiece nogi. Całe jego zachowanie było na to zbyt godne, a spojrzenie mądre.

Uśmiechnęła się do siebie i postanowiła potraktować go jak posłańca dobrej nowiny, że jeszcze się ułoży. Brant wróci, wszystko znajdzie naturalne wytłumaczenie, a ona włoży spódnice w wesołych kolorach. Czy w ogóle taką miała?

Fredde Johansson zjawił się dokładnie w godzinę po ich rozstaniu. Ann posłała mu z daleka uśmiech, mając nadzieję, że wyraża jej uznanie dla jego punktualności. Przeszli w milczeniu do samochodu i pojechali do komendy.

W przeciwieństwie do Andreasa Davidssona Fredde patrzył jej w oczy, kiedy z nią rozmawiał. Przybrał też znacznie bardziej przebojową postawę.

– Wysłałeś do Klary Lovisy esemesa w sylwestra – zaryzykowała Ann.

– Nie pamiętam – odparł. – Być może.

– Skąd go wysłałeś?

– Byłem na mieście.

– Z kolegami?

– Rozstaliśmy się tuż przed dwunastą. Trochę się poprzytykaliśmy. Potem poszedłem do domu.

Ann poprosiła o nazwiska kolegów i Fredde podał jej parę nazwisk i numerów telefonów, które zanotowała.

– Poszedłeś do domu sam?

– Przecież powiedziałem.

Zajrzała do notatnika, cofnęła się o kilka kartek, po czym utkwiła spojrzenie w siedzącym przed nią młodym mężczyźnie. Rozumiała, czemu może działać niektórym na nerwy. Jego pełne wargi były lekko ściągnięte, wyglądało to, jakby przez cały czas lekceważąco się uśmiechał.

– No tak – westchnęła. – A co napisałeś?

– Nie powiedziałem, że wysłałem esemesa specjalnie do niej. Wie pani, jak to jest, pisze się tu i tam.

– Z tego, co zrozumiałam, lubiłeś Klarę Lovisę.

– Była miła – przyznał Fredde.

– Byliście w związku?

Fredde parsknął śmiechem, lekceważący uśmiech znikł i od razu wyglądał bardziej sympatycznie z tym chłopięcym wyrazem dość ładnej twarzy.

– Była taką typową małolatą, wie pani, lubiła flirtować.

– A ty jesteś dojrzałym mężczyzną?

Nie skomentował tego.

– Miała piętnaście lat. Wiedziałeś, że skończyła szesnaście w dniu, w którym zaginęła?

– Tak pisali w gazecie.

– Wysłałeś jej maila z życzeniami?

– Nie – odrzekł Fredde i pokręcił głową.

Przesunął dłonią po grzywce.

– Czego pani właściwie chce? Czy jestem o coś podejrzany?

– Tylko sprawdzamy parę rzeczy – odrzekła krótko Ann. – Masz prawo jazdy?

– Tak, bo co?

– Samochód też?

– Nie.

– Pożyczasz czasami? Na przykład od rodziców?

Ogarnęło ją nagle poczucie, że się pomyliła. Co ten dwudziestodwulatek mógł mieć wspólnego z zaginięciem Klary Lovisy?

– Zdarza się. Cholera, ale pani jest ciekawska!

Ann machnęła ręką, żeby mu przerwać.

– Będziemy potrzebowali twojego zdjęcia.

Od razu wyjął portfel, wygrzebał z niego malutką fotografię, nie większą niż paszportowa, i jej podał.

– To miło z twojej strony – rzekła – ale musimy zrobić porządek.

– Po co? Na plakat?

Ann pokręciła głową.

– Czy pójdziesz ze mną, żebyśmy mieli to już z głowy? Potem możesz jechać do domu.



**Obejmowała go długo i mocno**, a kiedy trochę rozluźniła uścisk, szturchnęła go w pas i powiedziała coś żartobliwego o bogatym gringo ze sztucznym brzuchem.

Wyswobodził się z jej objęć.

– Wejdziemy?

Odsunęła się, a gdy wszedł do środka, znów go objęła, wtuliła się w niego i położyła głowę na jego ramieniu. Jej włosy pachniały cytryną.

Miała na sobie białą sukienkę, a we włosach kilka spinek w kształcie ptaków.

– Tak się cieszę – szepnęła. – Tak tęskniłam.

Skinął głową i spojrzał w jej fantastyczne oczy.

– Mamy godzinę, zanim wróci mama. Wiesz, że jest nerwowa.

Znów skinął głową.

– Ale nie wróci wcześniej niż za godzinę.

Pogłaskała go po policzku.

– Zgrzałeś się – powiedziała, podciągając jego podkoszulek i wdmuchując trochę powietrza na tors.

– Weź prysznic – dodała, prowadząc go do łazienki.

Przeczuwał, co mogłoby się zdarzyć w ciągu tej godziny. Vanessa była bardzo fizyczna, jak sama mówiła. Uwielbiała kontakt cielesny, była chętna do pieszczot, często przejmowała inicjatywę. Nieśmiałość, jaką okazywała za pierwszym razem, znikła bez śladu i zastąpiła ją nieskrępowana otwartość, która nie ustępowała jego własnej.

– Potem wezmę prysznic – odparł głosem znacznie bardziej szorstkim, niż zamierzał.

– Jesteś zmęczony? Może chcesz odpocząć, zanim przyjdzie mama?

Dostrzegł cień zawodu w jej oczach. Pokręcił głową.

– Chce mi się tylko trochę pić.

– Przyniosę piwo i usiądziemy z tyłu w cieniu.

Poszła do kuchni, a on patrzył za nią. Pragnę jej, pomyślał, nagle podniecony.

Usiedli na tarasie. Ptak, którego głos Anders tak dobrze rozpoznawał, wyśpiewywał swoją zachęcającą melodię: chodź, chodź.

Nalała piwa, równie ostrożnie jak zwykle, i postawiła przed nim szklanekę.

– *Skål* – powiedziała, wznosząc toast.

To było pierwsze szwedzkie słowo, jakiego się nauczyła.

– *Skål* – odrzekł, odwzajemniając jej uśmiech.

Jego wysuszone, wyczerpane ciało wchłaniało chciwie zimny pilzner. Od razu poczuł działanie alkoholu. To może ułatwić sprawę, pomyślał, wypijając szklankę do dna.

Patrzyła na niego, lecz jej uśmiech trochę przygasł. Nalała więcej piwa, nie spuszczać wzroku z jego twarzy.

Pochylił głowę i otarł dłonią spocone czoło. Pas uciskał go w brzuch.

– Jak się nazywa ten ptak?

– Nie wiem – odpowiedziała natychmiast, jakby wcale nie słuchała, jakby ptaki najmniej ją w tej chwili interesowały.

– Często go słyszę – rzekł.

Skinęła głową.

– Mieszka tu ich para. Budują nowe gniazdo. – Wskazała drzewo z suchymi gałęziami w kącie ogrodu.

Spojrzał na nie, wypił łyk piwa i powiódł wzrokiem po ogrodzie.

– Pięknie tutaj – powiedział.

– To zasługa mamy. Ja nie robię nic.

Wiedział, że na niego patrzy, i uśmiechnął się, lecz unikał jej wzroku, udając, że interesują go rośliny zasadzone pod murem.

– Bugenwilla. – Wskazał na jedyną, którą potrafił rozpoznać.

– Co się dzieje, Anders?

Teraz! Teraz albo nigdy. Rzucił jej szybkie spojrzenie.

– Jestem chyba trochę zmęczony. – Naszła go desperacka myśl, by zostać w tym dusznym i zapyłonym mieście, wprowadzić się do tego domu, zamieszkać z Vanessą i jej matką.

Patrzył na nią. Ich spojrzenia się spotkały. Czego więcej mogę chcieć? – myślał dalej, czego więcej może mężczyzna i człowiek oczekiwać od życia? Ona mnie kocha, to jest wspaniały kraj, w którym dobrze się czuję, i może mógłbym być tu szczęśliwy.

Przyglądała mu się badawczo.

– Co się dzieje? – powtórzyła.

– Myślę o nas – odpowiedział w końcu.

Czuł, że zaraz się rozplacze.

– O nas, o wszystkim, o życiu.

Skinęła głową z powagą i lekkim drgnieniem twarzy, jakby zaczynała rozumieć rozmiar jego niezdecydowania i braku entuzjazmu. Przeżywał katusze, próbując odpowiedzieć na najprostsze pytanie na świecie.

– To trochę dziwne uczucie, to znaczy my i to wszystko.

Ułatw mi to, pomyślał, postaw mnie pod ścianą, wpadnij w szal, rzuć czymś we mnie, wykop mnie na ulicę!

Ale nic takiego się nie zdarzyło. Zamiast tego wstała i weszła do domu.

Słuchał odgłosu jej oddalających się kroków na kamiennych płytkach, a potem na schodach prowadzących na górę. Po chwili ucichły, ciszę zakłócał tylko ptak, powtarzający z uporem swoje wezwanie „chodź”.

Anders Brant otarł pot z czoła i chwycił butelkę, lecz piwo się skończyło. Poszedł do kuchni po następne. Lodówka była pełna, zobaczył tam salami, ser, naturalny jogurt, który lubił i ona o tym wiedziała, warzywa, kiełbaski z drobiu, kilogramowe opakowanie „paryskiego befsztyka” na najwyższej półce i przezroczyście plastikowe z tartą.

Patrzył na to bogactwo i zrozumiał, że Vanessa i jej matka przygotowały się na jego wizytę. Stojąc przy wciąż otwartych drzwiach lodówki, rozejrzał się po kuchni i wrażenie czekającej ich uczyt jeszcze się spotęgowało: patera z mango, graviolą, ananase, marakują i bananami. Ładna salaterka na lody była wypełniona umbu, rarytasem w tym suchym interiorze, który Vanessa tak lubiła. Jedli umbu tamtego ranka, gdy została po raz pierwszy w jego pensjonacie. Stała zrelaksowana, spoglądając na port i zatokę, i jadła owoc za owocem. On leżał jeszcze w łóżku i patrzył na jej plecy i ramiona, pośladki i uda. Zwykle przenosiła ciężar ciała na jedną nogę. Pomyślał, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział, a wrażenie to nasiliło się, kiedy odwróciła głowę i posłała mu uśmiech. Na jej podbródku lśniło parę kropeł owocowego soku.

Wziął ze schowka butelkę brahmy, zamknął starannie drzwi lodówki i wrócił na taras. Vanessy tam nie było.

Nalał piwa, pił i czekał, coraz bardziej wstawiony. Para ptaków fruwała do drzewa i zawracała. Przenosiły w dziobach materiał na budowę. Od czasu do czasu słychać było ich „chodź, chodź”.

Minęło dwadzieścia minut. Wstał, przespacerował się niezdecydowanie po tarasie, ale znowu usiadł. Butelka piwa numer dwa była pusta. Chciał więcej, choć naprawdę mocno czuł działanie alkoholu, i po minucie znów się podniósł, postawił niepewny krok i poszedł w stronę kuchni, ale się rozmyślił, przystanął i spojrzał w górę schodów. W domu nie było słychać najmniejszego dźwięku. Niedługo wróci matka.

Może mógłby wykorzystać dramat z wczorajszego dnia, by zręcznie się wycofać? Nie wspomniał ani słowem o tym, co widział. Gdyby teraz napomknął, że jest w szoku i depresji, że w tym stanie ducha nie może podjąć żadnej decyzji? Wtedy mógłby wrócić do Salvadoru z niejasnymi deklaracjami, że zobaczą się później, odroczyć wszystko, przygotować ją na nieuchronne.

Pomyślał o ostatnim mailu, jaki wysłał do Vanessy. Napisał w nim, że muszą się spotkać, by porozmawiać o przyszłości, i poinformował ją, że wybiera się do Brazylii – po to, by ją odwiedzić w Itaberabie oraz zebrać materiał do paru artykułów.

Myślał, że odbierze jego mail jako sygnał, że najlepiej byłoby zakończyć ten

związek. Wiadomość, którą celowo niejasno sformułował, powinna była ją ostrzec. Nie mógłby żyć z Vanessą. Zrozumiał to, kiedy poznał Ann.

Ona wyciągnęła najwyraźniej zupełnie inne wnioski. Odczytała to jako potwierdzenie ich związku: że przyjedzie, by porozmawiać o ich wspólnej przyszłości, więc zapełniła lodówkę frykasami i czekała na jego przyjazd.

– Vanessa! – zawołał, lecz nie dostał odpowiedzi.

Wszedł po schodach i rozejrzał się. Po prawej stronie znajdował się mały pokój z telewizorem i kilkoma fotelami, po lewej korytarz z czworgiem drzwi, z których jedne, te do łazienki, były uchylone. Nasłuchiwał przed pozostałymi, lecz niczego nie słyszał.

Siedziała przy biurku w swojej sypialni. Na ścianie wisiał plakat, który kupili w Salvadorze. Na nocnym stoliku leżał stos książek. Na samej górze słownik portugalsko-szwedzki.

Siedziała nieruchomo, odwrócona do niego plecami. Musiała go słyszeć, lecz się nie odwróciła.

– Vanessa, co ci jest?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego. Spodziewał się łez, lecz miała spokojny, zacięty wyraz twarzy.

– Jeszcze nie poszedłeś?

Był bezwstydnie uradowany jej opanowaniem, a jednocześnie trochę zły.

– Chcesz, żebym poszedł?

Wolałby, żeby kazała mu się wynosić, lecz ona tylko pokręciła głową i uśmiechnęła się smutno na tę jego dziecinadę.

– Trudno mi mówić o... – zaczął, lecz więcej nie zdążył.

– Tobie jest trudno znaleźć słowa? Tobie, co bez przerwy gadasz?

– Nie chcę cię opuszczać.

– Ale to robisz!

Zmusił się, by skinąć głową.

– Nie chcę – powtórzył.

– Kto ci każe?

Był jej winien odpowiedź.

– Napisałem list.

– Nie chcę twoich listów – odparła ostrym głosem.

W pasie znajdował się list, napisany z wielkim trudem wczoraj, przed morderstwem na bezdomnym. W kopercie leżały też pieniądze. W liście wyjaśniał, że to wystarczy na opłacenie jej szkolenia na projektanta stron internetowych, o czym marzyła od lat, że te pieniądze to tylko prezent i nic innego.

Teraz nie potrafił się przemóc, by wyjąć list, a przede wszystkim pieniądze. Ona odbierze to tak, jakby kupował sobie wolność. Bogacz z pasem, który przez chwilę się zabawił, aby potem rzucić jej zapłatę i zniknąć.

– Okej, niczego nie chcesz – powiedział i rozłożył ręce w geście poddania, lecz nagle poczerwieniał na twarzy, bo przypomniał sobie jej szczerą radość przy powitaniu i pełną lodówkę.

Patrzyła na niego z pogardą, więc wyszedł z pokoju, tego pokoju, w którym mieli się kochać, rozmawiać i marzyć. Potykając się, zszedł po schodach i opuścił jej dom. Na wyłożonej kamieniami posadzce – zauważył, że czarne i białe kamyczki są misternie ułożone w przemyślny wzór – zderzył się z jakąś kobietą. Zdażył tylko zauważyć jej przerażoną minę, nim ruszył dalej.

– Przepraszam – wymamrotał i wybiegł przez bramę.

Uspokoił się trochę, by nie budzić zbyt dużego zainteresowania, lecz poszedł dalej ulicą szybkim krokiem. Czuł, jak pot wycieka każdym porę jego ciała. Pot hańby. Ból głowy, nasilony po wypiciu piwa, teraz na bezlitosnym słońcu ścisnął jego czoło jak imadło.

Szedł w stronę słońca, na południe, mając nadzieję, że dojdzie tędy do dworca autobusowego, w pełni świadomy, że popełnił najbardziej nikczemną rzecz na świecie – zdradził człowieka, który go kochał i mu zaufał. Nigdy dotąd nie nienawidził siebie tak bardzo jak w tej chwili.

Kiedy minął kilka przecznic, w jego świadomość zaczęło się wsączać uczucie ulgi. Ma to już za sobą! Przesunął dłonią nad pasem. Powinien podrzeć ten list.

Nagle przystanął. Znow dopadło go niezdecydowanie. Rozejrzał się, ogarniając wzrokiem ulicę. Może ona tam stoi, w nadziei, że on zmieni zdanie i będzie mogła go zawołać, że jej miłość zwyciężyła lodowaty chłód i otwartą pogardę poniżonej kobiety, którą mu okazała?

Zobaczył kilkoro dzieci przy osłoniętym baldachimem wózku lodziarza, lecz żadnej białej sukienki ani śladu Vanessy. Przeczuwał, że jednoczy się teraz z matką w pełnym nienawiści, a może i bólu, mieszanu z błotem niewiernego gringo.

W oczach stanęły mu łzy. Był poruszony tragizmem sytuacji, własnym sentymentalizmem, a jednocześnie współczuł trochę sam sobie, że padł ofiarą tak głęboko niesprawiedliwego osądu, który naznaczy na zawsze ich wspomnienia o nim. Starał się! Nie miał złych intencji. Tak bardzo chciał. Wierzył, że ją kocha, że będą razem.

A jak głębokie było właściwie jej zaangażowanie? Czy ona też nie grała w grę, w której rozsądek zaczął doganiać nagłe zakochanie? Nie mógł pominąć takiej możliwości. Jej lodowata pogarda i natychmiastowa reakcja, stworzenie dystansu, żadnych prób, by go przekonać, żadnych błagań, żadnych łez – co to oznaczało?

Przez kilka sekund stał niezdecydowany. Zrobił parę kroków, znow się zatrzymał, odwrócił, popatrzył, zrobił parę kroków, śmieszny samooszukańczy taniec, gdy dobrze wiedział, że nie ma drogi powrotnej.

Podniósł rękę i zatrzymał motocyklową taksówkę. Dostał od motocyklisty

kask i wkładając go, doświadczył wyzwającego uczucia anonimowości. Usiadł okrakiem na siodelku i poczuł impuls, by oprzeć głowę o plecy taksówkarza, ozdobione napisem „Kaka” i cyfrą osiem.

Pojazd ruszył brukowanymi ulicami. Jechał szybko, Brant szukał po omacku za plecami czegoś do trzymania i chwycił się jakiejś linki.

Po dziesięciu minutach byli na dworcu autobusowym i gdy zobaczył ten brzydki budynek i jednocześnie autobus skręcający za rogiem, wiedział, że dokonał jednego słusznego wyboru.

W drogę, pomyślał. Nigdy więcej Itaberaby. Nigdy więcej Vanessy. Zapłacił taksówkarzowi dwa razy więcej, niż ten chciał za kurs. Teraz mogę być hojny, pomyślał z goryczą.

Chociaż był przekonany, że podjął słuszną decyzję, niepokój gryzł go jak rój agresywnych moskitów. Nowy autobus nadszedł z rykiem, z jego rury wydechowej buchał czarny dym, a podwozie klekotało. On nadal stał w słońcu. Było ponad trzydzieści stopni w cieniu.

– Kim ja właściwie jestem? – wymamrotał.

Przejechał samochód z muzyką dudniącą z otwartego bagażnika. Widział kobiety i mężczyzn, bawiące się dzieci, sprzedawców lodów i orzechów nerkowca, słyszał krzyki i śmiech, widział Brazylię i niezdecydowanie męczyło jego ciało osłabione alkoholem i słońcem.

– Jestem głównem – podjął swój monolog.

Ostre i przyjazne trąbienie zwiastowało autobusy, które przybywały i odjeżdżały wartkim strumieniem, tę cuchnącą i turkoczącą flotyllę wiejskich dróg, której jednostki okrężały budynek, a ich skrzynie biegów i łożyska rzeziły podczas nabierania prędkości.

Wiedział, że jest zwykłym wystraszoną gringo. Gringo, który nigdy nie będzie kimś innym. Bał się, że coś straci, może to wygodne życie, wolność włóczędzy, może też wizerunek Andersa Branta, obieżyświata, sumienie świata, bojownika o dobro.

Ta świadomość przyszła nagle, jak niespodziewany cios w splot słoneczny, aż musiał oprzeć się o ścianę i wziąć głęboki wdech.

Pochylił się do przodu, wsparł dłońmi o kolana i zwymiotował. Kaskady piwa pluskały na bruk na małym placu pod palącym słońcem Bahii.

**Nareszcie, pomyślał Urban Fredlund,** ostatni dom!

Niedługo będzie leżał na kanapie, z filiżanką herbaty na stoliku i podwójnym tostem z szynką, serem i sosem paprykowym, jego ulubionym niedzielnym śniadaniem od dwunastu lat.

Urban nie miał w życiu wielu powodów do radości, zwłaszcza odkąd jego partnerka zostawiła go dziesięć lat temu, a wkrótce potem umarła Mirjam. Sam nie wiedział, która strata boleśniej go dotknęła. Mirjam dostał od rzeźnika zwierzoluba, Fina, który w dzień zabijał tucz na taśmie, a potem wracał do domu do swojej menażerii.

Kotka była nadzwyczajna, tak jak jego niedzielne śniadanie. Teraz zostało mu jeszcze troje drzwi.

W klatce C, ostatniej, zrozumiał, że niedzielne śniadanie będzie musiało zaczekać.

5.45. Zwłoki na klatce schodowej w Tunabackar, kobieta, w średnim wieku. Przypuszczalnie nie żyje od paru godzin. Obrażenia twarzy i z tyłu głowy. Znaleziona przez roznosiciela gazet. Karetka i radiowóz w drodze.

Tyle dowiedział się Sammy Nilsson, kiedy do niego zadzwonili. Zegar na nocnym stoliku pokazywał 5.49. Angelika poruszyła się niespokojnie przy jego boku, może usłyszała telefon, lecz Sammy był przekonany, że za parę minut znów głęboko zaśnie.

Powinien się zebrać i wyjść. Razem z Beatrice miał dyżur w ten weekend, dotąd zaskakująco spokojny. Teraz spokój się skończył.

Nie mógł oczywiście wiedzieć, kim jest kobieta, ale to przeczuwał. Pamiętał adres z tablicy, na której spisali znajomych Bossego Gränsberga. Ale to równie dobrze mogła być sąsiadka, znajoma Ingegerd Melander albo gość innego z lokatorów tej klatki. Nie ma sensu spekulować, pomyślał, biorąc błyskawiczny prysznic. Za kwadrans się dowie. Umarli nigdzie nie uciekną.

Policjant z patrolu stał przy wejściu. Trzymał się demonstracyjnie za nos, kiedy Sammy zaparkował koło karetki i wysiadł z samochodu, lecz nie było to wymierzone przeciw Nilssonowi ani policji kryminalnej w ogólności.

– Gazeciarz puścił pawia – oznajmił mundurowy, a Sammy w tej chwili przypomniał sobie jego imię.

– Cześć, Bruno!

Kolega dobrodusznie skinął głową, wyraźnie mile polechtany, że zwrócono się do niego po imieniu.

Sammy rozglądał się bez pośpiechu. Dom był typowym budynkiem z lat pięćdziesiątych, otynkowanym na żółto, z trzema klatkami, trzema piętrami,

zwirowanym podwórzem z kilkoma okaleczonymi drzewami i krzakami uformowanymi w kule, zatłoczonymi stojakami na rowery, źle umieszczonym śmietnikiem, który dostawiono później, i kącikiem na grilla ze stołem i paroma miejscami do siedzenia.

Tak demokratycznie, tak strasznie bezpiecznie i nudno, pomyślał Sammy.

– Nie żyje, i to od pewnego czasu – powiedział Bruno.

– Czy lekarz już jest?

O szóstej w niedzielny poranek było to pobożne życzenie.

– My byliśmy pierwsi na miejscu, oprócz tych. – Bruno wskazał ruchem głowy ambulans.

– Pójdę się rozejrzeć – rzucił Sammy. – To ty otworzyłeś drzwi?

– Cuchnęło jak cholera.

– A gazeciarz?

– Siedzi u jakiejś babci na pierwszym piętrze. Na drzwiach jest nazwisko

Melkersson.

– Jest w szoku?

– Tak, sam wiesz – odparł Bruno.

Sammy wiedział.

– A twój kolega?

– Ortman czuwa przy tej pani.

Sammy odwrócił głowę i wczytał się w spis lokatorów na ścianie. „I. Melander” mieszkała na ostatnim piętrze.

W tej samej chwili zjawiła się Beatrice, na którą czekał.

– Teraz możemy dokonać szybkiej identyfikacji – zwrócił się do Brunona. – Bea była tutaj parę dni temu.

– O, cholera.

– Ten zabity bezdomny, wiesz, miał związek z tym adresem.

Beatrice pozdrowiła Brunona skinieniem głowy. Sammy odsunął się i wpuścił ją do środka.

– Czy to może być ona? – zapytała.

Szli w górę schodów. Odór nasilił się.

– Gazeciarz – wyjaśnił Sammy.

– Co on u licha jadł?

Przeszli nad wymiocinami na drugim piętrze.

– Jabłko i jogurt truskawkowy.

– A niech cię! – wybuchła Beatrice.

Kobieta leżała na podeście między drugim a trzecim piętrem. Ktoś przykrył jej głowę kuchennym ręcznikiem, Sammy dostrzegł starannie wyhaftowany monogram. Jej prawa dłoń ścisnęła kurczowo worek ze śmieciami. U nóg leżała gazeta. Sammy przeczytał nagłówek na pierwszej stronie: *Pożar kurnika w Alunda.*



Ortman stał pół piętra wyżej. Błada twarz bez wyrazu świadczyła o tym, że miał przyjemniejsze zadania.

– Wszystko w porządku?

Ortman skinął głową.

Bea pochyliła się, odsunęła zakrwawiony ręcznik, po czym szybko położyła go z powrotem i wyprostowała się.

– To ona.

– To kiepsko – skomentował Sammy.

– Ktoś tu się kręcił?

Ortman pokręcił głową. Czy on w ogóle umie mówić, pomyślał Sammy i postanowił to sprawdzić, zadając pytanie wymagające trochę bardziej rozwiniętej odpowiedzi.

– A gazeciarz? Gdzie on jest?

Ortman poradził sobie, wskazując ruchem głowy piętro niżej.

Sammy zaczął się śmiać.

– Ta praca naprawdę mnie dobija!

Beatrice zmierzyła go wzrokiem. Umilkł, ale znów wybuchnął śmiechem na widok przestraszonej miny i konsternacji Ortmana.

– Zamień się na chwilę z Brunonem, trochę świeżego powietrza dobrze ci zrobi – powiedział do niego.

Policjant zszedł po schodach.

– Zaczekaj! Wiesz może, czy jedzie tutaj technik?! – zawołał za nim Sammy.

– Tak myślę – padła odpowiedź.

– Umie mówić – stwierdził Sammy.

– Uspokój się – syknęła Beatrice. – Ja idę na górę, ty bierzesz gazeciarza. – Rozdzieliła zadania. – Tak zyskamy na czasie.

Urban Fredlund trochę się już pozbierał. Na stole przed nim stała pusta szklanka.

– Też pan chce? – zapytała Maja Melkersson. – Nie ma nic lepszego niż szklanka zimnego mleka rano – ciągnęła, nie czekając na odpowiedź Sammy'ego, bo od razu postawiła przed nim szklankę, wyjęła z lodówki dzbanek i nalała mleka.

– Tak, było dobre – potwierdził roznosiciel gazet.

– Chociaż tyle mogę zrobić – odrzekła kobieta. – Przybiegasz tu co rano i dzięki tobie mogę się dowiedzieć, kto umarł.

Sammy domyślał się, że chodzi jej o nekrologi w lokalnej gazecie, ale tego ranka jej komentarz wydał się, delikatnie mówiąc, makabryczny.

– Proszę mi trochę opowiedzieć – zachęcił Sammy, kiedy skosztował mleka i z uznaniem skinął głową w stronę przyglądającej mu się Mai Melkersson.

– Najpierw poczułem zapach – zaczął Urban.

– Jaki zapach? Czy wymiociny już tam były, zanim pan przyszedł?

– Nie, to moja wina – odparł, rzucając Sammy’emu szybkie spojrzenie. – Przepraszam, że nabrudziłem.

Sammy lekceważąco machnął ręką.

– Zapach śmieci – podjął roznosiciel. – Starego sera, krótko mówiąc. Potem poszedłem na górę na drugie piętro i zobaczyłem... najpierw zobaczyłem nogi.

– Wszedł pan wyżej i popatrzył?

– Oczywiście, musiałem przecież sprawdzić, czy jest ranna, czy co.

– Ale wiedział pan od razu, że nie żyje?

Urban skinął głową.

– Potem zbiegłem pół piętra na dół, myślałem, że zdążę, ale jednak nie.

– Nie ma czego się wstydzić – uspokoił go Sammy. – Znał ją pan?

– Nie, ale w mojej pracy nie poznaje się dużo ludzi. Większość śpi, kiedy pracuję.

– Nie zauważył pan niczego dziwnego, innego niż zwykle, na podwórzu albo na ulicy?

– Nie, to był zwyczajny niedzielny ranek. Cichy i spokojny. Do teraz.

Sammy zapisał jego nazwisko i dane kontaktowe.

– Jeszcze jedno – powiedział Urban Fredlund. – Czy mógłby pan zanieść ostatnią gazetę do Wilson, na samej górze? Chyba leży na schodach.

Sammy skinął głową, podziękował za mleko i wyszedł.

W tym czasie przyjechali technicy, niestrudzony Morgansson i znacznie bardziej zmęczony Johannesson.

– Właściwie nie mamy czasu – zaznaczył Morgansson. – Właśnie ruszaliśmy do Dalarna.

– Dalarna?

– Tak, jakiś młody chłopak z Hedemora został zadźgany w nocy szpikulcem do lodu – wyjaśnił Jonannesson. – Połowa Dalarna leży uziemiona gripą, przynajmniej koledzy z Falun, więc my musimy ich zastąpić.

– Ale w wydziale technicznym jest chyba więcej ludzi niż was dwóch?

Morgansson odpowiedział zmęczonym uśmiechem.

– Oni też są uziemieni. Nie zauważyłeś, że pół komendy smarka i kaszle? Tylko Jakobsson jest zdrowy, ale oczywiście na urlopie. Tak to wygląda.

– Jaka jest sytuacja? – zapytał Johannesson. – Czy mieszkanie może poczekać do jutra? Chcę powiedzieć, że dla nas to wygląda na wypadek.

– Dobrze – zgodził się Sammy – ale przejrzyjcie worek na śmieci, żebym mógł go zabrać i wstawić do waszej lodówki.

Wszedł wyżej na piętro i wrzucił gazetę do otworu w drzwiach pani Wilson. Drzwi do mieszkania Ingegerd Melander nie były zamknięte na klucz, tylko przymknięte. Chwycił u góry skrzydło drzwi i je otworzył.

Beatrice stała w kuchni. Miała na sobie ochronne skarpety i rękawiczki. W

środku pachniało dymem i starym zwietrzałym piwem.

– Leży na kanapie i śpi – oznajmiła – pijany jak bela. Chciałam się trochę rozejrzeć, zanim go zbudzimy, jeśli można.

– Kto taki?

– Johnny Andersson, jej nowy chłopak. Ola i ja spotkaliśmy go tutaj poprzednio.

– Nikogo innego nie ma?

– Nie.

– Czy to miejsce zbrodni?

– Wątpię – odrzekła Beatrice – wygląda tak, jakby zaczęła tu sprzątać, wyszła ze śmieciami i rymnęła ze schodów.

– Coś ciekawego?

– Na razie nie. Wiadomo tylko, że mieli tu imprezę.

Blaty, podczas jej pierwszej wizyty niemal klinicznie czyste, teraz były zawalone talerzami, szklankami i resztkami jedzenia. Sammy doliczył się trzech dużych butelek po wódce, wypitych do dna, oraz całkiem pokaźnej liczby puszek po piwie.

– Było tu parę osób – stwierdził.

Doliczył się jeszcze sześciu dużych talerzy i takiej samej liczby zestawów sztućców. Na kuchence stało naczynie żaroodporne, które prawdopodobnie zawierało wcześniej pokusę Janssona. Na blacie były też trzy puste słoiki po różnych rodzajach śledzi.

Podniósł pokrywkę rondla, w którym leżały trzy ugotowane ziemniaki. Na patelni zostało pół kielbaski, którą ktoś odgryzł, może jako ostatni kęs na dobranoc.

Sammy westchnął i położył pokrywkę. Przypomniawszy sobie, że nie jadł śniadania.

– Obudzimy pana Anderssona?

– Najpierw chciałabym się spokojnie rozejrzeć – powtórzyła Beatrice.

– Rozumiem, że jadłaś już śniadanie.

Zignorowała jego komentarz.

– Zaczniemy od sypialni, bo kobiety tam skrywają swoje tajemnice – powiedziała.

– Czy Morgansson nie powinien...

– Nic nie wskazuje na zbrodnię – przerwała mu Beatrice.

– Ale jeśli chciała wynieść śmieci, czemu wzięła tylko jeden worek? Tu jest pełno syfu, wystarczyłoby do zapełnienia kontenera.

– Wzięła te najpilniejsze, najbardziej śmierdzące.

– Myślę, że powinniśmy jednak obudzić Johnny'ego, by usłyszeć jego wersję – nalegał Sammy.

Nieprzyjemne uczucie narastało. Nie podobał mu się też nieco mentorski ton

Beatrice.

– Jeżeli ja obudzę naszego śpiącego przyjaciela, ty możesz się tu rozejrzeć. W ten sposób też oszczędzimy trochę czasu.

Beatrice wzruszyła ramionami i poszła do sypialni.

Johnny miał na sobie tylko prawie czyste kalesony. Leżał z jedną nogą wyciągniętą na kanapie i drugą stopą dotykającą podłogi. Dłonie miał splecione na owłosionej piersi. Lekko chrapał.

Sammy przyglądał mu się przez parę sekund, nim chwycił go za ramię i potrząsnął.

– Pobudka!

Johnny poruszył się niespokojnie, czknął, lecz się nie obudził.

– Johnny!

Znów nim potrząsnął. Żadnej reakcji. Sammy pochylił się nad śpiącym, którego oddech wymykał się wszelkiemu opisowi.

– Co wy wczoraj jedliście? – mruknął i znów potrząsnął bezwładnym ciałem, tym razem znacznie mocniej.

Johnny otworzył oczy i spojrzał nieprzytomnym wzrokiem na policjanta.

– Co, kurwa!?

– Sammy Nilsson, policja.

– Co?

– Słyszałeś. Siadaj, musimy trochę pogadać.

Uzyskanie w miarę jasnego obrazu wydarzeń z poprzedniego wieczoru zajęło kilka minut. Johnny był skacowany, ale zdał dość składną relację z tego, co tu się działo. Imprezowało kilkunastu „znajomych”. Ingegerd wygrała parę kafli w totolotka, wyjaśnił. Do północy większość z nich wyszła. On w tym czasie zasnął.

– Co ty tu do diabła robisz? – zapytał nagle.

– Zdarzył się wypadek – wyjaśnił Sammy. – Ingegerd potknęła się na schodach.

– Jakich schodach?

– Wynosiła śmieci.

– Cała ona – mruknął Johnny. – Cholerna pedantka.

– Pechowo spadła.

– Czy to babsko za ścianą naskarżyło?

– Słuchaj wreszcie! Ingegerd spadła i uderzyła się w głowę. Bardzo pechowo, nie żyje.

Johnny wytrzeszczył oczy na policjanta, pokręcił głową i zaczął szukać po omacku butelki na stole, ale ją przewrócił.

– Nie żyje?

Sammy skinął głową.

Johnny gapił się na wódkę spływającą ze stołu na dywan. Wziął szklanekę i

złapał kilka kropel, które od razu wyłopał. Chciał powtórzyć ten manewr, lecz Sammy wyjął mu szklankę z ręki.

– Teraz nie czas na picie – powiedział łagodnie. – Musimy pogadać.

– Kurwa, nie żyje? Jesteś pewny? Co tu się, kurwa, dzieje?

Podniósł się nagle, zrobił parę kroków i stanął na środku pokoju.

– Ale co, przecież jest w sypialni!

– Nie, to moja koleżanka Beatrice, którą poznałeś parę dni temu.

– Gdzie jest Ingegerd?

– Siadaj, Johnny. Teraz nic nie możemy zrobić. Musisz powiedzieć, kto tu wczoraj był i co się działo.

– Działo? Nic się nie działo! Mówiłem przecież, że mieliśmy imprezę. A może nie wolno, co?

– Siadaj.

Johnny niespodziewanie posłuchał i usiadł w fotelu. Wyciągnął rękę i postawił butelkę.

– Gdzie ja teraz pójde? Powiedz mi.

Beatrice weszła do pokoju i przyglądała się Johnny'emu, który podniósł do ust pustą szklankę i odstawił z osłupiałą miną, jakby sama myśl, że wódka się skończyła, była nedorzeczna.

– Okej, najlepiej, jeśli pójdziesz z nami i opowiesz, co zdarzyło się wczoraj i kto brał w tym udział. Tu i tak nie możesz zostać.

– Ale co... przecież mówiłem, że była impreza.

– Ale musimy mieć to na papierze, dla porządku – rzekł Sammy.

– Gdzie ja teraz będę spał?

– Mamy bardzo wygodny pokój jednoosobowy – rzuciła Beatrice, nim wyszła na schody.

– Jedziemy za parę minut – oznajmił Sammy.

**Anders Brant jest kluczem**, Sammy Nilsson był o tym przekonany. Gwałtowna śmierć Bossego Gränsberga sama w sobie nie dziwiła. Zabójstwo bezdomnego z problemem alkoholowym w oczach wielu ludzi nie było niczym niezwykłym. Do tej kategorii należało wiele ofiar, a także sprawców.

Jedynym, co odbiegało od wzorca, był właśnie dziennikarz. Na pewno mieli ze sobą kontakt, zabezpieczono odciski palców Branta w barakowozie, a kartka z numerem telefonu w kieszeni zamordowanego wykluczała przypadek.

Sammy stał przy biurku w swoim pokoju, z rękami opuszczonymi po bokach, jak zawsze, kiedy myślał. Wcześniej powiedział do Ann Lindell coś, co mogło mieć znaczenie także dla jego śledztwa, lecz nie mógł sobie przypomnieć co.

Przebiegł pamięcią ostatnie spotkania z Ann, przeważnie krótkie, bo teraz sprawiała wrażenie zupełnie wyłączonej. Może coś było w tym, co zasugerował, a właściwie stwierdził Morgansson, że Ann i Ola Haver mają romans?

Parsknął śmiechem. Ottosson miałby pożywkę do rozmyślań, love story w wydziale zabójstw, z wszystkimi możliwymi konsekwencjami.

Rozmawiali o Brancie. Ann wypytywała o dziennikarza, o to, gdzie mieszka, porozmawiali krótko o jej śledztwie w sprawie Klary Lovisy, lecz Sammy nie znalazł w tym żadnego punktu zaczepienia do jego własnych rozważań o duecie Brant-Gränsberg.

Postanowił wrócić do mieszkania Branta, może tam znajdowała się odpowiedź, coś, co on i Morgansson przeoczyli. Dokumenty, które znaleźli i pobieżnie przejrzeni, wydały im się nieszkodliwe. Z tego, co Sammy zrozumiał, były to materiały do artykułów i konspekty. Ze strachem myślał o dniu, w którym Brant wróci i odkryje ich najście. Dziennikarze to drażliwy gatunek.

Morgansson znalazł trochę odcisków palców, ale żadne nie należały do Gränsberga. Pozostałe też nie były zarejestrowane. Nic, co widzieli w tym małym dwupokojowym mieszkanku, nie wydało im się podejrzane ani nie wiązało Branta bliżej z ofiarą.

Szukając numeru dozorca Nilssona, rozważał, czy powiadomić prokuratora, lecz postanowił tego nie robić. Na ile znał Fritzéna, zakwestionowałby zasadność ponownej wizyty.

Nietrudno było przekonać pana Nilssona, by znów udostępnił główny klucz, i umówili się za pół godziny na spotkanie przed mieszkaniem Branta.

Jego ciekawość była tym razem jeszcze większa. Sammy wytłumaczył swoje przyjście tym, że prawdopodobnie zostawił tu okulary, nic strasznego. Mina dozorca wyrażała sceptycyzm, zaofiarował pomoc w poszukiwaniach, lecz Sammy

mu podziękował.

Mieszkanie sprawiało wrażenie opuszczonego jeszcze wyraźniej niż wczoraj. Może zwiął na dobre, pomyślał Sammy, robiąc pierwszą rundę: kuchnia, sypialnia i pokój dzienny.

Jeśli człowiek ucieka, czego zdecydowanie nie chciałby zostawić? Nie widział żadnych cennych przedmiotów, obrazy wyglądały na przeciętne, ściany zdobiło kilka grafik i parę plakatów. Wodził spojrzeniem po mieszkaniu, wyciągnął szuflady z małej komody w przedpokoju, ale, tak jak poprzednim razem, nie znalazł niczego interesującego. Wrócił do sypialni, jakby kierował nim jakiś niespokojny duch.

Coś powinno do niego przemówić! Przejrzał grzbiety książek. Czy ma przekartkować każdą z nich? Wydało mu się to nadgorliwością, Brant nie był przecież podejrzany o żadne przestępstwo. Wzrok Sammy'ego padł na oprawioną fotografię stojącą na regale z książkami. Zarejestrował ją podczas poprzedniej wizyty, lecz nie uznał za godną uwagi, tylko za pamiątkę z przeszłości, którą stawia się na widocznym miejscu z powodów sentymentalnych.

Przedstawiała drużynę bandy, piętnastu młodych mężczyzn w klubowych strojach, dwóch trenerów, zdjęcie, jakich Sammy Nilsson widział mnóstwo. Sam też miał kilka fotografii z drużyną, upchniętych w jakiejś szufladzie. Może dlatego nie zainteresował się tą za pierwszym razem.

A powinien był. To w takich codziennych przedmiotach wypełniających mieszkanie człowieka kryje się jego historia.

Zdjął fotografię z półki i dokładnie przyjrzał się twarzom. Był niemal pewny, że trzeci zawodnik od lewej w górnym rzędzie to Bo Gränsberg. Ten na ukos od niego, przykucnięty w dolnym rzędzie, to z pewnością Anders Brant. Zdjęcie zostało zrobione jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat temu, zawodnicy promieniowali wruszającą niewinnością, ich otwarte, wesołe twarze świadczyły o tym, że odnieśli sukces, może niespodziewany. Sammy i przeżywał, i obserwował to upojenie, kiedy na boisku dzieją się nieprawdopodobne rzeczy, uczucie, które właściwie nie wnikało głęboko w duszę, tylko przejawiało się w euforii przypominającej miłość.

Obaj trenerzy okazywali radość z pewną rezerwą, byli bardziej świadomi tego, że zdjęcie ukaże się na sportowych stronach lokalnej gazety i ozdobi siedzibę klubu oraz wiele domów.

Sammy wiedział, co się działo po sesji zdjęciowej. Gracze obejmowali się i wspominali decydujące momenty zakończonego właśnie meczu. Przypadkowe niecelne strzały, które wzbudzały taką irytację, zostały obrócone w żart i przyjazne docinki. Dziś wszyscy byli zwycięzcami.

Przyjrzał się uważnie temu, którego wziął za Bossego Gränsberga. Odczepił z jednego uchwytu ochraniacz na zęby, na podbródku lśniła biała blizna.

Wyjął komórkę, zadzwonił do informacji i poprosił o połączenie z Gunillą Lange.

Odebrała, podając niepewnym głosem nazwisko. Sammy przedstawił się.

Tak, Bosse w młodości grał w bandy w Siriusie, potwierdziła, a bliznę na podbródku miał z czasów juniorów, od trafienia łyżwą.

Z kim mógłby porozmawiać, czy pamięta kogoś z trenerów lub innych zawodników? Gunilla zaproponowała, by skontaktował się z Lassem Svenssonem, restauratorem, który kiedyś grał i nadal działał w klubie. Sądziła, że będzie mógł mu udzielić potrzebnych informacji. Pamiętała, że Bosse i Lasse mówili sobie „cześć”, kiedy się przypadkiem spotykali. Ona i Bosse byli też kilka razy w jednym z lokali Svenssona i zamienili z nim parę słów.

Nim zakończyli rozmowę, spytała, dlaczego interesują go koledzy Bossego z drużyny.

– Tylko zbieramy informacje o życiu Bossego – odpowiedział Sammy i pomyślał, że zabrzmiało to trochę dziwnie.

– Ale on przestał trenować prawie dwadzieścia lat temu. Tamte czasy nie mogą mieć chyba nic wspólnego z morderstwem?

– Chyba nie – odparł Sammy.

Włożył fotografię za pasek spodni, obciągnął podkoszulek i wyszedł z mieszkania. Na podwórzu, przy drzwiach, stał dozorca.

– Niestety – powiedział Sammy – okularów tam nie ma. Ale to były takie tanie. Ciągłe je gubię.

Dozorca nie wyglądał na przekonanego.

– Czy to ma coś wspólnego z tamtą babką? – zapytał. – To znaczy, że ciągle tu chodzicie.

– Jaką babką?

Uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony, że udało mu się zwrócić uwagę policjanta.

– Nie chcę się wtrącać w prywatne życie ludzi.

Ależ chcesz, pomyślał Sammy, dlatego jesteś tu dozorcą.

– Nie, żadna kobieta nie ma z tym nic wspólnego – stwierdził obojętnym tonem, zbierając się do odejścia – chcemy tylko zamienić parę słów z Brantem.

Dozorca postąpił o krok, jakby chciał zagrozić Sammy’emu drogę.

– Czy ona jest ukrywającym się uchodźcą?

– Spieszę się – powiedział Sammy.

– Mieszkała tu. – Nilsson zniżył głos i przybrał konspiracyjny wyraz twarzy.

– Ładna dziewczyna, bez dwóch zdań, kształtna i ciemna, ale bardzo tajemnicza.

– Aha, a kiedy to było?

– Miesiąc temu. Chcielibyśmy, żeby zarząd nas informował, kto...

– Tajemnicza, powiada pan?



– Tak, prawie nie wychodziła.

Sammy czuł, że opakowanie prezerwatyw i włosy łonowe w łóżku Branta znalazły teraz wyjaśnienie.

– Pewnie zajmowali się czymś innym – skomentował.

– Tak, na pewno – rzekł dozorca, zachwycony kierunkiem, jaki przybrała rozmowa. – Teraz go nazywam dziennikurwiarzem.

– Nie wie pan, jak się nazywa ta ciemna piękność?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Kiedy znikła?

– Ostatni raz widziałem ją siedemnastego maja. To święto narodowe Norwegii. Pojechali samochodem Branta, a po kilku godzinach wrócił sam. Od tamtego czasu jej nie widziałem.

A niech mnie, ten facet jest niemożliwy, pomyślał Sammy z mieszanymi uczuciami. Pan Nilsson przez swoją niepohamowaną ciekawość musiał być prawdziwą plagą dla zarządu spółdzielni, lecz także wiarygodnym źródłem informacji.

– Na razie dziękuję – powiedział.

Wyminął dozorcę. i poszedł do samochodu.

– Była naprawdę czarna i miała kręcone włosy! – zawołał za nim Nilsson.

Sammy przystanął i odwrócił się. Dozorca miał wyczekujący, niemal pożądlivy wyraz wokół wąskich ust. Sammy zawrócił i stanął tuż obok niego.

– I to cię tak rusza, co? Że była ciemna i miała kręcone włosy? Wpuszczacie tylko Aryjczyków do waszej małej nazistowskiej wspólnoty?

Restauracja Åkanten, która miała jedną z najlepszych lokalizacji w całej Uppsali, w samym centrum miasta, nad rzeką Fyris przy kaskadzie, jak zawsze w słoneczne dni była pełna ludzi. W tle wznosiły się iglice katedry, a za placem Świętego Eryka migał dach starej kanonii.

Sammy rozpoznał kilku gości i zatrzymał się, by zamienić z nimi parę słów.

– Jesteś tu służbowo, czy głód wygnał cię na miasto? – zapytał go stary przyjaciel z drużyny bandy.

– Nie, chcę tylko trochę pogadać z Lasseem Svenssonem. Widziałeś go?

– Tak, mignął mi gdzieś przed chwilą, w turkusowej koszuli i srebrnej kamizelce.

– Szykowny strój – skomentował Sammy.

W tej samej chwili dostrzegł starego zawodnika, który w latach sześćdziesiątych był mistrzem Szwecji, a dziś właścicielem kilku restauracji w mieście. Stał oparty o metalową barierkę nad wodą i dyskutował z mężczyzną, którego Sammy słabo kojarzył – był urzędnikiem gminnym i grał na trąbce, lecz nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska. Sammy od razu do nich podszedł, wiedząc, że Svensson jest teraz jeszcze bardziej ruchliwy niż kiedyś na lodzie.

– No nie, cześć, widzę, że nas tu patrolujesz – powiedział Svensson, wyciągając rękę. – Tak, Boris na pewno cię zna – ciągnął. – Jest nawet bardziej towarzyskim gadułą niż ja.

Sammy uśmiechnął się i skinął Borisowi głową.

– To niemożliwe – stwierdził. – Wybacz, że przeszkadzam...

– Nie ma sprawy – odparł Svensson. – Będziesz coś jadł?

Sammy pokręcił głową,

– Jest coś, w czym chyba możesz mi pomóc – rzekł. – Możemy gdzieś usiąść, jeśli masz czas?

Svensson zaprowadził go piętro wyżej, gdzie mieściły się restauracje Hyllan i Guldkanten, i usiedli w fotelach.

Sammy wyjął zdjęcie drużyny.

– Sirius – powiedział, a Svensson z miejsca wyciągnął rękę i wyjął fotografię z jego dłoni.

– A niech to! – wykrzyknął. – Relikt z przeszłości. Gdzie to znalazłeś?

– Rozpoznajesz kogoś?

– Też pytanie! Grałem z większością z nich, choć są o parę lat młodszy. To liga B, ale kilku z nich awansowało do ligi A. Część grała dalej w oldboyach.

Sammy oceniał, że między Bossem Gränsbergiem i Lasse Svenssonem było na pewno więcej niż dziesięć lat różnicy.

Wyjął notes i długopis.

– Zaczynając z prawej strony od góry, to jest Ville Lagerström.

Wymienił kolejno całą drużynę, prócz paru graczy, których od razu rozpoznał, lecz nie mógł sobie przypomnieć ich nazwisk.

Sammy uzyskał potwierdzenie, że Bo Gränsberg i Anders Brant grali razem w bandy w latach osiemdziesiątych.

– Chodzi o to morderstwo, prawda? Czytałem w gazecie, coś okropnego.

Sammy nie miał powodu zaprzeczać, że Bosse Gränsberg jest powodem jego zainteresowania.

– Ale co ta drużyna ma wspólnego z morderstwem?

– Na pewno nic – stwierdził Sammy – ale sprawdzamy wszystko. Czy możesz coś powiedzieć o chłopakach na zdjęciu?

Sammy poznał biogramy wszystkich, jedno ogólne, inne bardziej wyczerpujące. Większość nadal mieszkała w mieście.

– Rolle mieszka w Edsbyn, grał tam przez kilka sezonów, poznał jakąś panią. Nie wiem nic o Svennem, obito mi się o uszy, że został policjantem w południowej Szwecji. I Patrik, on zawsze trzymał się trochę z boku, zrobił karierę w finansach, nie zgadniesz – w Norwegii.

– Czy sądzisz, że któryś z nich w ostatnim czasie utrzymywał kontakt z Bossem?

– Wątpię – odrzekł Svensson po uważnym przyjrzeniu się fotografii. – Bosse został budowlańcem i założył rodzinę. Poznałem jego żonę, naprawdę ładna dziewczyna mu się trafiła. Domyśliłem się, że dużo pracuje i nie ma czasu na sport. Na boisku też harował jak wół. Nigdy się nie poddawał, nawet kiedy byliśmy bez szans.

– A ten – zapytał Sammy, wskazując palcem – Oskarsson?

– Nie, nigdy się z Bossem nie kumplowali, to znaczy nie poza boiskiem. Pracuje w PEAB, jest tam jakimś specjalistą.

– A Brant?

Svensson pokręcił głową.

– Nie, na pewno nie, on jest dziennikarzem, takim dociekliwym. Ale był szybki, stylem jazdy przypominał trochę Alfberga, sylwetką też. Czytałem sporo tego, co napisał o Brazylii. Wiesz, że był tam dwadzieścia sześć razy? Fantastyczny kraj.

– Nie za wiele bandy.

– Za to piłka nożna.

– A Jakobsson? Wygląda trochę na cwaniaka.

– Bo trochę nim był i nadal jest. Ma stację benzynową, albo miał, zbankrutował. Ale nie sądzę, by on i Bosse mieli ze sobą coś wspólnego. Perry’ego nigdy nie trzymały się pieniądze, ale dziwnym trafem zawsze spada na cztery łapy.

– W odróżnieniu od Gränsberga – skomentował Sammy. – Jeremias Kumlin?

– Został udziałowcem spółki, a może rewidentem. Czasami tu jada. Mówił chyba, że robi interesy w Rosji. Nie w typie Bossego. Boris pewnie go zna, ale on zna pół miasta.

Przeszli w ten sposób przez wszystkie nazwiska. Sammy notował, po czym spojrział na listę.

– Praca – rzucił Svensson, jakby czytając w jego myślach. – Jak w restauracji, jedna robota goni drugą. Nigdy nie można wyluzować.

– To nie w twoim stylu – rzekł przyjaźnie Sammy – to znaczy, wyluzować. Ale chyba dobrze ci idzie?

– Nie narzekam – odparł restaurator. – Guldkanten jest wysoko na liście White’a.

– Co to takiego?

– Ranking restauracji w kraju.

– Gratuluję, to musi być przyjemne uczucie – rzekł Sammy. – I dziękuję za te wszystkie informacje, chciałbym, żeby wszyscy byli tak na bieżąco. Jeśli ci wypłyną te dwa ostatnie nazwiska, będę wdzięczny.

Wyszedł z Åkanten głodny, choć Svensson zaprosił go na lunch. Chciał wracać do pracy i swojego komputera. Trzynaście nazwisk. Wśród nich Anders Brant.



**Sammy ledwo zdążył usiąść** i zalogować się do komputera, kiedy zadzwonił telefon. Z westchnieniem podniósł słuchawkę. To był Ottosson.

– U mnie w pokoju – rzucił i rozłączył się.

Sammy wpatrywał się ze zdumieniem w słuchawkę. Szef nigdy nie wzywał go w taki obcesowy sposób. Zwykle zaglądał do pokoju i pytał taktownie, czy ma trochę czasu.

Przeczuwał, o co chodzi. Na znak protestu zamarudził jeszcze parę minut przy komputerze, a potem przeszedł powoli te piętnaście kroków, jakie dzieliły go od pokoju Ottossona, w rzeczy samej najmniejszego w całym wydziale.

Wszedł bez pukania.

– Jestem, pan sierżant wzywał.

– Siadaj – odezwał się Ottosson.

Sammy usiadł, bardziej zaciekawiony niż zmartwiony.

– Wpłynęła skarga – zaczął Ottosson.

Uważał się za funkcjonariusza publicznego, co zdaniem wielu kolegów było dość staromodną postawą, i jeśli coś go martwiło, to właśnie skargi.

– Dzwonił twój imiennik, na pierwsze ma Konrad. Jego zdaniem zachowałeś się niekulturalnie przed południem. Czuje się urażony. A ja wiem, jakie ty czasem masz podejście. Jeśli dozorca jest w porządku i chce pomóc, trzeba się dostosować. A w ogóle to co ty tam robiłeś? Jedno wejście do tego mieszkania było na granicy przewinienia służbowego, dało się je umotywować tylko tym, że mamy przesłanki, że Brant jest w niebezpieczeństwie czy coś w tym rodzaju. Ale włączenia tam co chwila nie da się obronić.

„Niekulturalnie”, pomyślał Sammy, zabrzmiało to tak, jakbym nabrudził na schodach.

Ottosson patrzył na niego surowym wzrokiem, lecz Sammy nie potrafił się tym przejąć. Wiedział, że teraz oczekują od niego, by przedstawił swoją wersję wydarzeń, lecz ogarnęło go nagłe znużenie. Postanowił pominąć Konrada Nilssona i nie zwracać uwagi na przesadną surowość szefa.

– Znalazłem powiązanie między Brantem a Gränsbergiem – powiedział.

– Aha – odrzekł Ottosson – ale powinienesz być najpierw porozmawiać ze mną albo z Fritzénem.

– Tak, ale nie zdążyłem, a raczej mi się nie chciało.

– Chciało czy nie, musimy... – zaczął Ottosson, lecz nie dokończył zdania.

Sammy opowiedział o fotografii, związku między Brantem a Gränsbergiem i o swoim pomysle, by grzebać w tym dalej i może znaleźć jakąś nić prowadzącą do kłębka.

Ottosson słuchał, lecz zrobiło to na nim umiarkowane wrażenie.

– Nazwałeś go nazistą.

– Bo nim jest – odparł Sammy.

– Złożył formalną skargę.

– Niech się pocałuje w tyłek.

– Możemy mieć problem, zwłaszcza kiedy wróci Brant. Jest przecież dziennikarzem i jeśli dozorczy przyjdzie do głowy, by go na nas napuścić, może być naprawdę nieprzyjemnie.

– Wtedy się tym zajmiemy, Otto – rzekł Sammy zmęczonym głosem. – Teraz chcę pracować.

Wstał z krzesła. Ottosson chciał chyba jeszcze coś powiedzieć na temat starcia dwóch Nilssonów, ale w końcu tylko westchnął.

– Widziałeś Ann? – zapytał.

– Nie, pewnie siedzi w Savoyu.

Cukiernia Savoy była schronieniem Ann Lindell, kiedy chciała zebrać myśli. Większość kolegów nie pojmowała, jak w tych warunkach może się oddawać jakiegokolwiek aktywności umysłowej – wśród rodzin z wrzeszczącymi dziećmi, zapalczywie dyskutujących emerytów i szczęku filizanek i talerzy.

Fredde Johansson zdążył już trochę spotulnieć. Pachniał potem i wodził spojrzeniem od Ann do jej notatnika, który kartkowała z lekkim roztargnieniem.

– Zacznijmy od początku – powiedziała. – Świadek widział, jak spacerowałaś z Klarą Lovisą drogą koło Skärfälten dwudziestego ósmego kwietnia około godziny dwunastej. Zaprzeczasz temu, ale odmawiasz konfrontacji. Czego się boisz, jeśli to nie byłeś ty?

– Co za głupoty – wymamrotał Fredde.

– Tak, z twojej strony.

– Nie byłem tam – powtórzył po raz piąty.

Ann przez chwilę siedziała w milczeniu. Lampa u sufitu w pokoju przesłuchań zamrugała i Fredde się przestraszył. Jego adwokat, Gusten Eriksson, zakaszłał.

– Myślę, że dalej się nie posuniemy – skwitował.

Ann zignorowała jego słowa. Spotkała Erikssona już wcześniej i nie miał opinii asa w swoim fachu.

– Dam ci jeszcze jedną szansę – rzekła. – Opowiedz własnymi słowami, dlaczego byliście w Skärfälten. Z tego co wiem, wyjaśnienie może być całkiem naturalne.

– Mój klient już...

– Poza tym aresztuję cię tymczasowo jako zasadnie podejrzanego o uprowadzenie człowieka. I pewnie wiesz, że ten punkt oskarżenia może się szybko zmienić na znacznie bardziej poważny.

– Uspokój się, bo pęknieś. – Adwokat podniósł głos. – Nie masz nic, co wiąże Fredrika z Skärfälten. Poza tym wcale nie jest pewne, że ta biedna dziewczyna rzeczywiście tam była.

– Fredde, mów!

– Ja nic nie wiem.

– Okej – ustąpiła Ann. – To ja powiem. Twój rodzice mają volvo, model z zeszłego roku, niebieski metallic, prawda? Czasami go pożyczasz, sam to przyznałeś. W sobotę dwudziestego ósmego kwietnia został odholowany z Skärfälten, z przystanku autobusowego jakieś dwieście metrów od bocznej drogi do Uppsala Näs. Mam dokumenty z pomocy drogowej. – Wyjęła czerwoną plastikową teczkę. – Został przewieziony do Upplandsmotor. Awaria układu elektrycznego, mam tu kopię rachunku z warsztatu. Twój ojciec odebrał go drugiego maja. Kto pojechał tym samochodem do Skärfälten, jeśli nie ty?

Fredrik Johansson przez cały czas wpatrywał się w podłogę. Kiedy Ann umilkła, zerknął szybko na swojego adwokata, nim przeniósł wzrok na nią.

– Byłem tam – rzekł schrypniętym głosem. – Wybrałem się z Klovisą na przejażdżkę, potem zepsuł się samochód. Ona poszła w swoją stronę.

– Zaczekaj – przerwała mu Ann. – Co to znaczy, że poszła w swoją stronę? Zaczęła iść z powrotem do miasta, czy co?

– Nie wiem, zmęczyła się czekaniem.

– Nic nie powiedziała?

– „Spadam stąd”.

– W którą stronę?

– Nie pamiętam.

– A ty zostałeś przy samochodzie?

– Tak.

– Widziano was na drodze do Uppsala Näs. Jak to wytłumaczysz?

– To musiał być ktoś inny.

Ann prychnęła.

– Ogarnij się, Fredde. Jesteś powiązany z tym miejscem, mamy wiarygodnego świadka, który wskazał cię spośród fotografii czterdziestu różnych młodych mężczyzn. Nawet powiedział, jak byłeś ubrany. W rzeczy, które z dużym prawdopodobieństwem znajdziemy u ciebie w domu.

– Nic nie zrobiłem – załkał Fredde.

– Może zrobimy przerwę? – wtrącił Eriksson, teraz ze znacznie mniejszym przekonaniem.

– Może nie – odparła Ann i niestrudzona podjęła wątek. – Wiedziałeś, że to jej urodziny. Byliście, wtedy albo wcześniej, w związku, ale nie spaliście ze sobą. Wiedziałeś, że chce zaczekać, aż skończy szesnaście lat. Zadzwoiłeś z propozycją małej przejażdżki. Chciałeś rozdziewiczyć Klarę Lovisę, prawda? Może

powiedziała wcześniej coś w rodzaju: „Musisz zaczekać”. W sobotę dwudziestego ósmego kwietnia nie chciałaś dłużej czekać.

Fredrik płakał.

– Teraz zrobimy krótką przerwę w przesłuchaniu Fredrika Johanssona – zarządziła Ann, wyłączyła magnetofon, wstała i wyszła z pokoju.

Za drzwiami wzięła głęboki oddech.

– Klaro Loviso – szepnęła. Oparła się o ścianę i zamknęła oczy.

Wiedziała, że może złamać Fredrika Johanssona i że to zrobi. Da im kwadrans przerwy, a potem rozmontuje ostatnie z jego kłamstw. Gusten Eriksson nie będzie wnosził żadnego sprzeciwu teraz, gdy zrozumiał, że jego klienta można powiązać z Skärfälten tamtego konkretnego dnia. Może będzie próbował przekonać Fredrika, by przedstawić to wszystko jako wypadek, że „gadali jakieś głupoty”, jak to ciągle powtarzał, i popchnął Klarę Lovisę, a ona upadła. Coś w tym stylu. Nieumyślne spowodowanie śmierci, a w najgorszym wypadku zabójstwo, taka będzie z dużym prawdopodobieństwem linia obrony.

Linia Ann było morderstwo. Zadzwoiła do Allana Fredrikssona, który mignął jej w korytarzu, i do nowego aspiranta, który powinien być z nimi, słuchać i uczyć się.

Oskar Nyman zjawił się prawie natychmiast, Fredrikssonowi zajęło to parę minut. W tym czasie streściła aspirantowi, o co chodzi. Uśmiechnął się tym przebiegłym uśmiechem, którego nie lubiła, ale mu wybaczyła, bo na pewno był zdenerwowany.

– Aha – rzucił Fredriksson, kiedy w końcu do nich przyczłapał.

– Daruj sobie ten uśmiech – odparła Ann. – Jeszcze nie skończyliśmy.

– Niezła jesteś, Ann – rzekł z uznaniem Fredriksson.

– Dobra robota – stwierdził Nyman, powtarzając jedno z ulubionych wyrażen Sammy’ego Nilssona. Ann spojrzała na niego ze zdziwieniem, a potem zaczęła się śmiać, prawdopodobnie po raz pierwszy, odkąd Brant opuścił jej łóżko.

Daję mu godzinę, pomyślała, gdy wznowili przesłuchanie o 13.22. Nyman usiadł na kulawym krześle przy drzwiach, Fredriksson zajął miejsce obok Ann. Po drugiej stronie siedzieli dwudziestodwuletni Fredrik Johansson i prawie trzy razy starszy Gusten Eriksson.

Fredrik wcześniej płakał i pocił się, w małym pokoju czuć było nieświeży zapach. Sufitowa lampa znów zamrugła, Ann wzięła to za sygnał do startu.

Po godzinie Fredrik nie wyjawiał żadnych nowych informacji.

Wtedy Nyman nagle wstał i podszedł do stołu. Fredrik skulił się jak przed ciosem.

– Weź się w garść! – Nyman podniósł głos. – Pokaż, że masz jaja!

Było to zupełnie niespodziewane i sprzeczne z tym, co Ann przekazała aspirantowi: usiądź z nami, ale się nie odzywaj.



– Tego już chyba za wiele – powiedział adwokat.  
– Siadaj, Nyman – rzekła ostro Ann, lecz on nie dał się powstrzymać.  
– Siedzisz tu i łzesz jak pies, do czego to podobne? Gówniarskie i cholernie żalosne!

Przeklęty amator, zdążyła pomyśleć Ann, kiedy Fredrik wylał z siebie przerywany szlochem potok słów.

– Nie wiem, dlaczego nie wróciła! Byliśmy w domku, było fajnie, ale ona nie chciała, gadaliśmy trochę głupot, potem poszedłem. Nie wiem, co się stało! Nie rozumiem tego! Lubilem ją!

Umilkł nagle i zapatrzył się przed siebie.

Nyman pokiwał głową, Ann dostrzegła cień pełnego satysfakcji uśmiechu na jego twarzy, zwykle pozbawionej wyrazu, nim wrócił na swoje miejsce przy drzwiach.

Ann odczekała, aż łkania trochę ucichną, nim podjęła przesłuchanie.

– W jakim domku?

– W starym domku myśliwskim, czy co to teraz jest. Nie wiem.

– Gdzie on jest?

– W Skärfälten.

– To wtedy ty i Klara Lovisa szliście drogą – skonstatował Fredriksson.

Fredrik podniósł wzrok i pokiwał głową.

– Mów do mikrofonu – upomniał go Nyman.

– Tak – powiedział Fredrik – to byliśmy my.

Popatrzył na Nymana, a potem na Ann Lindell.

– Czy widział nas ten facet na motorze?

Ann skinęła głową.

– Mów do mikrofonu – przypomniał jej Nyman.

Allan Fredriksson nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu.

**Wypytywanie lokatorów domu**, w którym Ingegerd Melander skrzyła kark, przyniosło zgodny wynik: w nocy z soboty na niedzielę w mieszkaniu Melander była głośna impreza i kłótnia. Kilku sąsiadów poświadczyło, że grała głośna muzyka, goście wchodzili i wychodzili, ktoś sikał w krzakach na podwórzu.

– Wiele razy składaliśmy skargę, nie dajemy już rady – żaliła się najbliższa sąsiadka, Anja Wilson, kobieta po trzydziestce. – Nic się nie dzieje.

O wpół do dwunastej zaczęło się uspokajać. Kilku gości opuściło hałaśliwie mieszkanie. Muzyka grała jednak do północy. Wkrótce potem zaczął się jakiś harmider.

– Jakby ktoś rozwał meble – powiedziała sąsiadka mieszkająca bezpośrednio pod Melander.

Policja znalazła w sypialni Ingegerd uszkodzone krzesło, to jednak było wszystko. Ale krzesło w rękach niewłaściwej osoby może narobić mnóstwo hałasu, jak to wyraziła Beatrice.

Potem się uspokoiło.

– Johnny Andersson zasnął – stwierdził Sammy.

Nikt nie słyszał, kiedy Ingegerd spadła ze schodów.

– W każdym razie zginęła na miejscu.

Beatrice popatrzyła na niego. Siedzieli w restauracji w budynku komendy i dyskutowali o sprawie Melander.

– Nie była aż taka pijana – zauważyła Bea.

– Wystarczająco, by potknąć się na schodach.

Sammy nie chciał myśleć o nieszczęsnej kobiecie. Kiedy czekali na ekspertyzę lekarza sądowego i obdukcję, Beatrice koordynowała rozmowy z sąsiadami i zbierała informacje o życiu Ingegerd. Miała w Norrköping siostrę, która została już powiadomiona. Jeszcze raz przesłuchała Johnny’ego Anderssona, a Sammy w tym czasie poświęcił parę godzin na trzynaście nazwisk z drużyny bandy. Po południu lista wydłużyła się do piętnastu, bo restaurator Svensson zadzwonił i podał nazwiska pozostałych dwóch graczy na zdjęciu.

Do tej pory Sammy nie doszukał się żadnych sensacyjnych informacji. Pięciu zawodników pojawiało się w rejestrze wykroczeń za drobniejsze przewinienia, tyle samo w dokumentach komornika, jeden leżał w hospicjum i umierał na raka, a dwóch od dawna przebywało za granicą. Mieli ten sam adres w pewnym nadmorskim kurorcie na Filipinach. Sammy z miejsca wyciągnął z tego wniosek, że są pedofilami.

Lista zmniejszyła się do dwunastu nazwisk. Z siedmioma Sammy zdążył się już skontaktować. Wszyscy wiedzieli, że ich stary kumpel z drużyny zginął

gwałtowną śmiercią, żaden z nich nie miał z nim kontaktu od wielu lat, w zasadzie od momentu, gdy odłożył łyżwy na półkę. Sammy próbował też trochę powęszyć wokół Andersa Branta, lecz nie trafił na nic interesującego.

Nie chciał teraz siedzieć i spekulować na temat nieszczęśliwego upadku i śmierci jakiejś pijaczki, tylko skontaktować się z pozostałymi pięcioma osobami.

– Typowe – ciągnęła Beatrice. – Kobieta umiera, sprzątajac dom, a mężczyzna leży pijany i śpi.

Sammy westchnął.

– Co powiedział Johnny?

Beatrice zreferowała mu, że potwierdził, iż się pokłócili, nic poważnego jego zdaniem, bo za dużo wypił. Pijackie pierdoły, jak określił ich wymianę zdań, nie doszło do żadnych rękoczynów. Zniszczone krzesło wytłumaczył tym, że Ingegerd zabarykadowała się w sypialni i podparła drzwi krzesłem, żeby Johnny nie mógł wejść. „Chciałem się trochę poprzytulać”, wyjaśnił. Kiedy forsował drzwi, krzesło się przewróciło i potknął się o nie, wchodząc, więc chwycił je w złości i rzucił nim o ścianę. Na ścianie sypialni jest zresztą ślad, mniej więcej na wysokości piersi.

– Zniszczenie krzesła jest przecież rękoczynem – wtrącił Sammy.

Wyobraził sobie tę scenę.

– Tak, ale nie rzucił w nią, tylko w ścianę.

– Miała brzydkiego siniaka na ramieniu – zauważył Sammy.

– Amrén sądzi, że to od upadku ze schodów.

Jonas Amrén był lekarzem sądowym, którego Sammy nazywał „tajną armią”<sup>[6]</sup>, gdyż był niezwykle małomówny.

– Pewnie skończy się na tym, że odłożymy sprawę Melander do akt – zawyrokował Sammy.

– Nie można udowodnić przestępstwa – zgodziła się Beatrice, lecz w jej głosie brzmiało rozgoryczenie.

Sammy domyślał się, że Bea podejrzewa Johnny’ego Anderssona o pobicie Melander i może nawet zepchnięcie jej ze schodów, lecz oboje wiedzieli, że na chwilę obecną nic nie potwierdza takiego scenariusza. Nie mieli z czym iść do prokuratury.

– Kiedy wypuściliśmy Johnny’ego przed południem, mówił tylko o mieszkaniu Ingegerd, czy ma szanse je przejąć.

– Ale to chyba mieszkanie komunalne?

– Oczywiście, gmina ma swoją kolejkę, ale on ciągle marudził, czy da się w jakiś sposób kupić je na czarno. Ani słowa o tym, że mu smutno, że skręciła kark.

– Daleko zajdzie w życiu – rzucił lekko Sammy i wstał. – Muszę się teraz wziąć do moich sportowców.

**Wtorkowy poranek zapowiadał się dobrze.** Słońce prześwitywało między roletą a parapetem. Ann obudziła się już o piątej. Muszę kupić dłuższą roletę, pomyślała, nie po raz pierwszy od wiosny.

Może zbudziło ją słońce, a może sen, którego resztki kołatały jeszcze w jej świadomości. Zmieszało się w nim wszystko: Fredrik Johansson, Klara Lovisa i Anders Brant, a także Sammy Nilsson i Ottosson. To nie był dobry sen. Seks, praca i dojmujące poczucie porażki, że wszystko, co robi, wymyka jej się z rąk, sprawiły, że obudziła się spocona i niespokojna.

– Tęsknię za tobą – szepnęła, odrzucając kołdrę, która za mocno ją grzała.

Anders Brant nie dał znaku życia, ani mailem, ani esemesem. Może miał kłopoty i zwyczajnie nie mógł się skontaktować, ale odrzuciła tę nieprzyjemną myśl.

Gdyby nie te niejasności wokół zniknięcia Andersa, ranek byłby całkiem przyjemny. Była na dobrej drodze do rozwiązania zagadki zaginięcia Klary Lovisy. Dziś miało się to rozstrzygnąć. Postanowiła przeprowadzić wizję lokalną z Fredrikiem w Skärfälten, by pokazać jej domek. Miał z nimi jechać przewodnik psa. Była przekonana, że znajda dziewczynę gdzieś w pobliżu.

Dobry dzień, choć nie dla Fredrika, który zostanie aresztowany za morderstwo, ewentualnie zabójstwo, o czym była przekonana.

Mama Klary Lovisy dzwoniła poprzedniego dnia, tuż przed wyjściem Ann z pracy do przedszkola. Nie rozmawiały od jakiegoś czasu, lecz Ann była pewna, że pogłoska o przesłuchaniu Fredrika rozniosła się wśród przyjaciół dziewczyny i w ten sposób dotarła również do jej matki.

Ann nie powiedziała jej o wszystkim i ukryła prawdę. Fredrik był przesłuchiwany tylko dlatego, że mógł mieć interesujące informacje, brzmiało jej białe kłamstwo.

Teraz, kiedy spędził noc w areszcie, plotka na pewno przybierze na sile.

Ciało chciało jeszcze poleżeć. Od dawna się nie wyspała, zawirowania ostatnich dni odcisnęły swoje piętno. Jeszcze tydzień temu była bezgranicznie szczęśliwa, zaspokojona i ostrożnie optymistyczna. Teraz ten obraz się rozpadał.

Była jednak jeszcze jedna, bardziej prozaiczna przyczyna zwłoki. Podnieciła się we śnie, budząc się, czuła jego dłonie na swoim ciele. Łaskotało ją w podbrzuszu, kiedy myślała o Brancie z jej snu i o tym, jak jeszcze całkiem niedawno leżał w jej łóżku.

Przesunęła dłonią po brzuchu, lecz poczuła się nieprzyjemnie na myśl, że mogłaby się pieścić sama; to byłoby jak przyznanie, że Brant już nie wróci. Autoerotyzm oznaczałby tylko powrót do wcześniejszej nędznej namiastki

prawdziwej miłości fizycznej, więc dała sobie spokój.

Zamiast tego wstała z łóżka, pociągnęła roletę, która z trzaskiem podjechała do góry, otworzyła okno i spojrzała na krzewy jaśminowca na podwórzu. Miała nadzieję, że lekki wiatr przywieje do niej ich zapach.

Choć jeszcze nie brała prysznic, włożyła świeżo uprany podkoszulek, tylko po to, by poczuć cytrusowy zapach płynu do płukania. W domu naprzeciwko mieszkało sporo rannych ptaszków na emeryturze, chętnych do podglądania policjantki topless. Wszyscy tutaj wiedzieli, kim jest. Wzbudziła pewną sensację, gdy już w pierwszym tygodniu podwiózł ją do domu oznakowany samochód policyjny.

Ptaki też miały dobry poranek. Były w pełnej aktywności, niedługo miały im się wykluc piskłeta. Dozorca domu zamontował sporo domków na rosnących na podwórzu lipach i małej oficynie. Ann widziała czasami, jak stoi i obserwuje wróble, sikorki i wszystkie inne możliwe gatunki. Miała wrażenie, że woli pierzastych lokatorów małych domków od tych zamieszkujących duży dom.

Wypełnił ją spokój, kiedy stała w oknie, spoglądając na wschodzące słońce, które właśnie pokazało się nad dachem sąsiedniego domu, krzątanie ptaszków, fruujących lekko i swobodnie tam i z powrotem, bujne kwiecie i słodki zapach jaśminowca, który przypominał jej coś z przeszłości – to wszystko zatarło nieprzyjemne wrażenie ze snu.

Przeprowadzka dobrze jej zrobiła. Coraz lepiej czuła się w nowym otoczeniu. Domy miały tu wprawdzie nieco niższy standard, lecz były bardziej przytulne, kontakt między lokatorami lepszy, małe podwórko z miejscami do siedzenia i grillem sprzyjało życiu sąsiedzkiemu.

Erik z początku marudził, ale szybko się przyzwyczyił i znalazł dwóch nowych kolegów w dogodniej odległości, jednego w klatce obok. Jesienią miał pójść do szkoły i Ann postanowiła się przeprowadzić odpowiednio wcześniej.

Dopiero tutaj zrozumiała, jak bardzo obciążone było tamto mieszkanie, obciążone dawnymi myślami, wieczorami, podczas których wypijała zdecydowanie za dużo czerwonego wina i, co nie mniej istotne, myślami o Edvardzie. Nowe mieszkanie, do tego większe, było jak nowy początek i Anders Brant bardzo dobrze się w to wpisywał.

Westchnęła głęboko i jeszcze raz wciągnęła w nozdrza zapach jaśminowca, nim poszła pod prysznic. Erik powinien wstać za kwadrans, a nie był dzieckiem, które wyskakiwało z łóżka i szybko siadało do śniadania, żeby potem pognać do przedszkola. Potrzebował sporo czasu, najpierw na powolne ubieranie, może jakąś spokojną zabawę, nim usiadł do długiego śniadania, które wykorzystywał, by zaspokoić swoją ciekawość w różnych dziedzinach. Ann bywała rano zupełnie wyczerpana odpowiadaniem na wszystkie jego pytania. Nigdy wcześniej nie spotkała tak ciekawskiej osoby – ani dziecka, ani dorosłego.

Personel przedszkola miał takie same spostrzeżenia – żartowali, że Erik zostanie świetnym policjantem. To znaczy, że ja jestem złą policjantką, myślała w takich chwilach Ann, bo nigdy nie była specjalnie ciekawa, a z upływem czasu coraz mniej interesował ją otaczający świat. Wiele razy słuchała obojętnie rozmów przyjaciół o tym i owym, także o polityce i sytuacji na świecie. Odkryła to podczas tych paru tygodni z Brantem. Nigdy nie wchłonęła tylu wiadomości w tak krótkim czasie jak w wieczory, kiedy ją odwiedzał.

Zmywała z siebie nocny pot z uczuciem nadziei na przyszłość. Przekonywała samą siebie, że wszystko się rozwiąże i ułoży: zagadka zniknięcia Klary Lovisy, wybór miejsca na spędzenie urlopu, początek szkoły Erika i, co było nie mniej ważne, jej związek z Andersem Brantem.

Punktualnie o dziewiątej rano cztery samochody wjechały na małe podwórze, a raczej na wygospodarowany z trudem placyk manewrowy.

Z pierwszego wysiedli Ann Lindell i Allan Fredriksson, a z tylnego siedzenia wygramolił się masywny posterunkowy o nazwisku Jarmo Kuusinen, który pilnował Fredrika Johanssona. Samochodem numer dwa przyjechali technicy Morgansson i Kraag, który zdążył już wyzdrowieć, z dwoma policjantami z porządkowej na tylnym siedzeniu. Po nich pojawił się przewodnik psa Vidar Arleman ze swoim towarzyszem Zero. Defiladę zamykał prokurator Sixten Molin, prowadzący to śledztwo.

Od zaginięcia Klary Lovisy upłynęło siedem tygodni. Zero niespodziewanie zaszczekał, i to wyrażało pewnie uczucia wszystkich. Napięcie wisiało w powietrzu, jak zawsze podczas wizji lokalnych. Fredriksson w czasie jazdy nawet słowem nie skomentował otoczenia. Kuusinen potwierdzał stereotyp milczących i surowych braci ze Wschodu. Wszyscy też widzieli, jaki zdenerwowany jest Fredrik, pilotujący Ann za pomocą niewielu słów. Po jego wcześniejszej aroganckiej postawie nie został nawet ślad, teraz tylko kulił się niepewnie. Już był spocony, a prognoza pogody przewidywała dwadzieścia sześć do trzydziestu stopni w cieniu we wschodniej części Svealand.

Sixten Molin jak zwykle był dość powolny, i w mowie, i w ruchach. Często się uśmiechał, zdaniem Ann trochę zbyt przymilnie, lecz ogólnie był kompetentnym profesjonalistą.

Vidar Arleman także miał powód do lekkiego niepokoju. Zero nie był jego psem. Ten odszedł niespodziewanie zaledwie tydzień temu, a przewodnik Zero leżał złożony gorączką.

Jeden z dwóch policjantów z porządkowej od razu zaczął wyjmować łopaty z bagażnika, lecz kolega go powstrzymał, więc stał teraz w cieniu drzewa, przestępując z nogi na nogę.

Tylko Morgansson i Kraag wyglądali na dosyć odprężonych; wzięli bez pośpiechu swoje walizki i rozejrzeli się dookoła. Kraag wskazał na coś, co

przyciągnęło jego uwagę, Morgansson spojrział w górę i parsknął śmiechem. Ann spojrzała w kierunku wskazanym przez Kraaga, lecz nie zauważyła niczego oprócz paru brzoź i stosu drewna.

Ścieżka między brzożami prowadziła do omszałych kamiennych płyt i zagłębień terenu wyglądających jak moczary. Ona może leżeć tutaj, pomyślała Ann, obserwując Fredrika. Stał bez ruchu obok Kuusinena i wpatrywał się w domek.

Ann nie mogła uwierzyć, że to był domek myśliwski. Dlaczego w takim razie stał tutaj? Fredriksson skłaniał się ku wersji, że był to stary warsztat robotnika leśnego.

– Przypomina ostatnią kwaterę Gränsberga – powiedział. – Przyspieszmy trochę?

Ann specjalnie zwlekała, by młody człowiek trochę się uspokoił i przyzwyczaił do widoku tego miejsca, ale teraz skinęła głową i podeszła do niego.

– Jak się czujesz?

– Nie najlepiej – przyznał Fredrik i wyrażała to cała jego fizjonomia.

– Więc przyszlście tutaj? Byłeś tu już wcześniej?

– Na grzybach z mamą i siostrą. Zaparkowaliśmy w tym miejscu, ja się zmęczyłem grzybobraniem i wróciłem do samochodu. Wtedy zobaczyłem, że ten domek nie jest zamknięty na klucz.

– I pomyślałeś, że byłby dobry na randkę z Klarą Lovisą.

Fredrik skinął głową.

– Nikt nie miał nas widzieć. Klovisa była... nie chciała, żeby to się wydało.

– Rozumiem – rzekła Ann – więc przyszlście tutaj, był koniec kwietnia, wprawdzie słoneczny, ale czy w środku nie było trochę obskurnie?

– Nie, przynajmniej dla mnie. Chociaż Klovisa uważała, że trochę tak.

– A ogólnie była w dobrym humorze? To znaczy, cieszyła się, że miała urodziny i w ogóle?

– Tak, myślę, że się cieszyła.

Fredrik skulił się, a Kuusinen patrzył z pogardą, jak chowa twarz w dłoniach.

– Weszliście do środka – ciągnęła Ann i sama zaczęła iść. Dała znak Kussinonowi, który wziął Fredrika pod ramię i popychał przed sobą. Ann zobaczyła kątem oka, że prokurator i Fredriksson idą za nimi.

Doszli do domku. Ann wyjęła plastikową rękawiczkę i ostrożnie otworzyła drzwi dwoma palcami. Stęchłe powietrze buchnęło jej w twarz.

Weszła po trapie pełniącym rolę schodów, zajrzała do środka i zwróciła się do Fredrika.

– Nie wygląda to na gniazdko miłosne – powiedziała.

Fredrik patrzył na nią wzrokiem bez wyrazu.

– Weszliście do środka i co stało się potem?

– Byliśmy tam i...

– Zaczęliście się miętosić, krótko mówiąc – wtrącił niespodziewanie Kuusinen ze swoim śpiewnym fińsko-szwedzkim akcentem.

– A potem Klara Lovisa już nie chciała, prawda? Mówiłeś, że się rozmyśliła. Fredrik skinął głową.

– Mówiłeś też wczoraj, że zaczęła gadać głupoty, co to znaczy?

– Powiedziała przecież, że chce, a potem nic z tego nie wyszło. Chciała tylko wracać do domu.

– Ale ty chciałeś?

Nie odpowiedział.

– Pokłóciliście się? Chwyciłeś ją, potrząsnąłeś?

– Nie, próbowałem ją objąć, ale mnie uderzyła.

– A ty jej nie oddałeś, to znaczy, odruchowo?

– Całkiem straciłem parę i tylko stąd poszedłem.

– Jak długo tu byliście?

– Może kwadrans, nie więcej. Potem poszedłem. Wiedziałem, że Klovisa nie zmieni zdania. Zawsze była cholernie uparta. Przysięgam, że tak było!

– A ona została?

– Nie wiem.

– Nie czuleś się podle?

– Tak, potem, ale wtedy było już za późno.

– Okej – powiedziała Ann i zerknęła na prokuratora, który pokręcił głową – teraz wrócisz do komendy, a my przeprowadzimy badanie domku. Uważam jednak, że dobrze się stało, że udało nam się zajść tak daleko. Dobrze się spisałeś.

Kuusinen zrobił minę, która jasno wyrażała, co myśli o Fredriku Johanssonie, po czym wziął go za ramię i obrócił w drugą stronę.

Ann patrzyła, jak Kuusinen, Fredrik i Allan Fredriksson wsiadają do samochodu. Fredriksson wykonał kilka precyzyjnych manewrów, by wyjechać z placu, i trzęsąc się na nierównej drodze, znikł z pola widzenia.

Ann uzgodniła z Sixtenem Molinem, że wróci z nim do Uppsali.

– Co o tym sądzisz? – zapytała.

– Nie wygląda to najlepiej dla naszego Fredrika – odrzekł Molin.

– Teraz spuścimy psy – oznajmiła Ann.

– Psy?

– Zero, Morganssona i Kraaga – wyjaśniła.

Vidar Arleman niepotrzebnie się denerwował. Zero, który najpierw powąchał kilka ubrań, jakie policja dostała od rodziców Klary Lovisy, od razu oznaczył drzwi domku, choć przewodnik nie sądził, by zapach dziewczyny utrzymał się tam przez dwa miesiące. Nie pozwolono psu wejść do środka. Najpierw swoją pracę musieli wykonać technicy.



Arleman zataczał potem z psem kręgi, coraz bardziej oddalając się od domku, przeszukał plac i otaczający go skraj lasu. W prześwicie między brzoźami, gdzie znikła ścieżka, Zero zaszczekał i pociągnął w tamtą stronę. Arleman wiedział więc, że biegnie tam jakaś droga. Spuścił psa, który z nosem centymetr nad ziemią ruszył energicznie do przodu.

Przewodnik szedł powoli za nim, reszta czekała na początku ścieżki. Zero wszedł na jakieś trzydzieści metrów w głąb lasu i nagle się zatrzymał. Przed nim otwierała się polana.

Ann, której przemknął przez głowę inny las i polana w Rasbo kilka lat temu, poszła za Arlemanem. W połowie drogi odwróciła się i zobaczyła, że prokurator z uśmiechem skinął głową.

Uśmiechamy się, gdy znajdujemy zwłoki, pomyślała Ann, bo teraz była przekonana, że znajdą Klarę Lovisę.

Zero znikł w jakichś chaszczach i po chwili potwierdził jej przypuszczenia krótkim, ostrym szczeknięciem.

W piękny czerwcowy dzień o godzinie 12.20 wykopano ciało Klary Lovisy Bolinder. Było przykryte grubą na metr warstwą ziemi, gałęzi i mchu.

Została pochowana na wznak z rękami spoczywającymi wzdłuż ciała, które było w częściowym rozkładzie. Ann nie mogła uniknąć widoku rojącego się w nim robactwa.

Nie mieli jednak wątpliwości, że to Klara Lovisa, zachowała się wystarczająco duża część twarzy, by umożliwić identyfikację. Poza tym ubrania zgadzały się z tym, co miała na sobie w dniu zaginięcia.

– Miała kupić wiosenną kurtkę – rzekła Ann, nie mogąc powstrzymać łez.

Arleman wrócił z Zero do samochodu, kiedy tylko zaczęli kopać, a inni stali wokół wykopu, jakby brali udział w pogrzebie.

Prokurator był wyraźnie poruszony, jeden z policjantów puścił półgłosem wiązankę, podczas gdy jego kolega stał wsparty na łopacie i wyglądał na zmartwionego, jak gdyby żałował, że dał się w to wszystko wciągnąć. Morgansson przemknął za plecami Ann i położył na parę sekund dłoń na jej ramieniu.

Tylko Kraag pracował. Przy użyciu kamery wideo i zwykłego aparatu dokumentował to, co przez dwa miesiące było miejscem spoczynku Klary Lovisy.

Ann wiedziała już, że coś się nie zgadza, lecz nie była w stanie normalnie myśleć. Jej myśli zajmował koszmarny obowiązek powiadomienia rodziców dziewczyny, że ich córka w dniu swoich szesnastych urodzin została zamordowana i zakopana w lesie, może po wcześniejszym zgwałceniu.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na szczątki Klary Lovisy, jasne włosy, teraz ubrudzone ziemią, drobne dłonie i wysunięty język, który już częściowo się rozłożył i nadawał jej twarzy błazeński wyraz, jakby pokazywała im go po śmierci. To była najgorsza rzecz, jakiej dotąd doświadczyła. Poczwała impuls, by wejść do

wykopanego grobu, zebrać resztki mchu z jej czoła, podnieść ją i przywrócić do życia.

Załkała w przypiływie nienawiści do tego albo do tych, którzy to zrobili, nim wzięła się w garść i uniosła głowę. Policjant stał po drugiej stronie wykopu na tle wierzby, ich spojrzenia się spotkały. Przestał już przeklinać i wyglądał teraz na speszonego.

Z głębi lasu usłyszeli śpiew ptaka. Wiatr zawiewał między drzewami, kołysząc gałązkami wierzby, poruszając z wdziękiem liśćmi i przynosząc zapachy lata.

Obiecuję ci, Klaro Loviso, pomyślała Ann, że... zabrakło jej słów, nie była pewna, co powinna obiecać, co może obiecać i ile taka obietnica jest warta.

Odwróciła się i poszła ścieżką do samochodu, starając się nie rozglądać na boki i nie myśleć. Słyszała, jak idzie za nią prokurator.

W tylnej kieszeni zapikowała komórka. Wyjęła ją i sprawdziła na wyświetlaczu: „Nowa wiadomość”. Brzmiała ona: „Trochę roztrzęsiony. Byłem świadkiem morderstwa. Mogą być problemy. Odezwę się. Ściskam. Anders”.

Ann wpatrywała się w wyświetlacz.

– Tak, to okropne – przyznał prokurator Molin, źle interpretując jej reakcję.

– To nie do wiary! – wybuchła Ann.

Uderzyła dłonią w dach samochodu. Chciała rzucić komórkę na ziemię, podeptać ją, zniszczyć Branta, lecz odwróciła się instynktownie, by Molin nie zobaczył rozmiaru konsternacji, która, jak sądziła, była wypisana na jej twarzy.

Prokurator czekał, gotowy wejść do samochodu, lecz zawahał się i spojrzał na nią zaskoczony.

– Jak się czujesz? Coś się stało?

Ann pokręciła głową ze wzrokiem utkwionym w las.

**Kiedy rozmowa dobiegła końca**, stał jeszcze długo ze słuchawką w dłoni, nim wreszcie ją położył. Patrzył niewidzącym wzrokiem przez okno w głąb podwórza, nim powoli przybrało formę: podniszczona huštawka, z której korzystały sporadycznie tylko dzieci sąsiadów, jabłoń, która tej wiosny kwitła jak nigdy dotąd mimo ataku szkodników, bladozielony, porośnięty mchem trawnik, schowany pod stertą chrustu wyrastającą na jego oczach, stały się symbolem tego, jak pojmował życie.

Poprzedniego dnia zrobił to, o co Henrietta suszyła mu głowę od kilku tygodni: przyciął żywopłot z głogu do odpowiedniej wysokości. Teraz należało usunąć gałęzie. Nie miał na to ochoty, nie miał czasu. Nienawidził głogu z piekielnie klującymi kolcami i rozłożystymi gałęziami, które trudno było w efektywny sposób załadować na przyczepę. Trzeba będzie obrócić kilka razy. Do tego jego własna przyczepa nie miała przeglądu i będzie musiał wypożyczyć inną.

Powinniśmy byli zaprojektować inny żywopłot, pomyślał. Wiele rzeczy powinni byli zrobić inaczej. Powinniśmy byli zamieszkać gdzie indziej, zamiast żyć w tym gównianym kraju, myślał czasami.

Takie myśli nawiedzały go i odchodziły w ostatnim czasie, ale zawsze je odsuwał jako nierealne. Zajmowało go tyle innych spraw. Jutro musi zaczekać, miał takie poczucie od dobrych paru lat. Marzenia muszą zaczekać.

Miał za dużo pracy, lecz zarazem nie mógł narzekać, bo właśnie to przewidywał i planował, wiedział o tym już wtedy, kiedy upadł mur. Pracował wówczas w głównej siedzibie SE-banku, był jednym z tych, którzy odnieśli sukces, szczeniakiem, który teraz wyrósł na... no właśnie, na co? Psa bojowego? A może mądrego pudła? Zmęczonego bernardyna?

Nie, stwierdził, jestem doświadczonym psem myśliwskim z wyostrzonym węchem, ogarem.

I wszystko szło dobrze, firma założona w 1993 roku rozwinęła się w jedną z najprężniejszych na rynku wschodnioeuropejskim. Wielką satysfakcję sprawiała mu myśl, że miał rację. Że robił właściwe rzeczy we właściwym porządku i miejscu, z właściwymi ludźmi.

Czy z właściwymi ludźmi? Miał powód, by czasem w to wątpić, zwłaszcza po ostatnim telefonie z Moskwy, a ściśle z daczy znajdującej się parędziesiąt kilometrów na południe od rosyjskiej stolicy. Oleg pasożytował na mieście, lecz nie chciał już w nim mieszkać. Było zbyt brudne, zbyt biedne i jeździło w nim za dużo samochodów, tłumaczył. Jeremias Kumlin podejrzewał, że również przypominało mu za bardzo o przeszłości, o wstydzie i brutalności z czasów jego dzieciństwa i młodości.

W wiejskiej dacz, pierwotnie zbudowanej dla jednego z wysokich rangą funkcjonariuszy partyjnych, mógł żyć pełnią życia oligarchy, którym był, nie przejmując się miejskim hałasem i brudem, alkoholizmem i przestępczością. Dwaj synowie, blade kopie jego samego, jakby nigdy nie zaznali słońca ani prawdziwego życia, byli już dobrze obeznani ze stolicami Europy. Zwiedzili też Sztokholm i Uppsalę, z Jeremiasem jako przewodnikiem. Nawet mieszkali przez parę dni u niego w domu, zakwaterowani w suterenie.

Ich matka zmarła pod koniec lat dziewięćdziesiątych, Oleg twierdził, że na raka, lecz Kumlin podejrzewał samobójstwo. Wcześniej należała do partii, a teraz z narastającym strachem i smutkiem obserwowała demontaż dawnego społeczeństwa, terapię szokową mającą na celu „modernizację” Rosji. Równie mocno przerażały ją okrucieństwa dziejące się w Czeczenii. Podczas tych paru razy, kiedy się spotkali, Kumlin miał wrażenie, że jest jedyną uczciwą osobą w tej rodzinie, a może w całej Moskwie.

Teraz Oleg był powtórnie żonaty z kobietą, która najbardziej przypominała karykaturę nieco zbyt pulchnej prostytutki, z dużymi, często źle umalowanymi ustami, zaniedbanymi zębami, prawie zawsze na lekkim rauszu – przedstawicielkę nowej rosyjskiej ekonomii.

Kiedy Oleg potrzebował trochę ruchu, jechał pięćset metrów do własnego małego pasa startowego. Miał tam swój prywatny samolot. Nie miał zaufania do żadnego innego środka lokomocji, szczególnie do Aerofłotu. Nie mogę niczego ani nikogo obwinać, myślał Jeremias, podczas gdy sterta gałęzi rosła w jego oczach. Od samego początku wiedział, czym zajmuje się RHSKL GAS, lecz odsunął od siebie wątpliwości, bo od razu wyczuł potencjał. Weźmy choćby te szatańskie skróty, dziedzictwo czasów komunistycznych, długie kombinacje znaków, które dla Jeremiasa Kumlina stanowiły symbol nepotyzmu i korupcji. Tyle można było ukryć za rzędem liter.

Wybrał dobrze, a jednak źle.

I teraz ten śmieszny policjant Nilsson! Najdziwniejsze było to, że mówił tylko o jakimś zdjęciu zrobionym parę dekad temu. Nilsson twierdził, że dzwonił do wszystkich zawodników, by stworzyć obraz zamordowanego. Od razu wyczuł, że to tylko pretekst, lecz w toku rozmowy był coraz mniej pewny, czy to dobre wytłumaczenie.

Poza tym pytał go, czy miał kontakt z innymi kolegami z drużyny. Kumlin wyczuwał ukryty podtekst tego pytania. Odniósł sukces na rynku wschodnim między innymi dlatego, że umiał czytać między wierszami. Może policjant myślał, że ktoś z drużyny ma coś wspólnego ze śmiercią Gränsberga?

Kiedy przeczytał w gazecie o morderstwie, najpierw się przeraził, ale gdy mijały dni i nic się nie działo, jego niepokój trochę zmalał. A potem ta rozmowa. O fotografii sprzed dwudziestu lat!

I jakby tego nie było dosyć, w pół godziny później zadzwonił Oleg. Co za cholerna amatorszczyzna, żeby dzwonić! KGB, GRU czy jak się tam nazywali teraz ich następcy, na pewno podsłuchuje jak za czasów komunistycznych.

Głos Olega jak zwykle brzmiał swobodnie, ale Kumlin już od dawna nie dawał się zwieść. Za gładkimi słowami czaiła się mowa władzy i jawna pogrożka. Zapewnił Olega, że nie ma powodu do obaw.

Kumlin był małym graczem, którego zastąpienie byłoby wprawdzie pewnym problemem, ale w razie potrzeby, w razie najmniejszego nieporozumienia czy niepewności co do jego dalszej przydatności poświęciliby go, nie wątpił w to ani przez chwilę. Oleg nie miał w sobie cienia lojalności, zbudowanej na nostalgii i względach humanitarnych.

Powinien był wiedzieć! Oleg też, ale na etapie planowania projekt zdawał się nie mieć słabych punktów i mógł nawet dać pewien prestiż do wykorzystania w przyszłości. Później jednak Kumlin zrozumiał, że idiotyzmem było wejście w problemy ochrony środowiska. Było tam za dużo sporów, zbyt wiele względów politycznych, zbyt wielu idealistów. Ropa i gaz to co innego, z góry było wiadomo, że chciwość ustala porządek dnia i kieruje rozwojem wydarzeń, mechanizmy są proste i uniwersalne, a tych, którzy biorą w tym udział, z całą pewnością nie można nazwać idealistami.

A dziennikarzy, którzy zaczęli mieć wątpliwości i węszyć, można było po prostu odstrzelić. Dobrze ilustrował to przypadek Anny Politkowskiej. Musiała zapłacić za to życiem, ku przestrodze innym.

Także w Szwecji byli dociekliwi. Uwielbiali grzebać w gównie i wywlekać historie, które uważali za skandal, moralizatorscy szczekacze. Jak choćby ten z Radia Szwecji, jakiś Fin, uparty jak cholerny jamnik, który musi wleźć w każdą lisią norę. Kumlin spotkał się z nim na przyjęciu w Moskwie, zorganizowanym przez jakiś „fundusz rozwoju” zasilany przez uralską mafię. Kumlin nie wiedział wtedy, kto to jest, przyjął za pewnik, że to jeden z tych konsultantów czy pomocników, którzy zawsze chcą być na widoku. Rozmawiali przez dłuższą chwilę, Fin odślonił wyjątkową niekompetencję, stawiając tak naiwne pytania, że Kumlinowi było go prawie żal i mógł się trochę popisać przed żółtodziobem, słuchającym go w milczeniu i z nieskrywanym podziwem.

Jakieś pół roku później usłyszał go w migawce w Ekot, strzelającego cyframi i innymi faktami z tym swoim charakterystycznym akcentem. Wtedy nie był już niekompetentny ani nieśmiały. Tamta sprawa dotyczyła projektu pomocowego dla Rosji, w którym brali udział szwedzcy producenci mleka i grupy interesu. Pieniądze znikły nie wiadomo gdzie, wyznaczone cele były równie odległe jak na początku, wszyscy obwiniali wszystkich. Innymi słowy, jedno wielkie bagno.

Wiedział też, że to on musiałby wziąć na siebie najgorsze, jeździć i zwracać pieniądze, niemożliwe zadanie, które oznaczałoby koniec. Może nawet stanąłby

przed sądem.

Oleg miał mocną pozycję w Rosji, zawsze mógł wyjść z tego bez szwanku, na swojej liście płac miał wielu sędziów i polityków, więc wywinąłby się jak zwykle. W najgorszym wypadku mógł zastrzelić jakiegoś niewygodnego urzędnika, żeby pokazać, kto ma decydujący głos w sprawie metod biznesowych.

Poświęciłby Jeremiasa Kumlina bez litości, może nawet z szyderczym śmiechem.

Kumlin będzie musiał wkrótce jechać do Moskwy. Ale najpierw, jako warunek konieczny przed podróżą, musi rozwiązać problem z Gränsbergiem, tylko jak? To wszystko było jakąś nieprawdopodobną historią, przerażającą go jak wielki stos gałęzi z głęboko wrosniętymi kolcami. Stos, który z każdym dniem rósł coraz bardziej.

Przeklinał siebie, że w ogóle go wpuścił. Może tliła się w nim jeszcze jakaś resztką poczucia lojalności. Gränsberg na boisku był jego przeciwieństwem: duży, trochę niezgrabny, lecz niesłychanie pracowity. Swoje przeciętne umiejętności łyżwiarskie kompensował rzadko spotykanym wyczuciem gry.

On sam był elegancki, niski i szczupły – „wirtuoz łyżew”, jak go opisał pewien dziennikarz – i potrafił wykorzystać ładne i mocne podania Gränsberga, często przez pół boiska, zabójcze bomby po lodzie lub lekko podkrecone, prosto na łopatkę kija.

Rozmawiali o bandy przez kilka minut, komentując niepewny los Siriusa. On w przeciwieństwie do Gränsberga nie chodził już na mecze na boisku Studenternas. Potem, po krótkim milczeniu, Kumlin domyślił się, że Gränsberg ma problem z wyłożeniem swojej sprawy, lecz powiedział w końcu, że potrzebuje pieniędzy na „dobry interes”.

Przeczytał w gazecie o dawnym koledze z drużyny i jego sukcesach i wpadł na pomysł, by Jeremias wsparł go pożyczką, oczywiście na odpowiedni procent, jak od razu zaznaczył.

Gränsberg nie podał żadnych wyliczeń, nie przedstawił swojej sprawy w sposób błyskotliwy ani nawet sensowny. Za dużo gadał, wpadał w dygresje. Jeremias dał mu się wypowiedzieć, nim odmówił. Wiedział z doświadczenia, jak niebezpiecznie jest wdać się w dyskusję, stawiać pytania i dawać dobre rady; nie, spławił go od razu, uprzejmie, lecz stanowczo.

Gränsberg przyjął to nadspodziewanie spokojnie, podziękował za wizytę i poszedł. Po tygodniu znów się pojawił. Tym razem Henrietta była w domu, Jeremias słyszał na górze maszynę do szycia i się zdenerwował. Nie znaczy nie. Nie było nic do dodania. Tym razem mówił ostrzejszym tonem, chciał pozbyć się Gränsberga, nie chciał, by Henrietta usłyszała, że ma gościa, zeszła na dół, może zaprosiła go na kawę, bo taka była, zawsze otwarta na ludzi, bezkrytyczna.

Poprosił Gränsberga, by zaczekał, i poszedł na górę do gabinetu po trochę

gotówki, to nie zajęło dużo czasu. Jednak gdy wrócił, hol był pusty, Gränsberg znikł, zostawiając otwarte drzwi wejściowe. Jeremias stał przez chwilę z dwoma banknotami pięćsetkoronowymi w ręce.

Dopiero wieczorem zrozumiał, co się stało. W parę dni później opisał to w mailu do Olega. Od tamtej pory źle spał w nocy, a pierwszym uczuciem, jakiego doznawał rano, był strach.

A teraz Bosse nie żył.

*The old man is back!* – zawołał Sammy Nilsson, mijając pokój Ann.

„Starym człowiekiem” nie mógł być nikt inny jak Eskil Ryde, wydedukowała. Uśmiechnęła się. Sytuacja w wydziale technicznym była, delikatnie mówiąc, trudna, z połową siły roboczej na zwolnieniach, Jakobssonem na urlopie i trzema dość obszernymi śledztwami jednocześnie: w sprawie zamordowania Gränsberga, upadku Ingegerd Melander ze schodów i teraz morderstwa Klary Lovisy.

Wezwanie Rydego mogło być zatem konieczne. Ann wyobraziła go sobie, burkliwego, a jednak zadowolonego. Zwłaszcza że nie było nowego szefa, Jakobssona.

Sammy znów przeszedł korytarzem, tym razem w przeciwnym kierunku.

– Hej, Sammy! – krzyknęła za nim Ann.

Usłyszała westchnienie, kiedy się zatrzymał, cofnął o parę kroków i stanął w otwartych drzwiach. W jednej ręce trzymał plik papierów, palcami drugiej bębnił w futrynę.

– Sammy, bystrzaku, ile czasu trzeba, by wykopać metr ziemi o wymiarach, powiedzmy, metr osiemdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów?

– To zależy od ziemi, czy jest twarda, czy nie.

Sammy potrafił przynajmniej sprawiać wrażenie eksperta w najróżniejszych dziedzinach. Choć było mocno wątpliwe, czy ma jakiegokolwiek doświadczenie w kopaniu, lubił liczyć i chętnie się tym popisował, więc oderwał się od drzwi, wysunął krzesło dla gości i usiadł.

– Kamienie, patyki i ziemia.

– O cholera – mruknął Sammy. – Taki opis powinien usłyszeć Allan.

– Tak, ale rozumiesz, to nie wyglądało na twarde jak skała.

– Trzy kwadranse, godzinę – ocenił Sammy – jeżeli się ma porządną łopatę.

– Właśnie, żadnego narzędzia też nie znaleźliśmy.

– Też?

– Grób był wyczyszczony z wszystkiego, prócz srebrnego naszyjnika. Żadnego portfela ani komórki, opróżnione kieszenie. Żadnych odcisków palców, których może się nie spodziewaliśmy, ale tak czy inaczej, żadnych innych śladów. To była czysta robota, jeśli można tak powiedzieć – ciągnęła Ann.

Tak jakby chciała przetrwać to wszystko jeszcze raz, teraz z Sammym jako partnerem sparingowym.

– W każdym razie naprawdę się postarał. Większość wrzuca tylko na wierzch trochę mchu i liczy na łut szczęścia. Jeśli ktoś chowa ciało w grobie głębokim na metr, jest spora szansa, że będzie tam spoczywać w pokoju.



Ann pokiwała głową.

– Właśnie ten sposób działania mnie zastanawia – powiedziała. – Pomyśl tylko! Fredrik właśnie udusił młodą dziewczynę, z którą chciał uprawiać seks, i może nawet ją zgwałcił. Może chce ją uciszyć, uderza, próbuje zatkać jej usta, ona się broni, on chwytą ją za szyję, przyciska jej głowę do podłogi. Ona nieruchomieje. On widzi, że nie żyje. Bierze skądś łopatę i...

– Może była w tym domku – wtrącił Sammy.

– Może, lecz ogólnie wystrój był tam dość spartański, tylko krzesło i drewniana skrzynia, więc czemu miałyby tam akurat stać łopata i czekać, aż ktoś jej użyje? Ale dobrze, bierze łopatę, która tam stoi, albo, jak ja uważam, zdobywa skądś łopatę, wykopuje wielką jamę pięćdziesiąt metrów dalej, przenosi ciało i zakopuje.

– Tak, pewnie tak to się odbyło – przytaknął spokojnie Sammy.

– Nie, to się tak nie odbyło. Fredrik to nie jest ten typ. On by się posikał, skulił w kącie i rozpadł na kawałki.

– Widzieliśmy dziwniejsze rzeczy.

– Masz rację, ale to jest zbyt profesjonalne, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Żadnego błędu. I nawet jeśli przyjmujemy, że Fredrik jest taki opanowany i robi wszystko, jak trzeba, teoria upada z innego powodu.

Ann umilkła.

– Czyli?

– Schemat czasowy. Nigdy nie uda się nam go skazać. Klara Lovisa wyszła z domu o wpół do jedenastej. O wpół do dwunastej Yngve Sandman widzi ich na szosie. To brzmi wiarygodnie. Fredrik do niej zadzwonił, zabiera ją z jakiegoś miejsca, rozmawiają trochę w samochodzie, jadą do Skärfälten, mają awarię silnika i postanawiają przejść ostatni odcinek pieszo. Możemy tylko zgadywać, co się dzieje potem. W godzinę i kwadrans później, czyli za piętnaście pierwsza, Kjell Pettersson z pomocy drogowej przyjmuje zgłoszenie. Prowadzi dziennik, więc ma pewność co do czasu. W kwadrans później jest na miejscu. Fredrik stoi przy samochodzie i czeka. Wygląda zupełnie normalnie, żartuje trochę z Petterssonem, jedzie z nim jego wozem. w pół godziny później samochód jest w warsztacie.

Pomysł Ann, by sprawdzić pomoc drogową, był liczeniem na łut szczęścia. Aby pobudzić myślenie, wyjechała z miasta i stanęła przy drodze krajowej 72, obserwując samochody, autobusy, ciężarówki i inne pojazdy jadące wartkim strumieniem. Jak Fredrik i Klara Lovisa dostali się do Skärfälten? Autobus był jedną z możliwości, wtedy poszliby pewnie na przystanek naprzeciw Flogsta, znajdujący się jakieś dziesięć minut drogi od Berthåga i domu Klary Lovisy, ale czy to było prawdopodobne? Fredrik na pewno chciał jej zaimponować, zajeżdżać z fasonem samochodem ojca, zamiast się tłuc podmiejskim autobusem.

Stojąc na poboczu, Ann wyciągnęła z tego wniosek, że coś się stało z

samochodem, ale Fredrik się nie poddał, pożądanie to szczególna siła napędowa, i zaczęli iść do domku pieszo.

Od razu zadzwoniła do aspiranta Nymana, który chętnie wziął na siebie zadanie obdzwonienia okolicznych punktów pomocy drogowej. Ona sama nie miała pojęcia, ile ich jest.

– Nieco ponad godzinę – rzekł Sammy – na chwilę pieszczot, protesty ze strony Klary Lovisy, uduszenie, pochowanie i powrót do samochodu. Ale mógł zadzwonić do pomocy drogowej z domku. Wiedział, że chwilę potrwa, zanim przyjedzie.

– To prawda – zgodziła się z nim Ann – ale w ciągu tych siedemdziesięciu pięciu minut on i Klara Lovisa musieli jeszcze przejść ostatni odcinek do domku. Przeszłam się na próbę z miejsca, w którym widział ich Sandman. Zajęło mi to trzynaście minut dość szybkim krokiem. Jego adwokat rozbija schemat czasowy w pył.

– Myślisz, że ktoś inny wykopał jej grób?

Ann skinęła głową.

– I sąd w to uwierzy, jeśli obrona dobrze rozegra swoje karty.

– Jak wpadł na pomysł, by ją tam zabrać?

– Zbierał w tej okolicy grzyby z mamą. Domek na pewno stoi tam od dobrych paru lat. Z tego, co zrozumiałam, nie po raz pierwszy zabrał tam dziewczynę.

– Więc uważasz, że nie jest winny morderstwa?

– Winny, że ją tam zaciągnął, lecz może nie morderstwa.

– Kto?

– Zgadnij, co wymyśliłam.

– Są trzy możliwości – odrzekł Sammy. – Pierwsza – palec wskazujący wystrzelił w powietrze – Fredde wrócił później, druga – kolejny palec – jakiś miejscowy natknął się na Klarę Lovisę i ją udusił i trzecia: ktoś inny przyszedł do domku po odejściu Fredrika, odebrał jej życie i spokojnie wykopał grób.

– Też tak myślałam – przyznała Ann, przyglądając się trzem palcom Sammy'ego, kciukowi, środkowemu i wskazującemu, których układ przypominał obsceniczny gest.

– Trzeci człowiek – powiedział Sammy z uśmiechem i zaczął gwizdać, lecz umilkł, widząc udręczoną minę Ann.

Uniósł plik papierów znaczącym gestem i chciał już wstać, lecz zaraz opadł z powrotem na krzesło.

– Czy w pobliżu są jakieś chałupy, z których Fredrik lub ktoś inny mógłby wziąć łopatę?

– Pięć domów w promieniu trzystu metrów, w tym Yngvego Sandmana – odpowiedziała Ann. – Założę się, że Nyman zbierze wszystkie szufle i łopaty z

tych miejsc. Jest synem rolnika, więc ta robota do niego pasuje.

– Słyszałem, że był podczas przesłuchania Fredrika – rzekł Sammy.

– Aha, Allan wygadał – skonstatowała Ann ze zmęczonym uśmiechem. – No tak, metoda szokowa, do tego czystym zachodnim dialektem, może przerazić każdego twardziela.

– Więc Ryde dostanie pięćdziesiąt łopat do przejrzenia?

Ann z roztargnieniem pokiwała głową. Sammy wstał, wiedząc, że jest już myślami gdzie indziej. Jej twarz przybrała ten zamyślony, nieobecny wyraz, jaki często się na niej pojawiał w ostatnim tygodniu, i Sammy był ciekaw, czy coś jest na rzeczy w spekulacjach Morganssona o jej romansie z Haverem. Po komendzie krążyła już plotka, że Haver się rozwodzi. Rozmawiał z Beatrice i przeproszał ją, a potem poprosił Ottossona o kilka dni wolnego, by uporządkować sprawy domowe.

Haver nie wspomniał nawet słowem o rozwodzie, lecz wszyscy zakładali, że to był powód jego coraz gorszego samopoczucia w ostatnim czasie. Ottosson zaproponował mu wielkodusznie, by „popracował zdalnie”, i uzgodnili, że dalej będzie próbował ustalić, gdzie jest teraz Anders Brant – czy został w Hiszpanii, czy wyruszył w dalszą podróż.

Haver nawiązał już kontakt z Interpolem i policją na madryckim lotnisku, lecz wydobycie list pasażerów od różnych linii lotniczych okazało się trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Hiszpańska maszyna została jednak puszczona w ruch, jak to wyraził Ottosson na jednym z zebrań.

Sammy przyglądał się Ann. Czy ona nie schudła? Wyglądała w każdym razie na bladą i zmęczoną i podejrzewał, że śmierć Klary Lovisy nie jest jedynym powodem. Zastanawiał się, czy zapytać ją, co się dzieje, lecz go uprzedziła.

– Sammy, zostań jeszcze chwilę – poprosiła, wskazując na krzesło, z którego właśnie wstał.

Coś w jej głosie, ale przede wszystkim ten zatroskany wyraz twarzy, cała jej postawa sprawiły, że natychmiast zamknął drzwi i usiadł z powrotem.

Przyglądała mu się badawczo, miał wrażenie, że go ocenia. Czy jest właściwym człowiekiem, który miałby poznać to, co najwyraźniej musiała z siebie wyrzucić? Opuściła wzrok, machinalnie wodząc dłońmi po leżących przed nią papierach, jakby próbowała je uporządkować, nim zaczęła mówić.

– Grałam trochę w podwójną grę – zaczęła, a Sammy obawiał się już najgorszego. Za nic w świecie nie chciał dramatu namiętności w wydziale wraz ze wszystkim, co miałoby to za sobą pociągnąć. Potem mówiła nieprzerwanie przez dziesięć minut, nakreśliła tło i opowiedziała, jak rozwijała się jej znajomość z Brantem, że we wtorek rano, dzień po tym, jak zamordowano Gränsberga, znikł, nie mówiąc, dokąd się wybiera, i jak później bez skutku próbowała go namierzyć, czekała na jakiś znak życia, nim dostała tego co najmniej dziwnego esemesa.

– Świadek morderstwa?! – wykrzyknął Sammy. – A on po prostu sobie

wyjechał!

– Tak, to nie do wiary! I to facet, który spędzał u mnie prawie każdą noc, z którym się pieprzyłam!

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– „Mogą być problemy”, napisał ten skończony dureń. Tak, jasne, że są problemy!

– Uspokój się. – Sammy nigdy nie widział Ann tak wytraconej z równowagi. – Na pewno jest jakieś logiczne wyjaśnienie.

– Też tak myślałam – rzekła Ann. – Ale dlaczego nic nie powiedział, tylko uciekł, jakby był winny?

– Może jest winny – odparł spokojnym głosem Sammy.

Ann wytrzeszczyła na niego oczy.

– Znał Gränsberga od ponad dwudziestu lat, grali razem w bandy, na pewno utrzymywali ze sobą kontakt – zeszyt w barakowozie, odciski palców Branta na oknie i Gränsberga w toyocie.

Ann zamknęła oczy.

– Co mam robić? – zapytała z rozpaczą.

Sammy wiedział, że nie ma sensu mówić jej teraz, że powinna była od początku grać w otwarte karty.

– Pogadaj z Ottonem – powiedział.

– Nigdy więcej mi nie zaufa!

– Nie ma innej możliwości. Jeśli zabrniesz w to dalej, będzie dziesięć razy gorzej.

Ann pokiwała głową, jakby już zrozumiała tę prostą prawdę, że jedno kłamstwo pociąga za sobą kolejne do momentu, gdy nabrzmiały wrzód nieuchronnie pęka.

– Wysłałam mu nowego esemesa. – Teraz w jej głosie brzmiały tylko zmęczenie i rezygnacja. – Napisałam, że jego sytuacja wygląda źle, że musi się skontaktować, najlepiej przyjechać. Nie pojmuję, co on sobie myśli, przecież wie, że jestem policjantką. Rozumiesz coś z tego?

– Pogadaj z Ottonem – powtórzył Sammy. Nie chciał, by Ann dalej kręciła się w kółko w spekulacjach, co mogło się stać.

– Dam mu jeszcze jeden dzień – postanowiła Ann.

Popatrzył na nią z takim wyrazem twarzy, jakby była alkoholiczką składającą po raz enty solenną obietnicę, że nie weźmie więcej do ust ani kropli.

– Nie patrz na mnie tak nieufnie! Daj mi lepiej wsparcie. Tu chodzi o coś ważnego, nie rozumiesz?

– Tak – potwierdził Sammy – rozumiem. Chodzi między innymi o zamordowanie Bossego Gränsberga.

– Wiem! Nie musisz mi przypominać! – odparowała Ann z agresją, która

zdumiała ją samą.

– Było wam dobrze – bardziej stwierdził, niż zapytał Sammy Nilsson, myśląc o mieszkaniu Branta, o tym, co znaleźli w jego łóżku i o napoczętym opakowaniu prezerwatyw.

Ann miała jasne włosy, a te znalezione były bardzo ciemne. Cieszył się, że nie jest bezpośrednio zaangażowana w tę sprawę i miał nadzieję, że nigdy nie będzie musiała przeczytać raportu techników. Istniało jednak spore ryzyko, że się o tym dowie.

Ann skinęła głową. Wahała się, czy powiedzieć, jak wielkie nadzieje wiązała z tym mężczyzną.

Ann Lindell nie była osobą, która opowiada w pracy o swoim życiu prywatnym, co prowadziło do nieustannych spekulacji, jak ono właściwie wygląda, lecz z Sammym miała bliską relację. Wiedziała, że za jego szelmowskim sposobem bycia kryją się powaga i mądrość.

– Tyle bym chciała opowiedzieć, ale nie mamy czasu – rzekła w końcu. – To byłaby za długa historia.

– Historia twojego życia?

Ann znów skinęła głową. Czuła, że za chwilę się rozpłacze.

Sammy poruszył się, jakby chciał wstać, i upuścił plik papierów, który rozłożył się na podłodze jak wachlarz. Zaklął i zaczął na kolanach zbierać wydruki i układać je we właściwym porządku.

Ann wyczuwała, że zrobił to przez wzgląd na nią, chciał dać jej czas, by się pozbierała.

– Jak ci idzie z Melander na schodach?

– Nad tym pracuje głównie Bea – odparł, wciąż na kolanach i odwrócony do niej plecami. – Ja się zajmuję chłopakami z drużyny bandy. Rozmawiałem już z wszystkimi oprócz dwóch.

– Czy to coś dało?

– Niewiele, ale dobrze jest trochę to nadgryźć, obraz Gränsberga staje się też pełniejszy.

Wstał, wyrównał plik i uśmiechnął się do Ann, która odwzajemniła jego uśmiech.

Poczuła ulgę. Przynajmniej ktoś znał jej tajemnicę. Teraz trzeba było zebrać jeszcze więcej odwagi i powiedzieć o wszystkim Ottossonowi.

– Jedna rzecz jest dziwna. W worku na śmieci był ręcznik kuchenny z krwią Melander. Według pewnej teorii Johnny podczas wieczoru ją uderzył, ona się wytarła i wrzuciła ręcznik do śmieci, żeby później wynieść worek. Lecz na ile to się wydaje prawdopodobne? Dostać lanie, a potem posprzątać?

– Wiesz, jacy są ludzie – odrzekła Ann. – Nie ma żadnej logiki w tym, co robią, albo jest, tylko trochę inna. Na pewno nie zamierzała wyrzucić faceta,

zadzwoń do nas albo na niebieską linię, chciała tylko zrobić porządek. I mówisz, że tej rany nie da się odróżnić od tych, których doznała podczas upadku?

– Lekarz nie znalazł niczego, co daje podstawy do oskarżenia Johnny’ego o pobicie. Fiknęła kozła na tych schodach, pękła jej nawet śledziona. Johnny przyznaje, że rzucił krzesłem, ale nie trafił w Melander, tylko w ścianę sypialni.

– Przesłuchaj go jeszcze raz – podsunęła Ann.

– Tak zrobimy, tylko nikt dokładnie nie wie, gdzie on jest. Może głupio zrobiliśmy, tak szybko go wypuszczając, ale właściwie nic na niego nie mieliśmy. Jego kumple twierdzą, że ma gdzieś metę, ale nikt nie wie gdzie albo nie chcą go wystawić. Ja osobiście sądzę, że Johnny jest raczej drobnym złodziejaszkiem i może paserem.

– Co za burdel – westchnęła Ann.

– Śmierdząca sprawa – zgodził się Sammy. Zanim wyszedł z pokoju, pochylił się i pogłaskał ją po policzku.

**Czytał z narastającym zdumieniem** jej nowego esemesa: „Co Cię łączyło z Bo Gränsbergiem? Gdzie i kiedy było to morderstwo, kto? Natychmiast się ze mną skontaktuj, wracaj do Szwecji! Nie rozumiesz, że inaczej będziesz miał kłopoty? I ja! Na razie nie mówiłam o nas. Masz coś do ukrycia? Nie chcę w to wierzyć. Ann”.

Pachniało desperacją. Skąd się dowiedziała o jego współpracy z Gränsbergiem? Czy Bosse zrobił coś głupiego i próbował się wywinąć, zrzucając na niego winę? Ale to było do niego niepodobne.

Brant dobrze się z Bossem dogadywał już w czasach drużyny. Niektórzy uważali go za mało komunikatywnego, lecz on zauważył, że kiedy małomówny Gränsberg coś mówi, zwykle jest to dokładnie przemyślane. Przypominał trochę pewnego mężczyznę, z którym Brant działał kiedyś w organizacji pomocowej Afrikagrupperna – tamten był nie tylko małomówny i pracował w budownictwie jak Gränsberg, lecz podobnie jak on miał niezawodną zdolność przenikania wypowiedzi innych. Może wynikało to z tego, że więcej słuchał, niż mówił, nie wypełniał czasu i przestrzeni nieuporządkowanym gadulstwem, nie zatracał się we własnej elokwencji, tylko potrafił się skupić na ocenie czyichś słów.

Ta cecha była towarem deficytowym w większości ruchów solidarnościowych, w których działał Brant, i mógł pozazdrościć Gränsbergowi jego oszczędnych, lecz precyzyjnych komentarzy na temat werbalnych piruetów różnych polityków i biznesmenów. Gränsberg niczego nie udawał, był lewicowy w naturalny sposób, co też zaliczało się do towarów deficytowych. Brant domyślał się, że miało to źródło w jego dorastaniu i doświadczeniach z pracy.

Brant mieszkał wtedy z kobietą, która nazywała się Gunilla Tidlund i pracowała razem z żoną Bossego. Dwie Gunille były bliskimi przyjaciółkami i spędzały razem sporo czasu.

Pewnego lata na początku lat dziewięćdziesiątych przez parę tygodni wynajmowali razem dom na sklerach. To był czas kryzysu bankowego, zamrożenia płac, terroru Człowieka z Laserem<sup>[7]</sup> i, co nie mniej ważne, powstania i rozwoju Nowej Demokracji, partii wrogiej obcym, która pod przewodnictwem szlachcica i pisarza<sup>[8]</sup> zajęła miejsca w parlamencie.

Bosse obrazowo demaskował liderów partyjnych i potrafił też, po paru grogach na tarasie wychodzącym na Kanholmsfjärden, zręcznie naśladować Iana i Berta, ich mowę ciała i rasistowskie bluzgi, na których bez skrupułów budowali swoje życie polityczne.

Kiedy obaj zakończyli karierę sportową, a Brant zaczął coraz więcej podróżować i dłużej przebywać za granicą, ich kontakty się rozluźniły. Wpadali

czasem na siebie na mieście i zamieniali parę słów, nic więcej.

Gdy ostatniej zimy odnowili kontakt, Gränsberg był w kiepskiej formie, żył w zasadzie z dnia na dzień i przeważnie na ulicy. Praca na czarno, jaką udawało mu się czasem dostać, nie wystarczała, by przywrócić mu poczucie wartości i zbudować stabilne finansowo i ogólnie znośne życie.

Przez parę miesięcy Brant wykorzystywał Gränsberga jako informatora. Dawny monter rusztowań był teraz bardziej elokwentny, a jego analizy już nie takie ostre i trafne. Doświadczeniami z życia bezdomnego dzielił się ze źle skrywanym rozgorzyczeniem.

Jego pomysłu, by założyć firmę budowlaną, Brant nie mógł potraktować poważnie, zwłaszcza po tym, jak Bosse przedstawił mu projekt sfinansowania tego przedsięwzięcia. To była oferta „obustronnych korzyści”. Brant nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy usłyszał, jak przedstawiając swój plan, kusi go dyplomatyczną frazą, która w całym kontekście brzmiała nie na miejscu, jakby mówił o śmiałej, lecz zupełnie niewinnej sprawie.

Branta zaciekawiła ta wizja, lecz prawie natychmiast ją odrzucił. Jednak tamten moment, kiedy rozważał propozycję, krótkie wahanie z tego zapewne powodu, że spadła na niego tak nieoczekiwanie, wystarczyło Gränsbergowi. Podtrzymywał kontakt i mówił ciągle o tym, że to zupełnie bezpieczny interes.

W końcu Brant mu wygarnął. Ostatni raz widzieli się w prowizorycznym lokum Gränsberga, które ten wolał nazywać warsztatem. Znowy wyłożył dokumenty i próbował go przekonać. Brant powiedział mu wtedy dobitnie, że nigdy nie płacił za informacje i w tym przypadku też nie zamierza tego robić. Gränsberg zrozumiał widocznie, że to jego ostatnie słowo, bo zebrał papiery, złożył je trochę niedbale i znowu upchnął na miejsce.

Potem wybuchnął płaczem, niepohamowanym płaczem, który wstrząsał jego ciałem, a pot występujący mu na czoło wzmagął wrażenie ataku gorączki.

Brant pomyślał, że to dziwne, jak ten wielki budowlaniec tak zupełnie się załamał na jego oczach, jakby zmałał o kilka rozmiarów.

Brant poczuł zakłopotanie, trochę się zawstydził tą reakcją, ale próbował go uspokoić, obszedł nawet stół i objął go ramieniem, lecz Gränsberg był niepokieszony. Ten niespodziewany wybuch wstrząsnął Brantem, dawny kolega zawsze wydawał mu się taki silny. Teraz płakał jak zrozpaczone dziecko.

Brant musiał w końcu iść. Gränsberg trochę się uspokoił, lecz siedział milcząco, ze spojrzeniem bez wyrazu i rękami wyciągniętymi na stole.

Czuł się jak zdrajca, choć ani przez chwilę nie wątpił w słuszność swojej decyzji. W drodze do domu zastanawiał się, jak mógłby w inny sposób wspomóc nieszczęśnika, który pokładał tak wielkie nadzieje w ich odnowionym kontakcie. Nie wymyślił jednak żadnego rozwiązania i jeśli miał być szczery, poważnie wątpił w szanse projektu, który Gränsberg przedstawiał z takim entuzjazmem i w który



tak wierzył. „Chodzi o moje życie”, powtórzył parę razy.

Niewielu zdecydowałoby się zainwestować pieniądze w bezdomnego. Wszystko wskazywało na to, że jego była żona stanowiła wyjątek. Gränsberg wspominał, że kontaktował się z kilkoma różnymi bankami, lecz odmówiono mu już na wstępnym etapie.

Teraz z dużym prawdopodobieństwem miał kłopoty z policją. I wspominał jego nazwisko! Do tego w kontekście, który stawiał go w złym świetle, jak można było sądzić ze sformułowań w wiadomości. O jakie kłopoty chodziło? A powrót do Szwecji z tego powodu wydawał się, łagodnie mówiąc, koszmarem.

Kiedy minęło pierwsze zdziwienie, poczuł narastającą irytację, żeby nie powiedzieć złość z powodu tonu, w jakim napisała tę wiadomość. Czy nie umiała przejrzeć fantazji i oszczerstw bezdomnego pijaczka? Czy naprawdę sądziła, że on jest skorumpowanym dziennikarzem, którego każdy może kupić i sprzedać?

I ta krótka informacja, że ona też może mieć kłopoty! Tak jakby z powodu czyjegoś gadania, może Gränsberg wrócił do nałogu i ostro się spił, została skalana ich trwającym od paru tygodni związkiem!

Nie chciała wierzyć, że on ma coś do ukrycia, ale z pewnością tak myślała. Anders Brant poczuł się upokorzony i jako profesjonalista, i jako człowiek, a to zawsze było dla niego uczucie trudne dla zniesienia. Był porywczy, wiedział o tym, lecz przemienił to w zaletę, paliwo, którego mógł używać do tego, by bez większych skrupułów pokonać oponenta. Nigdy nie był jednak choleryczny czy sarkastyczny, wypowiadał się i prowadził dyskusje rzeczowym tonem, który mógł uchodzić za przejaw mądrości i rozwagi. Potrafił cyzelować artykuł przez wiele dni, by uzyskać ten pozornie niefrasobliwy ton, którym odznaczał się jego styl. Ostry jak brzytwa, lecz lekki jak muśnięcie piórka, czasem niemal przepaszający, jakby zupełnie mimochodem skreślił parę słów, by poprawić przeciwnika, któremu zdarzyło się pomylić.

W głębi ducha bywał jednak często wściekły, rzadko zapominał doznane krzywdy i potrafił odpłacić się po wielu latach, jakie mijały od pozornie niewinnej dyskusji.

W takim nastroju wysłał odpowiedź. Nie wspominał słowem o „przeżyciu”. Jej zainteresowanie tym, kto, gdzie i kiedy, było typowo policyjne, skrzywienie zawodowe. Nie odniosła się w ogóle do jego zdenerwowania, nie dodała mu otuchy, dla niej morderstwo było chlebem powszednim.

Po powrocie z Itaberaby Anders Brant rzucił się w wir gorączkowej aktywności, lecz nie zrobił właściwie niczego konkretnego. Nie mógł znaleźć spokoju do pisania i odwołał dwa wywiady, które wcześniej z takim trudem udało mu się załatwić. Najważniejszy był z gubernatorem stanu, cenna zdobycz, którą teraz dobrowolnie wypuścił z rąk.

Artykuł o biopaliwach, który zamówiła „Aftonbladet” i przysłała wczoraj

ponaglenie w tej sprawie, leżał na wpół ukończony. Przynajmniej coś przy nim zrobił, lecz potrzebował jeszcze paru godzin, by nadać mu ostateczną formę. Normalnie uwinąłby się z tym od razu, lecz teraz wydało mu się to syzyfową pracą.

Dobrze wiedział, skąd się wzięło jego złe samopoczucie. Był świadkiem zabójstwa bezdomnego i nie zrobił nic, by pomóc wymiarowi sprawiedliwości. Mógł porozmawiać z policją, był wiarygodnym świadkiem, nie miał żadnych osobistych powiązań ani z ofiarą, ani ze sprawcą. Nie kiwnął jednak palcem.

Bezdomny, który zabił innego bezdomnego, przedstawiciela grupy, o której pisał. Zebrał rzetelny materiał z czterech krajów i zamierzał wykorzystać go w książce.

Miał poczucie straty. Jakby najubożsi zabijali się nawzajem, podczas gdy niesprawiedliwość trwa i pogłębia się. Nie miał złudzeń, bo widział zbyt wiele niewiedzy, rozłamów i nieracjonalnych działań wśród tych najbardziej gnębionych i marginalizowanych, by się dziwić. Przygnębiało go jednak, że ten gniew w tak uderzający sposób zwracał się do wewnątrz, a nie przeciw tym, którzy byli winni ich biedy.

Na własnym podwórku zwiódł kobietę, siebie może też, fałszywą nadzieją, a potem ordynarnie zdradził. Vanessa była dobrą dziewczyną, wiedział o tym od ich pierwszego spotkania, a kolejne tylko to potwierdziły. Staralaby się, by jemu było dobrze, on może dla niej też. Wiedział, że były ku temu przesłanki. A jednak poszedł swoją drogą. Zostawienie jej na lodzie było podwójną zdradą, wobec niej osobiście i wobec tego porządku, który popierał w swoich zabarwionych politycznie wypowiedziach. Uważał, że wyjeżdżając z Itaberaby, zdradził Brazylię, którą kochał. Była w tym oczywiście pewna przesada, miłość istnieje na innych zasadach niż porządek ekonomiczny świata, a jednak miał niejasne poczucie, że stracił coś bardzo zasadniczego, fundament, który zwietrzał i się zapadł.

Czuł się mniej pewnie i miał wrażenie, że nie potrafiłby bronić swojego zdania ze zwykłą precyzją i siłą. Wiedział, że to z tego powodu utknął z artykułami i wywiadami. Mówił o rzeczach wielkich, o masach, by użyć tego historycznego słowa, ale zdradził z premedytacją kobietę z tych mas, kobietę, która bezwarunkowo mu zaufała.

Jego świat drżał w posadach. Psychiczne dołki, rozczarowania i niesmak nie były niczym nowym, lecz ten niepokój, wręcz egzystencjalny lęk, przeżywał po raz pierwszy. Jego wizerunek doznał poważnego uszczerbku.

A teraz rozpaczliwa wiadomość od Ann przepełniła czarę.

Kim ona była? Policjantką z wydziału zabójstw, na pewno kompetentną, matką bystrego chłopczyka, kobietą, która nie miała udanego życia osobistego; wspomniała coś o paru związkach z dość odległej przeszłości.

Było wręcz nieprawdopodobne, że związała się z nim, dziennikarzem z lewicową przeszłością, który postrzegał policję nie tylko jako narzędzie utrzymania

porządku na ulicach, placach i w kraju, lecz także jako gwaranta porządku, lub raczej nieporządku ekonomicznego i jego dalszego trwania.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych mówiło się o aparacie ucisku i wtedy można było swobodnie zaliczyć do niego policję. Wysyłano policjantów przeciw demonstrantom, których tłukli pałkami i zabierali do aresztu, ponieważ „utrudniali ruch”.

Ci, którzy kwestionowali porządek, też byli we wszystkich okresach obserwowani i traktowani jak przestępcy przez służby bezpieczeństwa. Udokumentowano wiele przypadków, kiedy nienaganni obywatele tracili pracę i szansę na karierę, ponieważ byli notowani, co oznaczało, że stanowią zagrożenie dla porządku. Na przykład dlatego, że brali udział w letnim obozie organizowanym przez lewicową partię albo przez pewien czas prenumerowali jakieś czasopismo.

Sympatykowi lewicy albo nawet praworządному liberałowi nietrudno było znaleźć dowód, że policja jest takim właśnie aparatem do utrzymywania nieporządku.

Ann Lindell była trybikiem w tej maszynie.

Zakochał się w niej i przez parę namiętnych tygodni przeżywał wielkie szczęście. Dla tej kobiety zdradził Vanessę.

– Świnia! – wykrzyknął, siedząc w kuchni, pomieszczeniu, które stało się miejscem jego schronienia, kiedy hałas z ulicy i widok z pokoju, w którym pisał, ciągle przypominał mu o morderstwie.

Wziął kartkę papieru, przejrzał dokładnie pojemnik z przyborami do pisania i zdecydował się na czerwony flamaster. Używał go, by zaznaczać błędy i zmiany w swoich artykułach. Swobodny i równy wypływ tuszu, wyraźne linie kreślone przez końcówkę rozmiaru 0.3 i ostry kolor – wszystko to dawało mu poczucie zadowolenia i bezpieczeństwa.

To powinno mu pomóc w doprowadzeniu się do porządku. Był zadowolony, że zdecydował się pisać ręcznie zamiast na komputerze. To nie był reportaż ani notatka, tylko coś zupełnie innego, co należało stworzyć w ostrym, czerwonym stylu. Co należało zrozumieć.

Miał rzadko spotykany w swoim pokoleniu ładny charakter pisma i wstęp też był, jak sam spontanicznie oceniał, jeśli nie ładny, to przynajmniej obiecujący.

Siedział przez godzinę pochylony nad stołem i pisał niemal bez przerwy, po czym zrobił krótką przerwę, by obrać i pokroić mango, zmieszać ładny żółty miąższ z zawartością marakui i paroma nitkami płynnego miodu – zwykła, codzienna przekąska.

Zjadł z apetytem i odzyskał dobre samopoczucie. W tym czasie przebiegł wzrokiem to, co napisał, uważając, by nie pobrudzić lśniąco białego arkusza z wykaligrafowanym czerwonym tekstem, i wrócił do pracy.

Czasem podnosił wzrok – słońce, które świeciło przez otwarte okno,

przemieściło się i obnażyło teraz bezlitośnie nieposprzątaną kuchnię – poplamiony blat z brudną deską do krojenia, plamy na podłodze, stopy naczyń wypadające prawie ze zlewu, którego odpływ był zapchany ziarnami ryżu, obierkami owoców i fusami po kawie – i ten bałagan i brud wzmagał poczucie obrzydzenia. Trochę się też zdekongentrował, jego charakter pisma się pogorszył i sam tekst też.

Kiedy słońce dotarło do starej, dychawicznej lodówki, która stała tam przez wszystkie te lata i funkcjonowała bardziej jako zamrażarka, choć regulator był ustawiony na minimum, postawił ostatnią kropkę.

Starannie włożył nasadkę na flamaster, z dziecinną radością, że wybrał właśnie ten, wstał, przeszedł do pokoju i stanął przy oknie, teraz lepiej przygotowany na to, by spojrzeć na mur i betonową nawierzchnię, gdzie rozegrał się spektakl, który miał tak brzemienisty w skutki finał.

Dziś panował tam spokój, nikogo nie było widać. Tylko kilka ubrań na sznurze świadczyło o tym, że w tej ruinie mieszkają ludzie.

Główna ulica też była względnie cicha, tylko jeden autobus nadjechał z dużą prędkością, zahamował ostro na przystanku i postępując, ruszył w dalszą drogę. Sprzedawca owoców ze swoim małym kramem stał na chodniku pod samym murem i obserwował ulicę. Wyglądał tak, jakby czekał na specjalnego klienta.

Zaułek był pusty. Białe plamy farby na bruku zmieniły wygląd, ale Brant nie chciał myśleć, że pociemniały od krwi zamordowanego.

Z drugiego końca ulicy nadchodziła jakaś kobieta. Śledził ją wzrokiem. Jeśli następna, która się pojawi, będzie ubrana na białe, wróć do Itaberaby i Vanessy. Niech tak będzie, niech rozstrzygnie ślepy los. Cała mądrość z pisania przy kuchennym stole odpłynęła i zupełnie niespodziewanie jego myśli zajęła ta idiotyczna wróżba.

Szansa albo ryzyko, że następna osoba będzie ubrana na białe, była dość duża. Rzucił okiem w stronę głównej ulicy i stwierdził, że biel wyraźnie dominuje.

Czy mam wybrać inny kolor? – pomyślał, ale wiedział, że nie może tego zrobić. To była pierwsza myśl, zabawa z nieracjonalnym, lecz sformułowanie myśli nadało jej nagle pewną powagę. Tu i teraz rozstrzyga się moja przyszłość, pomyślał, pochłonięty nieobliczalnością i emocjami hazardu.

Zdawało mu się, że widzi na ulicy jakiś ruch, ale to był tylko pies węszący w zwalach śmieci.

Czekał, minęły dwie, potem trzy minuty. Nikt nie przechodził. Zaczęło to coraz bardziej przypominać rozciągniętą w czasie torturę, osaczyły go wszystkie myśli, jakie w ostatnich dniach przebiegły mu przez głowę. Gdyby teraz wrócił do Itaberaby, czy Vanessa naprawdę go przyjmie po takim upokorzeniu? Czy kochał Ann? Co właściwie tak go w niej pociągało? Czy potrafiłby żyć z policjantką?

Oparł czoło o okienną futrynę, zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

Zaczął się pocić. Dlaczego, pytał siebie w coraz większym udręczeniu,

dlaczego wpadła mi do głowy ta głupia myśl? Ledwo miał odwagę patrzeć na ulicę. Z każdą sekundą zabawa zmieniała się w groźbę.

Zebrał się w końcu na odwagę i ogarnął spojrzeniem całą ulicę, po czym poddał się i odszedł parę kroków od okna.

– Teraz nigdy się nie dowiem – wymamrotał, czując dziwną mieszaninę ulgi i pogardy dla samego siebie.

**Cztery różne narzędzia do kopania**, w tym łopaty do śniegu, były w standardowym wyposażeniu każdego z pięciu domów, które odwiedzili Fredriksson i Nyman.

Na początek pytali, czy ktoś z właścicieli zauważył brak jakiegoś narzędzia. Wszyscy potraktowali pytanie poważnie. Wiadomość, że dziewczyna, o której tyle pisali wiosną w gazetach, została odnaleziona w sąsiedztwie, szybko się rozeszła.

Sprawdzono szopy i wozownie, z których żadna nie była zamknięta na klucz, jak odnotowali policjanci, lecz nikt nie stwierdził, by czegokolwiek brakowało.

Kiedy Nyman naklejał etykiety i pakował narzędzia do przywiezionych worków na śmieci, co czynił z gorliwością i entuzjazmem, jakie może przejawiać tylko aspirant, Fredriksson rozmawiał z mieszkańcami.

To przypominało przysłowie o trzech małpach, mówił potem Fredriksson, nikt nic nie widział ani nie słyszał i nikt nie był szczególnie rozmowny. Wszyscy ubolewali nad tragicznym losem dziewczyny, lecz najbardziej przeżywali to, że do morderstwa doszło w ich okolicy.

– Szkoda, że to się zdarzyło właśnie tutaj – wyraził to jeden z miejscowych.

Druga osoba powiedziała, że ceny nieruchomości na pewno spadną.

– Kto chciałby mieszkać tam, gdzie mordują?

– Teraz chyba też nie ma tłumu chętnych – zauważył Fredriksson, ale kobieta, z którą rozmawiał, stwierdziła z emfazą, że „jedno prowadzi do drugiego”.

Nyman, który przysłuchiwał się rozmowie, prychnął i kobieta zmierzyła go ostrym wzrokiem.

– Nic nie wiecie o prawdziwym życiu – rzekła i odwróciła się do policjantów plecami.

Badanie techniczne narzędzi niczego nie dało. Na kilku łopatach znajdował się wprawdzie materiał organiczny, lecz nic, co można byłoby powiązać bezpośrednio z miejscem znalezienia. Łopata do betonu miała ciemne plamy na ostrzu, ale okazało się, że to farba malarska.

– Gdyby morderca był taki opanowany, że ukradłby łopatę, a potem ją odniósł, na pewno usunąłby wszystkie ślady – rzekł przemądrzałym tonem Nyman, kiedy razem z Fredrikssonem odwiedził wydział techniczny, gdzie Eskil Ryde oznajmił, że nie znaleźli niczego istotnego, a Nyman dodał coś o marnowaniu czasu pracy.

Fredriksson przypomniał sobie, że mówił inaczej, kiedy zbierali narzędzia, ale tego nie skomentował ze względu na starego technika.

– Gównu wiesz, przynajmniej o pracy w policji – rzucił Ryde tak ostrym tonem, że Nyman nawet nie próbował odpowiedzieć.

Poczerwieniał na twarzy, odwrócił się i wyszedł.

– Z jakiej cholernej łapanki tu trafił? – zastanawiał się Ryde.

Fredriksson wzruszył ramionami.

– Mieliśmy wcześniej Nymana, długo tu nie zabawił, pamiętasz?

Fredriksson pamiętał. Nyman starszy podczas pracy w obyczajówce trafił na rodzaj agencji towarzyskiej, która wynajmowała młode kobiety jako towarzystwo do kolacji, a także do bardziej fizycznych czynności. Postanowił przymknąć na to oko i za milczenie oferowano mu usługi, z których chętnie korzystał. Trwało to przez parę lat, nim wszystko wyszło na jaw. Nymanowi kazano złożyć wypowiedzenie, lecz sprawę wyciszono, choć pewien młody dziennikarz z „Uppsala Nya Tidning” był na tropie „seksafery z prostytutkami”.

Szeptano, że sprawa była zbyt delikatna, bo paru członków administracji uniwersytetu też korzystało z usług, nie osobiście, lecz pośrednicząc w przekazywaniu odpowiednich numerów telefonów, między innymi gościom zagranicznym, a w jednym przypadku pewnemu niezwykle aktywnemu jak na swój wiek nobliście.

Ani Ryde, ani Fredriksson nie wiedzieli, czy to wszystko było prawdą, ale poświęcili temu około minuty.

– Ale znaleźliśmy coś innego – ciągnął Ryde. – Jak pamiętasz, w tym leśnym domku było krzesło. Miało pęknięte oparcie i tkwiła w nim zaczepiona nić. Nie wiem, czy ma coś wspólnego ze sprawą, ale to jedyne, co udało nam się znaleźć. Chcesz zobaczyć?

Ryde poszedł z Fredrikssonem do pokoju Johannessona, wziął z biurka plastikową torebkę i pokazał. Fredriksson przyjrzał się cienkiej nitce.

– Bawełna – stwierdził Ryde – siedem centymetrów długości. I nie pochodzi z ubrania dziewczyny.

Fredriksson westchnął. Wiedział, że wiele z tej nitki nie wyciągną, ale nie chciał sprawić zawodu Rydemu. Technik, choć był doświadczonym policjantem, żywił często bezgraniczny optymizm co do możliwości przełomu w śledztwie, zwłaszcza jeśli punktem wyjścia był jakiś szczegół znaleziony przez techników.

– Świetnie – rzekł Fredriksson. – Teraz trzeba tylko znaleźć resztę ubrania.

Ryde cisnął niedbale torebkę z powrotem na biurko.

– To już wasza działka – powiedział i uśmiechnął się.

– Okej, Eskil, podeślę Nymana, by odwiózł te łopaty – zakończył Fredriksson swoją wizytę w technicznym, zostawiając zadowolonego Rydego.

Fredriksson wrócił do pokoju. Mimo lekkiej w tonie pogawędki z Rydem, podczas której odczuł, ile stary, mrukliwy technik znaczy dla wydziału, był przygnębiony. Zmęczony i rozkojarzony. Rozwiązanie zagadki zaginięcia Klary Lovisy zaczęło mu leżeć na sercu.

Prawdopodobnie została zgwałcona. Obdukcja nie mogła dać na to

jednoznacznej odpowiedzi, ale lekarz wyraził to słowami „wiele za tym przemawia” i „można tak sądzić”. Ciało miało obrażenia, których „z dużym prawdopodobieństwem” nie dało się wytłumaczyć inaczej niż gwałtem, lecz takich ostrożnych sformułowań nie można było użyć podczas ewentualnej rozprawy.

Jakby nie wystarczyło, że Klarę Lovisę znaleziono zamordowaną, wynik obdukcji jeszcze bardziej zepsuł im nastrój.

Fredriksson chciał iść do domu, a raczej do lasu. Prawie codziennie chodził na długi spacer wzdłuż starego wyrębu, który miał duże szanse zmienić się w malinową polanę wysokiej klasy, potem wzdłuż rowu prowadzącego do mokradeł, które okrążał, i wracał do domu. Zwykle zajmowało mu to pół godziny. Dostrzegał codzienne zmiany w przyrodzie i upajał się zapachem kwiatów. Rozmawiał sam ze sobą, bo jego żona była zupełnie niezainteresowana chodzeniem po lesie, a on w głębi ducha się z tego cieszył. Nikt mu tu nie przeszkadzał i mógł się rozkoszować spokojem.

W ostatnich tygodniach było mu jednak coraz trudniej ten spokój odnaleźć. Przeżywał to, czemu pozostali również dawali wyraz na różne sposoby: tego jest za dużo.

Zmuszał się przez chwilę, by skoncentrować się na obu śledztwach, w których brał udział, w sprawie Gränsberga i Klary Lovisy. Samo to, że musiał się rozdzielić, było przygnębiające, ale konieczne przy obecnym stanie personalnym.

Trwało to tylko kilka minut.

Potem wybrał las.



### **Szukałaś mnie?**

Głos był nosowy i wysoki, kontrastował z hałasem w tle, który huczał w telefonie jak masywna ściana dźwięku z ruchliwej drogi lub zakładu przemysłowego.

– A kto mówi?

– Håkan Malmberg.

Szukała nazwiska w pamięci i znalazła je, nim milczenie zbytnio się przeciągnęło. Malmberg był trenerem Klary Lovisy, którego szukała przez parę dni, lecz później przestała o nim myśleć.

– O właśnie. Dobrze, że zadzwoniłaś.

– Jestem na urlopie i nie dzwonię często – rzekł Malmberg, jakby uprzedzając jej pytanie, dlaczego zwlekał z nawiązaniem kontaktu.

– W porządku. Gdzie jesteś teraz?

– W Värmlandzie. O co chodzi?

– O Klarę Lovisę. Byłeś przecież jej trenerem piłki nożnej.

– Rozumiem – powiedział Malmberg. – Kogo aresztowaliście?

– Słucham?

– Widziałem w telegazecie, że znaleźliście mordercę.

– Tak, aresztowaliśmy pewną osobę – odrzekła wyczekującym tonem Ann.

– Kto to jest?

Nie odpowiedziała, powinien zrozumieć, że nie będzie wymieniać żadnych nazwisk, tylko zadawać pytania.

Malmberg twierdził, że nie spotykał się z Klarą Lovisą od jej odejścia z drużyny, tylko kilka razy mignęła mu na mieście. Wypowiadał się ostrożnie, lecz za tą jego wyważoną relacją wyczuwała irytację, a nawet autentyczną złość, jaką odczuwał wtedy we wrześniu.

– W samym środku rozgrywek pucharowych, a Klovisa była mocnym punktem – mówił trener. – To nie było w porządku, że po prostu się spakowała i sobie poszła.

Nie potrafił znaleźć żadnego logicznego wytłumaczenia dla jej niespodziewanego odejścia, ale nie był też specjalnie zaskoczony. W tym wieku wiele osób porzuca nagle sport.

Na koniec Ann zapytała o relację Klary Lovisy i Fredrika Johanssona.

– To on?! Mogłem się domyślić! Cholerny szczur.

– Co masz na myśli?

– Był nie do wytrzymania, stuknięty i wcale nie taki dobry. I jak się gapił na dziewczyny w drużynie! Był...

Reszta zdania utonęła w otaczającym Malmberga hałasie. Ann miała wrażenie, że przejeżdża cały konwój ciężarówek. Zaproponowała, by się przeniósł w spokojniejsze miejsce.

- Pada mi bateria – stwierdził Malmberg.
- Kiedy wracasz do Uppsali?! – krzyknęła.
- Za kilka dni – zrozumiała.
- Zadzwoń, jak wrócisz!
- Okej – odrzekł Malmberg i rozłączył się.

Ann odłożyła telefon na półkę przy oknie. Kiedy zadzwonił Malmberg, stała tam właśnie i wyglądała. Ciepło ostatnich dni skumulowało się i teraz wyładowało z tropikalną intensywnością, ciężkie krople deszczu bębniły w okno, a grzmoty, które z początku pobrzmiwały jak ciemny front po stronie zachodniej, teraz się zbliżały.

Ten widok przeniósł ją w czasie i miejscu na podwórze domu w Ödeshög, kiedy deszcz oblewał jej nagie ciało. Mama stała na ganku i krzyczała, że dostanie zapalenia płuc, lecz Ann nie słyszała jej wśród grzmotów albo nie chciała słyszeć. Odwróciła się plecami, zamknęła oczy i uszy, cała się wyłączyła i wyciągnęła ręce do nieba.

Miała siedem lat, na jesieni zaczynała szkołę. To było banalne wspomnienie, ale pierwsze. Wiele osób potrafi szczegółowo opowiadać o przeżyciach z wcześniejszych lat, lecz tamta burza, deszcz, który siekł jej ciało pokryte gęsią skórą, i tamto poczucie przemiany było jej pierwszym prawdziwym wspomnieniem z dzieciństwa.

Pamiętała inne fragmenty, lecz tamta letnia burza była pierwszym wspomnieniem kompletnym; mogła sobie przypomnieć, o czym wtedy myślała. Nie brakowało w tym też przekory. Mama nie mogła nic zrobić, nie chciała wychodzić na ulewny deszcz. Ann stała zaledwie pięć metrów od niej, lecz była niedostępna.

Przeczuwała, że całe to gadanie o zapaleniu płuc, które, jak się domyślała, było jakąś chorobą, to tylko gadanie. Nie wierzyła, że zachoruje, przeciwnie, myślała, że od deszczu będzie zdrowsza.

Gdyby jednak teraz wyszła naga i stanęła na wewnętrznym dziedzińcu komendy, na przekór pogodzie i konwenansom, nie była pewna, czy doznałaby tego samego uczucia oczyszczenia i wyzwolenia. Niewinność dzieciństwa przeminęła.

Odczuwała jak ciężar doświadczenie bycia kimś innym, już nie małą Ann, dziewczynką w deszczu. Teraz była Ann Lindell, gliną, czasami bardziej, a czasami mniej skuteczną. Była mamą Erika, lat siedem, obecną, potrzebną i bardzo przez niego kochaną. Była kobietą, która kochała nagość i dotyk – słów, deszczu, dłoni i ciepła drugiego człowieka.

Zakres i kolejność, w jakiej była tym wszystkim, policjantką, matką i kobietą, zmieniał się oczywiście i pogodzenie tego było często najtrudniejszą łamigłówką jej życia.

W tej jednak chwili przy oknie zdawało się jej przez parę chwil, że wcale jej nie ma. Widziała przed sobą tylko dziewczynkę w deszczu.

Ostatnie dni przeżyła jakby w próżni, jej ciało było poruszającym się kształtem, który wykonywał mechaniczne gesty i czynności, mówił, działał, współdziałał z innymi. Funkcjonowała w swojej potrójnej roli, lecz bez poczucia celu i sensu.

Bolało jak mentalny kręcz karku. Ktoś lub coś waliło ją mocno w plecy, by mogła się posuwać do przodu i oczywiście szła, potykając się, w kierunku wskazanym jako właściwy. Ale to bardzo bolało.

Odwróciła się; deszcz trochę osłabł, burza skręcała na północ, pewnie nad Bälinge i Björklinge. Na jej biurku leżała plastikowa torebka. Była tam od rana, lecz Ann nie zastanawiała się zbytnio nad jej zawartością i ten brak zaangażowania, niespodziewane i niechciane rozproszenie myśli miały jedną przyczynę: znak życia, jaki dał jej Anders Brant, który w ostatnich dniach w pewnym sensie ucieleśniał trzy różne role Ann Lindell.

Co miał wspólnego ze śmiercią Gränsberga? Kim on jest? Gdzie jest? A prywatnie, czy w ogóle mieli jakąś wspólną przyszłość? Czy Erik by go zaakceptował?

Czuła, że nie ma sił, by zmierzyć się z którymkolwiek z tych pytań, więc wybrała ucieczkę w pierwsze wspomnienie z dzieciństwa, kiedy mała Ann w poczuciu cielesnej wolności, chłostana deszczem, w swojej niedojrzałej kruchości zrobiła pierwszy ostrożny i zupełnie nieświadomy krok, by stać się dorosłą Ann Lindell. A oprócz czysto fizycznego odczucia była w tym jeszcze świadoma i pełna euforii przekora wobec mamy, tęsknota za wolnością, która sprawiła, że od tamtej chwili marzyła o tym, by wyrwać się w świat, i przy pierwszej okazji wyjechała z Ödeshög i wykształciła się na policjantkę, stawiając sobie za cel, by stać się w tym bardzo kompetentna.

Teraz, pogrążona w melancholii, z największym roztargnieniem dłużyła przy śledztwie w sprawie Klary Lovisy i rutynowo podtrzymywała minimum dialogu z kolegami. Lindell na zwolnionych obrotach.

Wiedziała, że przygnębienie wywołała niezrozumiale krótka, prawie agresywna wiadomość od Branta, a pogłębił je deszcz i przywołanie pierwszego wspomnienia z dzieciństwa. Wszystko się zlało – mama, kobieta i policjantka Ann Lindell. A efektem tego była melancholijna bierność. Gdyby ktoś powiedział słowo, którym poczułaby się choć trochę zraniona, wybuchłaby płaczem, a gdyby wspomniał, że jest dobrym człowiekiem, dobrą policjantką i dobrą matką, zareagowałaby tak samo.

Wzięła głęboki wdech, oderwała się od okna i podeszła do biurka.

Plastikowy woreczek był zwykłą foliową torebką do zabezpieczania dowodów i zawierał naszyjnik składający się z cienkiego łańcuszka i dwóch małych srebrnych płytek. Na każdej było wygrawerowane jedno słowo. Ann przeczytała: „Carpe Diem” – „chwytaj dzień”. Tak patetyczne i wyświechtane, łagodnie mówiąc, że straciło swoje znaczenie, pomyślała, lecz rozumiała, że szesnastolatka może odbierać to inaczej.

Klara Lovisa miała go na szyi. Jej rodzice nie rozpoznali naszyjnika i twierdzili, że nigdy wcześniej go nie widzieli, w co Ann nie miała powodu wątpić.

A zatem dziewczyna dostała go w dniu morderstwa, w dniu swoich urodzin. Od kogo? Prawdopodobnie nie od mordercy, który opróżnił jej kieszenie i zabrał komórkę i portfel. Czemu miałby zostawiać naszyjnik, który prawdopodobnie dał jej jakąś godzinę wcześniej?

Ann wywnioskowała, że Klara Lovisa dostała naszyjnik rano lub przed południem od kogoś innego niż ten, kto w parę godzin później ją udusił.

Kto to był? Od razu pomyślała o Andreasie Davidssonie. Czy srebrny łańcuszek nie jest odpowiednim prezentem od zakochanego nastolatka, który próbuje odzyskać swoją dziewczynę? On jednak zapewniał, że nie widział się z Klarą Lovisą w dniu jej zaginięcia, a czemu miałby kłamać?

Śmieszne pytanie, mruknęła pod nosem, ludzie kłamią jak najęci. Czasem z przyzwyczajenia, często nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że te nieraz zupełnie niepotrzebne kłamstwa tylko im szkodzą, czasem instynktownie, bo myślą, że prawda jest niebezpieczna, tak jakby łatwiej było trzymać się konsekwentnie nieprawdy. „Zaprzecz wszystkiemu i będziesz niedostępny”, zdają się myśleć. Jedno kłamstwo pociąga za sobą drugie i wikłają się z czasem w ich płataninę. Wydobyć się z niej i stopniowe oddzielenie kłamstwa od prawdy staje się prawie niemożliwe.

Anders Brant grał w podwójną grę! Ta myśl przeszła ją nagle i miała wrażenie, jakby doznała udaru. Kłuło ją w skroniach, jakby ktoś wbijał jej w głowę noże. Potarła dłonią czoło. Ból był nie do opisania.

Okłamuje mnie, pomyślała. Przeszywający ból, który nie trwał dłużej niż sekundę, zmienił się w ciągły i przez chwilę myślała, że naprawdę coś pękło w jej głowie, jakaś tętnica, która poddała się ciśnieniu.

Wzięła to za znak, niezwiązany z żadnym z tych zabobonnych, zwykle złowróźbnych komentarzy, które uwielbiała rozsiewać wokół siebie jej matka, lecz alarm wszczęty przez jej własną podświadomość. Przyjęła, że jej mózg zarejestrował coś, czego nie była w stanie dostrzec świadomie, i to coś ją teraz ostrzegało, próbowało skłonić, by to zrozumiała i sformułowała.

Podwójna gra. Odsunęła gwałtownie krzesło od biurka, oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach. Zmobilizowała wszystkie siły, by odczytać

sygnały, które dotąd pozostawały dla niej ukryte. Co on właściwie powiedział o ich związku? Właściwie nic. Miał swoisty sposób wyrażania się, pozornie jasny i przejrzysty, lecz przy bliższej analizie niejasny i możliwy do zinterpretowania na wiele sposobów. Teraz przypominała sobie wiele sytuacji, kiedy jego słowa wywoływały w niej niepewność.

Kiedy parę razy rozmawiali o przyszłości, on albo zbywał to żartem, albo nakładał kilka warstw wypowiedzi na siebie, relatywizując to, co powiedział, przez dodanie czegoś nowego.

Słuchała go z rozbawieniem i brała to za przejaw jego stylu dyskusji, jakby zawód dziennikarza zmuszał go podświadomie do dwuznaczności i zastrzeżeń, podobnie jak prawnik wdaje się w dygresje, rozważając wszystkie aspekty sprawy. Skrzywienie zawodowe.

A może dwuznaczności oznaczały po prostu podwójną grę? Czy on tylko się nią bawił? Taka myśl była nie do zniesienia. To niemożliwe, to nieprawda.

Ten mężczyzna wszedł jej głęboko w krew i gdyby miała go teraz z siebie wyrwać, rany byłyby rozległe. Jej ciało, na którym mogła polegać bardziej niż na osądach zrodzonych w euforii zakochania, sygnalizowało zdradę. To bolało.

Wstała szybko; biurko zawirowało jej w oczach i musiała chwycić się krzesła z tyłu, by znaleźć oparcie.

Ann Lindell poszła do Ottossona, by mu o wszystkim powiedzieć. Chciała, by jej wysłuchał, nie okazując zdenerwowania ani nawet zdziwienia. Uderzyła ją myśl, że Ottosson mógł wiedzieć o jej związku z Brantem i tylko czekał, aż sama się do tego przyzna.

Rozmawiał przez telefon, lecz kiwnął ręką, by weszła. Z tego, co zrozumiała, rozmowa była prywatna, planowali przyjęcie dla dzieci. Ottosson przez cały czas się uśmiechał i trwało to dość długo.

Ann dała mu znak, który mógł oznaczać cokolwiek, i wycofała się z uczuciem ulgi, że jej egzekucja została odroczone, lecz także z kiełkującą nienawiścią do mężczyzny, który wniknął w jej życie i przełamał nieporadną obronę, ustrzelił jak łowną zwierzynę, a potem znikł z jej śmiesznej nadzieją jak z trofeum.

Do tego wtargnął w jej życie zawodowe w zupełnie nieprzewidziany i radykalny sposób. Tak zawrócił jej w głowie, że przez swoje milczenie, swoją własną podwójną grę naraziła na szwank dobrą relację z Ottossonem i pozycję w wydziale.

W korytarzu spotkała Beatrice, która minęła ją szybko, idąc do szefa.

– I jak? – rzuciła w biegu, lecz nie czekała na odpowiedź.

Ann była gotowa pobiec za koleżanką i kopnąć ją poniżej pleców. Przeczynała, że Beatrice wykorzysta w przyszłości sprawę Branta w uszczypliwych komentarzach, złośliwych docinkach, które jednak nie będą w pełni

zrozumiałe dla innych i dlatego nie będzie można się do nich rzeczowo odnieść. Broń w ukrytej rywalizacji dwóch kobiet w wydziale była ostra i Ann miała poczucie, że prawie zawsze przegrywa. Teraz będzie jeszcze gorzej.

Kiedy wróciła do pokoju, opadła na krzesło, spocona i roztrzęsiona. Tydzień temu była podniecona i szczęśliwa.

Nienawiść i miłość, tak blisko siebie. W jej uszach brzmiała *Don't explain* Niny Simone, poniżające wołanie zrozpaczonej kobiety do mężczyzny, by wrócił: Nie musisz niczego tłumaczyć. Tylko wróć!

Dawno tego nie słuchała; dostała płytę w prezencie od Rolfa, długo po ich rozstaniu. Rolf już taki był, chciał jej wtłoczyć swój muzyczny gust i w tym przypadku mu się udało. Polubiła tę płytę i podczas długich, spędzanych z kieliszkiem wina wieczorów, w czasie, gdy Edvard Risberg znikł z jej życia, słuchała jej na okrągło, zatracając się w smutnej melodii, aż nauczyła się tekstu na pamięć.

Teraz Simone wróciła. Nie tłumacz! *You are my joy, you are my pain.*

Jestem żalosna, pomyślała, jak bohaterka sentymentalnego przeboju, jak zakochana nastolatka, bez dystansu, w średnim wieku, a tak beznadziejnie niedojrzała, łatwa zdobycz dla mężczyzny, który paroma słowami i pieszczotami przełamał wszelki opór, by przez krótki czas possać ją jak cukierek, a potem równie swobodnie wypluć, kiedy znudził mu się smak, i w ten sposób odebrać jej cały szacunek dla siebie samej, i ją zniszczyć.

Ale pomimo tego wszystkiego chciała, żeby wrócił! Każde inne rozwiązanie było zbyt smutne, zbyt trudne do zniesienia, przynajmniej w tej chwili. Odroczenie, to wszystko. Tylko tyle. Potem, gdy zelżeje największy ból, może będzie umiała zmierzyć się z jego zdradą i zacząć go naprawdę nienawidzić, ale teraz chciała tylko z nim być, bez wyjaśnień, bez obietnic. Chciała być kochana, nawet jeśli na niby.

Tak nisko upadła inspektor śledcza Ann Lindell.

**Nie, nie dzwoń na policję!**

– Co?! On tu stoi co najmniej od godziny i tylko się gapi.

– Pewnie na kogoś czeka.

Henrietta Kumlin prychnęła i wyraziła spojrzeniem, co sądzi o jego inteligencji. Właściwie od dawna uważała, że jest głupi, ale to przebiło wszystko.

Kiedy skończyli jeść obiad i zaczęli sprzątać ze stołu, na ulicy pojawił się mężczyzna. Henrietta od razu stwierdziła, że nie jest stąd, ponieważ nigdy wcześniej go nie widziała, ale przede wszystkim z powodu jego postawy i ubrania. Poza tym był wstawiony albo pod wpływem narkotyków. Jako córka alkoholika spostrzegła to od razu.

Stał przed ich domem, podszedł do skrzynki na listy, potem przeszedł przez ulicę i oparł się płot, który sąsiad z naprzeciwka postawił dopiero w zeszłym tygodniu. Było już wpół do ósmej, a ten człowiek nadal tam stał. Wystawał na ulicy już od ponad godziny.

Stał tam zupełnie otwarcie, tak po prostu; czasem zmieniał pozycję, przenosił ciężar ciała z nogi na nogę. Henrietta zauważyła, że gwiżdże. Sprawiał wrażenie odprężonego i beztroskiego. Spoglądał obojętnie na przejeżdżające samochody. Kiedy Birgitta Lindén, która mieszkała najbliżej nich w tej ślepej uliczce, przechodziła ze swoim collie, schylił się i pogłaskał psa, zamienił parę słów z jego panią i wrócił na swoje miejsce.

Było zupełnie oczywiste, że obserwuje ich dom i, co gorsza, robi to zupełnie otwarcie. Henrietta uznała słowa męża, że obcy pewnie na kogoś czeka, za niedorzeczne. Wyciągnęła z tego wniosek, że Jeremias się boi, w inny racjonalny sposób nie dało się wytłumaczyć jego biernej postawy.

Najpierw próbowała go nakłonić, by wyszedł i zapytał, o co chodzi. Sama nie chciała się wystawiać na ryzyko, że zostanie zaatakowana, bo wiedziała, do czego jest zdolny wyprowadzony z równowagi alkoholik.

Kiedy odmówił, chciała zadzwonić na policję, lecz sprzeciwił się także temu.

– Będzie tyle gadania, przesłuchań i tego wszystkiego. A przecież wiesz, że jutro wcześniej wyjeżdżam.

– A co to ma do rzeczy?

– Nigdy nie wiadomo – odparł Jeremias, a Henrietta była zbyt wzburzona, by zareagować na jego zagadkowy komentarz.

– A potem on może się zemścić – dodał.

– Jak to zemścić?

– No, jeśli policja go zabierze, może oberwać w areszcie, a wtedy będzie miał nam za złe.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Oberwać w areszcie? To nie Rosja.

Jeremias wzruszył ramionami. Henrietta widziała, że stara się udawać obojętność, lecz dobrze знаła swojego męża i zauważyła, że pojawienie się nieznajomego wyraźnie go zaniepokoiło.

– Znasz go?

Jeremias spojrział na ulicę i pokręcił głową.

– Nie, ale tacy są wszędzie, ludzie, którzy się kręcą. Wiesz, jak to wygląda w Moskwie. I pamiętasz, jak byliśmy w Kalifornii, na bulwarze w Santa Monica? Co parę metrów jakiś łażęga. On na pewno nie jest normalny.

– Jeśli nie jest normalny, może potrzebuje pomocy? Szkoda go.

Henrietta świadomie udawała naiwną. Tylko wtedy Jeremias mówił, jak „właściwie” mają się sprawy, zakładając, że ona nic z tego nie rozumie. W takiej paplaninie mógł nieświadomie zdradzić jakieś informacje, czego nigdy by nie zrobił, gdyby podjęła normalną dyskusję.

Tym razem jednak się nie udało. Jeremias wydał tylko głębokie westchnienie.

– Popatrzę na wiadomości, może będzie coś o gazociągu – powiedział i wyszedł z kuchni.

Odprowadzała go wzrokiem, kiedy szedł po schodach, słyszała, jak włącza telewizor i siada w swoim skrzypiącym fotelu.

Cholerny gazociąg, pomyślała ze złością. Odkąd stało się jasne, że Rosjanie planują poprowadzić go przez Bałtyk, między szwedzkim wybrzeżem a Bornholmem, nie był sobą. Śledził debatę z gorączkowym zainteresowaniem, rozmawiał godzinami przez telefon, pisał maile i dał jej do zrozumienia, że największym hamulcem są szwedzcy i duńscy rybacy.

– Europa musi przecież żyć, rozwijać się, czerpać energię – powtarzał z emfazą.

Henrietta domyślała się, że jedna lub kilka jego firm było związanych z tą inwestycją, nie wiedziała jednak i nie chciała wiedzieć, w jaki sposób i w jakim zakresie. On uważał za niepotrzebne, wręcz szkodliwe, by mieszały się do tego „amatorzy”, a do takich się przecież zaliczała.

Nigdy nie śledziła uważnie jego działalności, choć wiedziała, że ich dobrobyt, ba, cała egzystencja została zbudowana na rosyjskich interesach i kontraktach. Towarzyszyła mu parę razy w podróżach, lecz ją to męczyło. Było zbyt szaro, za dużo alkoholu i przede wszystkim śmiertelnie nudno, nie mówiąc o Olegu z jego manierami, przechwałkami i luksusową daczą.

Próbował ją namówić na zakupy, lecz szybko odkryła, że Moskwa bywa droższa od Paryża czy Nowego Jorku, a poza tym ponura, z nonszalanckimi ekspedientkami, które rozwinęły do perfekcji sztukę demonstrowania znudzenia.



Jeremias chyba też nie widział biedy, a wystarczyło skrócić w przecznicej eleganckiej ulicy i przejść jeden lub dwa kwartały, by zobaczyć różnicę między nowobogackimi a biednymi. Szczególnie zapamiętała starą Rosjankę, która próbowała jej wcisnąć serwis, może pamiątkę rodzinną, ładny, lecz niekompletny i miejscami wyszczerbiony. Staruszka, okutana w niezliczoną ilość chust, wyciągnęła kilka filiżanek i wskazała na swoje stopy, przy których stała reszta serwisu. Jej oczy łzawiły, a dłonie, częściowo zakryte rękawiczkami z obciętymi palcami, były spierzchnięte. Zaproponowała śmiesznie niską cenę, powtórzyła ją mechanicznie parę razy.

Henrietta miała impuls, by dać jej te pieniądze i pozwolić, by zatrzymała porcelanę, ale nie potrafiła się zdobyć na ten dobroczynny gest. Przekonywała samą siebie, że nie należy wspierać żebractwa i ulicznej sprzedaży.

Po przejściu paru następnych ulic zmieniła zdanie i zawróciła, ale w bramie, w której stała staruszka, zobaczyła tylko mężczyznę, który oddawał mocz na ścianę. Uśmiechnął się do niej złośliwie, powiedział coś i odwrócił się, by mogła mu się dokładnie przyjrzeć. Plusnęło jej koło nóg.

– Jeżeli widzisz coś takiego w centrum Moskwy, jak to musi wyglądać na peryferiach? – zastanawiała się tego samego wieczoru.

Jedli obiad w szwedzkiej restauracji parę przecznic od hotelu. Jeremias był tam stałym gościem i został powitany w foyer z niemal przesadną serdecznością. Już w barze, gdzie wypili parę drinków przed jedzeniem, upił się i jego twarz przybrała ten rozlany wygląd. Tak jakby mięśnie policzków nie dawały rady. Henrietta podejrzewała, że zaczął z Olegiem po cichu już po południu.

– Żaden rozsądny człowiek tam się nie zapuszcza – odparł Jeremias. – Prawda, Oleg? Ty wiesz, jak to wygląda. Opowiedz trochę o slumsach, no!

Klepnął swojego rosyjskiego kolegę w ramię. Ten pozornie nie zwrócił na to uwagi, lecz Henrietta zauważyła, że nie podobało się ani to wyzwanie, ani klepanie.

Podczas kolacji rozmawiali dużo o interesach w osobnym pokoju, który dostali do dyspozycji. Henrietta miała wrażenie, że jej mąż się popisuje, i poczuła zażenowanie. Wyłączyła się i próbowała skupić na jedzeniu.

Jedyny przyjemny moment nastąpił, kiedy szwedzki szef kuchni wyszedł na salę i robiąc na niej obchód, zajrzał do ich prywatnego kącika.

– Oto mistrz! – wykrzyknął Jeremias. – To on przygotował to wspaniałe jedzenie. Świetny gość! Jest Szwedem! I to z Uppsali.

Chwycił szefa kuchni za rękaw, lecz po chwili stracił zainteresowanie.

– Bardzo dobre – powiedziała Henrietta.

Wysoki Szwed musiał się schylić, by usłyszeć, co mówi. Uśmiechnął się czarująco i mrugnął porozumiewawczo w stronę hałaśliwego towarzystwa. Niektórzy goście tylko trochę pogrzebali w jedzeniu, inni gasili niedopałki w

misczkach z ziemniaczanym purée, a jeszcze inni zjedli samo mięso, odsuwając resztę na bok. Obrus był usiany pieczonymi warzywami. Na środku stołu stały dwie pełne butelki wódki.

– Perły przed wieprze – rzekła Henrietta, a odpowiedzią był nieznaczny ruch głowy.

Zrozumiała, że nie może komentować zachowania gości.

– Ale tobie smakowało?

– Bardzo – odparła i dostała w odpowiedzi kolejny, nieco nieśmiały uśmiech.

– Nie powinieneś robić jedzenia dla takich jak tamci – dodała.

– Zrobiłem je dla ciebie – odpowiedział szef kuchni – i to na długo mi wystarczy.

– Jesteś z Uppsali?

Skinął głową, znów się uśmiechnął, tym razem trochę szerzej, położył dłoń na jej ramieniu i lekko je ścisnął, co z pewnością było gestem nieprofesjonalnym, lecz dla niej ten uśmiech i przelotny dotyk pozostały miłym wspomnieniem. Resztę wieczoru najchętniej by zapomniała. Przede wszystkim powrót do hotelu, który oznaczał między innymi wizyty w paru nocnych klubach, a potem żalną próbę Jeremiasa, by wziąć ją od tyłu, gdy zmywała makijaż. Nie przejęła się tym, wiedząc, że nie da rady, więc tylko go odepchnęła. Stracił równowagę i siedział na podłodze łazienki, śliniąc się jak głupek i machając bezradnie jedną ręką.

Wtedy ostatni raz pojechała z nim do Moskwy. Teraz nie chciała nic słyszeć o Olegu, ropie, gazie i Rosji w ogólności.

I nie chciała, by ją brał od tyłu. Od przodu też nie, dla ścisłości.

Kiedy włożyła ostatnie naczynia do zmywarki i uruchomiła program, znów zerknęła na ulicę. Mężczyzna przesunął się o metr, lecz stał równie biernie jak wcześniej.

Zaczął naprawdę działać jej na nerwy i uderzyło ją, że może właśnie o to chodzi. To wynajęty prowokator, pomyślała, nie wygląda na takiego, który sam wpadłby na pomysł, by stanąć przed domem i tylko się gapić.

Nie miał za zadanie ich skrzywdzić, nie; to widok tego mężczyzny, jego uporczywe wpatrywanie się było przesłaniem, zrozumiała nagle.

Ale dlaczego? Mógł być tylko jeden powód. Rosja. Interesy. Żaden inny nie przychodził jej do głowy. Nie mieli z nikim na pieńku, ulica, przy której mieszkali, była na ogół bardzo spokojna, nie działo się tu nic nieprzewidzianego, żadnych włamań ani innych szkód przez te wszystkie lata, które tu spędzili. Wszyscy znali tutaj wszystkich.

Ale ten człowiek był obcy, był intruzem i na pewno miał złe zamiary.

Wiedziała, a raczej domyślała się, że Jeremias działa w szarej strefie, jak wszyscy zachodni biznesmeni, którzy odnieśli sukces w krajach byłego ZSRR. Mniej lub bardziej, oczywiście, lecz Henrietta miała wrażenie, że w ostatnich

latach jej mąż przesunął się w stronę „bardziej”.

Czy to był ktoś z ludzi Olega? Wyglądał jak Rosjanin, ubrany w proste, tanie rzeczy. Oleg był bandziorem, co zrozumiała bardzo szybko. Człowiekiem okrutnym. Zobaczyła to w rysach jego twarzy i spojrzeniu. Uśmiechał się tylko z wyrachowania lub drwiąco.

Wzięła długopis i notes, w którym zwykle spisywała listę zakupów, usiadła przy kuchennym stole i sporządziła jego dokładny rysopis: biało-niebieskie trampki, poplamione brązowe spodnie, zielona letnia kurtka z kieszeniami na piersi, a pod nią ciemna koszula, zielona lub granatowa. Miał jasne włosy. Krzaczaste baczki i ślad kilkudniowego zarostu podkreślały wrażenie przygnębienia i znużenia, jakie malowały się na jego twarzy. Wyglądał na zmęczonego i od czasu do czasu szeroko ziewał, jakby był wyczerpany tym stanem i gapieniem się, lecz musiał, bo go wynajęli.

Na ramieniu miał brązową torbę. Nie wyglądała na przeładowaną i chyba specjalnie mu nie ciążyła. Henrietta zwróciła uwagę na sęk na płocie sąsiadów, by potem móc obliczyć jego wzrost.

Kiedy skończyła notować, uśmiechnęła się do siebie. Poczula się lepiej. Miała teraz jego rysopis, choć jakie to mogło mieć znaczenie? Coś jednak zrobiła, zamiast tylko co chwila nerwowo sprawdzać, czy on tam jeszcze stoi.

Gdyby nie dorastała z ojcem alkoholikiem, który bił po pijaku ją i matkę, wyszłaby i spytała go, jaką ma sprawę, kto mu to zlecił.

Wiadomości się skończyły. Pilot zachrobotał na stole i telewizor umilkł. W domu zapanowała kompletna cisza. Po kilku minutach, które wydawały się wiecznością, usłyszała brzęk szkła. Domyśliła się, że mąż nalewa sobie whisky.

– Tchórz – mruknęła ze złością, tym większą, że sama nie była lepsza.

Następnego ranka miał jechać na trzy dni do Moskwy. To była ulga. Potem planowali żeglować przez tydzień wśród szkierów, po raz pierwszy bez Malin i Hampusa. Niespecjalnie się z tego cieszyła.

Musiała czekać jeszcze godzinę na powrót Malin. Tata Jessiki podwiózł ją i wysadził przed samym domem.

Człowiek przy płocie nie zmienił wyrazu twarzy. Henrietta była skłonna sądzić, że zasnął na stojąco.

Córka weszła, ciągnąc za sobą torbę. Henrietta pomachała jej z okna w wykuszu i dostała w odpowiedzi zmęczony uśmiech.

– Jak było?

Zanim Malin odpowiedziała, wzięła szklanę, nalała wody i wrzuciła trochę lodu.

– Przez dwa pierwsze dni całkiem nieźle, ale potem za gorąco.

Wypiła łączywie i znów napelniła szklanę.

– Co to za facet?

– Nie wiem – odrzekła Henrietta – stoi tu co najmniej od trzech godzin.

– To chore – stwierdziła Malin, nalewając następną szklankę. – Może to ten morderca.

– Jaki morderca?

– Ten, który tydzień temu zabił bezdomnego.

Henrietta zamknęła oczy. Wiadomości z ostatniego tygodnia zdominowało zabójstwo bezdomnego i znalezienie dziewczyny w lesie.

– Dzwonię na policję – postanowiła i wstała z miejsca.

– Ale co, że jakiś facet stoi na ulicy? To śmieszne. Może na kogoś czeka.

– Tyle godzin?

Malin wzruszyła ramionami.

– Taty nie ma w domu?

– Chyba zasnął w fotelu.

– Dom, słodki dom – mruknęła Malin i wrzuciła torbę do pralni przylegającej do kuchni.

Henrietta znów usiadła, uspokojona słowami córki. Słyszała, jak rozpakowuje rzeczy, i miała wrażenie, że czuje zapach przepoconego stroju sportowego. Uśmiechnęła się do siebie. Malin była w porządku, sama zajmowała się swoimi brudnymi ciuchami.

– Muszę kupić nowe bikini! – krzyknęła Malin.

– Kup w Bułgarii, na pewno będzie tańsze.

– Nigdy w życiu – stwierdziła Malin, nie wyjaśniając jednak, dlaczego to było nie do pomyślenia. – Jutro jadę do miasta.

– Tak, może i lepiej – zgodziła się Henrietta, bo pomyślała, że Bułgaria może być taka jak Moskwa.

Rzuciła okiem na ulicę.

– Poszedł!

– Kto? Tata?

– Nie, ten facet.

– No widzisz – rzekła Malin, wysuwając głowę z pralni. – Masz paranoję.

– Malin, usiądź na chwilę.

Córka patrzyła na nią przez ułamek sekundy, zawahała się, ale wysunęła krzesło i usiadła naprzeciw matki.

Jak mam jej o tym powiedzieć? – pomyślała. Uśmiechnęła się do Malin, widząc jej czujność i niepokój, i rozmyśliła się. Malin miała wkrótce jechać na pierwsze wakacje bez rodziców, więc po co mówić to teraz i powiększać zdenerwowanie, które na pewno odczuwała przed podróżą?

– Uważaj na siebie – rzekła. – Chcę powiedzieć... jesteście tylko cztery dziewczyny.

– Już o tym rozmawialiśmy – ucięła Malin.

- To prawda – zgodziła się Henrietta, biorąc córkę za rękę. – Wiesz, że ci ufam, tylko...
- ...mam paranoję – dokończyła z uśmiechem Malin.

**Od razu go poznał.** Stali w milczeniu naprzeciw siebie przez chwilę, która Andersowi Brantowi wydała się wiecznością. Jak ten człowiek tu się dostał? Brama od ulicy i drzwi wejściowe były zamykane na klucz. A teraz stał, wyraźnie niepewny, przed drzwiami jego mieszkania.

Brant zauważył, że starannie się przygotował do tej wizyty, pachniał tanim mydłem i miał na sobie swoje najlepsze ubranie, a może nawet pożyczył lśniąca białą koszulę i niebieskie szorty. Na nogach miał japonki.

– Dzień dobry – powiedział.

– Dzień dobry. Czy mogę w czymś pomóc?

Mężczyzna skinął głową. Brant wahał się, czy go wpuścić. Gospodyni była w Ribeiro z wizytą u siostry i na pewno nie wróci przed wieczorem. Holendra, który wynajmował małą kawalerkę za ścianą, nie widział od kilku dni, pewnie odwiedzał kobietę, z którą był w związku.

Co się stanie, jeśli go wpuści? Widoczne starania mężczyzny, by dobrze wyglądać, rozstrzygnęły jego wątpliwości.

– Proszę wejść – rzekł i odsunął się na bok.

Poszedł do kuchni. Przyjęcie gościa w pokoju połączonym z sypialnią wydało mu się niewłaściwe, zbyt prywatne, poza tym okna wychodziły na ulicę.

Usiadł przy stole. Mężczyzna rzucił szybkie spojrzenie na kuchnię, zatrzymał je na chwilę na aparacie fotograficznym i małym dyktafonie na stole, po czym odchrząknął.

– Dziękuję.

Brant poczuł nagle pragnienie, może z powodu tego chrząknięcia, ale powstrzymał się przed wyjęciem piwa z lodówki. Nie chciał, by mężczyzna był pod jakimkolwiek wpływem alkoholu.

– Wiem, że widział pan, co się stało.

Brant nie odpowiedział, tylko czekał na dalszy ciąg z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. To była technika, którą stosował podczas wywiadów. Mówienie zbyt dużo samemu, uzupełnianie, komentowanie, dociekanie przyczyn i intencji mogło prowadzić na manowce. Rozmówca lub bohater wywiadu łatwo się dopasowywał i wchodził na równoległy kurs, by go zadowolić lub po prostu wyjść z tego cało.

Z patio dobiegał uporczywy głos ptaka, który powtarzał bez przerwy swoje „niczewo-niczewo”, rosyjskie słowo oznaczające „nic”.

Mężczyzna westchnął i opuścił wzrok, z pewnością zakłopotany sprawą, z którą przyszedł, ale i nowym otoczeniem. Wyraźnie nie wiedział, jak ma to wyłożyć.

Brant musiał w końcu przerwać tę ciszę. Uporczywość ptaka i zmieszanie mężczyzny działały mu na nerwy.

– Jak się pan nazywa?

– Ivaldo Assis – odrzekł gość i wyciągnął rękę.

Brant przedstawił się i uściśnął jego dłoń nad stołem.

– Wiem, że pan widział – powtórzył Ivaldo.

Brant kiwnął głową i to wystarczyło, by Ivaldo mówił dalej:

– To, co człowiek widzi, to jedna rzecz, ale to, co naprawdę się dzieje, to druga. Mój syn umarł. Opłakuję syna, ale nie człowieka, który umarł na naszych oczach, to nie był mój Arlindo. On umarł dawno temu. Rozumie pan?

Po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy. Lewe oko mężczyzny było przekrwione, białkówkę pokrywała sieć czerwonych żyłek.

– On był... on stał się niedobrym człowiekiem, niedobrym synem, niedobrym mężem i ojcem. Przysporzył innym wiele smutku. Arlindo miał tylko dwadzieścia siedem lat, a już trzy ludzkie życia na sumieniu i wiele innych, których nie znam, bo był nie tylko mordercą, handlował też narkotykami. Próbowałem wszystkiego, by go sprowadzić na dobrą drogę, ale był zepsuty do głębi duszy. Niech Bóg mu przebaczy!

Brant wyciągnął rękę, otworzył lodówkę i wyjął jedną brahmę. Na tacy na stole stały szklanki. Nalał do dwóch i postawił jedną przed Ivaldo.

Mężczyzna czekał cierpliwie, aż opadnie pianka, i wypił do dna. Podziękował skinieniem głowy i podjął opowieść.

– Nasza rodzina pochodzi z interioru, *sertão*, w pobliżu Jacobiny, zna pan?

Brant skinął głową. Nie był wprawdzie w Jacobinie, mieście jakieś trzysta kilometrów na północny zachód od Salvadoru, ale przeczuwał, że krajobraz jest podobny do tego wokół Itaberaby: *caatinga*, krzewy zniszczone przez słońce i wiatr, wysychające okresowo koryta rzeczne, kaktusy, nieznośny upał latem, marna, kamienista gleba, która jednak przy dobrym nawodnieniu mogłaby przynieść plon.

– To pan wie. Było biednie. Nie mieliśmy ziemi. Kiedy moja żona umarła, przenieśliśmy się tu z trzema synami, myślałem, że zdobędą jakieś wykształcenie. Miałem brata tu w Salvadorze, w Massarandubie, i przeprowadziliśmy się do niego. Było ciasno, ale dawaliśmy radę. Brałem dorywcze prace. Brat był kierowcą autobusu. Potem też umarł, zastrzelili go podczas napadu, a nas wyrzucono z mieszkania. Mój najstarszy wyprowadził się do Ilhéus i dobrze mu się powodzi, ale zostało dwóch i mój bratanek Vicente, którym się opiekowałem. Byliśmy bez dachu nad głową, ja i trzech młodych mężczyzn. Kradliśmy razem drewno, zbiliśmy parę taczek, zaczęliśmy zbierać szmaty i kartony. Jakoś szło. Było nas czterech i byliśmy silni.

Anders Brant wiele razy słyszał podobne opowieści, i w Brazylii, i w innych

krajach. Szczegóły mogły się różnić, lecz dramat był ten sam.

Ludzie z daleka i bliska przenosili się do, nomen omen, Salvadoru w nadziei, że zbawi ich od biedy. Milionowe miasto wystąpiło z brzegów, nowe fawele powstawały jak grzyby po deszczu, bieda była taka sama, lecz nowo przybyli nie tracili nadziei na lepsze życie.

– Pewnego dnia znaleźliśmy miejsce na tej uliczce, opuszczony dom, i wprowadziliśmy się. Było nam dobrze, mieliśmy dach nad głową. Posadziłem nawet drzewo na stoku. Może pan widział, ma teraz pięć metrów. Smutne było tylko to, że Arlindo zaczął prowadzić złe życie. Wziął sobie kobietę, Luizę, zaszła w ciążę i urodziła syna, ale urodził się za wcześnie i umarł. On bił swoją kobietę. Może dlatego dziecko od nas odeszło. Byłem dziadkiem przez trzynaście dni.

Brant nalał piwa. Powtórzyła się ta sama procedura: kiedy opadła pianka, Ivaldo wypił je, pokiwał głową i wrócił do swojego opowiadania.

– Handlował narkotykami i nawet wciągnął w to młodszego brata i kuzyna, ale Bóg w końcu dał im siłę, by odmówić.

Stary człowiek umilkł. Brant przyglądał się naznaczonej biedą i ciężką pracą twarzy mężczyzny z tego wielomilionowego mrowiska, o ciemnej skórze, wywodzącego się od niewolników, urodzonego w biedzie, bez większych wymagań od życia. Ojca, który stracił syna.

Poczuł impuls, by położyć swoją bladą dłoń na ciemnej dłoni gościa, ale się powstrzymał.

– Teraz w panu cała moja nadzieja – rzekł Ivaldo.

– To znaczy?

– Doniesiono na Vincentego. Myśleliśmy, że pan zadzwonił na policję, ale to była kobieta z domu po drugiej stronie. Znam ją, zawsze siedzi w oknie i patrzy, w tamten wieczór też. Widziała, jak Vincente popchnął kuzyna, mojego syna Arlindo, na mur.

– Co mam zrobić? – zapytał Brant.

Przeczuwał, jaka będzie odpowiedź.

– Złożyć fałszywe zeznanie – rzekł Ivaldo.

– I uwolnić Vincentego od winy?

Ivaldo skinął głową.

– Nie zrobię tego – odparł Brant. – Nie mogę kłamać w takiej sprawie. Przez chwilę myślałem, że się pomyliłem, ale widziałem to, co widziałem. Postanowiłem nic nie mówić, ale niech mnie pan nie prosi o kłamstwo.

– Boi się pan?

Brant skinął głową.

– Niepotrzebnie. Arlindo się nie zemści. A Bóg zrozumie.

– Nie chodzi o Boga – odrzekł Brant.

– Nie?



Anders Brant nie wiedział, jak wybrnąć z tego dylematu. Dyskusja o ewentualnym zrozumieniu ze strony hipotetycznego Boga była dla niego zupełną abstrakcją, a mówienie o prawie i sprawiedliwości człowiekowi, który nigdy sprawiedliwości nie zaznał, zakrawało na farsę.

– Nie wierzy pan w Boga?

Brant pokręcił głową.

– Ani w Boga, ani w raj – sywierdził. – Walczę o raj tu na ziemi.

– Pojutrze uwierzy pan przynajmniej w piekło.

– To znaczy?

– Zrobimy *excursão*, pan i ja – odrzekł Ivaldo.

Brant nie był pewny, co mężczyzna chciał wyrazić tym słowem. Przetłumaczył to sobie jako „wycieczkę”, ale nie rozumiał kontekstu i malowało się to tak wyraźnie na jego twarzy, że Ivaldo uznał za stosowne od razu mu wyjaśnić, co owa *excursão* ma oznaczać.

**Pamiętała, jak odgarnął pasmo włosów z jej twarzy i pochylił się, by pocałować ją w czoło. I wodę po goleniu, tę, którą dostał od dzieci na urodziny.**

To było ostatnie wspomnienie, dotyk i zapach. Nie mogła sobie przypomnieć, czy coś powiedział; czasami to robił, przynajmniej kiedyś, parę słów, by jeszcze chwilę pospała, że niedługo wróci albo coś bardziej czułego.

To właśnie powiedziała policji: że była na wpół śpiąca, ale wiedziała, że wyjeżdża. Nie brzmiało najlepiej. Tak by chciała powiedzieć coś innego, przede wszystkim więcej, pełniejsze wspomnienie: że się kochali, zjedli razem śniadanie, że się cieszył, że krótko będzie w podróży, może coś o przyszłości, jacy właściwie byli, jacy mogli być.

Potem wyszła z nimi na ulicę, do płotu, i pokazała sęk.

– Jest takiego wzrostu!

Nie zrozumieli.

– Ten Rusek! – krzyknęła. – To Rusek! Wiem, że to Rusek. To wszystko wina Olega. Gaz, ten cholerny gaz!

Głos się jej załamał. Uderzała pięściami w płot, jakby chciała unicestwić postać, która stała tam kilkanaście godzin temu. Beatrice położyła dłoń na jej ramieniu.

W kuchennym oknie mignęła Malin i przez chaos myśli Henrietty przebiła się na chwilę jedna racjonalna – Bogu dzięki, że nie powiedziałam jej wczoraj wieczorem. Uwolniła się od policjantki, która starała się ją uspokoić, i pobięła do domu.

– To córka, damy im parę minut – powiedziała Beatrice. – I Fredriksson tam jest.

– Kto jest takiego wzrostu?

Sammy'emu to się nie podobało. Stał na ulicy, niczego nie rozumiejąc. Był przekonany, że niedługo dostaną odpowiedź na pytanie, kogo miała na myśli Henrietta Kumlin, kiedy rozpaczliwie tłukła pięściami w płot. Ale na wszystkie inne pytania?

– Do cholery, to czas urlopów! – wybuchnął.

Sam chętnie by wyjechał i powiosłował przez tydzień ze swoją szaloną siostrą, która zabarykadowała się w małej wsi w głębi Västerbotten. Nikt nie rozumiał dlaczego, ale tam chciała mieszkać. Jediną możliwością, by się z nią zobaczyć, była podróż na północ. Siedzenie na odludziu w domku, w którym ledwo starczało miejsca dla jednej osoby, było dla Sammy'ego czymś niewyobrażalnym, na samą myśl o tym ogarniała go chandra. Postanowili więc, a raczej Sammy postanowił, że spędzą kilka dni w kajaku, a siostra niechętnie się na to zgodziła.

– Rozumiesz, jakie to będzie zagmatwane?

Beatrice słuchała jego narzekań, nie komentując. W gruncie rzeczy cieszyła się, że nie mówi o tym, że jego praca nad tak zwaną drużyną bandy może mieć jakiś sens. Prawdopodobnie istniał związek między Gränsbergiem, Brantem i teraz Jeremiasem Kumlinem, i to nie tylko na zdjęciu sprzed dwudziestu lat. Byłoby dziwne, gdyby okazał się przypadkowy.

– Jeszcze nie wiemy – powiedziała w końcu.

Sammy popatrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem, pokręcił głową i wrócił do garażu, do którego weszli przed chwilą Eskil Ryde i Johannesson.

Beatrice wiedziała, że kolega jest zmęczony, wyczerpany i naprawdę potrzebuje tygodnia w odosobnieniu. Wiedziała też, co ma na myśli, mówiąc „zagmatwane”. To będzie skomplikowane. Diabli wezmą urlopy, trzeba będzie zmienić plany. Jej własny urlop wypadł wprawdzie dopiero za miesiąc, ale kolejny przypadek, prawdopodobnie powiązany z wcześniejszym morderstwem, pechowy upadek ze schodów i tajemnicze zniknięcie dziennikarza, to wszystko spowoduje chaos w planach.

Własne zmęczenie też odbierało jej zdolność sprawnego myślenia, lecz nie było odwrotu, bo wiedziała, że Henrietta Kumlin przypadnie jej w udziale. To gadanie o Ruskach – i gazie – było co najmniej dziwne, więc wróciła do domu, by zacząć rozplątywać kłębek.

Jeremias Kumlin leżał głową naprzód, z rękami rozciągniętymi na masce bmw, jakby w ostatnich sekundach życia chciał objąć symbol swojego sukcesu.

Sammy stał w uchylonych drzwiach garażu. Dwaj policjanci z wydziału porządkowego skończyli właśnie odgradzać podwórze i ulicę i Sammy rozmawiał teraz z aspirantem Simlundem, jak przeprowadzić wypytywanie sąsiadów na spokojnej zwykle ulicy.

Ryde i Johannesson pracowali w ciszy. Sammy pomyślał, że to dziwne znów widzieć „starego” w akcji, jakby nic się nie zmieniło. Ryde żartował z tą emeryturą, nabrał ich i przeżyje wszystkich.

– Jak to wygląda?

Ryde podniósł wzrok.

– Nie żyje.

Sammy pokiwał głową.

– Rozbita czaszka.

– Wiem, widziałem go. Do rzeczy!

– Uspokój się.

To Sammy też wiedział.

– Nie drepczcie tak w miejscu!

Sammy wyszedł na ulicę. Paru sąsiadów stało nieco dalej i rozmawiało, jeden z nich był w szlafroku, choć dochodziła dziewiąta. Kolega w mundurze

zmierzał w ich stronę, a oni cofnęli się na widok policjanta.

– Nie przeszkadzajcie sobie – mruknął Sammy.

Szedł niespokojnie ulicą, w zakątku Uppsali, który odwiedzał rzadko albo nigdy. Tu mieszkali ci najlepiej przystosowani, ludzie sukcesu. Czy istniał więc między Gränsbergiem a Kumlinem związek inny niż ten, że obaj przypadkiem skończyli z rozbitą czaszką? Próbował sobie przypomnieć przebieg swojej krótkiej rozmowy telefonicznej z Kumlinem parę dni temu. Nic go wtedy nie zdziwiło ani nie zwróciło jego uwagi i nie potrafił w świetle tego, co się teraz stało, wyciągnąć z tego żadnego innego wniosku. Kumlin był zaskoczony, że ktoś go pyta o stare zdjęcie, może trochę poirytowany, lecz nie powiedział nic, co by wzbudziło zainteresowanie Sammy'ego, i na pewno nic, co mogło dać powody do przypuszczeń, że czeka go taki los.

Czy mogło być tak, że ta rozmowa pobudziła Kumlina do jakiejś aktywności? Może zadzwonił do kogoś innego z drużyny, kto z kolei doprowadził do jego zamordowania? Sammy rozumiał, że musi wrócić do rozmów z dawnymi kolegami z zespołu.

Przystanął nagle i podniósł rękę, jakby chciał zatrzymać ten tok myśli i nie dopuścić, by mu gdzieś umknął. Czy to możliwe, że ktoś postanowił z jakiegoś niezbadanego powodu wymordować całą drużynę, jednego zawodnika po drugim? Czy dlatego Anders Brant tak nagle wyjechał, bo zrozumiał, że jest w niebezpieczeństwie i musi uciekać z kraju? A może to właśnie Brant wrócił z Madrytu i rozbił potylicę Kumlina kluczem do rur?

Sammy rozejrzał się dookoła, jakby mógł znaleźć odpowiedź na swoje pytania w zadbanych ogródkach dzielnicy Sunnersta.

Jakaś postać wychynęła nagle zza krzewów zaledwie parę metrów dalej i Sammy odruchowo sięgnął po broń, którą nosił w kaburze pod pachą – tym razem wyjątkowo był uzbrojony – lecz szybko się uspokoił. Do płotu biegnącego wzdłuż ulicy podszedł jakiś mężczyzna.

– Birger Luthander – przedstawił się.

Podali sobie ręce, Sammy też się przedstawił i przyjrzał mężczyźnie. Był po sześćdziesiątce, ubrany tylko w bermudy, z nagim torsem i boso.

– Domyślam się, że coś się stało. U Kumlinów?

Sammy coś wymamrotał. Był zły, że przerwano mu tok myśli, a może trochę zawstydzony swoją reakcją.

– Wyglądał pan na zamyślnego, rzekłbym smutnego, jeśli mogę tak to ująć. Od razu pomyślałem, że stało się coś strasznego. I, szczerze mówiąc, nie dziwi mnie to.

– To znaczy?

– Na ulicy było trochę ruchu innego rodzaju niż zwykle. Pamiętam, jak pomyślałem, że z tego nie może wyniknąć nic dobrego.

Czy oni muszą tak mówić? – pomyślał Sammy.

– Ruchu?

– Tak, ale nie mam na myśli pojazdów. Nie mogłem tego nie zauważyć, a chcę podkreślić, że nie starałem się specjalnie, nie jestem wścibski – wtrącił szybko – ale w kilku przypadkach, dokładnie trzech, na ulicy pojawiły się osoby, które nie należą do stałego obrazu tej okolicy.

– Krótko mówiąc, widział pan ludzi, którzy nie mieszkają na tej ulicy.

– Dokładnie tak. Pierwszy przypadek miał miejsce jakieś dwa tygodnie temu i człowiek ten powrócił parę dni później. A wczoraj nowa wizyta, tym razem inny mężczyzna, ale z podobnie niekorzystną powierzchownością, o jego wewnętrznych przymiotach nie mogę się wypowiedzieć. W rzeczy samej, to żona zwróciła moją uwagę na tego człowieka, bo ja sam oglądałem wtedy jeden z kanałów sportowych. Mało interesujący. To był jakiś sport z piłką, nie zgadłby pan, jacy Azjaci potrafią być szybcy w nogach, kiedy trzeba. Stwierdziłem, że to pewnie jakiś domokrążca, głównie po to, by uspokoić żonę, która czasami ma skłonności do przesadnego reagowania, ale dziwne było, że stał przy płocie Rosénów – moim zdaniem niezbyt estetyczna konstrukcja – co najmniej przez dwie godziny, w zasadzie bez ruchu. Nie był Azjata.

– Kim więc był?

– To znaczy?

– Jak wyglądał?

– Mógł być Szwedem, lecz nie zdziwiłbym się, gdyby był z pochodzenia cudzoziemcem. Nie miał ciemnych włosów, ale jasnych też nie. To się chyba nazywa ciemnoblond. Nie nosił okularów.

– Ubranie?

– Codzienne, ale o szczegóły musicie spytać moją żonę. To jej specjalność.

– Wiek?

– Trudno powiedzieć, między czterdzieści a pięćdziesiąt lat.

– No tak, kręcimy się w tym przedziale – mruknął Sammy, myśląc o drużynie bandy.

– Słucham?

– Nie, nic. Dlaczego pan sądził, że może być cudzoziemcem?

– Wrażenie całościowe – odparł stanowczym tonem Birger. – Było w nim coś nieokreślonego, coś niedzisiejszego, może ubranie? I w jego sposobie poruszania się też była jakaś niepewność; może odczuwał, że nie należy do tego miejsca, co zresztą było oczywiste.

Birger Luthander, który mimo kwiecistej wymowy okazał się uważnym i wnikliwym świadkiem, poza ubraniem potrafił określić wygląd i zachowanie obcego mężczyzny. Sammy wiedział, że to tylko spekulacje, lecz dawały mimo wszystko pewien obraz człowieka, który tak uparcie stał przy płocie Rosénów.

– Jeżeli chce pan porozmawiać z moją żoną, najlepiej zadzwonić na jej komórkę.

Sammy wyjął telefon, a Luthander podyktował mu powoli cyfrę za cyfrą.

Pani Luthander, która przestawiła się jako Anita, potrafiła dokładnie opisać ubranie mężczyzny: trampki, brązowe spodnie i zielona kurtka sięgająca do pasa, a pod nią ciemna koszula.

Dodała też coś, co Sammy'emu wydało się interesujące. Tuż przed wpół do dziewiątej mężczyzna znikł, lecz Anita Luthander nie widziała, by przechodził koło ich domu. Wydało jej się to dziwne, bo ulica jest ślepa.

Ogólnie potwierdziła odczucia męża. Cudzoziemiec, określiła swoje wrażenie.

Sammy podziękował za pomoc i zakończył rozmowę. Birger wyjął przez ten czas wizytówkę i wręczył ją policjantowi.

Publicysta Birger Luthander, doktor nauk humanistycznych, przeczytał Sammy.

– Co pan publikuje?

– Głównie książki o brydżu. Gra pan w brydża? I trochę ciekawostek o ludziach nauki, którzy się mylili, a jednak mieli rację.

– Ta dziedzina nie jest mi obca – odparł Sammy, ciesząc się, że spotkał tę osobliwą postać, trochę ze względu na zeznanie świadka, a trochę dlatego, że poprawił mu humor.

– Tak myślałem. – Birger skinął głową, wyraźnie zadowolony, jakby ta rozmowa była dla niego inspiracją do dalszego pisania.

Było już wpół do piątej, kiedy mogli zrobić pierwsze podsumowanie. Wzięła w nim udział grupa niespokojnych i przemęczonych policjantów. Zaczęło też brakować prokuratorów, bo chociaż oszczędziła ich uporczywa letnia grypa, która dotknęła policję, wielu zdążyło już wyjechać na urlop, a ci, którzy zostali, byli zavaleni pracą. Sprawę zamordowania Kumlina dostał sangwinik Åke Hällström. To zrównoważyło trochę ponury nastrój, bo choć też był przeciążony pracą i nieco rozkojarzony, miał rzadko spotykane w tym zawodzie, pogodne usposobienie.

– Zacznijmy od początku – powiedział. – Żona Kumlina twierdzi, że to był Rosjanin, lecz nie ma niczego na poparcie tej tezy?

– Nie – odrzekła Beatrice Andersson. – Tłumaczy to interesami, jakie jej mąż prowadził w Rosji, że mógł się czuć zagrożony.

– Czy były jakieś konkretne pogróżki?

– Z tego, co wie, to nie.

– Dziwne – stwierdził Hällström.

Beatrice nie podzielała jego zdziwienia. Słyszała, co mówiła Henrietta o ciągłych podróżach do Moskwy i jakiejś miejscowości bardziej na wschód, której nazwy nie pamiętała, o tym, jaki niespokojny był Jeremias w ostatnim czasie. I ten

Oleg Fiedotow, który dla Henrietty był wcieleniem zła.

– Wydaje się, że prowadził interesy w szarej strefie – ciągnęła Beatrice. – Sami wiemy, że stosuje się tam czasem mniej konwencjonalne metody, by postawić na swoim.

– Nawet morderstwo?

– Tak, ta myśl nie była Henriecie obca.

Hällström pokiwał głową.

– Ale nie rozpoznała tego Fiedotowa?

– Spotkali się kiedyś, ale to nie on obserwował ich dom. Ma wrażenie, że Fiedotow niechętnie jeździ za granicę. Natomiast jego synowie odwiedzili Szwecję i Uppsalę, zatrzymali się nawet u Kumlinów.

– Ale nie wiemy, czy to ten mężczyzna przy płocie zamordował Kumlina – wtrącił Sammy. – Rozpłynął się w powietrzu o wpół do dziewiątej. Albo znikł niepostrzeżenie, albo wszedł do garażu, zczekał parę godzin i przystąpił do dzieła rano, kiedy Kumlin miał wsiąść do swojej bryki i pojechać na Arlandę. To może oznaczać, że wiedział, że Kumlin wyjdzie rano z domu.

– Nie zostawił żadnego śladu – stwierdziła Beatrice w tym dwugłosie, jaki powstał między nią a Sammym.

– Fachowiec – orzekł Hällström, a Beatrice posłała mu zmęczone spojrzenie, świadczące o tym, co sądzi o jego komentarzu.

– Potem mamy informacje Luthandera, że było więcej takich niespodziewanych wizyt w ostatnim czasie – podjął Sammy. – Dwa razy widział kogoś obcego na ulicy. Nie wiemy, czy szedł do Kumlina, nikt inny go nie zauważył i nikt nie spodziewał się ani nie przyjął gościa. Jeśli uwierzymy Luthanderowi, że to nie był nasz „Rusek”, jak go nazywamy, to w takim razie kto?

– Może ktoś, kto dwa razy próbował odwiedzić kogoś na tej ulicy, lecz nie zastał go w domu – podsunęła Beatrice.

– Ktoś, kto robił rekonesans – rzucił Fredriksson.

– Niepokoi mnie, i to poważnie – podjęła Beatrice – że „Rusek” stał tam tak długo, w pełni widoczny. Mamy trzech świadków, oprócz twojego kumpla Luthandera, którzy widzieli go przy płocie. Dlaczego? Jeżeli miał zlecenie zabicia Kumlina, to było zupełnie kretyńskie.

– Coś nie wyszło – orzekł Sammy. – Miał za zadanie go wystraszyć, potem coś się omsknęło.

– Czekał w garażu przez całą noc? – zdziwił się Hällström. – Trudno mi w to uwierzyć.

W ciągu godziny przedyskutowali sprawę na wszystkie strony, aż zaczęli się powtarzać. To prokurator zaproponował przerwę i zdawało się, że po tej sugestii z wszystkich uszło powietrze.

Grupa rozeszła się, lecz Sammy jeszcze zwlekał. Nie mógł się uspokoić.

Myślał nad związkiem Gränsberg–Brant–Kumlin. Niewiele rozmawiali na ten temat, ale to wydawało się najbardziej interesujące.

Gdyby mogli wykazać i zrozumieć taki związek, wszystko by się wyjaśniło, był o tym głęboko przekonany.

Wyszedł z sali zebrań do swojego pokoju i usiadł na krześle, kładąc nogi na biurku. Powinien jechać do domu, ale nie potrafił się odprężyć. Wyjął zdjęcie, które zabrał z mieszkania Branta, i zaczął się przyglądać zawodnikom.

Brant, dzoker w tej grze, kochanek Ann, podróżujący do Hiszpanii, którego Ola Haver koniecznie musiał znaleźć. Sammy podejrzewał, że Haver za bardzo się nie wysila, pochłonięty pewnie porządkowaniem życia rodzinnego. Wysłał tylko z poczucia obowiązku parę maili do hiszpańskiej policji z pytaniami, które krążyły teraz w przestrzeni wirtualnej.

Dlaczego Brant wyjechał? Dlaczego ludzie w ogóle wyjeżdżają z kraju? Żeby się ukryć, pracować albo po prostu spędzić urlop. Na początku śledztwa Sammy był przekonany, że Brant uciekł, ale teraz nie miał już tej pewności, może z powodu tego, co mówiła mu Ann. Czy umawiałaby się z mordercą?

Przypomniał sobie nagle, że wśród stosu papierów na biurku dziennikarza znalazł teczkę z napisem „Putin”.

Spojrzał na zegarek: wpół do siódmej, przysunął telefon i zadzwonił do Ann Lindell, która odebrała po pierwszym sygnale.

– Halo!

Wyczuwał w jej głosie pewne napięcie.

– Jak leci?

– Co? To ty, Sammy? Ale z czym?

Głos Ann zdawał się dochodzić uszkodzonymi przewodami z drugiego krańca kuli ziemskiej.

– Tak ogólnie. Rozmawiałaś z Ottossonem?

Nie rozmawiała. Mail od Branta dużo zmienił, powiedziała, ale nie chciała zdradzić, o co chodzi. To zirytowało Sammy’ego i wcale się z tym nie krył.

– Ale on jest czysty – zapewniła Ann – to znaczy, przynajmniej jeśli chodzi o Gränsberga.

– Gdzie on jest?

– W Brazylii, w jakimś mieście. Znalazłam w atlasie... Nazywa się Bahia. A właściwie Salvador.

– W atlasie – powtórzył Sammy, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że ludzie jeszcze korzystają z czegoś tak archaicznego jak atlas.

– Znał Gränsberga, ale nie ma nic wspólnego z tym morderstwem. To było inne morderstwo.

– Jak to „inne”?

– W Salvadorze, na bezdomnym – wyjaśniła zmęczonym głosem. – Był



świadkiem.

– Niewiarygodne – rzekł Sammy, – Takie rzeczy się nie dzieją. Czy...

– Chwileczkę!

Sammy usłyszał, jak Ann odkłada słuchawkę. W tle słychać było dziwnie głośny dźwięk telewizora i dotarło jeszcze do niego, że krzyczy na Erika. Telewizor przycichł i Ann wróciła.

– Co powiedziałaś?

– Piłaś?

– Co... Ja? Nie, nie – zapewniła – Erik, który jest tylko trochę...

– Smutno ci?

Nie odpowiedziała. Widział ją przed sobą, choć nie był jeszcze w jej nowym mieszkaniu, jak mówi, że jest bardzo zadowolona, ale w tej chwili nie mógł jej sobie wyobrazić zadowolonej i odprężonej. Wiedział, że piła, rozpoznawał symptomy – lekko podniesiony głos i niechlujną składnię.

– Ann, posłuchaj! Zaraz przyjadę, to pogadamy.

Usłyszał tylko, jak Erik śpiewa do wtóru piosenkę z ryczącego telewizora.

– Ann, jesteś tam?

Płakała?

– Oczywiście, przynajmniej jeszcze przez chwilę, ale jest trochę ciężko – przyznała w końcu.

– Mieszkasz pod 4B?

– Mhm.

– Jakiś kod do wejścia?

– 3838 – odrzekła Ann. – Mój numer buta razy dwa. Mam przecież dwie stopy.

Ale teraz niezbyt pewne, pomyślał.

– Nie pij więcej! Będę za pół godziny, może za godzinę, muszę tylko zajechać do domu. Wstaw wodę na kawę. Usiądź z Erikiem przed telewizorem, rozmawiaj z nim.

– Okej – zgodziła się Ann. – Ja...

Umilkła. Sammy czekał na dalszy ciąg, a kiedy nastąpił, jej głos brzmiał zaskakująco trzeźwo.

– Chyba wiem, kto zabił Klarę Lovisę.

Sammy zaparkował na Österplan, niedaleko domu Ann, i pozostał tam przez chwilę. Wieczór był cudowny, ciepły, a z grilla na jakimś podwórku niósł się zapach pieczonego mięsa.

Pociąg towarowy jadący na północ wprowadził ziemię w wibracje. Ogromny skład kołysał się i zgrzytał. Policzył wagony, czterdzieści osiem, i przypomniał sobie, że kiedyś chciał zostać maszynistą, jak dorośnie. Myśleć o tym, by utrzymać się na torze i nigdy z niego nie wypaść.

Bardzo rzadko odwiedzał Höganäs, i prywatnie, i służbowo. Z punktu widzenia statystyki była to spokojna część Uppsali. Wezwano go tu kiedyś w sprawie pobicia i kiedy mijał dom, w którym żona szklarza porządnie wtedy oberwała, zajrzał do ogrodu i stanął zdumiony. Kobieta siedziała na ogrodowym krześle i czytała, Sammy poznał, że to ta sama książka, napisana przez ostatniego noblistę, którą on próbował czytać wieczorami. Szklarz stał przy grillu ze sprayem w jednej ręce i butelką piwa w drugiej. Coś powiedział, kobieta podniosła wzrok i uśmiechnęła się, ale od razu wróciła do lektury.

Sammy szybko poszedł dalej, nim zdążyli go zauważyć. Na pewno by go rozpoznali. Poczul zażenowanie, jakby zrobił coś niestosownego.

Ann odświeżyła trochę siebie i mieszkanie przez tę godzinę, jaka upłynęła od ich rozmowy. Zapach środka czyszczącego mieszał się z aromatem kawy, a ona sama wzięła przed chwilą prysznic.

– Erik właśnie zasnął – powiedziała.

Sammy ostrożnie zamknął za sobą drzwi. Wieczne słońce wpadało przez okno do salonu, łapało unoszące się drobiny kurzu i nadawało mieszkaniu dziwnie sugestywny, zamglony charakter, jak romantyczny, lecz zarazem złowróżbny prolog do czarno-białego francuskiego filmu z lat pięćdziesiątych, z kobietą wkomponowaną niczym delikatny, baśniowy detal z brzegu obrazu, która powoli wycofuje się i znika.

– Zrobiłam kawę – powiedziała ledwie słyszalnym głosem, jakby sprawdzała, czy nad nim panuje, a Sammy zdjął buty i rozejrzał się z zaciekawieniem po mrocznym przedpokoju.

Spotkanie ze szklarzem i jego żoną pozostawiło w nim wrażenie, że wtargnął w coś bardzo prywatnego. Nie widywał się po pracy z kolegami, coroczny grill u Havera był właściwie jedyną okazją do spotkania się na zorganizowanej imprezie. Bywało, że wypijał piwo z Morganssonem z technicznego, przynajmniej zanim ten poznał kobietę, z którą teraz mieszkał, to wszystko.

Poczucie, że jest intruzem, zmieszało się niespodziewanie z tkliwością wobec Ann. Usiadła na kanapie, z mokrymi włosami, wyprostowana, gotowa nalać kawę. Na stoliku stał talerzyk z ciastkami i dzbanuszek mleka.

– Ale tu u ciebie ładnie – powiedział.

Poczul impuls, by ją dotknąć, pogłaskać po policzku czy nawiązać inny fizyczny kontakt, ale wiedział, że to byłoby głupie. Siedziała jak na szpilkach i starała się ze wszystkich sił trzymać fason. Dotyk by ją rozkleił, na tyle ją znał.

Raz, parę lat temu, składał ją z kawałków. Siedziała wtedy sama w knajpie i piła na umór. Kolega z wydziału porządkowego, który poszedł tam coś zjeść i potańczyć, zadzwonił do niego i powiedział, by zawiózł koleżankę do domu i położył do łóżka, zanim coś się stanie.

Sammy natychmiast tam pojechał, zastał ją zalaną w trupa i odholował do

domu. Został wtedy u niej na noc, zdrzemnął się na kanapie, na której teraz siedziała, a rano odbył długą rozmowę ze skacowaną i skruszoną Ann. Rozmowę, która podziała, jak zrozumiał to z czasem, choć nigdy nie wracali do tamtego incydentu i tego, co przedyskutowali wtedy rano przy jej kuchennym stole.

Zapytał ją, gdzie jest Erik, a ona powiedziała, że nocuje u „rodziny odciążającej” i przyznała, że czasami jest tak trudno, że nie wie, jak da radę wychować syna, i że to właściwie on potrzebuje odciążenia od niej, nie na odwrót.

Zadzwoił do kolegi z porządkowego i poprosił, by nikomu nie mówił o tym, co się stało, i z tego, co Sammy mógł wywnioskować, tamten zachował dyskrecję, bo nigdy nie usłyszał w pracy żadnego przytyku ani komentarza na ten temat.

Po tamtym zdarzeniu wzięła się w garść i z tego, co Sammy słyszał, Erik wyrósł na bardzo zrównoważonego chłopca. Wyglądało na to, że Ann tamtego ranka postanowiła nieodwołalnie odłożyć na półkę miłość do Edvarda Risberga i tęsknotę za nim, choć później wyznała Sammy’emu, że jeszcze długo ją bolało. Jeszcze w zeszłym roku, kiedy prowadziła śledztwo w sprawie morderstwa na szkieletach, a więc blisko miejsca, gdzie mieszkał Edvard, tamta zmarnowana miłość wyprowadziła ją na parę tygodni z równowagi.

Usiadł obok niej. Salon był urządony jeśli nie nudno, to konwencjonalnie; domyślał się, że Ann nie studiowała wnikliwie czasopism wnętrzarskich. Był funkcjonalny i taki, jak trzeba. Wyróżniał się w nim tylko wielki olejny obraz na przeciwnej ścianie.

Dostrzegła jego zainteresowanie i opowiedziała o artyście, teraz już bardzo starym człowieku, który przez całe swoje życie malował tylko jeden motyw: jezioro Wetter, przy którego brzegach się urodził i zawsze mieszkał.

– Kupiłam go dwadzieścia lat temu, właściwie musiałam wziąć na to pożyczkę od rodziców, ale nie żałuję. Podąża za mną. Jediną zaletą Ödeshög jest to, że leży blisko Wetter, „morza”, jak mawia mój ojciec.

– Dobra robota – stwierdził z uznaniem Sammy.

– Ładny, ale zimny – odparła Ann i zatopiła się w myślach.

– Klara Lovisa – przypomniał Sammy, chcąc przełamać nieco egzystencjalny nastrój. Jednocześnie nalał sobie mleka do kawy.

– Ostatni Mohikanin – powiedziała, zbywając ruchem ręki pytającą minę Sammy’ego.

Opowiedziała potem o naszyjniku, który znaleźli na szyi Klary Lovisy, i o tym, że nikt, nawet jej rodzice, go nie rozpoznał. Wyciągnęła z tego wniosek, że dał go jej morderca.

– Zgrabnie pomyślane – skomentował Sammy – najpierw łańcuszek wokół szyi, potem małe duszenie.

– Zapytałam dziewczynę, która czasem pilnuje Erika, gdzie kupuje biżuterię

i czy ten wzór jest popularny. Wyliczyła ileś sklepów i obeszłam je dzisiaj. Udało się już w pierwszym, Srebro i Inne przy Drottningsgatan. Ekspedientka od razu rozpoznała naszyjnik i powiedziała, że sprzedawała ich całkiem sporo przez ostatnie pół roku, właśnie z napisem „Carpe Diem”.

– To przecież prowadzi donikąd – zauważył Sammy – to znaczy, że jest wielu klientów. Lepiej, gdyby to było coś nietypowego.

– Byłam na to przygotowana – podjęła Ann i po raz pierwszy się uśmiechnęła. – Sprzedawczyni od razu wskazała kandydata.

– Jak to?

– Objechałam trzy szkoły i zebrałam szkolne katalogi, wiesz, takie ze zdjęciami całych klas. Dałam jej, by przejrzała i powiedziała, czy rozpoznaje jakiegoś klienta. W trzecim katalogu bez wahania wskazała palcem twarz: to był ostatni Mohikanin. Jest pewna na sto procent.

– Indianin, innymi słowy.

Skinęła głową.

– Pomyślałam tak: co zrobiła Klara Lovisa, kiedy, jeśli w ogóle tak było, Fredrik zostawił ją samą w domku w lesie?

– Próbowwała się stamtąd wydostać – odparł Sammy, zadowolony ze zmiany, jaka zaszła w Ann, od rozmazania do pełnej przytomności, ale słuchał jej też z pewnym niepokojem. Widział już wcześniej coś podobnego, kiedy gorączkowo zasysała ostatnie krople paliwa, jak silnik, zanim w końcu się zadławi i umilknie.

– Miała urodziny, chciała jechać do miasta, poza tym była zła i może zszokowana wybrykiem Fredrika, ale nie miała ochoty dzwonić do rodziców i prosić, by ją stąd zabrali.

– Zadzwoń do Indianina – wtrącił Sammy.

Znow skinęła głową.

– Do Andreasa Davidssona. Ma taką osobliwą fryzurę, że łatwo go zapamiętać, i na to też liczyłam. Ekspedientka, jak wspomniałam, była zupełnie pewna swego. Moja teoria brzmiała, że Andreas od razu wsiadł na motorower i pojechał. Przed południem wysłał jej esemesa, wiedziała, że przyjedzie i na pewno nikomu nie wygada, chłopak był w niej zakochany na zabój. Mógł zarobić u niej plusa, więc zjawi się na pewno. Potem coś idzie nie tak, ona dostaje swój prezent i wkłada na szyję, lecz Andreas się do niej dobiera i wtedy coś się psuje. Może ona rzuca tekst w stylu, że ma dość tych wszystkich napalonych facetów i Andreas uświadamia sobie nagle, że nigdy nie będzie miał u niej szansy.

– Dużo przypuszczeń – zauważył Sammy. – Czy on w ogóle ma motorower?

Ann skinęła głową i mówiła dalej:

– Ona wychodzi z domu bez naszyjnika, zostaje znaleziona martwa z naszyjnikiem. Andreas jakiś czas temu kupił właśnie taki naszyjnik. I wszystko jasne.

Sammy westchnął. Wiedział, że Klara Lovisa i Andreas równie dobrze mogli spotkać się wcześniej tamtego dnia i wtedy dostała w prezencie naszyjnik. Z drugiej strony, dlaczego chłopak miałby kłamać w tej kwestii?

– I jeszcze jedno – podjęła Ann – ale to tylko przeczucie. Myślę, że jego mama coś wie. Sprawiała wrażenie bardzo zdenerwowanej. Wezwę matkę i syna i przycisnę każde z nich, aż się złamią, wcześniej czy później. Myślę, że raczej wcześniej.

Sammy Nilsson miał duży respekt dla przeczuć Ann. Nie zawsze się sprawdzały, ale na tyle często, by traktować je poważnie. Zdawała się mieć coś w rodzaju wewnętrznego radaru, instrumentu, który zrobił z niej dobrą policjantkę, jaką była.

– Rozmawiałaś z Ottossonem?

Ann spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– O czym?

– O tym.

– Tak, weźmiemy Andreeasa i jego matkę na przesłuchanie jutro rano, jak najwcześniej.

Sammy skinął głową i dopił kawę, która zdążyła już wystygnąć.

– Więc nie możesz dzisiaj więcej pić – powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie przez parę sekund, nim spuściła głowę jak pokutnica.

– Wiesz, co zrobiłam po naszej rozmowie?

– Wzięłam prysznic.

– Tak, ale najpierw włożyłam palce do gardła i z wymiotowałam. Erik nic nie słyszał, teraz ma swój własny klub karaoke. Od paru tygodni ogląda z otwartymi ustami każdy program w telewizji albo wideo i śpiewa razem, słodkie, ale na dłuższą metę męczące. Zdążyłam już wlać w siebie dwa kieliszki wina, a wiesz, że wiele mi nie trzeba, zwłaszcza kiedy mało jem. Potem wypiliśmy litr mleka i wzięłam prysznic. Nie chciałam być wstawiona, kiedy przyjdiesz.

– Anders Brant – rzucił Sammy.

Skinęła głową.

– Co się stało?

– Naprawdę chcesz usłyszeć? To cholernie smutna opera mydlana, pełna śmiesznej miłości, mnóstwa nadziei, ale równie wielu rozczarowań i bólu, beznadziejna do słuchania dla osób trzecich.

– Opowiedz – zachęcił ją Sammy, choć wiedział, że zabrzmiało to równie beznadziejnie przewidywalnie, jak mówiła Ann.

– Myślę, że ma kobietę w Brazylii – zaczęła. – Nie napisał tego wprost w swoim mailu, ale dało się dość wyraźnie odczytać między wierszami. Może to ona była tu z wizytą. A teraz on jest tam.

Łzy napłynęły jej do oczu i potoczyły się po policzkach.

– I kiedy przeczytałaś tego maila, otworzyłaś wino – wywnioskował Sammy.  
– To takie żałosne – rzekła. – Czuję się oszukana, jakby ktoś trzymał mi przed nosem torebkę z cukierkami i zabrał w chwili, gdy zaczęłam się częstować. Najgłupsze jest to, że wierzę, że on też się zakochał. Było nam dobrze!

Sammy zastanawiał się, czy jej powiedzieć, co znalazł w sypialni Branta, ale nie trzeba przecież mówić wszystkiego. Sama na własną rękę wyciągnęła właściwy wniosek, więc po co sypać sól na rany, dorzucając szczegóły?

Jakby skurczyła się na tej kanapie, głos też stał się słabszy. Jak długo wytrzyma sama? Jak długo da radę trzymać fason? Kiedy alkohol zwycięży? Przeklinał w duchu Branta, który to wywołał.

– On wróci – powiedział zamiast tego.  
– Czy można kochać dwie osoby jednocześnie? – rzuciła w przestrzeń.  
– Nie wiem, mnie wystarczy jedna – odparł Sammy.  
– Nie daję rady – wyznała i głos jej się załamał. – Samotność. Mam przecież Erika i on jest wszystkim, wszystkim! Lubię swoją pracę, nie mam wielu przyjaciół, ale mam ciebie i paru innych. Ale chcę mieć kogoś bliskiego. Czy to takie dziwne?

– Nie, wcale – odrzekł Sammy i wziął ją za rękę.  
– Tak jakby życie nie było dla mnie, to brzmi jak marny felieton, ale naprawdę tak jest. Miałam Edvarda i co by o nim nie mówić, to był konkretny mężczyzna, może trochę nudny, ale solidny. Zmarnowałam to, bo się schlałam. Czy miałam siedzieć cicho i usunąć ciężę? Pewnie, że o tym myślałam, zastanawiałam się, jak będzie wyglądać moje życie, ale teraz patrzę na Erika i nie pojmuję, jak coś takiego w ogóle mogło mi przyjść do głowy.

– Udał ci się synek – przyznał Sammy.  
– Nie radzę sobie z życiem – ciągnęła Ann. – Zazdroszczę innym, tym, którzy żyją w parach albo sami i są z tego zadowoleni. Jak oni to, do cholery, robią?

– Nie jest powiedziane, że wszyscy są szczęśliwi – rzekł Sammy. – Popatrz na Olę.

– Tak, ale oni mają narzędzia, formuły. Ja się czuję zupełnie zagubiona, wykluczona, jak jakaś społeczna karykatura. Gdyby istniała pigułka znieczulająca emocje, tobym ją wzięła i poszła dalej jak maszyna.

– Nie wierzę – odparł Sammy, który zaczynał już być zmęczony tym uzalaniem się nad sobą.

– No, ja też nie – przyznała osowiale Ann. – Ale tak myślę, a to niedobrze.  
– On wróci – powtórzył Sammy. – Jeśli jest tak, jak powiedziałaś, że on też się zakochał, to może się udać. Jest tylko niezdecydowany.

– Tak myślisz?  
– Nic nie myślę – odparł Sammy – ale tak może być i ty też o tym wiesz. Nie

wierzgaj jak spłoszony koń, tylko zaczekaj, aż wróci do domu. Usiądźcie wtedy razem na kanapie i wszystko mu opowiedz. Sądzę, że nie jesteś dobra w mówieniu o tym, co myślisz i czujesz. Nie jest tak? Myślisz, że nikt nie może cię pokochać.

– To nieprawda – zaprotestowała.

– To prawda, Ann, tak samo jest w pracy. Jesteś jedna z najlepszych, ale ciągle się sama umniejszasz.

Wybuchła płaczem. Sammy przyciągnął do siebie wstrząsane szlochem ciało. Pomyślał, że nigdy wcześniej jej nie obejmował. Możliwe, że próbowała niezdarnie naśladować życie ludzi, które obserwowała w otoczeniu, ale nie ulegała słabości, by się przytulać.

Uwolniła się z jego objęć, wyprostowała, przetarła dłonią twarz, pociągnęła nosem i próbowała zapanować nad wyrazem twarzy.

– Moje życie jest pełne kłamstw i cholernego mnóstwa krwi – rzekła. – Tyle z tego mam.

Wstała i podeszła do okna koło balkonu. Na stole stał wyszczerbiony spodeczek. Leżał jeszcze na nim jeden z jego niedopałków. Słońce zaszło i podwórze pogrążało się powoli w mroku. Jeden z sąsiadów siedział przy jaśminowcu i palił fajkę. Jego żona, kobieta, którą Ann widziała na kasie w Torgkassen, sprzątała po kolacji. Rozmawiali.

– Trochę miłości by nie zaszkodziło – powiedziała, odwrócona do niego plecami.

– Masz Erika, to wyjątkowy chłopiec – przypomniał jej Sammy, ale sam czuł, jak niezręcznie to zabrzmiało.

Ann zachnęła się, jakby chciała dać do zrozumienia, co myśli o tym komentarzu.

**Avenida Oceânica** rozciągała się od latarni w Barra, dzielnicy położonej w południowo-zachodnim krańcu Salvadoru, do Rio Vermelho. Oba rejony były względnie zamożne, zdominowane przez klasę średnią, lecz tu również znajdowały się gdzieś tam małe fawele.

Drogą tą przechodził jeden z trzech pochodów podczas wielkiego karnawału w lutym, największego otwartego festynu na świecie, trwającego przez tydzień.

W pochodzie w Barra, który zaczynał się na południe od portu, dominowali biali, wielu przyjezdnych z São Paulo i Rio, którzy płacili za udział w *bloco*, jednym z odgałęzień tworzących pochód. Na czele każdego *bloco* jechała ogromna platforma z muzykami i śpiewakami, a za nią ci, których było stać na zakup koszulki lub stroju, by wziąć w tym udział. Wśród tych, którzy pilnowali porządku i nie wpuszczali takich, których nie było stać, przeważali czarni, podobnie jak wśród widzów tłoczących się z boku na chodnikach.

Przygotowania do karnawału zaczynały się na wiele tygodni wcześniej, wzdłuż całej drogi przemarszu ustawiono trybuny, na których można było wykupić miejsca za tysiąc reali lub więcej – dla większości wydatek niewyobrażalny.

Karnawał stał się biznesem. Brant wolał ten w dzielnicy historycznej Pelourinho, bo bardziej przypominał ludowy festyn. Ludzie pili piwo, kupowali zbędne gadżety i świecidełka, tańczyli, słuchali muzyki na kilku stałych scenach lub zespołów muzycznych, które wędrowały po ciasnych, brukowanych uliczkach.

O ósmej rano Anders Brant i Ivaldo Assis wsiedli do taksówki przy Avenida Oceânica. Wcześniej wypili kawę kupioną od kobiety, która prowadziła na ulicy ruchomy punkt sprzedaży z kilkoma termosami i stosem plastikowych kubków.

Kawa była zbyt słodka, lecz Brant czuł, że będzie potrzebował energii, by przetrwać ten dzień.

Na promenadzie wzdłuż ulicy uprawiała jogging biała lub na wpół biała klasa średnia w markowych butach i powiewających białych strojach. Przyglądali się biegaczom w milczeniu, nie trzeba było nic mówić. Wskazywanie, że para nika to równowartość płacy minimalnej, nie miało sensu. Brant o tym wiedział, a Assis to przeżył.

Podróż taksówką była krótka; areszt znajdował się tylko o kilka kwartałów od Campo Grande i Brant, płacąc, napomknął, że równie dobrze mogli iść pieszo. Wtedy uświadomił sobie, że Assis raczej nie jeździł często taksówką i pewnie cieszył się, że może z niej wysiąść przed wejściem do aresztu, w którym siedział jego bratanek Vincente. To dobrze wyglądało, może liczył na to, że ktoś z personelu zauważy ich przyjazd.

Poza tym jego komentarz można było odebrać tak, że zmarnował pieniądze



na niepotrzebną jazdę i zawstydził się tego.

– Ale dobrze było trochę się ochłodzić – dodał.

Na dworze było gorąco i parno, a klimatyzacja w taksówce chłodziła ich przez kilka minut.

Areszt, jeden z czterdziestu dwóch w Salvadorze, był rotundą, której zewnętrzna fasada niczym się nie wyróżniała. Panował tu również zadziwiający spokój, i na zewnątrz, i w małym pokoju przyjęć, do którego weszli. Brant spodziewał się tłumów krewnych, radiowozów nadjeżdżających i wyrzucających nowych aresztantów, wzburzonych głosów i rozdzierających scen.

W pomieszczeniu hałasował zamontowany na ścianie telewizor z programem kulinarnym, prowadzonym oczywiście przez białego. Obraz falował, ale nikt nie dbał o to, by go wyregulować, bo telewizor stał tam tylko dlatego, że to była Brazylia i coś musiało hałasować.

Były tu trzy małe otwarte boksy, jak w szwedzkiej aptece, gdzie wpisywano aresztowanych i gdzie ludzie mogli również zgłaszać przestępstwa. Tylko jeden boks był obsadzony personelem, co pogłębiało wrażenie spokoju.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Branta i Assisa. Wszyscy przyjęli za pewnik, że gringo został okradziony lub padł ofiarą innego przestępstwa, a starszy mężczyzna jest po to, by mu pomóc, ewentualnie wyłożyć najważniejsze dla sprawy informacje.

Ivaldo Assis stał biernie, może spodziewał się, że Brant zacznie działać, o czym ten nawet nie pomyślał, bo przyjechali tu przecież z inicjatywy Ivalda i to jego krewnego odwiedzali.

Po chwili obopólnego niezdecydowania dyżurny z boksu dał im znak, by podeszli.

– Dzień dobry – przywitał się Assis. – Wszystko w porządku?

Policjant kiwnął głową, trochę nonszalancko, lecz z zainteresowaniem.

– Ten pan ma ważną sprawę – ciągnął Ivaldo.

Jego biała koszula zdążyła już pociemnieć od potu.

Policjant zwrócił spojrzenie na Branta.

– Jeśli to zgłoszenie, to lepiej idźcie z tym do policji federalnej – powiedział, próbując uniknąć papierkowej roboty i innych problemów.

– Nie chodzi o zgłoszenie – wyjaśnił Brant – raczej o odwiedzin.

– Dniem odwiedzin jest środa – przerwał mu policjant. – Przyjdźcie w przyszłym tygodniu.

– Wtedy już nie będzie mnie w kraju – odrzekł ze spokojem Brant.

– Więc sprawa się rozwiąże automatycznie.

Brant wiedział z doświadczenia, że nie warto się denerwować. Lepiej zachować pewną godność i pozostać uprzejmym.

– Chodzi o morderstwo.

Celowo podniósł lekko głos, by zwrócić uwagę pozostałych policjantów. Jeden z nich przyniósł krzesło i ściszył telewizor.

Dyżurny wstał i podszedł do dziwnej pary.

– A konkretnie? – zapytał.

– Vincente Assis – odparł Brant.

Policjant skinął głową, jakby dla potwierdzenia, że kojarzy to nazwisko i jest zainteresowany ciągiem dalszym.

Był mocnej budowy, raczej ciemny niż jasny, miał podwinięte rękawy koszulki, może po to, by pokazać wyćwiczone bicepsy, i czujne spojrzenie. Muszę zdobyć zaufanie tego człowieka, pomyślał Brant, i bardzo starannie dobierał słowa.

– Byłem świadkiem wstrząsającego wydarzenia, człowiek umarł na moich oczach. Chciałbym odwiedzić Vincentego i sam zobaczyć, czy to ten, o którym myślę.

– A pan kim jest? – zapytał policjant, zwracając się do Ivalda.

– Ivaldo Assis.

– Ojciec Vincentego?

– Stryj. Arlindo, ten, który umarł, był moim synem.

Wyraz twarzy policjanta nie zdradzał, co o tym myśli, ale dał ruchem głowy znak, by poszli za nim.

Minęli jedne drzwi i weszli w przejście, które biegło łukiem między rzędem okien po jednej stronie i małych drzwi po drugiej. Brantowi skojarzyło się to z parowozownią. Niektóre drzwi były otwarte, zajrzał do nich i napotkał obojętne spojrzenia.

Policjant przystanął nagle i otworzył jakieś drzwi.

– Tu możemy porozmawiać w spokoju – powiedział. – To nasza stołówka.

Usiedli przy małym, chwiejącym się stoliku.

– Chce pan zobaczyć Vincentego?

Brant skinął głową.

– Żeby go zidentyfikować.

– Mówi pan, że był świadkiem zdarzenia, czemu nie przyszedł pan wcześniej?

– Byłem w szoku – odparł Brant, ale od razu zrozumiał, że to nie była dobra odpowiedź. – I nie chciałem się wtrącać. Zdarzenie było tragiczne, lecz nie dotknęło mnie bezpośrednio. Ale potem, kiedy wypadki potoczyły się tak, a nie inaczej...

– Świetnie mówi pan po portugalsku – przerwał mu policjant. – Mieszka pan tu na stałe?

– Nie.

– Ma pan problemy z wizą? Czy dlatego nie chciał pan rozmawiać z policją?

– Mam wszystkie dokumenty w porządku – odpowiedział Brant i sięgnął po

paszport, lecz policjant dał mu ręką znak, że nie trzeba.

– Tym zajmiemy się później – rzekł i podniósł się szybko. – Zaprowadzę pana do cel. Będzie pan mógł zobaczyć Vincente, lecz nie wolno z nim rozmawiać. Chcę, żeby pan go wskazał. Potem wyjaśnimy tę sprawę. *Senhor Assis*, pan niech tu zaczeka.

– Ale to mój bratanek.

– Tak będzie lepiej – uciał policjant. – Dniem odwiedzin jest środa i wtedy zapraszam. Nie możemy robić wyjątków.

Anders Brant był zaskoczony. Spotykał się z brazylijską biurokracją w wielu sytuacjach i na różnych poziomach i zdziwiła go energia i skuteczność policjanta.

Po wyjściu ze stołówki przeszli kilkanaście kroków do schodów z piętnastoma stopniami, prowadzącymi do podziemia. Uderzył ich zapach ludzkich wydzielin.

Policjant przystanął i spojrzał z powagą na Branta.

– To nie jest przyjemny widok – uprzedził. – Areszt jest przewidziany na trzydzieści pięć osób, a mamy ich w tej chwili dziewięćdziesiąt sześć.

– Rozumiem – odparł Brant – ale nie przyszedłem tu po to, by opisywać wasze areszty.

– Nawet przez chwilę tak nie pomyślałem – zapewnił policjant i po raz pierwszy zaprezentował coś, co Brant przy odrobinie dobrej woli mógłby nazwać uśmiechem.

Zeszli po schodach. Zapach przybrał na sile. Głosy aresztantów, odbijające się echem od betonowych ścian, utrudniały Brantowi usłyszenie tego, co mówi mężczyzna, lecz zrozumiał, że są trzy oddziały – dla morderców, dla handlarzy narkotyków i mieszany, w którym trzymają wszystkich, od drobnych złodziejasków do przypadkowych zabójców. Vincente Assis siedział w tym ostatnim.

W dole schodów znajdował się mały pokój. Policjant wyjaśnił, że tam normalnie odbywają się widzenia. Przyprawiano tu pięciu zatrzymanych jednocześnie i mieli piętnaście minut na rozmowę z bliskimi. Brant był ciekaw, czy mogą zostawiać aresztowanym jakieś rzeczy.

– Ubrania, środki higieniczne i ciastka – wyliczył policjant.

– Żadnego innego jedzenia?

Mężczyzna pokręcił głową, ale nie wyjaśnił, dlaczego tylko ciastka są dozwolone.

Otworzył zakratowaną żelazną bramę, dał Brantowi znak ręką, by zaczekał, a sam poszedł na lewo do łukowatego wąskiego wejścia. Wewnątrz budynku znajdował się spacerniak, z którego dobiegały wycia i krzyki. Po obu stronach przejść biegły cele. Brant widział ręce ściskające kraty.

Policjant zatrzymał się przy jednej z cel jakieś pięć, sześć metrów dalej i

uciszył aresztantów, podnosząc obie ręce i mówiąc coś, czego Brant nie zrozumiał.

– Mamy gościa – powiedział policjant. – Tylko popatrz. Ustawcie się w rzędzie. Nikomu nie wolno się odezwać, kto wypowie choć jedno słowo, będzie miał ze mną do czynienia.

Dał znak Brantowi, który trzymał się blisko ściany, by uniknąć rąk wyciągających się przez kraty. Wszyscy byli młodzi i czarni, ubrani tylko w brudne szorty i boso.

– Jestem niewinny – szepnął jeden z mężczyzn w pierwszej celi – moja rodzina nie wie, że tu jestem.

Kiedy Brant podszedł do trzeciej celi, wszystkie oczy zwróciły się na niego. Ich spojrzenia były smutne i otępiałe – chłopców i młodych mężczyzn bez nadziei.

Brant doliczył się dziesięciu osób, Vincente Assis był trzeci od lewej, w celi przewidzianej może na cztery.

Podniósł rękę i wskazał, nie patrząc mu w oczy, a potem szybko podszedł do kraty i przemknął do pokoju widzeń.

Od razu posypał się za nim grad wyzwisk.

Wrócili do jadalni, w której czekał na nich Ivaldo, stojąc przy oknie. Odwrócił się gwałtownie. Anders Brant opuścił wzrok.

– Czy to był mężczyzna, który popchnął swojego kuzyna na mur?

Bezpośrednie pytanie policjanta zaskoczyło go. Wciągnął spazmatycznie powietrze, czując płynący po plecach pot. Nozdrza miał wciąż wypełnione smrodem ciał dziewięćdziesięciu sześciu stłoczonych mężczyzn i wiedział, że ten brak nadziei, jaki widział w oczach młodych ludzi, długo będzie go prześladował.

Rzucił szybkie spojrzenie Iwaldowi i odpowiedział tak zdecydowanie, jak tylko potrafił.

– Nie, mężczyzna, którego widziałem tam na dole, stał przynajmniej pięć metrów od muru, z którego spadł Arlindo Assis.

Brwi policjanta uniosły się o milimetr, lecz poza tym zachował kamienną twarz. Ivaldo za to ciężko oddychał. Brant nie miał odwagi spojrzeć w jego stronę.

– Jest pan pewny?

– Całkowicie. Stałem w oknie, może pięć, sześć metrów od muru, i wyraźnie widziałem przebieg zdarzeń. Nikt, ani Vincente, ani nikt inny nie popchnął Arlinda.

– Czy pan rozumie, co to oznacza?

Brant skinął głową.

– I wie pan również, że jest świadek, który twierdzi coś przeciwnego?

Brant znów skinął głową.

– I nadal jest pan pewny?

– Tak.

– Dlaczego? Zapłacili panu? Znał pan wcześniej rodzinę Ivalda?

– Zapłacili? To mnie obraża, mówi pan to tylko po to, by mnie

sprovokować. I nigdy wcześniej nie widziałem rodziny Ivalda.

Kolejne kłamstwo. Widział ich w zeszłym roku, kiedy mieszkał w pensjonacie, ale wtedy nie zwrócił na nich szczególnej uwagi, byli jedną rodziną z wielu. Ich dom miał wtedy jeszcze dach i nie był półotwartą sceną, jaką stał się później.

– Jest pan gotów złożyć zeznanie?

– Tak. Nie można skazać niewinnego.

Policjant usłyszał łkanie. Ivaldo płakał przy oknie.

– Kto go popchnął?

– Nikt.

– Chce pan powiedzieć, że sam skoczył głową naprzód przez mur?

– Wypadł. Może był pijany. Widziałem, jak się oparł, a potem stracił równowagę. Może chciał zobaczyć, co tam leży na ulicy. Dzień wcześniej wyrzucili mnóstwo rzeczy. Może się pokłócili.

– Dużo tych „może” – zauważył policjant.

Brant potwierdził skinieniem głowy.

– Skąd się pan dowiedział, że Vincente Assis siedzi w areszcie?

– Spotkałem na ulicy Ivalda i złożyłem mu kondolencje.

– Powiedział pan, że nie zna rodziny.

– Widziałem przecież z okna, także moment, kiedy Ivaldo objął Arlinda i zamknął mu oczy. Domyśliłem się, że są rodziną. Ivaldo powiedział mi, że policja oskarżyła Vincente o zamordowanie kuzyna.

– Arlindo był przestępcą, mordercą, który prócz tego handlował narkotykami. Może myśli pan, że to dobrze, że umarł?

Spojrzał na Ivalda, jakby czekał na jego protest, lecz ten nie skomentował opisu swojego syna.

Ten człowiek jest niebezpieczny, pomyślał Brant, ale zrobił zdziwioną minę i pokręcił głową, jak gdyby uważał to pytanie za niedorzeczne.

– Co pan myśli o jego śmierci? – zapytał zamiast tego.

Policjant przyglądał mu się w milczeniu. Brant wiedział, że rozważa w tej chwili decyzję. Otworzył walizkę, wyjął wodę mineralną, odkręcił zakrętkę i wypił parę łyków.

– Będzie pan musiał skontaktować się z naszym śledczym, który zajmuje się tą sprawą. Teraz proszę podpisać zeznanie.

– A potem?

Policjant zrobił ruch głową, jakby chciał powiedzieć: kto wie, a może: a kogo to obchodzi?

**Magdalena Davidsson** – powiedziała Ann po nagraniu na taśmę wymaganych informacji o przesłuchaniu i umilkła na dziesięć sekund. Potrzebowała tego czasu, by przeczytać to, co już wiedziała, i móc kontynuować.

Adwokat, starannie uczesany czterdziestolatek, jak określił go Fredriksson, i przyjaciel rodziny Davidssonów, przyglądał się jej w tym czasie, co zarejestrowała kątem oka.

Potem podniosła wzrok i spojrzała na prawnika z twarzą bez wyrazu. Wyczuwała, że czeka ją walka, przynajmniej jeśli on będzie na nią nastawiony.

– Mam syna, Erika, który zaczyna szkołę na jesieni. Dziarski chłopak – użyła wyrażenia, którego nie słyszała od niepamiętnych czasów, gdy używał go jej ojciec – który tak jak twój syn jest na początku drogi.

Magdalena Davidsson wzięła głęboki wdech.

– Jako matki ponosimy wielką odpowiedzialność – ciągnęła Ann.

– No nie! – wybuchnął adwokat.

Ann bardzo powoli odwróciła głowę, jak gdyby miała hydraulicznie sterowaną i źle posmarowaną szyję, i utkwiała wzrok w Petterze Oswaldssonie, nim znów zwróciła się do matki Andreasa i podjęła wątek.

– A przez swoje kłamstwa tylko mu szkodzisz. Po prostu. Popełnił przestępstwo, ty go chronisz albo myślisz, że go wspierasz, a jest zupełnie na odwrót: spychasz go w dół.

Machnęła ręką i odkryła ku swemu zdziwieniu, że jej tyrada jeszcze działa: Oswaldsson skrzywił się, lecz milczał.

– Nie ma nikogo oprócz ciebie, twoje kłamstwa go zatrują. Przestań, póki jeszcze jest czas.

– Czego dotyczy przestępstwo? – zapytał adwokat.

– Utrudnianie śledztwa w sprawie morderstwa, ewentualnie zabójstwa, może i samo morderstwo – odpowiedziała spokojnie Ann, jakby rozmawiali o czymś zwyczajnym. Nie spuszczała przy tym wzroku z kobiety.

Magdalena Davidsson drgnęła, jakby ktoś ją uderzył, na dźwięk słowa morderstwo.

– Tak, jest aż tak niedobrze – potwierdziła Ann – i tylko ty możesz to naprawić.

– Jak naprawić? – wychrypiała matka Andreasa.

Ann wyjęła z leżącej przed nią teczki fotografię przedstawiającą Klarę Lovisę i położyła ją na stole. Adwokat zapatrzył się w zdjęcie uśmiechniętej nastolatki.

– Jeśli, a dużo za tym przemawia, twój syn jest zamieszany w śmierć Klary

Lovisy, będzie potrzebował wsparcia, by sobie z tym poradzić. Ma zaledwie piętnaście lat. Całe życie przed sobą. Teraz cierpi piekielne męki i tak już pozostanie, jeśli mu nie pomożesz. Nigdy nie uwolni się od lęku, bo nie jest zatwardziałym, pozbawionym empatii przestępcą, by umieć z tym żyć.

– Co mam robić? – szepnęła Magdalena Davidsson.

– Porozmawiać z nim! Teraz, właśnie w tej chwili, jest szansa na ratunek dla życia i zdrowia psychicznego twojego syna. Niech wie, że ma twoje wsparcie, niezależnie od tego, co się stało; że ze względu na siebie, Klarę Lovisę i jej rodziców musi być szczery.

Ann czekała, aż jej słowa zapadną w świadomość kobiety. Trudno było się dziwić, że się łamie, dziwiła ją natomiast bierność Oswaldssona. Spojrzała na niego przelotnie i nie wiedziała, co o tym sądzić. Albo był wyjątkowo tępy, albo się z nią zgadzał, niezależnie od tego, co sądził o jej graniu na emocjach Magdaleny.

– Skłamaliście w sprawie jego alibi w dniu zaginięcia Klary Lovisy – podjęła Ann. – Ja myślę, że on kłamie, kiedy mówi, że nie spotkał się z nią tamtego dnia. Miała urodziny i dał jej w prezencie naszyjnik.

Ann przedstawiła swoją teorię, że Klara Lovisa zadzwoniła do Andreasa, a on pojechał do Skårfälten na motorowerze, pokłócili się i ta kłótnia doprowadziła do aktu przemocy.

Kobieta słuchała z pochyloną głową i kiedy Ann skończyła mówić, nic nie powiedziała. Adwokat Oswaldsson też nie, tylko włożył swoje notatki do aktówki i podziękował za interesujący wykład.

Ann poczuła cień desperacji. Miała nadzieję, że Magdalena się załamie i wytryśnie z niej historia, która stanie się początkiem końca długiego śledztwa.

Nic takiego się nie stało. Milczenie kobiety i lekko tylko skrywane szyderstwo Oswaldssona przygnębiły ją i zakończyła słowami, że Magdalena może tu zostać podczas przesłuchania Andreasa albo jechać do domu.

Obie wiedziały, że Andreas nie będzie chciał obecności matki, wyraził to wprost, lecz Ann nie mogła się powstrzymać, by o tym nie wspomnieć, powodowana dość irracjonalną myślą, że chce się jakoś odpłacić Magdalenie za jej nieprzeniknione milczenie, wskazując, że Andreas w ten sposób odsuwa się od własnej matki. Prymitywna zemsta i Ann zawstydziała się, że tak źle potraktowała tę biedną kobietę.

– Myślę, że Magdalena może poczekać w budynku – odezwał się adwokat – a potem odwiezę ich do domu.

Ann zastanawiała się, czy to Oswaldsson namówił ją, by milczała, co było oczywiście jej prawem, i czy chłopakowi radził to samo. To się niedługo okaże.

Oczywiste było, że Oswaldsson zostanie, by dać wsparcie Andreasowi. Jeśli rezultat tego przesłuchania okaże się taki sam, będą musieli wypuścić chłopaka, czego adwokat nie omieszkał starannie podkreślić.





**Popołudniowe zebranie**, które zwołano z inicjatywy Ottossona i prokuratorów Fritzéna i Hällströma, by podsumować śledztwo w sprawie zamordowania Bo Gränsberga i wydarzeń, które nastąpiły później, śmierci Ingegerd Melander i zabójstwa Jeremiasa Kumlina, okazało się długą i męczącą nasiadówką. Był piątek i wszyscy intensywnie pracowali przez cały tydzień, większość także po godzinach. Załogę zdziesiątkowały choroby i urlopy, a śledztwo spuchło do trudnych do ogarnięcia rozmiarów. Tak więc mimo powszechnego zmęczenia podsumowanie było konieczne.

Ottosson pozwolił Sammy'emu Nilssonowi zrobić graficzną ilustrację na białej tablicy, ze zdjęciami osób w to zamieszanych i krótkimi informacjami o każdej z nich. Strzałki tworzyły zawiły i nie dla wszystkich całkiem jasny system, wskazując na związki między tymi osobami. Stwierdzone powiązania zostały oznaczone liniami ciągłymi, pozostałe przerywanymi. Znaki zapytania zapisane czerwonym tuszem były liczne.

Zasadnicze pytanie brzmiało: czy mają do czynienia z tym samym mordercą w sprawie Gränsberga i Kumlina?

To nie było takie oczywiste. Jedynym pewnym powiązaniem między nimi było zdjęcie sprzed dwudziestu lat. Henrietta Kumlin nigdy nie słyszała, by jej mąż mówił o Bo Gränsbergu. Poznała Jeremiasa krótko po tym, jak zakończył sportową karierę. Powiedziała, że później byli na kilku imprezach Siriusa, między innymi na przyjęciu jubileuszowym, lecz pamiętała zaledwie parę nazwisk i nie było wśród nich Gränsberga.

Nie potrafiła też rozpoznać go na fotografii, ani na grupowej, ani na późniejszych.

– Czy rozpoznała tego dziennikarza – zapytał Riis – tego Branta?

Sammy pokręcił głową.

– Gdzie on, do cholery, jest?

Sammy popatrzył na Riisa, który potrafił tak zadawać pytania, by brzmiały jak zniewaga lub oskarżenie.

– W Brazylii – odrzekł z uśmiechem.

– Cholerny nazista – wybuchnął Riis, za którego tokiem myśli nie zawsze było łatwo nadążyć, lecz Sammy i większość pozostałych zrozumieli, że chodzi mu o to, iż wielu nazistów uciekło do Ameryki Południowej pod koniec drugiej wojny lub po niej. – Co on tam do diabła robi?

– To nas mniej interesuje – stwierdził Sammy – myślę, że możemy go wyłączyć ze śledztwa. Spotkał się z Gränsbergiem w ramach pracy. Pisze książkę o bezdomnych na świecie i z tego powodu go odwiedził. Znali się przecież

wcześniej. Notes, który znaleźliśmy w barakowozie, Gränsberg dostał właśnie od Branta, by spisać trochę swoich doświadczeń.

– Skąd, do cholery, to wiesz? Rozmawiałeś z Brantem?

– Nie – odparł Sammy.

– To ty, Haver? – ciągnął Riis, odwracając się.

Ola Haver, którego zadaniem było wytropienie Branta i który niespodziewanie dla wszystkich prócz Ottossona powrócił rano do pracy, tylko pokręcił głową.

Wyglądał na tak strapionego, że nawet Riis uznał, że lepiej zostawić go w spokoju.

Sammy skorzystał z okazji i rzucił Ottossonowi szybkie spojrzenie, nim podjął wątek, z nadzieją, że Riis odczepi się od Branta.

– Potem mamy stanowcze stwierdzenie Henrietty, że „człowiek przy płocie” był Rosjaninem.

– Czy wiemy, czym zajmował się ostatnio jej mąż? – zapytał prokurator Fritzén.

– Nie w pełni i może nigdy się nie dowiemy – wtrącił Fredriksson.

To on, razem z Olofem Myhre z wydziału do spraw przestępczości gospodarczej, zajął się interesami Kumlina.

– Jeremias Kumlin był właścicielem kilku przedsiębiorstw, częściowo sam, a częściowo z rosyjskimi współnikami, między innymi z tym Olegiem Fiedotowem, i prawie wszystkie miały związek z gazem lub ropą naftową. Jest parę wyjątków i dotyczą one monitoringu i alarmów. Trudno spekulować, co tak niepokoiło Kumlina. Przy takiej gmatwaninie firm istnieje wiele hipotetycznych wyjaśnień – podsumował Fredriksson spostrzeżenia swoje i Myhrego.

– Nie ma żadnych aktualnych dokumentów?

– No cóż – odparł Fredriksson – pełny pokój. Jeden pokój na piętrze został urządzone jak biuro. Myhre oszacował, że przejrzanie wszystkiego zajmie co najmniej miesiąc i nie da się jednoznacznie stwierdzić, co jest aktualne.

– Hitman ze wschodu – rzekł bez związku aspirant Nyman, któremu chyba spodobała się myśl o małej domieszce rosyjskiej mafii.

– Ale Kumlin właśnie wybierał się do Moskwy – podjął prokurator. – Musiał chyba przygotować się do podróży, na pewno znaleźliście jakieś dokumenty w walizce.

– Nie, jego bagaż składał się tylko z laptopa, ubrań i przyborów toaletowych – odrzekł Fredriksson. – Znaleźliśmy na podłodze garażu walizkę zamkniętą na zamek. Jest pewne, że Kumlin wybierał się w podróż i morderca zaskoczył go w garażu.

– Morderca mógł wziąć walizkę ze sobą – wtrącił prokurator.

– Mógł – odrzekł spokojnie Fredriksson – ale Henrietta tak nie myśli. Jej

mąż pakował się zawsze poprzedniego wieczoru i stawiał cały bagaż przy wyjściu do garażu lub przy głównym, jeśli miał jechać taksówką. Twierdzi, że tego wieczoru przy drzwiach stała tylko walizka z ubraniami i nic innego. Kumlin zasnął wcześniej wieczorem przed telewizorem, Henrietta go zbudziła o wpół do dwunastej i natychmiast poszedł się położyć.

– Ale podróż do partnera w interesach w Moskwie bez żadnych dokumentów wydaje się dość nieprawdopodobna. Mógł je mieć w biurze i zabrać rano – obstawał przy swoim Fritz.

Fredriksson wzruszył ramionami.

– Możliwe – odparł. – Moja teoria brzmi, że gdy Kumlin wszedł do garażu, „człowiek spod płotu” już tam czekał z kluczem. A jeśli chodzi o to, czy były dokumenty, czy nie...

– Ale właśnie te dokumenty mogły być celem ataku – upierał się prokurator.

– Tego możemy się nigdy nie dowiedzieć – odpowiedział lakonicznie Fredriksson.

– Jak wszedł? – zapytał Fritzén.

– Drzwi garażu nie były zamknięte na klucz.

Fritzén przesunął okulary na czoło i przetarł dłonią twarz.

– Co za chaos – powiedział, wyrażając uczucia wszystkich w to piątkowe popołudnie. – Nieznany mężczyzna, który znika. Jedyne, co mamy, to niezły rysopis, który pasuje do paru milionów Rosjan i Szwedów przy okazji też. I Henrietta Kumlin twierdzi, że jej mąż go nie znał.

Fredriksson osunął się na krzesło, pozostali byli pewni, że marzy o spacerze po lesie, więc Sammy Nilsson przejął pałeczkę.

– Raczej Jeremias tak twierdził i można by pomyśleć, że chciał to ukryć przed żoną. Nie zgodził się też, by zadzwonić na policję. Nie chciał nawet wyjść i zapytać tego człowieka, czego chce. Innymi słowy, zachował się zupełnie biernie i to jest trochę dziwne.

– Ale nie dowodzi też, że przesadnie się bał – wtrącił Franzén. – Nie sądzę, że go rozpoznał czy też poczuł się naprawdę zagrożony. Wtedy na pewno zachowałby się inaczej.

Brant, pomyślał Sammy, który zagłębił się we własnych rozważaniach, gdzie on tu się pojawia? Czy wyłączenie go z listy osób będących w kręgu zainteresowania nie było zbyt pochopne? Znowu przypomniał sobie o materiale, który znalazł na biurku dziennikarza i który skłonił go, by zadzwonić do Ann, lecz potem się to rozmyło, kiedy była w takiej złej formie.

Rosja. Putin. Może tam trzeba szukać? Anders Brant był dociekliwym dziennikarzem, może wygrzebał coś, co miało związek z interesami Kumlina, mówiąc wprost – coś o Olegu?

Sammy trzymał język za zębami, nie podzielił się swoimi przemyśleniami i

postanowił pociągnąć jeszcze ten wątek na własną rękę. To oznaczało, że będzie musiał jeszcze raz wejść do mieszkania Branta. Dozorca Nilsson na pewno nie będzie już taki uczynny.

Po dwóch godzinach dyskusji i dzielenia włosa na czworo zebranie się skończyło. Zmęczenie było ogromne i właściwie nie doszli do niczego nowego, ale wszyscy uważali, że ten seans był potrzebny. Pozornie bezsensowna pogawędka mogła pobudzić do życia uspione skojarzenia, może nie podczas samego spotkania, lecz w weekend, w przyszłym tygodniu, za miesiąc. Tak wyglądała praca policyjna. Tylko Riis głośno narzekał na zmarnowany czas.

Sammy przeszedł obok pokoju Ann Lindell, lecz jej tam nie było. Słyszał o marnym rezultacie przesłuchań Magdaleny Davidsson i Andreasa. Oboje mogli wrócić do domu, a Ann nie posunęła się o krok.

Poza tym zwolniono Fredrika Johanssona po radzie Ann i prokuratora Molina. Nie dało się udowodnić, że Fredrik jest sprawcą. Powodem był schemat czasowy i skoro nie potrafili wykazać, że wrócił do domku w Skärfälten po zabraniu samochodu jego ojca do warsztatu, nie mieli podstaw do oskarżenia.

Sammy wyobrażał sobie rozczarowanie Ann. Dwa razy była przekonana, że sprawa morderstwa jest na dobrej drodze do rozwiązania, i dwa razy musiała stwierdzić, że nie potrafi tego udowodnić. Czy będzie trzeci raz?

Wrócił niespiesznym krokiem do swojego pokoju. Było wpół do czwartej i powinien już jechać do domu. Na weekend zaplanował wizytę w Tärnsjö w północnym Upplandzie, ziemi obiecanej komarów, gdzie te stwory szalały bez opamiętania, a pola kempingowe podupadały i bankrutowały przez krwiożercze bestie, których przybywało w imponującym tempie we wszystkich zakolach płynącej niedaleko Dalälven i które potem nawiedzały okolice gęstymi rojami, atakując wszystko, co się rusza.

To nie była atrakcyjna wyprawa, lecz koleżanka Angeliki z pracy i jej bliska przyjaciółka kończyła czterdzieści lat i urządziła imprezę. Nie dało się od tego wykręcić. Sammy czuł, że się upije, i może był to jedyny sposób, by przetrwać inwazję komarów. Spray ochronny komary z Tärnsjö zjadały na śniadanie, a świece i inne dymne odstraszacze tylko je ożywiały. Ale z drugiej strony, w tej części kraju na pewno były przyzwyczajone do alkoholu.

W chwili, gdy postanowił wyjść, zadzwonił telefon. Wahał się, czy odebrać, ale po pięciu sygnałach podniósł słuchawkę. To był Morgansson.

Sammy od razu poznał po ożywionym głosie kolegi, że ma coś wyjątkowego. Technik opowiedział, jak Ann Lindell była u nich z wizytą i poprosiła o wgląd do protokołu z rewizji w mieszkaniu Andersa Branta. Kiedy wychodziła, wyglądała na zdruzgotaną, nie odezwała się słowem do Morganssona ani do nikogo innego, tylko zamknęła teczkę, posiedziała przez chwilę, patrząc przed siebie, a potem poszła trochę lunatycznym krokiem.

Sammy wiedział, co zmieniło ją w zombi, lecz postanowił dalej o tym nie myśleć, nawet nie zadawać pytań, bo nie słyszał dotąd Morganssona tak podekscytowanego.

– I jeszcze – Sammy nie mógł nie słyszeć, jak entuzjazm w jego głosie miesza się z dumą – zabezpieczyłem odcisk palca w mieszkaniu Ingegerd Melander. Wiesz, jaka jest Bea, zręczliwa jak diabli. Próbowałem ją złapać, ale się nie udało.

Sammy wcale się nie zdziwił. Beatrice miała niezawodną zdolność znikania i zacierania za sobą śladów, kiedy zbliżał się weekend.

– I?

– Lepiej usiądź – uprzedził Morgansson – to palce Branta, wyraźny odcisk palca wskazującego na uchwycie do papieru toaletowego.

– Co ty gadasz?

– Właśnie – odparł Morgansson z zadowoleniem. – To jasne jak słońce. Siedział u Ingegerd na kibelku.

Sammy kazał technikowi natychmiast dzwonić do Ottossona, żeby mógł się tym dalej zająć i powiadomić prokuratorów.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Morgansson.

– Jechać do Tärnsjö i walczyć z komarami – odrzekł Sammy. – Dobra robota, Charles! Ale zadzwoń od razu, żeby złapać Ottona!

Sammy położył słuchawkę i natychmiast zadzwonił na komórkę Ann. Bez odpowiedzi. Zawrócił do jej pokoju. Pusty. Stał przez chwilę niezdecydowany, drepcząc w miejscu, po czym zjechał windą do garażu.

**Łagodny letni deszcz zwilżał jej policzki.** Wiedziała, że musi wziąć się w garść, po prostu nie ma innego wyjścia. Zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu. Nawet nie mam parasolki, pomyślała.

Najchętniej rozplynęłaby się we mgle, poszła przed siebie, zostawiła wszystko, poddała się. Ale Erik czekał. Wyszła z pracy, ale nie mogła odejść od syna.

Przyszła Carolina, mama Emmy. Mieszkała bardzo blisko i mogła chodzić do przedszkola pieszo. Ann znów otworzyła samochód, odwróciła się plecami i udawała, że czegoś szuka na przednim siedzeniu.

– Cześć, Ann, zgubiłaś coś?

Szukam życia, pomyślała. Chciała po prostu położyć się w tym samochodzie i już tam pozostać, ale wyprostowała plecy i odwróciła się.

– Tak, kartki – powiedziała.

– Kartki zawsze giną – stwierdziła Carolina. – Dobrze, że trochę pada.

Ann też tak uważała, bo deszcz skrywał jej łzy.

– Przepraszam cię, ale muszę zadzwonić.

– Jasne, chodzi o te straszne morderstwa, rozumiem – rzekła beztróskim głosem Carolina i zostawiła ją samą.

Kiedy była już przy wejściu do przedszkola, odwróciła się i coś krzyknęła, może: „Miłego weekendu”. Ann pomachała jej w odpowiedzi.

Dla przyzwoitości wyjęła komórkę. Do kogo mam zadzwonić? – pomyślała. Kto chciałby słuchać tego, co mam do powiedzenia? Nie chciała słyszeć nawet samej siebie, więc jak mogła sobie wyobrazić, że to zainteresuje kogoś innego? I co miałyby powiedzieć? Wystarczyło jedno słowo: upokorzenie. Może wstyd, może nawet nienawiść.

Wiedziała, że Sammy wie, może nawet Morgansson. Nie, Sammy nie był taki podły, by powiedzieć technikowi o niej i o Brancie. Ale sama myśl, że Morgansson zbierał pęsetą włosy z jego łóżka, włosy ciemnej kobiety, wpędzała ją w szaleństwo zazdrości i rozgoryczenia. Włosy w plastikowej torebce jako dowód na jego podwójną grę.

Zabije go, przemknęło jej przez głowę i poczuła, jak jej ciało kurczy się w kolejnym ataku rozpacz.

Wciąż od nowa wyobrażała sobie tę scenę. Jak on idzie z jej łóżka do innej kobiety, szepcze jej słowa miłości, podkłada poduszkę pod jej brzuch, pieści, liże i wchodzi w nią. W nią też.

Jak ma na imię? Ann chciała znać jej imię, wiedzieć, jak wygląda i ile ma lat. Na pewno była młodą pięknocią, uśmiechniętą i z jędrnym ciałem. Może

właśnie w tej chwili oplatała go nogami, dyszała mu wprost do ucha?

Teraz leżał oczywiście u niej w Brazylii. Czy rozmawiali o policjantce z Uppsali? Skok w bok bez znaczenia, który można wybaczyć i zapomnieć. Słyszała go, jak ją o tym zapewnia.

Zapewniał ciemnowłosą o swojej miłości, szeptał do jej ucha sprośne słowa, sprawiał, że się śmiała i chętnie otwierała przed nim swoje ciało.

Ona go ujeżdżała, ssała jego penisa, masowała jądra. Właśnie w tej chwili.

Ann uderzyła dłonią w dach samochodu, przesunęła nią po lakierze i strząsnęła krople, wciągnęła powietrze w płuca. Nienawidziła go. Chciała narzygać mu do ust, skopać go, sprawić, by cierpiał.

– Nie dam rady – wymamrotała, lecz wiedziała, że nie ma odwrotu. Trzeba odebrać Erika, nakarmić i położyć spać, obudzić i zawieźć do przedszkola i szkoły. Nie tylko dzisiaj, lecz codziennie, przez dziesięć, piętnaście lat. Wyrośnie, będzie nastolatkiem, potem mężczyzną, wyruszy w życie na własnych nogach. Ona ma go przygotować do tej podróży. To jej obowiązek. Kto inny miałby to zrobić? Kto zapyta, jak ona się czuje? Kto weźmie ją za rękę i wysłucha jej pragnień i potrzeb? Kto, do diabła, będzie ją kochał?

– Jeszcze tu jesteś?

Głos Caroliny, paplanie Emmy, lecz Ann się nie odwróciła, nie miała siły być grzeczna, nadal stała oparta o samochód. Niech sobie myślą, co chcą. Deszcz przybrał na sile. Wszystko przesiąkało wilgocią. Krople uderzały w dach i rozdzielały się na małe kaskady. Asfalt lśnił czernią. Korony drzew w małym parku koło przedszkola poruszały się w podmuchach niespodziewanej bryzy.

Zatopiła się w gorzkich myślach, nieświadoma deszczu i całego świata. Jej wewnętrzny pasek klinowy zwiotczał, tryby i koła kręciły się coraz wolniej, brakowało napędu, mechanizm się wyłączył.

Poczuła nagle czyjąś dłoń na ramieniu i drgnęła.

– Ann, co się dzieje, źle się czujesz?

– Tak – wykrztusiła.

Zamknęła oczy, chciała się odciąć. Zostaw mnie, nie mów do mnie, nie dotykaj mnie.

– Wejdiesz? Pada, zaniepokoił się.

Ann obróciła się nagle i padła kobiecie w ramiona, szlochając i trzęsąc się od płaczu. W tej samej chwili zajechał samochód. Stanął tuż za jej autem i wysiadł z niego Sammy Nilsson.

– Cześć, co się dzieje?

Był wyraźnie poruszony tą sceną. Ann, jego koleżanka i przyjaciółka, bezradna w czyichś objęciach przed wejściem do przedszkola.

– Jestem kolegą Ann – wyjaśnił.

Kobieta skinęła głową.

– Nie czuje się dobrze – powiedziała.

– Mamy trudny okres w pracy – rzekł Sammy. – Zajmę się nią. Zostawię tu jej samochód i zabiorę ją i Erika do domu. Musi odpocząć.

– Chce pan to zrobić? Zna pan Erika?

Zobaczył ulgę na twarzy przedszkolanki.

– Spotkaliśmy się już – odpowiedział Sammy, wkładając rękę do kieszeni kurtki Ann i wyjmując z niej kluczyki do jej auta.

Razem pomogli Ann wsiąść do samochodu Sammy'ego. Wychowawczyni poszła po Erika. Po paru minutach przybiegł w podskokach.

– Cześć – przywitał go Sammy. – Mama jest trochę chora, boli ją brzusek, więc odwiozę was do domu.

Erik wpatrywał się w niego wielkimi oczami, a potem zerknął ostrożnie na tylne siedzenie, gdzie siedziała Ann. Próbowwała się uśmiechnąć. Chłopiec wsiadł bez słowa do samochodu. Może myślał, że fajnie będzie pojechać samochodem bardziej nowoczesnym i sportowym niż ich własny.

– Jedź szybko – powiedział, kiedy zapiął pasy. – Mama nigdy tak nie robi.

Sammy skinął głową i wyjechał z parkingu.

Od razu przejął dowodzenie i położył Ann na kanapie w salonie, okrywając ją kocem. Pozwolił Erikowi, by nakarmił ją lodami truskawkowymi – twierdził, że to dobre dla żołądka. Ann patrzyła na nich smutnym wzrokiem. Erik podał jej łyżeczkę lodów, a ona posłusznie przełknęła.

Jej milczenie niepokoiło Sammy'ego. Gdyby choć protestowała, ale ona pozwałała się sobą opiekować, leżała bez słowa i patrzyła na syna jak na kogoś, kogo wcześniej widziała, lecz dopiero teraz zwróciła nie niego uwagę. Czasem wydawała z siebie ledwo słyszalny jęk albo słabo się uśmiechała, jakby sama potrafiła dostrzec komizm sytuacji, że jest karmiona przez siedmiolatka. Otwierała jednak usta i przyjmowała łyżkę za łyżką. W końcu dała ręką znak, że wystarczy.

– Myślę, że teraz brzusek czuje się lepiej – rzekł Sammy.

– Dziękuję – szepnęła Ann, wyciągając niezdarnym ruchem rękę do synka, ale się spóźniła i zdążył już jej umknąć z opakowaniem lodów.

Sammy słyszał, jak otwiera zamrażarkę i odstawia je z powrotem.

– Zostanę tu trochę – powiedział Sammy.

– Jestem do niczego – jęknęła Ann.

Sammy wiedział, że próbuje szeptać, ale coś jej w tym przeszkadza. Pokręcił głową.

– Skoro dałam się tak oszukać.

Usłyszeli, jak Erik włącza komputer w swoim pokoju i po chwili dobiegły ich stamtąd hałaśliwe odgłosy gry.

Leżała wyciągnięta na kanapie, koc unosił się ledwo dostrzegalnie, kiedy oddychała. Jej stopy wystawały spod niego i Sammy pomyślał, że brakuje tylko



nitki wokół wielkiego palca, z kartką z wypisanym numerem.

– Dotknij mnie – powiedziała cicho, tym razem lepiej panując nad głosem.

Wyciągnął rękę i pogłaskał jej mokre włosy.

– Jakoś się ułoży – powiedział.

– Wiedziałaś – wymamrotała.

Sammy skinął głową.

– Byłem tam z Morganssonem.

Nie mógł zaprzeczyć, że widział opakowanie prezerwatyw, ciemne włosy i ślady spermy w łóżku Branta, choć cierpiała jeszcze bardziej, mając świadomość, że on już to wiedział, kiedy ona tylko przeczuwała, że coś jest nie tak.

– I nic nie powiedziałaś? Ale ze mnie frajerka.

– Daj spokój. – W głosie Sammy’ego zabrzmiał cień irytacji, bo choć wiedział, że zdrada jest najgorszą rzeczą, jaka może spotkać zakochanego człowieka, w głębi ducha uważał jej uzalanie się nad sobą za męczące.

– Wiem, że się uzalam, ale byłam tak cholernie zakochana. Po raz pierwszy od czasów Edvarda, a wydaje mi się, że tamto było sto lat temu.

W jej głosie słyhać było desperację, lecz Sammy cieszył się, że w ogóle mówi, przez chwilę się obawiał, że zapadnie w stan odrętwienia, który będzie wymagał zupełnie innych środków niż te, które on mógł zapewnić.

– Chcesz do kogoś zadzwonić? Do tej przyjaciółki, jak jej tam? Görel?

– Nie, nie do niej – zaoponowała Ann.

Zamknęła oczy, a on dalej gładził ją po włosach. Tak jakby uspokajał ich oboje. Z pokoju Erika dobiegały odgłosy gry.

– Weź kilka dni wolnego. Wiem, że to zabrmi śmiesznie, ale potrzebujesz odpoczynku. Odżyjesz, inaczej spojrzysz na sprawy.

– Nie mogę – szepnęła Ann.

– Nie możesz ciągnąć tego dalej w takim napięciu i dobrze o tym wiesz. Całkiem się wykończysz.

– Praca to jedyne, co mam poza tymi czterema ścianami – odpowiedziała Ann i zamknęła oczy.

– I to jest źle.

– Próbowałam. – Ann pociągnęła nosem.

– Wiem – odparł Sammy. – Wiem, że walczyłaś. Ale czy robiłaś to we właściwy sposób, z właściwego punktu wyjścia i odpowiednimi środkami?

Zamiast odpowiedzieć, uniosła się na łokciach i zaczęła opowiadać o tym, jak znaleźli Klarę Lovisę, jak obiecała, stojąc nad wykopem, że znajdzie jej mordercę.

– Nie możemy składać takich obietnic – oznajmił Sammy. – To nas wyniszcza.

Ann pokręciła głową i opadła z powrotem na kanapę. Zamknęła oczy, a jej

twarz wykrzywił grymas bólu.

– Może przywiezę pizzę? – zaproponował Sammy.

Ann otworzyła oczy. Wyglądała na półprzytomną i z trudem skupiała na nim wzrok. Sammy zrozumiał, że przez parę sekund była w zupełnie innym świecie.

– Wezmę ze sobą Erika i pojedziemy po tę pizzę, dobrze? Musimy coś zjeść. Zadzwoń do domu i powiem...

– Tylko nie o mnie!

– ...że zostałem w pracy po godzinach. – Uśmiechnął się. – Angelika zrozumie.

Przez chwilę patrzyła na niego w zamyśleniu, nim znów odpłynęła spojrzeniem, i domyślił się, że próbuje wyobrazić sobie mężczyznę, do którego ona mogłaby zadzwonić, który by zrozumiał.

Erik nie pojechał z nim do pizzerii, tylko został przed swoim komputerem. Chyba nie rozumiał, jak głęboka jest czarna dziura, w którą wpadła jego matka, od dawna balansując na jej krawędzi.

A może rozumie, pomyślał Sammy, w ten instynktowny, dziecięcy sposób. Może widział, jak wokół niej krąży, widział jej cierpienie, a teraz stał przy niej bez słowa i nie okazując widocznego niepokoju, pilnował codzienności, tych stałych punktów, do których Ann mogła się włączyć. Gdyby ona straciła grunt pod nogami, on dalej stałby na nim pewnie.

Siedzieli przy kuchennym stole i jedli. Sammy dowiedział się, co Erik myśli o rozpoczęciu szkoły w sierpniu. Chłopiec pochwalił się, że zna już wszystkie literki i umie czytać i że wcale się nie denerwuje.

Sammy obserwował Ann. Kroiła pizzę powolnymi ruchami i równie powoli jadła. Przynajmniej je, pomyślał i zaczął się zastanawiać, co ma robić. Zadzwoił do domu, wyjaśnił, jaka jest sytuacja i że nie chce zostawiać Ann samej. Wiedział, że ona nie zadzwoni do nikogo, kto mógłby przyjść i dotrzymać jej towarzystwa. Zawsze zależało jej na tym, by pokazać, że ma wszystko pod kontrolą. Chciała poradzić sobie z wszystkim – pracą, Erikiem, samotnym życiem – bez żadnych pęknięć. Wystarczająco źle się stało, że przedszkolanki widziały jej załamanie.

Uważał, że przyczyną jej problemów jest nieumiejętność mówienia o sobie, swoich potrzebach i życzeniach. Nigdy nie słyszał, by mówiła o marzeniach i planach na przyszłość, o seksie i mężczyznach, nie licząc krótkich, autoironicznych komentarzy, które rzucała mimochodem i z pewną nonszalancją. Ale on ją przejrzał już wiele lat temu. Za tą pewną siebie i samowystarczalną fasadą wrzało. Wewnątrz Ann Lindell wył alarm.

Nigdy nikogo nie zapraszała, nie flirtowała, rzadko przejmowała inicjatywę, by wyjść ze swojej izolacji. Zamiast tego siedziała w domu, piła wino i zadrezczała się samotnością. Wiedział, że Ottosson poruszał z nią sprawę alkoholu, na pewno na swój delikatny i taktowny sposób, uważając, by nie odczuła tego jako krytyki.

Rozmawiał też o tym w zaufaniu z Sammym, zmartwiony i niepewny. Życie Ann zaczęło pękać jakieś trzy lata temu, kiedy prawie każdego ranka pojawiała się w pracy z pustym wzrokiem i bez inspiracji.

Ann odłożyła sztucze po wmuszeniu w siebie połowy pizzy i patrzyła teraz, jak Erik zjada ostatnie kęsy swojej. Szło mu trochę opornie, ale wyglądało na to, że bardzo stara się nie zostawić na talerzu ani kawałeczka.

– Dobra robota – pochwalił go Sammy.

Erik uśmiechnął się do niego. Sammy zauważył, jak bardzo jest podobny do matki: ten lekko krzywy uśmiech i błysk kpiny w oczach, który w przypadku Ann potrafił rozjaśnić największy mrok i który ludzie spontanicznie odwzajemniali. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział go na jej twarzy.

Ale uśmiech Erika przypomniawszy mu początki pracy Ann w wydziale. Wtedy promieniała, była ciekawa i pełna zapału, kochała życie i nigdy nie miała go dosyć. Kontrast z Ann z ostatnich lat był uderzający, życie naprawdę dało jej w kość. Sammy odetchnął głęboko, by ukryć swoje poruszenie, wstał od stołu i zaczął sprzątać. Odwrócił się do nich plecami, myśląc o tym, jakie kruche jest życie, jak łatwo i często ból i zwątpienie przesłaniają chwile największego ciepła i miłości.

Wyczyścił z resztek i splukał talerze, by przerwać ciszę brzękiem naczyń i szumem wody, z bolesną świadomością, że jednak właśnie te chwile przynależności i miłości to jedyne, co może ocalić człowieka, co tworzy człowieka. Cała reszta to walka. Całe gadanie o radości z pracy to bzdura, jeżeli nie ma drugiej osoby, nieważne, czy na odległość ręki, czy po drugiej stronie oceanu, byle tylko była. Jednak w chwili, gdy o tym myślał, wydało mu się to uproszczeniem, prawie kłamstwem.

„Może miłość jest wszystkim”, usłyszał kiedyś śpiewający chór, to było w Noc Kultury wiele lat temu. Stał z Angeliką na jakimś placu i słuchali tego w kropiącej mżawce. Wtedy, choć Angelika wzięła go za rękę i ucisnęła, słowa te wydały mu się przekłamane, ale wbiły się głęboko w jego świadomość. Teraz nie wiedział, co o tym sądzić. Każdy człowiek jest kowalem swojego losu. Nie ma rozwiązania, które nadaje się dla każdego. Ale czy naprawdę miłość jest wszystkim?

Przemiana Ann była destrukcją. Rozpadała się powoli, lecz systematycznie, opierała się temu, lecz proces postępował. Przebłyski szczęścia, zapału i ciekawości zastąpiło poczucie obowiązku. Jeśli rozwiąże sprawę morderstwa Klary Lovisy, będzie miała poczucie sensu swojej egzystencji, lecz Sammy wiedział z doświadczenia, że podstawą jest zadowolenie. Jeśli zdoła dać Erikowi miłość i troskę, wychować go na harmonijnego człowieka, jej życie nabierze sensu, lecz Sammy miał wrażenie, że to zadanie samo w sobie nie jest gwarancją, że poczuje się w pełni człowiekiem. Sporo jej do tego brakowało.

Z zamyślenia wyrwał go Erik, który podziękował za jedzenie i wyszedł z

kuchni, by wrócić do swojej gry komputerowej.

Ann dalej siedziała przy stole. Sammy czuł na sobie jej spojrzenie i zgadywał, o czym myśli.

– Mam zmywarę – odezwała się niespodziewanie.

Sammy odwrócił głowę i uśmiechnął się.

– Lubię zmywać.

Złożył kartony po pizzy i wrzucił do worka na śmieci, wytarł stół i blat i zamknął drzwi do przedpokoju, po czym usiadł naprzeciw niej.

– Opowiedz o pracy Branta w Rosji – rzekł.

– Nic o niej nie wiem – odparła po chwili wahania – prócz tego, że tam był. Nie lubi tego kraju, tyle zrozumiałam. A co?

Sammy nie wiedział, czy to dobra taktyka, lecz miał nadzieję, że przerywając tok jej myśli, skłoni ją, by opowiedziała o Brancie z perspektywy zawodowej, żeby potem nawiązać być może do ich krótkiego, lecz intensywnego związku. Był przekonany, że przetrwanie przeżyć i uczuć w rozmowie przyniesie jej ulgę.

Opowiedział jej o interesach Jeremiasa Kumlina tyle, ile wiedział, i o przekonaniu Henrietty Kumlin, że jej męża zabił Rosjanin.

– Co to ma wspólnego z Brantem?

– Był w Rosji, jest dociekliwym dziennikarzem, w jego domu znaleźliśmy materiały o Rosji, książki, mnóstwo wydruków z komputera, wycinków z gazet i tak dalej.

– Chcesz powiedzieć, że Brant natknął się tam na Kumlina?

– Albo jego interesy, mętne czy nie. Znał go przecież wcześniej.

– Chcesz go powiązać z zabójstwami Gränsberga i Kumlina?

Sammy pokręcił głową.

– Najpierw myślałem, że ma coś wspólnego z morderstwem Gränsberga, ale teraz już nie. I przecież jest w Brazylii. Chyba jeszcze nie wrócił?

– Nie, z tego, co wiem.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i Sammy zakładał, że Ann również myśli o tym, że Brant wrócił po cichu.

– Znaleźliśmy odciski jego palców w mieszkaniu Ingegerd Melander, więc nie możemy wyłączyć go ze śledztwa. Jest powiązany i z Gränsbergiem, i z Melander, a przez drużynę bandy także z Kumlinem. Wysłał do ciebie maila, że przeprowadzał z Gränsbergiem wywiad w związku z artykułem o bezdomnych, i można pomyśleć, że był u Melander, by spotkać się z nim w pracy, że tak powiem.

– Chcesz powiedzieć, że był tam fizycznie, u tej Melander, która zginęła na schodach?

Sammy skinął głową, lecz oszczędził jej szczegółów, gdzie znaleźli odcisk palca wskazującego Branta.

– Więc będzie miał sporo do wyjaśnienia. Ile on ma wzrostu?

Ann spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Tyle, co ja?

– Mniej, jest może o dwa, trzy centymetry wyższy ode mnie.

– To dobrze – rzekł Sammy. – Rosjanin przed domem Kumlinów miał jakieś metr osiemdziesiąt.

Normalnie spytałaby go, skąd to wie, lecz teraz skinęła tylko z roztargnieniem głową, jakby odpływała już myślami gdzie indziej.

– Brant mówił, że Rosjanie nie znają litości, wyczytał to w jakiejś książce. Czy wiesz, że czasami głośno mi czytał? Ja nie czytam dużo, ale on pochłaniał wszystko. To bywało trochę męczące, odczytał jakiś fragment, a kiedy skończył, patrzył na mnie, jakby czekał na mój komentarz. Co miałam powiedzieć? Czułam się taka tępa.

Sammy uśmiechnął się.

– Powinnaś była opowiedzieć o cierpieniu.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– O swoim cierpieniu, które inni próbują opisywać w książkach. Pamiętasz Enrica i Ricarda z Peru? Jeden zamordowany, drugi zmuszony do samobójstwa. Byłem przy tym, widziałem twój ból, kiedy Ottosson o tym opowiadał. Pamiętasz matkę i córkę na poboczu w Uppsala Näs, zmasakrowane, tę dziewczynkę, która zbierała kwiatki, i umierającą Josefin, jak próbowała się doczołgać do Emily, ale nie dała rady? Staliśmy tam obok siebie. Pamiętasz łzy Janssona? Tego wielkoluda z porządkowej, który płakał jak dziecko?

– Przestań! – krzyknęła Ann, lecz Sammy nie dał się powstrzymać.

– Istnieją takie prawdziwe opowieści. Ludzie nie wierzą, że widzimy, wdychamy i odczuwamy ból. Nie, mamy być glinami, jakimiś karykaturami z wideo, jakimś Beckiem czy... no, po prostu postaciami fikcyjnymi. To przebija głośne czytanie Branta. Byłoby najlepiej, gdybyśmy wszyscy byli tacy jak Riis, wtedy uniknęlibyśmy refleksji nad tym, co się wokół nas dzieje. Wtedy byśmy się stali jak Persbrandt z serialu, przeżywającymi emocje na niby dla większego efektu, lecz w rzeczy samej maszynami do tworzenia chwytliwych nagłówków o naszej pracy.

– Nie możemy...

– Oczywiście, że nie! – przerwał jej Sammy. – Ludzie nie chcą znać prawdy. Chcą wiedzieć o naszej pracy wszystko prócz tego, jaka jest naprawdę. Dla nas, dla tych, których zbieramy z poboczy i betonowych posadzek, z torów kolejowych, dla tych, których spotykamy, których musimy odwiedzać i mówić im straszne rzeczy.

Ann Lindell pokiwała głową ze zmęczonym wyrazem twarzy.

– I będzie jeszcze gorzej, nikt już nic nie rozumie. Pomyśl, gdybyśmy napisali...

– Nie możemy!

– Nie odważymy się. Nie wolno nam. Prawdziwe historie zniszczyłyby wszystko, całe to gadanie polityków i grę pozorów. Za każdą zbrodnią stoi chciwość i niespełnienie w naszym społeczeństwie, ludzka trwoga. I nie tylko nasze opowiadania. Po drodze do nas, do stacji końcowej, jest wiele prawd, które powinno się opowiedzieć. Precz z lukrem, kłamstwami w gazetach!

– Mówisz jak Brant – zauważyła Ann.

– Uniknęlibyśmy osiemdziesięciu procent wszystkich przestępstw, gdyby...

Sammy umilkł, jakby uszło z niego powietrze, i wyglądał teraz zupełnie bezradnie.

– Gdyby co?

– Nie wiem – wycofał się.

– A pozostałe dwadzieścia procent, o co w nich chodzi?

– O szaleństwo – odparł Sammy po chwili namysłu. – Szaleństwo i miłość.

– To to samo – stwierdziła Ann.

Chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Usłyszał, jak na podwórzu wjeżdża samochód, otwierają się i zamykają drzwi, rozbrzmiewają czyjeś głosy i śmiech. Chciał wstać, podejść do otwartego okna i wyrzeć, ciekawy życia na zewnątrz, ale nie ruszył się z miejsca.

– Potrzebowaliśmy tej pizzy – rzekł w końcu cicho.

– Chcesz jechać do domu?

Pokręcił głową.

– Chciałeś mnie skłonić do mówienia – rzekła Ann – a wychodzi z ciebie twój własny strach.

Próbował protestować, ale wiedział, że ona ma rację.

– Wiem wszystko o kłamstwach, ale miałam nadzieję, że tu, w swoim domu, mogę liczyć na trochę prawdy – ciągnęła. – Ale tu też zaserwowano mi kłamstwa.

– Co ci się stało tam koło przedszkola?

Ann zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i wydech, jakby przypomnienie sobie tego, co się zdarzyło, wymagało od niej ogromnego wysiłku woli.

– Byłam zmęczona – powiedziała w końcu – chciałam tylko położyć się i zasnąć, przestać istnieć. Nie mogłam już więcej, nawet zrobić kroku. Wyczerpałam wszystkie siły. Maską opadła, wiesz, a trzeba było wejść do przedszkola, porozmawiać chwilę, odpowiedzieć na pytania Erika, zrobić obiad, położyć Erika, a potem... dać radę ogarnąć dom i...

– Włać w siebie flaszkę wina, żeby zasnąć – podsumował Sammy.

– Ale potem trzeba znów się obudzić. Kiedy on tu był, to... no wiesz. Przez parę tygodni czułam, jak smakuje bliskość. Jestem wygłodniała, z początku byłam tylko szczęśliwa i zaspokojona, a potem pojawiły się myśli, nadzieje, plany. To się przerodziło w coś poważnego. Poza tym on był inny od wszystkich, których

wcześniej znałam, choć przypominał mi ciebie, Sammy. Pewien niepokój, ale też gniew, niezrozumiały gniew. Potrafił wpaść w szal z powodu jakiegoś drobiazgu.

– Niczego nie podejrzewałaś?

Ann pokręciła głową.

– Nie. Ale to tak działa. Nie widzi się rys albo udaje, że się ich nie widzi. Czuję nienawiść, ale może bardziej pogardę dla samej siebie. Taka ze mnie śledcza. A teraz Klara Lovisa. Myślałam, że już rozwiązałam tę sprawę, najpierw Fredrik, potem Andreas, i obu musiałam wypuścić. Andreas powiedział w końcu, kiedy go przycisnęłam o naszyjnik, że włożył go do jej skrzynki pocztowej tego ranka, kiedy zaginęła. A ja nie mogę mu udowodnić, że kłamie.

– Tak bywa. Ale myślisz, że to Andreas?

– Właściwie nie wiem. Tu też nie potrafię odróżnić kłamstwa od prawdy.

– Tylko nienawiść i pogarda dla siebie? – zapytał Sammy.

– Gdyby to była tylko nienawiść, lepiej bym sobie poradziła.

– Nienawiść wypala – rzekł Sammy. – Można się poczuć dobrze na krótką metę, ale człowiek się deformuje.

– Jakbym tego nie wiedziała – prychnęła Ann.

Wstała, rzuciła okiem na spiżarkę – domyślał się, że przechowuje tam wino – po czym podeszła do kranu, nalała sobie szklankę wody i wypila.

– Nadal go pragniesz – stwierdził Sammy.

Ann z głośnym stuknięciem postawiła szklankę koło zlewu.

– Weźmiesz zwolnienie?

Odwróciła się.

– Znasz odpowiedź. To byłaby śmierć, gdybym miała siedzieć w domu i rozmyślać.

– Możesz gdzieś wyjechać na kilka dni.

– Praca to jedyne, co mi zostało.

– Jeszcze jedno – rzekł Sammy. – Co byś powiedziała, gdybym wysłał do Branta kilka pytań mailem, może poprosił go, by zadzwonił? To znaczy, tobie jest trudniej to zrobić...

Pytanie zawisło między nimi w powietrzu. Potem Ann pokręciła głową, ale wzięła kawałek kartonu po pizzy i napisała jego adres mailowy.

Minęła jedenasta, kiedy Sammy pojechał do domu. Był zmęczony, lecz zadowolony z długiej rozmowy z Ann. Potrzebowała tego i może on też. Tak rzadko siedzieli i dyskutowali.

Na dworze było jeszcze ciepło, ludzie spacerowali po ulicach albo siedzieli na balkonach i tarasach, rozkoszując się wieczorem. Sammy poczuł wyrzuty sumienia; powinien być już dawno w domu. Ale...

Angelika powinna zrozumieć.

Podczas krótkiego spaceru z parkingu do domu myślał o Henriecie Kumlin.

O tym, że mimo jej strachu i żalu z powodu gwałtownej śmierci męża miał wrażenie, że odczuła ulgę.



**Dwadzieścia trzy morderstwa** w ciągu czterdziestu godzin. Anders Brant czytał rubrykę w „A Tarde”, przesuwał wzrokiem po fotografiach zabitych, wśród których był jeden lokalny polityk, dwóch właścicieli sklepów, sprzedawca orzechów kokosowych, trzech nastolatków, młoda matka i jej dwuletnie dziecko. Galeria młodych mężczyzn i kobiet, sławnych przez jeden dzień.

Wszyscy wyglądali poważnie na zdjęciach, jakby mieli świadomość, że pójdą na spotkanie gwałtownej śmierci. Na kogo bym głosował? – pomyślał Brant.

Żadnego zdjęcia sprawcy. Przebiegł wzrokiem tekst. Nie, nikogo nie złapano.

Przy takich liczbach nie dziwiły specjalnie przepelnione areszty, choć wiele przestępstw z ostatnich dni pozostanie niewyjaśnionych. Poza tym był przekonany, że popełniono więcej morderstw, które nigdy nie zostaną ujęte w statystykach ani podane w mediach. Ludzie po prostu znikali, byli grzebani, topieni w zatoce lub paleni.

Może część osób na zdjęciach zginęła od policyjnych kul, i to nie policjantów na służbie, tylko wolnych strzelców, którzy dorabiali sobie zabijaniem młodocianych przestępców i bezdomnych nastolatków. Praca na zlecenie, po której uiszczano zapłatę, kiedy zdjęcie ofiary trafiało do prasy. Prasy, którą sami czytali rzadko lub wcale.

Odsunął gazetę. Nie dziwiły go krzykliwe nagłówki, znał brazylijską rzeczywistość, lecz nie potrafił się przyzwyczaić do wszechobecnej przemocy. Kiedyś posmakował jej sam, lecz skończyło się tylko na strachu. To się zdarzyło podczas plenerowego koncertu w Farol da Barra. Poszedł za latarnię morską, by znaleźć miejsce, gdzie mógłby się wysikać. Na pochyłości schodzącej do morza siedziała zakochana para, a gdzieś tam leżeli i spali pijacy. Morze, które rozciągało się stąd aż do Senegalu, rozbijało się w białych kaskadach o skały.

Nagle znikąd pojawiła się grupa chłopaków i młodych mężczyzn. Podeszli do niego wąską ścieżką. Przeczuwając niebezpieczeństwo, odsunął się na bok i rozejrzał. Był mrok, w pobliżu ani żywej duszy, głośnie muzyka zagłuszyłaby wołanie o pomoc. Grupa otoczyła go. W ich zachowaniu nie było śladu wahania, to nie był pierwszy raz. Nie mógł liczyć na łaskę.

Niespodziewanie, bez słowa ostrzeżenia, został uderzony w tył głowy i poleciał do przodu, zaliczając przy tym cios pięścią w łuk brwiowy. Poczul ból i krew, i teraz naprawdę się przestraszył. Ktoś parsknął śmiechem, który zabrzmiał jak brzęk tłuczonego szkła.

Był dość drobnej budowy i wiedział, że nie poradzi sobie siłą mięśni, ale był przy tym gibki i zwinny i w tym widział swoją jedyną szansę. Strząsnął krew

zalewającą oczy i zobaczył lukę między dwoma napastnikami; zamarkował ruch w prawo, lecz rzucił się w lewo.

Pomogło mu doświadczenie z drużyny bandy. Wiedział, przemykając między dwoma ciałami i ramionami, które wyciągnęły się o ułamek sekundy za późno, że da radę. Wydał okrzyk triumfu. Z krwią spływającą po twarzy biegł skulony jak gracz rugby do bramki i wkrótce znalazł się wśród ludzi.

Zajęła się nim grupa policjantów, a w portugalskim szpitalu założono mu siedem szwów. Blizna, biała kreska nad lewą brwią, była jedyną pamiątką po tamtym przeżyciu.

Nigdy nikomu o tym nie opowiadał. Nawet jeśli był to prawdziwy obraz brazylijskiej rzeczywistości, przechwalanie się tym odczuwałby jako zdradę wobec tego kraju. Mógłby opowiadać o czymkolwiek, o bezrolnych, bezdomnych, o biedzie, korupcji, walce o sprawiedliwość, a ludzie i tak zapamiętaliby tylko to, że został pobity.

Nie widział Ivalda Assisa od czasu odwiedzin u Vincentego w areszcie. W sąsiednim domu, a raczej tym, co z niego zostało, panowała cisza. Wyglądał przez okno kilka razy dziennie, lecz cała uliczka była pusta. Tylko ciemna plama na bruku świadczyła o tym, co tu się stało. Śmieci leżące pod murem zostały wywiezione i nie pojawiły się nowe. Taczki, którymi rodzina Assisów zwoziła szmaty i kartony, stały bezczynne ze sterczącymi dyszlami. Może się wprowadzili?

Nie miał natchnienia do pracy i pogodził się z tym, że nie zrobi już wiele do wyjazdu. Pozostawało czekać. Problem w tym, że to nie było takie proste. Niepokoiło go nie tylko morderstwo i fałszywe zeznanie, lecz przede wszystkim myśli o Vanessie i jego własnym życiu.

Dzień wcześniej postanowił wrócić do Itaberaby. Wziął taksówkę na dworzec autobusowy, kupił bilet, ale nie wszedł do autobusu, tylko siedział na ławce i patrzył, jak odjeżdża w chmurze spalin.

Dziesięć tysięcy reali, które miał jej dać, leżało zwinięte w skarpecie ukrytej pod kuchennym blatem. Co ma zrobić z tymi pieniędzmi? Za parę dni wraca do domu. Mógłby po prostu je wymienić, ze znaczną stratą, albo zostawić na następną podróż, ale miał przecucie, że upłynie sporo czasu, nim wróci do Brazylii, jeśli w ogóle.

Zebrał nawet więcej materiału, niż potrzebował: statystyki, setki wywiadów z bezdomnymi, politykami, urzędnikami i innymi oraz tysiące zdjęć. Prawdopodobnie był szwedzkim dziennikarzem, który najlepiej znał warunki życia najbardziej zmarginalizowanej grupy w Brazylii, uśmiechniętym kraju samby i karnawału, ale także dewastacji przyrody, głównie do produkcji paliw.

I kraju kobiety, którą zdradził w poniżający sposób.

Śnił o Vanessie i poświęcał noce i dni na wewnętrzne rozrachunki. Był

wyłaczony z gry, czekając na samolot, który mógł go stąd zabrać. Na policjanta w drzwiach, który miał przynieść wiadomość. Na Ivalda Assisa.

Dręczyło go tchórzostwo, kłamstwo i zdrada. Sprawy prywatne łączyły się z publicznymi, wszystko mieszało się w jeden gorzki wywar, który musiał raz za razem przełykać.

Włożył szorty i koszulkę i wyszedł z domu. Spacerował bez celu, poszedł w stronę latarni, potem na północ ulicą 7 Września, stał długo przy murku nad małą plażą koło portu, obserwując kąpiących się, parę razy zdawało mu się, że widzi Vanessę. Zszedł na mały plac na uboczu, usiadł przy stoliku na zewnątrz i zamówił piwo. Zawsze lubił ten skwerek koło portu w Barra, choć zbierało się tam sporo ciemnych typów. Przy budce telefonicznej załatwiano interesy narkotykowe, wokół kręcili się dilerzy, sutenerzy i prostytutki. Inni zbierali puszki lub żebrali.

Wypił parę łyków piwa, odrzucił kilka propozycji masażu i przyglądał się ludziom. Rozpoznawał niektóre twarze z wcześniejszych lat, kelnerzy byli ci sami, zawsze tak samo wściekli na Lulę<sup>[9]</sup> i innych polityków, „bandytów”, jak ich nazywali. Uderzyło go, że dobrze się czuje właśnie tutaj, w tym pełnym kontrastów ludzkim rojowisku.

Miał wrażenie, że po raz pierwszy widzi siebie takiego, jaki jest naprawdę. Był napompowany wiedzą o Salvadorze i Brazylii, a zarazem niemal zupełnie odizolowany. Doświadczył tego już wcześniej, tego dylematu tymczasowego przybysza, biernie przyglądającego się rzeczywistości, której częścią nigdy się nie stanie. Dotąd trzymał to uczucie w szachu, radził sobie z nim, był dziennikarzem i mógł doraźnie uśmierzać alkoholem psychiczny dyskomfort i alienację. Potem znów miał przypływ energii i dalej pilnie rejestrował rzeczywistość, zbierał materiał. Potem jechał do domu, tylko po to, by znów tu wrócić, z niewyczerpaną na pozór ciekawością.

Jego obowiązkiem było pokazywanie prawdy, tego, jak naprawdę rzeczy się przedstawiają. Tak widział swoją pracę.

Teraz wsączała się w niego nowa myśl: że żył w izolacji także w Szwecji. Istniał tam jedynie jako wieczny aktywista, ale bez korzeni.

Miał szansę, by razem z Vanessą stać się częścią rzeczywistości brazylijskiej. Mógł kupić dom, ożenić się z nią i mieć dzieci, ale stchórzył.

Jestem za bardzo Europejczykiem, by dobrze się tu czuć, pomyślał. To mógł być zewnętrzny powód jego ucieczki z Itaberaby. Albo? Tak, jest właśnie tak, ciągnął swój monolog – teraz już przy drugim piwie; kocham ją, a przynajmniej wydaje mi się, że to, co czuję, to miłość. Ona kochała mnie, ale ja podkuiliłem ogon i zwiąłem.

Tęsknię za Europą, Szwecją po prostu. Ale co mam w Szwecji? Małe spartańskie mieszkanko w Uppsali, dużo kontaktów z redakcjami gazet i periodyków, u których cieszę się pewną renomą, paru przyjaciół, których od dawna

zaniedbuję, i matkę, której nie widziałem dwa lata. To wszystko.

I teraz Ann Lindell. Czy to ona coś zmieniła? Czy ją Kocham? Czy wyobrażam sobie życie z policjantką? Jak by to wyglądało?

Właściwie nie wiedział, co przyciągało go tak mocno do Ann. Może ukryte pragnienie pewnej normalności, wejścia w jakieś ramy, zbudowania czegoś trwałego z zupełnie zwyczajną kobietą.

Była bystra, miła w obejściu, jej syn wyglądał na reżolutnego chłopca i na pewno nie stwarzałby problemów, mieli fantastyczny seks. Ann sprawiała wrażenie wygłodniałej miłości i pieszczoty i nadrabiała to z nawiązką. Nigdy nie doświadczył takiej intensywności.

Mieli zupełnie różne pochodzenie i doświadczenia: on był dziennikarzem zorientowanym na zagadnienia polityczne, ona, z tego, co rozumiał, policjantką niezainteresowaną polityką, ale to już go nie martwiło, a wręcz przeciwnie.

Stanął przed wyborem, być może najważniejszym w swoim życiu, i nie znał odpowiedzi. Wkrótce miał wracać do Szwecji. Odległość od Vanessy stanie się, jeśli nawet nie całkowicie nie do pokonania, to jednak bardzo duża. A może ona już nigdy nie zechce go widzieć ani nawet z nim rozmawiać? Spalił za sobą mosty i nie było sensu ich odbudowywać. Ale gdyby... gdyby zmienił zdanie, czy ona chciałaby go z powrotem mimo jego zdrady? To pytanie go dręczyło. I świadomość, że mógł dokonać złego wyboru.

Myślał o fantastycznym ciele Vanessy i poczuł podniecenie, siedząc przy kawiarnianym stoliku. Była taką prawdziwą brazylijską mieszanką: trochę białą, trochę czerwoną i bardzo czarną. Jej matka pochodziła z południowej Bahii i miała w żyłach połowę indiańskiej krwi. Jej dziadek od strony ojca był włoskim inżynierem z południa kraju, a pozostali przodkowie – potomkami afrykańskich niewolników z Beninu i Senegalu.

Uroda Vanessy była niezrównana. Zwracała uwagę, gdziekolwiek się pojawiła, tak samo podczas jej wizyty w Szwecji, a on wiele razy odczuwał dumę, że idzie przy jej boku.

Podczas jej pobytu w Szwecji nie spędzili wiele czasu w Uppsali, przez półtora tygodnia mieszkali w wynajętym domku w okolicach Ludviki. Domek stał na pełnym odludziu nad małym jeziorem. Vanessa patrzyła ze zdumieniem, jak on skacze do wody z chwiejącego się pomostu. Sama nie zanurzała się nigdy dalej niż po uda. Przez tydzień zwiedzali Sztokholm, zachowując się jak prawdziwi turyści, mieszkali w hotelu i jedli co wieczór w wykwintnej restauracji. Chciał ją rozpieszczać, ale miał wrażenie, że lepiej się czuła w prostym domku w Dalarna, z samoobsługą i przyrodą tuż za progiem.

Zatracił się we wspomnieniach, zamówił trzecie piwo i poddał dręczącemu uczuciu braku, tęsknoty i poczucia winy.

Kiedy rozstali się potem na lotnisku Arlanda, była przekonana, że on

niedługo przyjedzie do Brazylii, gdzie spełnią się ich wzajemne obietnice, a plany na przyszłość przybiorą bardziej konkretną postać. Zaczęły go gnębić wątpliwości, lecz zachowywał pozory. Po powrocie do domu zatopił się w rozmyślaniach, siedział w mieszkaniu i nic nie robił.

Jej wizyta wyraźnie pokazała, że byłoby jej trudno przystosować się do życia w Szwecji, wyraziła to zresztą na swój delikatny sposób. Ale czy on potrafiłby sobie wyobrazić życie w Brazylii?

Już w kilka dni po jej wyjeździe zadzwonił do Ann. Wstydził się potem tej wiarołomnej inicjatywy i tego, że ich pierwsze spotkanie zmieniło się w dziką i nieokiełznaną orgię seksualną.

Trudno było mu przyznać się przed samym sobą, że zadzwonił i zaprosił Ann na obiad, bo spodobała mu się na przyjęciu u Görel, które miało miejsce zaledwie na parę dni przed przyjazdem Vanessy. Do chwili, gdy stanął przed nią owiniętą w szlafrok, wmawiał sobie, że chodzi tylko o obiad, miłą pogawędkę i nic więcej. W głębi ducha wiedział, że jest inaczej.

Teraz był rozdarty między dwiema kobietami. I nie wiedział, czym jest miłość.

Trzecie piwo się skończyło. Ofert masażu, szeptanych zaproszeń było coraz więcej i musiał w końcu wstać i odejść.

Po drugiej stronie placu, w miejscu, gdzie ulica 7 Września przyspiesza, by wspiąć się w stronę stadionu Vitorii, stała młoda kobieta, z jedną ręką opartą na poręczy i jedną nogą uniesioną i skrzyżowaną z drugą. Poprawiała pasek od sandała. Ich spojrzenia spotkały się.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Zamiast grzecznie odpowiedzieć tą samą frazą, pokręcił tylko głową.

– Nie, prawdziwe piekło – rzekł i przystanął.

Jakby za cichym porozumieniem opuścili plac i poszli bez słowa drogą prowadzącą do małego hotelu przy plażowej promenadzie.

Kiedy weszli do ciasnego i brudnego holu, przywitał ich znudzony recepcjonista. W jednym kącie stał i tykał niewiarygodnie wielki zegar podłogowy – portugalski, jak Brant odczytał z jego tarczy. Spóźniał się o prawie pięć godzin. Pokazywał szwedzki czas.

Za dwadzieścia pięć reali dostali do dyspozycji pokój na jakąś godzinę i prezerwatywę. Kobieta wzięła klucz, a on kondom, ona poszła pierwsza po schodach, on włókł się z tyłu, potknął się i roześmiał.

Powietrze było nieruchome i duszne. Kobieta, która przedstawiła się jako Monica, знаła chyba wcześniej ten pokój, bo od razu podeszła do okna i otworzyła je. Pasat wtargnął do wnętrza, przynosząc zapach morza i gnijących śmieci. Wytarta firanka zafalowała niemrawo. Zaczepiła ją o gwóźdź, odwróciła głowę i uśmiechnęła się.

Anders Brant miał wrażenie, że ona kupuje sobie trochę czasu, że chce przez chwilę popatrzeć na Atlantycką. Podszedł i stanął obok niej.

Po drugiej stronie zatoki leżała Itaparica, wyspa, na której tyle razy mieszkał. Stali tak przez chwilę, zjednoczeni jak para na wakacjach, która właśnie zakwaterowała się w przytulnym hoteliku koło plaży i chłonie pierwsze wrażenia, nic nie mówiąc, nim nie stworzą sobie obrazu miejsca i nie ocenią, czy będzie im się tutaj podobało.

Spoglądał na linię wybrzeża na południe od Mar Grande i próbował sobie przypomnieć, przy której plaży mieszkał.

Monica jednym oszczędnym ruchem wyswobodziła się z sukienki. Miała na sobie biały koronkowy stanik i dopasowane do niego stringi, które błyszczały na tle ciemnej skóry. Potem żałował, że nie uwiecznili tej sceny, ona mogła oprzeć głowę na jego ramieniu, on mógł objąć ją dłonią w tali, opowiedzieć o Itaparice, o rybakach wyciągających sieci i o karnawale, podczas którego mężczyźni przebierają się za kobiety.

Ona opowiedziałaby o swojej rodzinie, skąd pochodzi, o czym marzy, może trochę by kłamała, ale poznałby historię jej życia, świadectwo, które mógłby dołączyć do pozostałych.

Nie wypowiedzieli więcej niż może dziesięć słów. Ona uklękła przed nim i rozpięła jego pas, potem rozporek, zdjęła szorty i slipy. Robiła to powoli, ostrożnie i cierpliwie, uważając, by go nie zadrapać polakierowanymi na czerwono paznokciami, jakby był małym chłopcem, którego matka rozbiera przed pójściem spać.

Patrzył na swój blady brzuch i jej czarny, który wyżej, w okolicach pach przybierał niebieskawy odcień. Stał oparty o framugę okna, a ona klęczała.

Ssała go, kiedy on próbował sobie przypomnieć nazwy miejscowości na Itaparice, od Mar Grande do Cacha Prego. Dobrze mu szło, pamiętał prawie wszystkie.

Monica wyszła do łazienki, usłyszał szum prysznicy. Kiedy wróciła po jakiejś minucie, była naga. Pojedyncze krople wody lśniły na jej brzuchu jak perły.

Położyła się na brunatnej i poplamionej pościeli i popatrzyła na niego z dziwnym uśmiechem, może krytycznym, może drwiącym w pewien prowokujący sposób, może naznaczonym zmęczeniem, prawdopodobnie wszystko razem. Przewróciła się apatycznie na brzuch, uniosła pośladki, ale szybko zmieniła zdanie i znów przewróciła się na plecy. Miała teraz cieplejsze spojrzenie, chciał, by powiedziała coś pojednawczego, coś wybaczonego, ale pewnie nie potrafiłby tego przyjąć. Zamiast tego przyglądał się jej ciału. Była bardzo ładna, jasne rozstępy na piersiach i podbrzuszu zdradzały, że urodziła dziecko. Dziecko, które by mogło być jego wnukiem.

– Ile to kosztuje? – zapytał i od razu tego pożałował, ale już było za późno.

Nie dało się dłużej podtrzymać złudzenia, że łączy ich to, że życie jest piekłem.

Kropla spermy spadła z jego zwiotczonego członka na podłogę. Pomyślał, że recepcjonista będzie musiał po nim posprzątać. Choć na pewno mają od tego jakąś kobietę, mężczyzna w holu wyglądał na przyrośniętego do lady recepcji i z pewnością był też zawsze spóźniony o pięć godzin.

Położył się obok niej i zanurzył twarz w jej ciemne włosy.

Kiedy Anders Brant wrócił do pensjonatu, zobaczył Ivalda Assisa i jego bratanka Vincentego siedzących przed furką. Na chodniku między nimi stała butelka piwa marki Primus.

Na twarzy Ivalda Brant po raz pierwszy dostrzegł cień uśmiechu i ulgi, który odmłodził go o wiele lat, podczas gdy przeżycia z aresztu nadal były widoczne w rysach Vincentego.

Brant otworzył furkę, dał znak ręką, by zaczekali, poszedł na górę i wrócił po niespełna minucie. Obaj mężczyźni wstali, w ich postawie widać było coś w rodzaju potulnego wyczekiwania. Brant trzymał w ręce skarpetę, wypchaną jak kiełbasa. Podał ją bez słowa Iwaldowi.

– *Obrigado* – rzekł Vincente.

– *De nada* – odpowiedział Brant, który nie chciał podziękowań, właściwie nie chciał nic od nikogo słyszeć.

Na chodnik wbiegła gromada uczniów – identyczne koszulki, białe z niebieskim pasem na piersi, upodobiały ich do drużyny piłkarskiej. Brant cofnął się o krok na ulicę, by zrobić przejście hałaśliwym dzieciakom, zauważył jeszcze gest Ivalda, wyciągniętą rękę, nim tylne lustro autobusu uderzyło w prawą stronę jego twarzy. Nie zdążył się podeprzeć i upadł twarzą na chodnik.

**Flauta.** Leniwy wiatr z południa, który w sobotni poranek zdobył się na połowiczny wysiłek, by trochę poruszyć powietrze, szybko się poddał i zalegał teraz nad równiną, tworząc drżącą mgiełkę ciepła nad miastem i okolicą.

Allan Fredriksson pocił się. Do tego był wściekły. Nie pamiętał, który już raz z kolei miał weekendowy dyżur przy pięknej pogodzie, lecz odczuwał to jako wielką niesprawiedliwość.

W komendzie było cicho. Wszyscy, którzy mogli, oczywiście uciekli. On siedział w swoim pokoju i wystukiwał na klawiaturze raport z awantury na Dworcu Centralnym. Cała historia była prosta i przewidywalna, spotkały się dwie grupy chuliganów. Pięć osób rannych, w tym jedna poważnie, nóż w pośladku dwudziestoletniego mieszkańca Mårstaby, osiem zgłoszeń na policję, między innymi w sprawie odszkodowania, gróźb karalnych, nielegalnego posiadania broni. Wszyscy winili wszystkich, cholerne życie, pięciu aresztowanych, prawdziwa gmatwanina, która tylko przysparzała papierkowej roboty, bo wiedział, że wszystko i tak się rozmyje. Za pół roku, może rok, parę zasądzonych grzywien, może jakiś wyrok warunkowy dla jednego ze sprawców, jeśli w ogóle. Kwestia winy nie była oczywista.

Nikt nie był specjalnie wzburzony prócz pewnego Libańczyka, któremu zdemolowano kiosk z kielbaskami, i starszej damy, która podczas walki gangów spadła ze schodów przed dworcem i złamała rękę w nadgarstku.

Fredriksson przetarł czoło serwetką. To właściwie nie była jego praca. Dlaczego on, doświadczony policjant śledczy, musi się zajmować takimi błahostkami, kiedy mają na tapecie sprawę trzech morderstw?

Cała procedura zajęła dwie godziny. Potem wyszedł z budynku i próbował myśleć o znacznie przyjemniejszych rzeczach: koniach biegnących w Solvalla, w nadziei, że przekroczą metę we właściwej kolejności i dorzucą mu trochę do kasy.

Allan Fredriksson miał szczęście w tej grze, tylko przez ostatnie pół roku zarobił ponad sto pięćdziesiąt tysięcy koron. Czas wolny, którego nie spędzał w lesie, poświęcał na studiowanie programu gonitw, spekulacji w prasie i wskazówek. W rzeczy samej poświęcał coraz więcej swojego czasu pracy na myślenie o koniach.

Czasami nawiedzała go myśl, by złożyć wypowiedzenie i zostać pełnoetatowym graczem. Miał paru znajomych, którzy poświęcili życie graniu na wyścigach i sprawiali wrażenie zadowolonych i żyjących dostatnio. I dlaczego nie? Takie życie wydawało mu się wolne od trosk; żadnych młodych nierozgarniętych osiłków, którzy dodawali papierkowej roboty, żadnych świątecznych dyżurów ani gnębiącego poczucia, że praca czasami, a nawet coraz częściej wydawała się



pozbawiona sensu.

Za godzinę miał się spotkać z dyżurną prokurator Gunnel Forss i postanowił pójść przedtem na spacer. Przeszedł Svartbäcken, potem Timmermansgatan i między willami na północ od Gamla Uppsalagatan. Przystanął na widok róż pnących się po jednej ze ścian.

Postawię na Nelson Express, zdecydował, podziwiając przepych kwiatów, i po chwili poszedł dalej. Podjęcie tej decyzji przyniosło mu pewną ulgę, lecz również uczucie napięcia, bo czwarta gonitwa była prawdziwą grupą śmierci i jeśli typowanie się sprawdzi, przychód będzie interesujący i lukratywny.

Kiedy doszedł do Sköldungagatan, zobaczył idącą naprzeciw niego kobietę. Od razu ją rozpoznał i wyglądało na to, że ona też go pamięta, bo zwolniła i trochę niepewnie się do niego uśmiechnęła.

Fredriksson razem z Beatrice towarzyszył Gunilli w kostnicy podczas rozpoznania Bo Gränsberga, jej byłego męża. Zastanawiał się, co powiedzieć, raczej nie wypadało nawiązywać do ostatniego spotkania. Gunilla rozwiązała jednak problem, przystając i mówiąc coś o pogodzie, jak fantastyczna bywa w Szwecji. Fredriksson zgodził się z nią, choć miał świadomość, że pewnie przyjdzie mu spędzić resztę dnia w zamkniętym pomieszczeniu.

Gunilla mówiła o pogodzie. Fredriksson przeklinał swój pomysł, by pójść na spacer akurat tymi ulicami.

– Myślałam o czymś – powiedziała po chwili milczenia.

– Tak, a o czym? – zapytał, próbując wykrzesać z siebie odrobinę zainteresowania.

– Ostatni raz widziałam Bossego na parę tygodni przed jego śmiercią.

Fredriksson skinął zachęcająco głową.

– Tak, był w pewnym sensie zadowolony, a nawet w świetnym humorze. Wydało mi się to dziwne, bo ogólnie miał same problemy z tą firmą, którą chciał założyć, i z tym, że nie mógł dostać żadnego mieszkania, bo był na czarnej liście wszystkich właścicieli domów. Ale wtedy tryskał optymizmem, jak za dawnych czasów. Mówił, że on i Bergman, z którym miał założyć firmę – kolejny ruch głowy Fredrikssona – mają już prawie wszystko załatwione. Kiedy zapytałam, czy mają dość pieniędzy – sama rejestracja spółki kosztuje sto tysięcy, wiedział pan? – skinięcie głową – odrzekł, że to się załatwi.

– Jak?

– Też o to pytałam, była przecież mowa o tym, że trochę mu pożyczę. Zaczął mówić o starym kumplu, który ma forsy jak lodu, jak to ujął, jest bardzo zamożny.

– I może pożyczyć?

– Tak to zrozumiałam. A może nawet wejść jako udziałowiec, nie pracując w firmie. Bosse i Bergman naprawdę wierzyli, że firma przyniesie pieniądze i wtedy

będzie mógł wejść do niej ktoś jeszcze...

– Wymienił jakieś nazwiska?

– Nie, nie chciał powiedzieć, kto to jest, ale mówił, że go kiedyś spotkałam. Bosse taki już był, lubił robić z czegoś tajemnicę, a potem zaskoczyć niespodzianką.

Uśmiechnęła się na wspomnienie Bo Gränsberga, jakiego znała dawniej.

– Nie podsunął żadnych tropów?

Gunilla Lange pokręciła głową.

– Mówił coś o dawnych czasach, ale to może oznaczać wszystko, kogoś z dawnego zespołu w pracy, z tego, co rozumiałam.

– Powiedział: zespołu?

– Tak mi się zdawało.

– Jak dobrze pani zna albo znała jego kolegów z poprzednich miejsc pracy?

Gunilla zastanawiała się przez chwilę, nim odpowiedziała:

– Nie za dobrze. Poznałam sporo osób w ciągu tamtych lat, ale się z nimi nie spotykaliśmy. Bosse przecież spędzał z nimi dużo czasu w pracy.

– Może miał na myśli drużynę bandy?

Pokręciła bez przekonania głową.

– Czy to mógł być Anders Brant?

– Ten dziennikarz? Czy byłby zainteresowany? Trudno mi w to uwierzyć.

Grali co prawda razem w bandy i często się wtedy spotykaliśmy. On też mieszkał z Gunillą, zresztą przez jakiś czas razem pracowałyśmy. Ale on chyba nie ma pieniędzy.

– Wiemy, że Brant spotkał się z Bossem tuż przed jego śmiercią. Bosse nic o tym nie mówił?

– Nie, ani słowa o tym, że widział się z Andersem. Dziwne. To znaczy, że o tym nie wspomniał, lubił mówić o przeszłości, o czasach, gdy grał w bandy i tak dalej.

Dawne dobre czasy, pomyślał Fredriksson. Niespodziewane spotkanie, wbrew wszystkiemu, poprawiło mu humor.

Fredriksson pomyślał o zdjęciu, które Sammy Nilsson wziął z mieszkania Branta, i o tym, jak obdzwaniał całą drużynę.

– Nie wspomniał o Jeremiasie Kumlinie?

– Też wiem, kto to jest – odrzekła Gunilla.

– Niestety, został wczoraj zamordowany – powiedział Fredriksson.

Wiadomość o morderstwie pojawiła się w „Uppsala Nya Tidning”, lecz nie wymieniono nazwiska, więc nie udało im się skontaktować z matką Kumlina. Mieszkała w północnej Szwecji. Henrietta Kumlin miała mgliste wspomnienie, że teściowa mówiła jej o Padjelanta, gdzie wędrowała po górach z przyjaciółką. Ottosson skontaktował się z policją w Jokkmokk i poprosił, by ją odnaleźli na tym

pustkowiu.

Gunilla popatrzyła na niego z przerażeniem.

– To nieprawda! – wykrzyknęła. – Czytałam rano gazetę, ale że to był on...  
Biedna Henrietta!

– Zna ją pani?

– Spotkałyśmy się na paru imprezach, wtedy, kiedy wszystko... i mają dwoje małych dzieci, chłopca i dziewczynkę.

– Dzieci są już prawie dorosłe – sprostował Fredriksson. – Czy Bosse mógł mówić o Kumlinie?

Gunilla pobladła. Z jej wcześniejszego dobrego nastroju nie pozostało nic. Fredriksson wiedział, że nie ma już dla niej znaczenia, jak fantastyczna jest Szwecja w taki dzień.

Rozstali się po kolejnych paru minutach pogawędki. Fredriksson robił, co mógł, by przywrócić Gunilli choć trochę tej bez troski, jaką miała wcześniej, ale zupełnie mu się nie udało. Widział, że jest zdruzgotana, i poczuł cień wyrzutów sumienia.

Jego dzień przedstawiał się natomiast trochę jaśniej. Nie szedł już powolnym, spacerowym krokiem i nie poświęcał uwagi ogrodowi, tylko wracał szybko do pracy, ze wzrokiem utkwionym kilka metrów przed sobą. Jego myśli krążyły wokół skąpych, lecz może ważnych informacji od Gunilli.

Sformułował kilka teorii na własny użytek, ale chciał to z kimś przedyskutować. Nie było sensu szukać Beatrice, Sammy był w Tärnsjö, z Riisem nie dało się rozmawiać, Ann Lindell wydawała się całkowicie pochłonięta sprawą morderstwa Klary Lovisy, a Ottosson siedział prawdopodobnie w domku letnim w Junkil i szczebiotał z wnukami.

Zadzzwonił na komórkę Sammy'ego. Ten odebrał od razu, jakby czekał na telefon. Jeszcze nie wyjechał, lecz było to kwestią minut, właśnie pakował ostatnie rzeczy do samochodu.

Sammy słuchał, pomrukiwał i zadał parę pytań. Fredriksson miał wrażenie, że słyszy zadowolenie w jego głosie i domyślał się, dlaczego: trop drużyny bandy, któremu Sammy poświęcił tyle czasu, mógł się okazać drogą do celu.

Obaj wiedzieli, że skąpe informacje Gunilli Lange, że ktoś z wcześniejszego życia Bossego mógł być gotów włożyć pieniądze w firmę, były jakąś szansą, końcem nitki do uchwycenia i pociągnięcia.

– To może być ktokolwiek – rzekł Fredriksson, by ostudzić wybuch niepohamowanego entuzjazmu kolegi. – Jakiś dawny kolega z pracy, który wygrał na wyścigach, albo...

– ...albo Jeremias Kumlin – dokończył Sammy.

– ...albo Anders Brant – skontrolował Fredriksson.

– ...albo Lasse Svensson, restaurator – ciągnął Sammy. – Na pewno ma

kilkaset tysięcy wolnych środków.

– Chyba by o tym wspomniał, kiedy z nim rozmawialiśmy.

– Może chciał to ukryć – odparł Sammy, lecz w jego głosie nie było wielkiego przekonania.

Przedyskutowali sprawę na wszystkie strony, ale nie posunęli się daleko. Utknęli na spekulacjach. Fredriksson słyszał rozmowę rodziny Sammy'ego w tle, gniewny nastoletni głos i trzaśnięcie drzwiami samochodu.

– Ale jedź już na tę wieś – powiedział wielkodusznie.

Zakończyli rozmowę. Fredriksson dotarł do komendy, wszedł głównym wejściem i pojechał w górę windą na spotkanie z Forss.

Zamiast prokurator spotkał jednak Beatrice i Berglunda, którzy stali w korytarzu przed otwartymi drzwiami do pokoju Ottossona. Niewiarygodne, pomyślał, Beatrice tutaj w wolną sobotę, i do tego Ottosson. I Berglund! Szybko zrozumiał, jak to się stało – Ottosson po nich zadzwonił.

Beatrice odwróciła się.

– Dobrze, że przyszedłeś – powiedziała – wypłynęło parę nowych rzeczy. Kurt Johansson zaczął trochę mówić.

Kim, do diabła, jest Kurt Johansson? – pomyślał Fredriksson.

**Ann Lindell musiała zrobić wszystko**, by nie wybuchnąć płaczem. Przed nią przy kuchennym stole siedział Erik i jadł śniadanie, płatki z jogurtem i kanapkę z kawiozem. Uśmiechnął się trochę niepewnie.

– Nie mogłem czekać – usprawiedliwił się. – Byłem taki głodny.

– Świetnie, mądry z ciebie chłopiec.

Potargała mu włosy, schyliła się i pocałowała go w kark.

– Jesteś jeszcze chora?

– Nie, czuję się dużo lepiej – zapewniła go.

W piątki po przedszkolu robili zawsze zakupy w Torgkassen, kupowali trochę dobrych rzeczy na weekend. Specjalne sobotnie śniadania były zwykle obfite, z sandwiczami na ciepło, gotowanymi jajkami, pieczoną szynką, owocami, czasem naleśnikami z dżemem i innymi pysznościami, których nie jedli w dni powszednie.

Wczorajszy dzień nie był jednak zwykłym piątkiem, nie zrobili zakupów i nie spędzili miłego wieczoru. Erik zasnął przed wideo i Ann po wyjściu Sammy’ego Nilssona zaniósła go do sypialni, rozebrała i przykryła kołdrą, a potem długo siedziała przy łóżku, patrząc na swojego synka.

Sama poszła spać dopiero koło drugiej. Ograniczyła się siłą woli tylko do jednego kieliszka wina. Sen przyszedł dopiero, gdy zaczęło świtać. Teraz była już dziesiąta. Obudził ją telefon, usiadła półprzytomna na łóżku i odebrała, przekonana, że dzwonią z pracy. To był jednak Sammy Nilsson, który pytał ją, jak się czuje. Powiedział też, że rano wysłał maila do Andersa Branta i że Tärnsjö musiało poczekać. Zakończył rozmowę podkreśleniem, by zadzwoniła, gdyby coś się stało.

– Zjemy superśniadanie jutro, dobrze? – zaproponowała.

Erik skinął głową, lecz nie wyglądał na przekonanego.

– Chcę zrobić coś fajnego.

– Ale co?

– Pojechać się kąpać.

– Pojedziemy – zapewniła go – na pewno będzie fajnie.

– Jest upał.

– Byłeś na balkonie?

Skinął głową.

– Ustaliliśmy, że nie możesz sam wychodzić na balkon.

– Bałem się, że jedzenie się skończyło – oznajmił ponurym głosem.

W wielkim kartonowym pudle na balkonie Erik miał hodowlę larw rusalki pokrzywnika, które karmił pokrzywami zbieranymi w krzakach koło przedszkola,

gdzie również znalazł larwy i wpadł na pomysł, by rozpocząć własną produkcję. Kilka już się przepoczwarzyło i czekał w napięciu na pojawienie się motyli. Ann uważała, że larwy są obrzydliwe, lecz pozwoliła mu je trzymać.

– Pojedziemy do Fjällnora – postanowiła – ale najpierw muszę tu trochę popracować.

Sama dokładnie nie wiedziała, na czym owa praca miałoby polegać, ale czuła, że musi wszystko gruntownie przemyśleć. Wczorajsze uczucie całkowitej kapitulacji wobec życia, które straciło sens, wstrząsnęło nią do głębi. Miała już wcześniej prawdziwe kryzysy, lecz podwójna gra Branta wyzwoliła w niej coś, czego nigdy dotąd nie doświadczyła – pragnienie, by po prostu się położyć i odpłynąć od wszystkiego w sen.

Opuściły ją wszystkie siły, nie miała już rezerw. Interwencja Sammy’ego uratowała ją od całkowitego załamania. Przeraziła się na myśl, co mogło się stać, gdyby się nie pojawił; może personel przedszkola zadzwoniłby po karetkę albo zawiózł ją do psychiatryka. W stanie, w jakim się znajdowała, nie znalazłaby siły, żeby protestować albo chociaż się tym przejąć. Pozwoliłaby zawieźć się wszędzie, i to przerażało ją najbardziej. Naraziła bezpieczeństwo Erika.

Teraz skończyło się na strachu i Erik był wprawdzie zamyślony, zauważyła to po jego zachowaniu, lecz nie musiał przeżywać totalnej katastrofy statku.

Usiadła na kanapie z nowym notatnikiem, białym, niezapisanym arkuszem przed sobą i przygotowanym długopisem. Nie zmartwiła się, że nie przyszły jej od razu do głowy słowa, które chciałaby zapisać. Była do tego przyzwyczajona. Ileż to razy tak siedziała, czasem godzinę lub dwie, nim zaczęła pisać.

Teraz jednak nie miała czasu, i to było jedyne, co ją niepokoiło. Erik zaraz zacznie krążyć wokół niej jak niespokojny duch.

Pierwszym słowem, które zapisała, był „samochód”, potem „motorower”. Po pięciu minutach dodała następane: „łopata”.

Wokół tego wydarzyło się morderstwo, pomyślała, próbując sobie wyobrazić scenę w starym domku myśliwskim. To takie proste, domek. Czy Fredrik, a potem może Andreas sądzili, że Klara Lovisa zechce stracić dziewictwo w taki sposób, na brudnej podłodze, w tym otoczeniu? Dziewczyna, która chciała zaczekać. Ann potrafiła zrozumieć jej decyzję, wyobrazić sobie jej napięcie, oczekiwanie, lecz nie to, że zgodziłaby się na taki scenariusz. Nigdy. Ann czytała jej pamiętnik, Klara Lovisa była romantyczką, lecz w poruszająco dojrzały sposób, może nawet bardziej świadomą warunków miłości niż starsza prawie o trzydzieści lat Ann Lindell. Tak myślała, czytając pamiętnik.

„Gwałt”, zapisała. Słowo epatowało przemocą. Ten, który się jej dopuścił, zdołał przycisnąć Klarę Lovisę do podłogi, zacisnąć dłonie na jej szyi, patrzeć, jak walczy o oddech, aż w końcu się poddaje i wiotczeje. Musiał mieć nie tylko siłę fizyczną, lecz także gniew przekraczający większość tego, co Ann potrafiła sobie

wyobrazić.

Może miejsce znalezienia ciała było zarazem miejscem zbrodni? Może próbowała uciec, roztrzęsiona pobiegła prosto w las, on ją dogonił, przewrócił na mech i zamordował?

Czy Fredrik i Andreas byli do tego zdolni? Ann nie mogła tego wykluczyć, lecz coś jej mówiło, że brakowało im właśnie tego gniewu. Byli napaleni, chcieli ją osiąść, spieszyło im się, chcieli zdobyć jej dziewictwo jak trofeum, wygrać. Ale czy byli zdolni do przemocy?

Fredrik zareagował dziecinną złością, zostawił ją, by poradziła sobie sama. Jak zachował się Andreas? Błagalnie, może trochę żałośnie. Też był romantykiem, naszyjnik, na pewno jej się to spodobało, ale jego nastoletni zapal, błagalne psie oczy już niekoniecznie. Na pewno też był zły, lecz przede wszystkim smutny. Ann doszła do wniosku, że chciało mu się płakać.

Powlókł się przed siebie, zdruzgotany, w szoku, który przerodził się w rozpacz, kiedy nie wróciła, ani do niego, ani do życia. Jeśli nie był winny morderstwa, to na pewno czuł się winny jej śmierci. Musiał stale zadawać sobie pytanie, czy ocaliłby jej życie, gdyby postąpił inaczej.

Dlatego kłamał! Nie potrafił opowiedzieć, co naprawdę się stało. Nie potrafił przyznać, że mógł ją podwieźć do domu, ale tego nie zrobił, że mógł, jako jedyny człowiek na świecie, uratować jej życie. Zawiódł ją.

Ann uświadomiła sobie to wszystko w chwili, gdy Erik wyszedł z pokoju. Trzymał w ręce spodenki kąpielowe.

- Podarły się – powiedział.
- Kupię nowe – rzekła Ann.
- Jaki kolor?
- Niebieskie.

Erik patrzył jej przez chwilę w oczy. Uśmiechnęła się.

- Będzie dobrze?

Wzruszył ramionami i wyszedł.

Ann spojrzała na zapisane słowa. Gdyby mogła skłonić Andreeasa do przyznania się, że pojechał do domku myśliwskiego, a była przekonana, że to zrobił, schemat czasowy wyglądałby lepiej. Każda minuta z ostatnich godzin życia Klary Lovisy przybliżała także Ann do mordercy. Może powiedziała coś Andreasowi, zanim wrócił do miasta? Coś, co mogło rzucić światło na jej plany. Może Andreas coś widział, spotkał kogoś w drodze do domu, tego trzeciego mężczyznę? Mały okruch powinien wystarczyć. Mógł doprowadzić ją bliżej.

Co ja wyprawiam, pomyślała nagle. Jest sobota, piękna letnia pogoda i Erik chce robić coś fajnego.

Zamknęła notes i wstała.

- Jedziemy! – zawołała i Erik natychmiast się pojawił, jakby czatował w

przedpokoju.

Chciała go przytulić, obiecać, że wszystko będzie dobrze, ale się powstrzymała od uścisków i obietnic. Jeszcze bardziej by się denerwował, i co właściwie przemawiało za tym, że wszystko będzie dobrze?



**Zszyliśmy panu ucho** – powiedział ktoś na sali.

Zakładał, że to lekarz, mężczyzna po pięćdziesiątce, ze zmęczonymi piwnymi oczami, cienkimi wąsami i pyzatymi policzkami, który stał pochylony nad jego łóżkiem i wpatrywał się w niego w sposób właściwy lekarzom.

Anders Brant miał wrażenie, że lekarz mówi do niego już od dłuższej chwili, przypominał sobie słabo, że ktoś powtórzył jego imię i nazwisko, czyjąś dłoń na ramieniu, słaby zapach... środka antyseptycznego, lecz także cebuli.

– Ucho?

Lekarz skinął głową i ściągnął lekko usta, z pewnością zadowolony, że udało mu się nawiązać kontakt.

Brant zamknął oczy. Bolało go, kołatało mu w głowie. Przypomnił sobie Monicę, znów zapadł w ciemność, ciało miał ciężkie jak ołów, bezkształtne, jakby nie należało do niego, wyteżał pamięć, by przywołać coś innego prócz dziwki, którą kupił.

Ktoś zwilżył jego wargi.

– *Señhor* Andrés?

Dłoń na jego piersi. Niepokój, pomyślał, oni się niepokoją. Nie miał siły otworzyć oczu.

– Ivaldo?

– Tak.

– Co się stało?

– Autobus. Pan wszedł na jezdnię. Jechał autobus do Pituby.

Najpierw przypomniawszy sobie geografię. Powoli rysowała się przed nim mapa Salvadoru.

– Ondina, Barra, Sete Portas – wymamrotał.

– Nie, Pituba.

Mapa nabrała ostrości. Wypłynęły wspomnienia i sekwencje jak ze snu. Largo Santana. Jakiś chłopiec podszedł i poprosił o udko kurczaka. Po odmowie splunął w jedzenie i uciekł, pobiegł za kościół na środku placu i dalej gdzieś w kierunku morza; demonstracja na placu, jakiś mężczyzna odłączył się od grupy, mówił bez wzmacniacza, lecz jego głos brzmiał zaskakująco mocno. Poławiacze małży, ich chude plecy pod światło, krzyk i śmiech na nabrzeżach. I jak wtedy kochał życie.

– Dał nam pan pieniądze. Dlaczego?

Pieniądze. To kosztuje pieniądze. Ile kosztuje szycie ucha? Muszę zapytać. Powróciła ciemność, znikła mapa, zatarły się wspomnienia.

– Vanessa – wymamrotał Anders Brant.



**Jesteśmy przecież starymi kumplami z drużyny** – wyjaśnił Berglund.

Uśmiechnął się do siebie, jakby coś sobie przypomniał. Pozostali, Bea, Ottosson i Fredriksson, czekali.

– Czasem wpadamy na siebie w mieście, Kurre pracuje przecież w centrum, można tak powiedzieć, zbiera puszki i pożyczka od ludzi trochę drobnych. Jest bystry na swój sposób, sprytny, ale czasem trochę nieobecny duchem. Trudno zgadnąć, gdzie w danej chwili przebywa. Często płacze, ale przecież był malarzem.

– Dlaczego właśnie malarz miałby płakać? – zapytała Beatrice, lecz Berglund mówił dalej, jakby nie słyszał jej pytania.

– Dziś rano, kiedy wyszedłem na spacer z psem, spotkałem Kurrego przed starym więzieniem. Spał na łodzi koło Flottsund i szedł właśnie do miasta.

– Szedł z Flottsund? To musi być co najmniej dziesięć kilometrów.

Berglund uśmiechnął się do Fredrikssona.

– Kurre zawsze miał dobrą kondycję. I nie może jeździć autobusem, bo ma chorobę lokomocyjną. Zresztą taki przejazd to sporo puszek.

Beatrice nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Dziś Kurre miał dobry dzień, dużo pamiętał. Był na imprezie u Ingegerd Melander i pamiętał jej kłótnię z Johnnym Anderssonem. Chodziło o Bossego Gränsberga. Obwiniła Johnny’ego o spowodowanie jego śmierci.

– Spowodowanie, nie zamordowanie.

– Kurre tak to zrozumiał – odrzekł Berglund. – Nie pamiętał dokładnie słów, ale mieli ostre starcie.

– Czy chodzi o coś tak prostego jak zazdrość? – rzuciła Beatrice.

– Nie sądzę – odparł Berglund. – Zerwała z Bossem miesiąc temu.

– Dlaczego inni goście nic nie mówili? – zdziwiła się Beatrice. – Powinni byli przecież słyszeć, o co się kłóć.

– Poszli sobie – odparł Berglund. – Został tylko Kurre.

– Gdzie do diabła jest Johnny?

Wtrącenie Ottossona dotknęło czulego punktu. Choć Johnny był przesłuchiwany przez kilka dni i przerobili cały krąg jego znajomych, on sam jakby zapadł się pod ziemię.

– Może nie żyje? – rzucił lakonicznie Fredriksson.

Dyskusja trwała, rozważali wszystkie możliwe warianty, szukali powiązań między różnymi śledztwami. Fredriksson miał wrażenie, że to wszystko już słyszał i miał coraz bardziej dość. Wymówił się pretekstem, że musi poszukać Forss, i się ulotnił.

Ostatnim, co usłyszał, było pytanie Ottossona, co sprowadziło Andersa

Branta do domu Melander, i odpowiedź Beatrice:

– Nagląca potrzeba.

Spotkanie z Forss nie trwało długo. Prokurator podjęła decyzję, że na chwilę obecną nie będą nic robić ze sprawą na dworcu. Nie mieli powodu, by aresztować któregośkolwiek z uczestników. Zgłoszone przestępstwa były zbyt błahe.

Decyzja prokurator wywołała u Fredrikssona mieszane uczucia. Z jednej strony był zadowolony, że od razu może to skreślić, z drugiej rozczarowany, bo chciał, by przynajmniej jeden z tych typów, których przesłuchiwał, ten, który prawdopodobnie zniszczył kiosk z kiełbaskami, posiedział za kratkami choć przez chwilę, najlepiej dłuższą, i najchętniej ze skutkiem natychmiastowym.

Zamiast wrócić do klubu dyskusyjnego przed pokojem Ottossona, poszukał Myhrego. Przeczynał, że siedzi pochylony nad teczkami i innymi materiałami, które zabrali z biura Jeremiasa Kumlina.

– Dobrze, że przyszedłeś – zaczął Myhre bez grzecznościowych wstępów. Wyglądał przy tym na szczerze ucieszonego, że zajął do niego właśnie Fredriksson.

Myhre był tytanem pracy. Niektórzy uważali, że jego wkład jest podstawą funkcjonowania całego wydziału do spraw gospodarczych. Ściągnięto go z Malmö, kiedy poprzedni komendant policji postanowił potraktować priorytetowo przestępstwa gospodarcze. Jego zatrudnienie okazało się jedną z niewielu trafnych decyzji kadrowych narzuconych przez górę.

Na biurku przed nim leżały dokumenty w takiej ilości, że nawet doświadczony weteran jak Fredriksson otworzył usta ze zdumienia.

– To wszystko Kumlina?

Myhre skinął głową i wskazał na drugie biurko, na którym piętrzyła się co najmniej równie wielka sarta papierów.

– Ropa, gaz i Rosja – powiedział – równa się pieniądź, a pieniądź równa się papiery.

– Pieniądź równa się też przestępstwo – odparł Fredriksson.

Myhre przez chwilę wyglądał na zdziwionego, jakby po raz pierwszy uświadomił sobie, że zajmuje się przestępstwami. Większość była przekonana, że nie napędza go żarliwe umiłowanie sprawiedliwości ani pragnienie wsadzania za kratki przestępców gospodarczych, tylko same cyfry, kolumny i bilanse.

– Znalazłeś jakieś oszustwo?

Od razu pożałował tego pytania, obawiając się, że Myhre włączy się w szczegółowe sprawozdanie z działalności Kumlina, lecz spec od spraw gospodarczych zaskoczył go, wyjmując z chaosu na biurku tylko jedną kartkę.

– To.

– A co to jest?

– Zakup – odparł z zadowoleniem Myhre.

- Od kogo?
  - Od niejakiego Sture Millgrena. Millgren jest ekspertem od zagadnień energetycznych, związanym w jakiś sposób z ambasadą w Moskwie.
  - Attaché handlowy?
  - Nie, jakieś specjalne stanowisko z tego, co zrozumiałem. Trochę poszperałem i znalazłem, że Millgren objął je trochę ponad rok temu, z uwagi na problemy związane z ropą i gazem. Przyjechał z Brukseli, gdzie pracował jako ekspert do spraw energii.
  - Zmierzasz do tego, że Kumlin go kupił?
  - I tak, i nie. Zrobił to jego kumpel, Oleg Fiedotow, lecz Kumlin o tym wiedział. A nasz drogi Millgren nie jest tani.
  - Może skrzynka rosyjskiego kawioru?
- Myhre pokręcił głową.
- Znacznie więcej, a ściśle około miliona.
- Fredriksson wpatrywał się w Myhrego, który uśmiechał się z zadowoleniem.
- Dolarów.
  - To przecież ponad sześć milionów koron!
- Fredriksson usiadł.
- Więc możesz sobie wyobrazić, o jakie kwoty transakcji tu chodzi – rzekł Myhre.
  - A co Fiedotow i Kumlin mieli dostać w zamian?
  - I właśnie nad tym się zastanawiam, ale najwyraźniej ma to coś wspólnego z ropą i gazem.
  - Jezu Chryste – jęknął Fredriksson – tego już za wiele.
  - I dlaczego zginął Kumlin? Przestraszył się, skrewił coś z pieniędzmi, czy co? – spekulował Myhre.
  - Mieliliśmy podobny przypadek wiele lat temu, zanim tu przyjechałeś. Wtedy chodziło o dyrektora zarządzającego firmy farmaceutycznej, nazywał się Cederén. Czysta robota, na zamówienie.
  - Więc Fiedotow wypuścił jedną ze swoich torped, by uciszyć towarzysza?
  - Mogło tak być – mruknął z roztargnieniem Fredriksson, który powrócił w myślach do straszego losu rodziny Cederénów. – Może powinniśmy dać ochronę Henriecie Kumlin. Można by pomyśleć...
  - Wtedy też byście ją znaleźli w tym garażu. Nie, sędzę, że celem był tylko Jeremias i nikt więcej.
  - Musimy to przekazać Ottossonowi i Hällströmowi – rzekł Fredriksson. – Możesz streścić to, do czego dotąd doszedłeś? Udział szwedzkiego dyplomaty to delikatna sprawa.
  - Właściwie nie jest dyplomata, tylko konsultantem związanym z ambasadą.
  - Też niedobrze – skwitował Fredriksson i wstał.

– To nie wszystko – podjął Myhre. – Millgren ma również własną firmę, Neoinvest, ale jest zarejestrowana na jego żonę Carolinę i brata Arnolda. Choć raczej jestem przekonany, że za Neoinvest stoi sam Sture.

– Czy to jest legalne?

– Zajmują się analizami wpływu na środowisko, jak to ładnie nazywają na swojej stronie internetowej, przede wszystkim w związku z eksploatacją zasobów ropy. Może chodzić o wpływ platform wiertniczych na środowisko morskie, a teraz o gazociąg, który Rosjanie i Niemcy chcą poprowadzić po dnie Bałtyku. On i żonka są więc bezpośrednio związani komercyjnie z branżą.

– Czy to jest legalne – powtórzył Fredriksson – pracować jednocześnie jako pólidyplomata i zarabiać pieniądze na własnej firmie?

Myhre wzruszył ramionami.

– Jest jak jest, cholerna kasza. Pieniądze mają głos. To wszystko ten sam typ ludzi.

– Jeszcze jedno – ciągnął Fredriksson – jak w ogóle się stało, że znalazłeś te dane? Trzeba być wyjątkowym głupcem, by zostawiać po sobie ślady.

– Fiedotow sprawia wrażenie pewnego siebie typa – odrzekł Myhre. – Píše o tym w zwykłym mailu. Pozornie wygląda to na zwyczajną transakcję, lecz zważywszy na to, jak to działa, możemy przyjąć, że ten milion dolarów jest łapówką. Millgren nie musi analizować zbyt dokładnie, chodzi o przetarcie szlaku. Píše raport, może dla pozorów z paroma uwagami krytycznymi, lecz w zasadzie korzystny dla RSHKL GAS, jak nazywa się największe i najstarsze przedsiębiorstwo Fiedotowa i Kumlina. I mogą zarobić sporo kasy, mówimy teraz o wielu zerach. Więc milion dolarów dla Millgrena jest dobrą inwestycją.

– Ale ten gazociąg to przecież rosyjski projekt – zauważył Fredriksson – więc jakie znaczenie ma opinia szwedzkiego konsultanta?

– Nie wiem – przyznał Myhre – ale jestem przekonany, że istnieje jakiś związek. Może raport Millgrena ma robić dobre wrażenie na płaszczyźnie międzynarodowej. Projekt jest przecież bardzo krytykowany i jeśli Putin może wraz z kolegami z mafii paliwowej pokazać porządny dokument od porządnego szwedzkiego eksperta, to budzi duże zaufanie. Rosyjska ekspertyza nie zaimponuje nikomu w Unii, ale Millgren ma w Brukseli nieposzlakowaną opinię. Może para Fiedotow–Kumlin wynajęła też innych? Mają kontakty z wieloma firmami konsultingowymi, między innymi we Francji. Niewykluczone, że byliby w stanie przedstawić cały plik niezależnych ekspertyz. Kasza, jak mówiłem, i gdzieś w niej ukryty jest migdał wart miliardy.

– Ale Kumlin sprawiał wrażenie drobnego gracza – rzekł Fredriksson, myśląc o małym gabinecie z mnóstwem teczek. – Gdyby obracał miliardami, miałby luksusowe biuro.

– Pozory mylą – stwierdził Myhre. – Na pewno miał majątek wart kilkaset

milionów.

Fredriksson zdumiał się.

– Więc dlaczego zginął? – zapytał.

– To twój problem. – Myhre uśmiechnął się. – Ja się zajmuję cyframi, ty wsadzasz za kratki rosyjskich gangsterów.

Mina Fredrikssona mówiła jasno, co myśli o tym zadaniu.

– Ale ja nie wierzę w przypadki – rzekł.

– To znaczy?

– Najpierw Gränsberg, potem Kumlin. Obaj znali się od dawna. Dodaj do tego upadek Ingegerd Melander ze schodów. I jeszcze tego dziennikarza, też starego kumpla.

– Może Gränsberg był człowiekiem Kumlina – rzucił Myhre. – Kumlin wynajmował dawnego kolegę z drużyny do drobniejszej brudnej roboty. Przecież Gränsberg potrzebował pieniędzy.

– A co ma z tym wspólnego Brant?

– Może wpadł na jakiś ślad i Kumlin nasłał na niego Gränsberga, by mu pogroził. Wersja, że Brant pisze coś o bezdomnych, może być tylko przykrywką. Jego prawdziwa praca jest związana z rosyjską ropą.

– Gränsberg nie wyglądał na takiego – zaoponował Fredriksson.

– Pieniądze – rzucił lakonicznie Myhre.

– Spadek – dodał Fredriksson.

Myhre uśmiechnął się.

– Wesola wdówka wymyśla Rosjanina.

Fredriksson westchnął ciężko.

– Jezu Chryste, taki ładny dzień! – wybuchnął.

– Mnie się tu podoba – odparł Myhre, znów się uśmiechając.

Fredriksson pokręcił głową i opuścił pokój kolegi, który miał czelność cieszyć się pracą w piękne sobotnie przedpołudnie.

Wrócił powoli do swojego pokoju, zastanawiając się, czy się nie wymknąć, ale czuł, że byłaby to jednak przesada. Najpierw musi spisać to, co mówiła Gunilla Lange, i dać kopię Sammy’emu i Beatrice. Nie były to znaczące informacje, lecz w połączeniu z innymi może stworzyłyby jakiś wzór.

Czy to Jeremias Kumlin mógł być powodem optymizmu Gränsberga, że dawny kolega z drużyny, dziś z wielomilionowym majątkiem, byłby gotów włożyć kapitał w planowaną firmę budowlaną? Ale kto miałby wtedy interes w zabijaniu Gränsberga? I dlaczego Kumlin musiał zginąć? Czy to sprawka tego wysłanego Rosjanina? Czy to, że oba morderstwa zbiegły się w czasie i między zamieszanymi istniały wcześniejsze powiązania, było tylko nieprawdopodobną, a jednak możliwą do pomyślenia opcją? Przypadek przez lata płatał Fredrikssonowi różne figle, lecz on jako doświadczony śledczy i gracz był wobec niego zawsze podejrzliwy.

Na takie pytania Fredriksson poświęcił popołudnie. Nie był wiele mądrzejszy, gdy o piątej opuszczał komendę.

40

**Ci, którzy widzieli Ann Lindell** powracającą do pracy w poniedziałek rano, nie domyśliliby się, że w piątek była bliska załamania nerwowego. Weszła różnym krokiem do windy, przejrzała się w lustrze i poprawiła włosy.

Kiedy drzwi windy otworzyły się, wpadła prosto na Sammy'ego Nilssona. Rozejrzała się ukradkiem, nim przyciągnęła go do siebie i równie szybko jak niespodziewanie uścisnęła.

– Takie powitanie to rozumiem – skomentował.

Zauważył, że się opaliła, a ona opowiedziała, jak przez cały weekend smażyła się z Erikim w Fjällnora. Sammy w tym czasie liczył ukąszenia komarów w Tärnsjö. Doliczył się pięćdziesięciu, ale poza tym dobrze spędził czas.

– Potrzebowaliśmy tych dni – stwierdził.

– Coś nowego?

Sammy zreferował jej rozmowę Fredrikssona z Gunillą Lange i powiedział o Myhrem, który spędził cały weekend nad księgami rachunkowymi Kumlina. Ann od razu zrozumiała, że otwiera się przed nimi kilka przejezdnych dróg, które mogą wznieść śledztwo ponad poziom pytań, lecz nie potrafiła nie myśleć przy tym o roli Branta.

– Musimy jeszcze porozmawiać z Brantem – dodał Sammy, jakby czytał w jej myślach – i to chyba już niedługo. Haver niemal cudem odkrył, że Brant zarezerwował na jutro lot z Brazylii do Madrytu i stamtąd Spanairem do Sztokholmu.

Schylił się i nacisnął przycisk windy.

– Kto...

– Ja – odpowiedział Sammy. – Pojadę po niego na Arlandę, żeby znów się nam nie wymknął. Nie chcesz przy tym być?

Ann pokręciła głową.

– Możesz przeprowadzić własne przesłuchanie. – Sammy starał się nadać swoim słowom lekki ton.

– Nie sądzę – rzekła Ann.

– Spróbuj – zachęcił ją Sammy. Wszedł do windy, uśmiechnął się i przesłał jej dłonią całusa.

Ann poszła zrobić sobie kawę, lecz zmieniła zdanie, gdy zobaczyła, że przy ekspresie stoi Riis. Rozmowa z nim byłaby prawdziwym zimnym prysznicem po spotkaniu z Sammym i jej dobry nastrój na pewno by na tym ucierpiał.

Zamiast tego zaszła do Ottossona, głównie po to, żeby się pokazać. Chciała



mu się pochwalić, że przez całą sobotę i niedzielę nie wypła ani kropli wina, lecz taka wiadomość na pewno by go zdenerwowała. Był specjalistą w wynajdywaniu powodów do niepokoju we wszystkim, co odbiegało od rutyny. Prawdopodobnie zapytałby ją, czy jest chora.

– Dobrze wyglądasz – powiedział z ożywieniem.

– Zabrakło alkoholu – wymknęło się jej.

Ottosson patrzył na nią zaskoczony, nim jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu. Wiadomość dotarła do adresata.

Podeszła do biurka, pochyliła się i pogłaskała go po policzku.

– A to co?

– Dziś jest międzynarodowy dzień głaskania WHO, nie wiedziałeś?

Ottosson, czasami irytująco pozbawiony wyobraźni, wyglądał na jeszcze bardziej zmieszanego.

– Nie wiedziałem – odrzekł – ale to dobra inicjatywa ONZ.

– Chciałabym opuścić dzisiaj odprawę – powiedziała Ann. – Mam parę pomysłów.

Ottosson chciał zaprotestować, lecz powstrzymał się i skinął głową. Ann, jak nikt inny w wydziale, mogła chodzić własnymi drogami i wiedziała, jak to najlepiej wykorzystać.

„Parę pomysłów”, powiedziała Ottossonowi, ale tak naprawdę zabrnęła w dwa ślepe zaułki, Fredrika i Andreasa, i na chwilę obecną nie miała żadnej sensownej koncepcji, jak powinna wyglądać droga przejezdna.

– Napalone samce – mruknęła.

Poświęciła godzinę na przepisanie na czysto notatek z przesłuchań ich obu. Czasami pozwalało to spojrzeć na sprawę świeżym okiem i przetrwać wszystko jeszcze raz w wypoczętym mózgu. Tym razem jednak nie odkryła niczego nowego.

Wciąż powracało pytanie o grób w lesie. On był kluczem. Głęboki i starannie wykopany przez kogoś chłodnego i wyrachowanego, bez pośpiechu. Jedyńm słabym punktem było to, że znajdował się tak blisko domku. Bo jedynym, co mogło doprowadzić do odnalezienia ciała Klary Lovisy, była czyjaś informacja, że ona tam leży. Miała dwóch do wyboru, Fredrika i Andreasa, ale obaj milczeli. Mogli byli wcześniej iść na policję, lecz tego nie zrobili, wystraszeni i zawstyżeni.

Morderca musiał to wziąć pod uwagę, a jednak podjął ryzyko. To przemawiało za Andreasem, lecz przeciw Fredrikowi. Czy wrócił, nieświadomy, że Andreas też złożył tam wizytę, a potem sobie poszedł? Może nie było nikogo trzeciego? Jedna wizyta Andreasa, ale dwie Fredrika. Ta ostatnia skończyła się śmiercią dziewczyny.

Jej rozważania przerwał telefon. Odebrała od razu, ucieszona, że przerwał błędne koło jej myśli.

– Wróciłem – powiedział swoim wysokim głosem.

To był Håkan Malmberg, trener piłkarski Klary Lovisy.

– A, to dobrze – odpowiedziała z roztargnieniem Ann.

– Chciałaś, żebym zadzwonił.

– Właśnie. Mam kilka pytań co do Klary Lovisy, może mógłbyś coś uzupełnić.

– Nie sądzę – rzekł Malmberg – Ale o co chodzi?

Ann rzuciła okiem na zegar.

– Czy mógłbyś tu zajrzeć przed południem?

– Zajrzeć – Malmberg parsknął śmiechem – to brzmi jak przyjacielska wizyta, ale oczywiście, jadę do miasta, więc mogę zajrzeć.

Håkan Malmberg był postawnym mężczyzną. Ann oceniła jego wzrost na metr dziewięćdziesiąt, a kiedy zdjął motocyklową kurtkę, stało się jasne, że spędza dużo czasu na siłowni. Emanował siłą w sposób niespodziewanie dla niej atrakcyjny. Ogólnie nie przepadała za wytatuowanymi mężczyznami w skórzanych kurtkach, z bandaną na szyi i włosami związanymi w koński ogon, może dlatego, że kojarzyli się jej z gangami motocyklowymi, ale było też coś żalnego w ich próbach emanowania prawdziwą męskością, co w przypadku Malmberga nie do końca się udawało z powodu wysokiego głosu.

Nie miał też końskiego ogona i raz po raz przeciągał dłonią po łysej czaszce. Ann domyślała się, że niedawno zgolił głowę i nie zdążył się jeszcze przyzwyczać, a może nie miał przekonania, czy to był dobry pomysł.

Zdradzał wyraźną nerwowość. Mogła tylko zgadywać, z jakiego powodu. Mowa jego ciała wskazywała jej zdaniem na to, że albo ma coś do ukrycia, albo po prostu czuje się niekomfortowo na policji.

– Jak dobrze znałeś Klarę Lovisę?

– Dość dobrze, była przecież przez kilka lat w drużynie.

– Czy sam grasz w piłkę?

Skinął głową i Ann zauważyła, że nie powiedział, kiedy i w jakim klubie, choć obiektywnie temat nie był drażliwy.

– Czy znasz rodziców Klary Lovisy?

– Nie, właściwie nie, widziałem chyba jej mamę na paru meczach.

– Czy byłeś w związku z Klarą Lovisą?

Malmberg podniósł na nią wzrok, po czym skierował go na recepcję, przez którą przepływał strumień wchodzących i wychodzących ludzi, z czego większość do wydziału paszportowego, nim odpowiedział.

– Nie, do cholery, przecież była małolatą.

Użył tego samego słowa co Fredrik.

– Na pewno nie wyglądała na zwykłą piętnastolatkę. Lubiła flirtować?

– Nie, nie sądzę – odparł Malmberg. – Mniej więcej tak jak inne, czasami trochę chichotała. Wiesz, jakie są dziewczyny, jak stadko kur albo gęsi.

– A ty byłeś kogutem?  
– No jasne – zakpił. – Nie, do cholery! Trzeba zachować dystans. Jestem trenerem i lubię tę robotę. Dziewczyny są na ogół w porządku. Dobrze się nam razem pracuje.

– Ale klubowi nie szło za dobrze – stwierdziła Ann.

– Nie za dobrze? Wcale nie szło.

– Czy wiesz, dlaczego Klara Lovisa tak nagle przestała grać?

Malmberg pokręcił głową.

– Byłeś zły?

– To chyba jasne – mruknął.

– Co miałeś do Fredrika, że musiał odejść?

– Za bardzo się wrywał.

– Co masz na myśli? Chodzi ci o piłkę czy o dziewczyny?

– Jedno i drugie – odparł Malmberg.

– To dlatego odeszła z drużyny? Narzucał się jej?

– Tego nie wiem, ale nie mogę też wykluczyć.

– Myślisz, że to on zamordował Klarę Lovisę? Wspomniałeś coś o tym, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

Malmberg zawahał się. Widać było, że jest nieprzyjemnie poruszony.

– Czy wiesz albo domyślasz się czegoś i chciałbyś to powiedzieć?

– Nie, nie...

– Ale myślisz...

– Nie! Z jednej strony zatkało mnie, kiedy się dowiedziałem, że przymknęliście Fredrika, ale z drugiej specjalnie mnie to nie zdziwiło, bo to mały gnojek. Ale jeśli mam być szczery, trudno mi uwierzyć, że ten gość miałby nerwy, żeby kogoś zabić, a potem pochować ciało. To mi do niego nie pasuje. Jest gnidą, ale...

– Czy rozmawiałeś z nim ostatnio?

– Nie, odkąd odszedł z klubu. Tylko mignął mi zimną na mieście.

– Sam?

– Nie wiem – odparł Malmberg.

– Nie wiesz?

– To była chwila. Przejechał tylko samochodem ojca i ktoś tam chyba jeszcze siedział.

– Klara Lovisa?

– W każdym razie jakaś blondynka.

Ann próbowała uściślić, kiedy i gdzie Malmberg widział Fredrika i jego ewentualną pasażerkę, ale nie potrafił sobie przypomnieć nic prócz tego, że to było na Kungsgatan, na wysokości Teatru Miejskiego, któregoś dnia w marcu, bo wtedy jeszcze nie zaczął sezonu motocyklowego.

– A kiedy zaczynasz? – zainteresowała się Ann.  
– Zależy od pogody, ale zwykle w połowie kwietnia.  
– Czy jeszcze z kimś o tym rozmawiałeś, to znaczy po znalezieniu Klary Lovisy? Na przykład z kimś z klubu?

– Byłem na wyprawie motorem i wróciłem do domu wczoraj. Zaraz zadzwoniła do mnie siostra. Mam jej pomóc przy przeprowadzce.

– Czy przychodzi ci na myśl ktoś inny z otoczenia Klary Lovisy, kto mógłby mieć z tym coś wspólnego?

Malmberg pokręcił głową.

– Więc podsumujmy: nic nie widziałeś ani nie słyszałeś i uważasz, że Fredrik jest gnojkiem, ale niezdolnym do morderstwa?

– Zdolnym może tak, ale trochę mnie to zdziwiło.

– Okej – rzekła Ann, wyciągając rękę. – Dziękuję, że znalazłeś czas na tę wizytę.

Håkan Malmberg uśmiechnął się do niej. Domyślała się, że ten uśmiech miesza w główkach wielu dziewczyn z drużyny.

Odprowadziła go do drzwi wyjściowych, patrzyła, jak opuszcza budynek i wsiada na zaparkowany tuż przed nim motocykl. Pomachał jej ręką, włożył kask, uruchomił nogą silnik i odjechał Svartbäcksgatan.

Spłynął na nią wielki spokój. Zajrzała do notatnika. Było w nim tylko jedno słowo: marzec.

**Cienie – rzekł Allan Fredriksson.** – Oni tam są, ale my ich nie widzimy, tylko jako cienie.

Powiedział to powoli, jak gdyby na coś wpadł, lecz nie było to do końca jasne dla niego samego.

– Co masz na myśli?

Sammy Nilsson domyślał się, co chciał powiedzieć jego kolega, lecz wołał usłyszeć, jak rozwija temat, o którym nigdy wcześniej nawet nie napomknął.

– Kumlin, ten Fiedotow, a teraz konsultant Millgren w Moskwie i wszyscy, którzy się za nimi kryją. To musi być spora grupa. Gränsberga i jemu podobnych ogarniamy, oni się biją i zabijają, chleją na umór i rzygają, śmierdzą i wrzeszczą, kłamią i wszystkiego się wypierają. Ale ta grupa to tylko bezkształtne twory. Wiemy, że istnieją, widzimy ich w telewizji i czytamy o nich w gazetach, o tych ludziach sukcesu, z dobrymi manierami, ale to tylko *bullshit*. Tylko powierzchnia. Na przykład taki Kumlin, kto do cholery by pomyślał, że ma ponad dwieście milionów? Skąd się wzięły te pieniądze?

Fredriksson rozłożył ręce i popatrzył wymownie na Myhrego, jakby on mógł im to wyjaśnić.

– Jesteś po prostu zazdrosny – stwierdziła Beatrice. – Grasz na wyścigach i co tydzień chcesz zgarnąć kupę kasy. Nie pogardziłbyś paroma milionami.

– Jasne, że nie! – prychnął Fredriksson.

Nie poznawali go. Widać było, że poświęcił niedzielę na rozmyślenia i doszedł do wniosku, że życie jest niesprawiedliwe. Rzadko widzieli go czy słyszeli tak poruszonego.

– Rosja to dość szczególny kraj – rzekł z namysłem Myhre.

Widać było, że czuje się trochę niekomfortowo, będąc w centrum zainteresowania, a także z powodu niespodziewanej agresji Fredrikssona.

– To znaczy? – zapytał Sammy Nilsson.

– Mają chorobę, rabunkową gospodarkę – podjął Myhre – a ci, którzy wchodzi do rosyjskiej gry, jak Kumlin, muszą być przygotowani na nietypowe metody biznesowe. Po pierwsze, chodzi o ogromne pieniądze, po drugie, mafia rządzi życiem gospodarczym, a po trzecie, siły, które mogłyby temu przeciwdziałać, są zupełnie wyeliminowane z rozgrywki albo same biorą w niej udział. Mam na myśli polityków, policję i sądy. Ale cena jest wysoka, sądzę, że Rosja jest jedynym krajem uprzemysłowionym, w którym średnia długość życia spada, i to drastycznie, nie chodzi tu o pół roku. Kraj zmierza do demograficznej katastrofy, zwłaszcza dla populacji rosyjskiej, która maleje najszybciej, podczas gdy liczebność innych narodów w republice się zwiększa. Przyszłość rysuje się czarno, etniczna czystka i

wojna domowa. Widzę oczami wyobraźni, jak Putin zaczyna krucjatę, więcej Czeczenii, innymi słowy. Ci, którzy dziś zapijają się na śmierć, może mają najwięcej szczęścia.

Myhre przerwał na chwilę i zwrócił się do Fredrikssona.

– Tu masz odpowiedź, Allan, skąd się wzięły te wszystkie miliony Kumlina: wódka, ropa, korupcja i defraudacja wszystkiego, co można sprzedać.

– Więc nie możemy liczyć na pomoc władz? – zapytał Sammy.

– Raczej nie – odparł Myhre.

– I Millgren nie będzie współpracował?

– Na to nie ma szans.

Sammy uśmiechnął się, słysząc te słowa, i z tego, jak cichy Myhre był pewny tego, co mówił.

– Proces postępuje – ciągnął Myhre – gospodarka rosyjska jest jak wielki falujący organizm. Jeśli się odetnie jedną mackę, całe ciało zdrzży, lecz cięcie szybko się zaleczy i wyrośnie nowa.

– Kumlin był tylko jedną macką, wartą dwieście milionów – skostatowała Beatrice.

Myhre skinął głową i podjął swój wykład.

– Millgren kontynuuje swoją działalność, jego umowa z Fiedotowem i Kumlinem opiera się przypuszczalnie na dość pewnej podstawie prawnej, nie jest idiotą. Będzie musiał też przełknąć trochę gadania o podwójnej lojalności i tak dalej, ale kogo to właściwie zdziwi?

– Jest pewien szkopuł – wtrącił Sammy. – Sąsiadka z psem, która przechodziła koło domu Kumlinów, twierdzi, że mężczyzna przy płocie mówił po szwedzku, że powiedział coś o psie. Mówi, że to było słowo „psina”, „ładna psina” czy coś w tym stylu. Na ile prawdopodobne jest, by Rosjanin...

– Ale ona nie była pewna, a poza tym bardzo słabo słyszy – przerwała mu Beatrice. – Kiedy z nią rozmawiałam, musiałam prawie krzyczeć.

– Dama z pieskiem – wtrącił Fredriksson. – Zawsze trafi się jest jakaś cholera z psem.

– Jesteś w szczytowej formie – rzekł z drwiącym uśmiechem Sammy. – System zawiódł w weekend? Twój faworyt przybiegł czwarty?

Fredriksson spojrzał na niego spode łba. W rzeczy samej tak było, jego system zawiódł. Gdyby Nelson Express dał radę, Fredriksson zgarnąłby prawie czterysta tysięcy, a tak musiał się zadowolić marnymi osiemnastoma.

– Wygrałem – wymamrotał.

– To widać – rzekł z ironią Sammy. – A jak się czujesz, kiedy przegrywasz?

– Ale dlaczego Kumlin musiał umrzeć? – zapytała nagle Beatrice.

Tym pytaniem wyraziła to, o czym myśleli wszyscy: że motyw jest najważniejszy, jeśli mają rozwiązać sprawę morderstwa. Jeśli wiązał się z rosyjską

mafią, istniało duże prawdopodobieństwo, że mordercy nie ma już w kraju i pozostanie na zawsze nieuchwytny dla sprawiedliwości.

– Może grał na dwa fronty – rzucił w końcu Sammy.

– Z kim? – myślał głośno Myhre, mając chyba świadomość, że prawdopodobnie nigdy nie poznają pełnego obrazu zdarzeń.

**Chwile szczęścia**, kiedy los uśmiecha się życzliwie i szczerze, rzadko przytrafiały się Ann Lindell, ale teraz taką właśnie przeżywała.

Zadzwoiła do rodziców Klary Lovisy, by uzyskać potwierdzenie tego, co przeczuwała.

Teraz siedziała w swoim pokoju, zupełnie beczynn timer, z dłońmi splecionymi na biurku, i tylko szeroko się uśmiechała.

Sądziła, że to, co w tej chwili przeżywa, przypomina uczucie rzemieślnika lub artysty patrzącego na ukończone dzieło.

Jedyną smutną rzeczą w tym obrazie, kładącą się w pewien sposób cieniem na wszystko, było straszne odkrycie, któremu Ann zawdzięczała tę chwilę szczęścia. W rzeczy samej, chodziło o śmierć nastolatki. Nie odbierało jej to jednak poczucia cichego triumfu. Inspektor kryminalna Ann Lindell odniosła sukces.

Zastanawiała się, czy nie poszukać Ottossona i mu nie powiedzieć, ale wolała wpaść do jego pokoju i wyłożyć przed nim i prokuratorem Molinem gotowy pakiet, w którym będzie grał każdy szczegół, więc postanowiła jeszcze przez chwilę delektować się tym sama.

Potem przyszedł lęk. Tkwił w jej podświadomości przez cały czas, lecz teraz uderzył z całą mocą. Nie mogła mieć stuprocentowej pewności, może to jej żarliwe pragnienie, by rozwiązać sprawę morderstwa, skłoniło ją do wyciągnięcia pochopnych wniosków? Cały jej wywód myślowy był, delikatnie mówiąc, kruchy.

Wstała niezdecydowana i jeszcze raz rzuciła okiem na notatki, nim wyszła z pokoju, zatrzasnęła drzwi i prawie pobiegła do windy. Nacisnęła przycisk, ale się rozmyśliła i zeszła do wydziału technicznego po schodach.



**Spotkałem Bossego w dniu, w którym umarł.**

Gunilla Lange podniosła wzrok. Wiadomość przyszła zupełnie niespodziewanie, wypowiedziana obojętnym głosem, jakby mówił o czymś zupełnie zwyczajnym.

– Co ty mówisz? Przecież byłeś w pracy?

– Tamtego dnia byłem w mieście – rzekł Bernt Friberg. – Gurra potrzebował pomocy przy naprawie przecieku.

– I teraz to mówisz?!

W odpowiedzi tylko skinął głową.

– Gdzie?

Obawiała się najgorszego i nie chciała tego usłyszeć. Bała się, że względny spokój ostatnich dni, kiedy udało jej się z trudem powrócić do jakiejś takiej normalności, teraz się skończy. Czy to był początek przyznania się? Czy jej mężczyzna był mordercą?

– Zobaczyłem go, jak idzie, więc się zatrzymałem i go zabrałem. Szedł do swojej kwatery.

– Ale dlaczego?

Głos Gunilli był teraz wysoki i ostry.

Bernt nie miał łatwości mówienia, słowa często więzły gdzieś w głębi, lecz tym razem chyba chciał się pozbyć ciężaru. Tak tłumaczyła sobie jego niezwykłą swadę.

Opowiedział, że tuż przed przerwą śniadaniową o dziewiątej pojechał na Spikgatan, gdzie firma miała biuro i magazyn, żeby coś zjeść i zarazem przynieść złączki i płytki potrzebne do pracy, którą wykonywał z Gunnarem Melinem. Opisał szczegółowo, jaki mieli problem z przeciekiem, który powstał koło budynku mieszkalnego w Gunsta. To była pilna robota, majster zadzwonił rano i powiedział, żeby nie jechał do Sztokholmu, tylko dołączył do Melina, który był już na miejscu z koparką. Na nieszczęście wykopali przewód elektryczny, który wprawdzie leżał poza systemem kabli, ale sam w sobie spowodował jeszcze więcej problemów.

Gunilla nie przerywała tej szczegółowej relacji, obawiając się tego, co usłyszy później. Dopóki mówił o kablach i koparce, mogła zachować spokój.

Zdaniem Bernta Bosse promieniał radością tamtego ranka. Nie było w nim nic ze zwykłego przygnębienia i zgorzknienia, czego Bernt tak bardzo nie lubił. Bosse podczas krótkiej jazdy przez cały czas mówił, trzeźwy i całkiem porządnie ubrany. Wyjaśnił, że musiał poszukać budki telefonicznej, bo zginęła mu komórka.

Bernt podwiózł go do samego barakowozu. Pod wpływem impulsu wysiadł z samochodu. Rozmawiali przez chwilę o dawnych dobrych czasach.

– Właściwie nic do niego nie miałem – tłumaczył. – Może o tym nie wiesz, ale kiedyś razem pracowaliśmy. Dobrze się wtedy z nim dogadywałem.

Gunilla był z dumiona. Bernt nigdy wcześniej nie mówił tak swobodnie o jej byłym mężu. Żaden z nich nie wspomniał też wcześniej, że byli kolegami z pracy. A może ta swoboda wynikała z tego, że Bosse nie stanowił już żadnego zagrożenia?

– Do kogo dzwonił z budki?

– Tego nie mówił, tylko tyle, że było to coś cholernie ważnego. Ale nim się rozstaliśmy, powiedział coś dziwnego. Coś o tym, że „teraz Ivan dostanie porządne baty”.

– Kim jest Ivan?

– Nie mam pojęcia. Dodał jeszcze, że „zarobi kupę kasy”.

– Nie powiedział nic więcej o Iwanie?

– Nie, nic prócz tego, że mu się oberwie. W rzeczy samej, jest jakiś Ivan, monter rur z Gamlis, z którym pracowałem dawno temu, i Bosse też go znał, ale teraz na pewno jest już na emeryturze. I jeszcze jest brukarz Ivan, który kiedyś pracował w BPA, ale...

– I potem pojechałeś?

– Potem pojechałem.

Patrzył jej prosto w oczy. Muszę mu wierzyć, pomyślała, on nie umie kłamać, nie może kłamać.

– Czuję się trochę nieprzyjemnie – ciągnął Bernt – to znaczy, Bosse był wesoly i w ogóle, ale ta gadka nie brzmiała najlepiej. I coś było na rzeczy. Umarł w kilka godzin później.

– Czemu nie powiedziałaś tego policji?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, nim odpowiedział:

– Co by pomyśleli? Co ty byś pomyślała?

– Ale teraz mówisz?

Skinął głową.

– Chcę, żebyś wiedziała, gdyby to kiedyś się wydało. To znaczy, jeśli ktoś nas widział.

Bernt wstał nagle od stołu. Zwykle po każdym posiłku od razu sprzątał ze stołu i wstawiał naczynia do zmywarki, ale teraz wyszedł z kuchni do pokoju. Gunilla słyszała, jak otwiera stary sekretarzyk. Po chwili wrócił z kopertą w ręce.

– Masz – powiedział, podając jej kopertę. – Jedziemy w podróż.

– W podróż?

– W sierpniu.

– Jedziemy w podróż? Dokąd?

Od kilku lat naciskała go, by pojechali gdzieś za granicę i proponowała mnóstwo miejsc, ale Bernt zawsze miał coś przeciw.

– Zielony Przylądek – odpowiedział.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Nie jeździ tam wielu turystów. Pomyślałem, że dobrze będzie uniknąć tłumów.

– Gdzie to jest?

– Na Atlantyku – odparł Bernt. – To wyspa.

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Jasne, że to wyspa, skoro leży na Atlantyku. Wariat z ciebie!

Skinął głową i uśmiechnął się po raz pierwszy od powrotu z pracy.

Gunilla wyjęła z koperty dokumenty z biura podróży: dwa tygodnie na Wyspach Zielonego Przylądka, wyjazd czwartego sierpnia. Wtedy zaczynał się jej urlop.

– Ale ty...

– Przesunąłem urlop – powiedział.

Siedziała i wertowała przez chwilę materiały, ale nie zrozumiała z nich właściwie nic prócz tego, że hotel nazywał się chyba Vista.

– Myślę, że będzie dobrze.

Odsunęła papiery na bok.

– Musisz powiedzieć policji, że spotkałeś Bossego.

– Pomyślą, że to ja.

Gunillę na moment uderzyła myśl, że może Bernt zabił jej męża. Patrzyła na kolorowy folder atlantyckiego archipelagu, przeczytała linijkę o festiwalu muzycznym na jednej z wysp, przeniosła spojrzenie na Bernta, który zaczął sprzątać po obiedzie. Byłby do tego zdolny. Czasami wpadał we wściekłość, wtedy wydawał się zupełnie odmieniony. Raz ją uderzył. Chciała wtedy odejść, ale błagał ją o wybaczenie i została.

Czy skłamał, mówiąc, że on i Bosse gawędzili przyjacielsko o dawnych czasach? Może się pokłócili? O nią, o pieniądze, które miała pożyczyć?

Nie śmiała o to spytać, bojąc się, że wywoła jego gniew.

– Musisz z nimi porozmawiać – powtórzyła.

Odwrócił się i popatrzył na nią, lecz nie odważyła się spojrzeć mu w oczy. W jednej ręce miał talerz, drugą trzymał się mocno krawędzi blatu.

Wtedy uderzył ją tutaj, w kuchni. Wpadł w szal z powodu czegoś, co dla niej było drobnostką. Koleżanka z pracy zadzwoniła niespodziewanie i spytała, czy mogą się spotkać. Bernt pracował po godzinach, więc pomyślała, że to dobry pomysł, bo rzadko gdzieś wychodziła. Napisała kartkę i położyła w kuchni na stole.

Poszły do Hijazz, zjadły coś i posłuchały zespołu grającego bluesa. Kiedy wróciła do domu, zastała Bernta wstawionego przy kuchennym stole. Sama piła wino i zachwiała się, kiedy podeszła do niego, by pocałować go w policzek. Oskarżył ją o zdradę i uderzył w twarz.

– Zielony Przylądek jest piękny – powiedział.

Gunilla nie chciała jechać na wyspy na Atlantyku. Chciała się pozbyć kielkującego uczucia, że coś jest nie tak, strząsnąć z siebie niepokój i lęk. Chciała sama przeżyć żałobę.

Po zabójstwie Bossego z początku czuła tylko żal i pustkę. Bosse był kiedyś jej wielką miłością, a teraz odszedł na zawsze.

Lęk pojawił się, kiedy tamtego wczesnego ranka zastała Bernta przy stole w kuchni. W jego zachowaniu było coś, czego nie rozumiała. A teraz to, że spotkał Bossego może na godzinę przed morderstwem. Czy jeszcze coś ukrywał? O czym tak naprawdę rozmawiali? Poczucie, że nie może ufać człowiekowi, z którym żyje, coraz bardziej ją męczyło.

I jeszcze ten Zielony Przylądek! Czy podróż była sposobem na uśpienie jej czujności, skierowanie myśli na coś innego?

**Ann Lindell czuła się**, jakby piątkowe załamanie wypłukało z jej organizmu sporo złogów. Czy to rozmowa z Sammym dała jej poczucie wewnętrznego oczyszczenia, czy wzięło się ono po prostu stąd, że od czterech dni nie piła?

– Mam cię gdzieś – mruknęła, lecz wiedziała, że nie jest to do końca szczere.

Tego poranka jej myśli krążyły wokół Andersa Branta i nie mogła się zdecydować, co powinna o tym myśleć. W jednej chwili czuła dojmującą radość, że wraca, by w następnej przypomnieć sobie wydarzenia ostatnich dwóch tygodni.

– Mamo!

Erik ciągnął ją za rękę. Słyszała z tonu jego głosu, że o coś ją pytał, lecz nie zarejestrowała o co. Przykucnęła i objęła go.

– Buzi – powiedziała.

Pokręcił głową z miną starego malutkiego, jakby chciał powiedzieć: „Daj spokój!” Cmoknął ją jednak szybko w policzek, po czym wyswobodził się z jej objęć i poszedł.

Ann zostawiła za sobą przedszkole, pełna energii do działania.

Wtorek z policyjnego punktu widzenia był przeciętnym dniem, z niewieloma zgłoszeniami i alarmami. Nawet liczba interesantów w recepcji znacznie spadła w drugi dzień tygodnia. Tak jakby łobuzerka musiała odpocząć.

Ann wiedziała jednak, że dla niej będzie to inny dzień. Sammy Nilsson miał spotkać Branta na Arlandzie, a ona w tym yczasie miała złamać mordercę.

Poprzedniego dnia wezwała go na przesłuchanie o dziesiątej. Nie okazał zdziwienia, tylko z trudem krył złość, że „cały dzień będzie zmarnowany”.

– Musimy tylko nagrać parę dodatkowych informacji – powiedziała, by go uspokoić, uśmiechnęła się do siebie i pomyślała, że chętnie przyczyni się do tego, by zmarnować dziesięć, piętnaście lat jego życia.

Policjantem, który powitał Håkana Malmberga w recepcji, był Allan Fredriksson.

– Gdzie ona jest, ta Lindell?

Allan porozmawiał przez chwilę z kolegą za kontuarem, jednocześnie wskazując palcem jakiś nieokreślony punkt w górze.

– Przepraszam – powiedział w końcu. – Ann Lindell jest na górze, prosila, bym po ciebie zszedł.

– Czego chcecie?

Fredriksson spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Rozwiązać sprawę morderstwa. Tylko tyle.

Fredriksson poszedł przodem, prowadząc Malmberga do pokoju przesłuchań, w którym czekała Ann. Wstała i przywitała się.

– Bądź uprzejmy zdjąć chustę i kurtkę – rzekła. – Inaczej się zgrzejesz.

Pokręcił głową, ale usłuchał i powiesił kurtkę na oparciu krzesła.

– Bandaną ja się zajmę – wtrącił Fredriksson, szybko ją przechwytyjąc.

– Ale dlaczego?

– Teraz posłuchaj, Malmberg!

Głos Ann przeciął pokój.

– Sądzymy, że za dużo powiedziałaś. Podczas wczorajszej rozmowy mówiłaś, że nie rozmawiałaś z Fredrikiem Johanssonem od jesieni. Czy nadal to podtrzymujesz?

– Tak, do cholery! Czemu miałbym z nim gadać?

– Skąd mam wiedzieć? Czy rozmawiałaś z rodzicami Klary Lovisy po jej zaginięciu?

– Nie, nawet ich nie znam.

– W ogóle z nikim nie rozmawiałaś od dnia jej znalezienia, zgadza się?

– Tak! Jak już mówiłem, byłem na urlopie.

Ann nie spuszczała z Malmberga wzroku.

– Dobrze się zastanów, masz jeszcze szansę zmienić zeznanie. Wiesz, że to nagrywamy?

– Ale o co chodzi?!

– Okej, z nikim nie rozmawiałaś – powtórzyła Ann. – Kiedy mówiliśmy o Fredriku Johanssonie, powiedziałaś, że jest gnojkiem, ale nie sądzisz, że byłby w stanie zabić Klarę Lovisę i pochować ciało. Czy nadal tak uważasz?

– Jasne – odrzekł Malmberg. – Musimy to wałkować dwa razy? I czemu nie wsadzicie jego, zamiast marnować mój czas?

– Więc powiedz, skąd wiedziałaś, że ciało Klary Lovisy zostało pochowane.

– Co?

– Chyba słyszałaś – rzekła spokojnym głosem.

– Wiedziałem... o co ci chodzi? Co? Jak...

Zmieszanie Håkana Malmberga było nagłe i zupełne.

Ann patrzyła na spocone czoło Malmberga i słuchała cierpliwie, jak wszystkiego się wypiera. Kiedy zrozumiał, że jego sytuacja nie wygląda dobrze, zażądał obecności adwokata. Ten przyszedł po godzinnej przerwie w przesłuchaniu i wyglądał na dość obojętnego. Ann odniosła wrażenie, że nie podoba mu się klient, lecz stara się ukryć antypatię za znudzoną miną.

Trzeci człowiek, pomyślała Ann. Czy to zadziała? Malmberg obstawał przy swojej wersji, że coś słyszał o tym, że Klara Lovisa została pochowana, ale nie pamiętał, kiedy i od kogo. Wiedziała, że to przejdzie w sądzie, nawet jeśli Malmberg upierał się z początku, że po znalezieniu ciała nie rozmawiał z nikim o morderstwie. Dawało się to wytłumaczyć tym, że czuł się pod presją.

– Masz kawasaki?

- Tak, a co?
- Nie znam się na motocyklach, ale ten nie wygląda zwyczajnie.
- W Szwecji jest ich tylko kilka.
- Łatwo rozpoznać – stwierdziła Ann.

Malmberg patrzył na nią, lecz się nie odzywał.

- Myślę, że w tym miejscu przerwiemy – rzekła.
- To jadę do domu!

Pokręciła głową.

- Nie, jeszcze trochę zostaniesz.
- O co chodziło z tym motocyklem?

Ann uśmiechnęła się.

- Chciałam go trochę zdenerwować.
- Nikt go nie widział w Skärfälten?

Pokręciła głową.

Allan Fredriksson generalnie nie wtrącał się do przesłuchania. Rzadko miał tak silne poczucie, że to sprawa Ann i do niej należy złamanie oporu Malmberga.

Malmberg trafił do aresztu, a jego bandana do wydziału technicznego. Wszystko zależało teraz od czerwonej nitki. Gdyby mogli stwierdzić, że nie znaleziona w domku w lesie pochodziła z chusty Malmberga, mieli podstawę do oskarżenia, w innym wypadku nie.

- Pospiesziliśmy się? – spytała samokrytycznie.

Fredriksson tak nie myślał.

- Nie było żadnej alternatywy, wszystko zostało przewalkowane.
- Żniwa przypadku – stwierdziła Ann.

Fredriksson skinął głową. Czuł się klapnięty i zmęczony, najchętniej położyłby nogi na biurku Ann, odchylił się na krześle i zamknął oczy.

– Sammy spotyka się dziś z dziennikarzem, który wraca z Brazylii – rzekł, głównie po to, żeby coś powiedzieć, może rozluźnić napięcie Ann, lecz jego słowa wywołały przeciwny efekt. Miała minę, jakby dał jej w twarz.

- Wiem! – syknęła.

– Wyluzuj, nie możesz nic zrobić, dopóki technicy się nie wypowiedzą. Jeśli nie będzie pasować, to świetnie, jeśli nie, trzeba będzie zacząć od nowa.

- Od nowa – wymamrotała Ann.

**Nie było wątpliwości**, że Anders Brant jest najbardziej interesującym pasażerem lotu z Madrytu do Sztokholmu. Miał obandażowaną głowę. Poza tym podpierał się laską. Bóle nogi i biodra, które z początku zbytnio mu nie dokuczały, teraz się nasiliły. Cała prawa strona od biodra w dół była w zasadzie jednym wielkim bólem. Mimo zapewnień lekarzy, że wszystko wróci do normy, niepokoił się o swoją sprawność ruchową w przyszłości.

Stopniowo docierało do niego, jakie mimo wszystko miał niesamowite szczęście. Był obolały i miał pozszywane ucho, ale żył.

Odcinek Salvador–Madryt przespał. Przed odlotem wziął dwie tabletki przeciwbólowe, które dostał w szpitalu, a potem w samolocie wypił koniak. Efekt był szybki i powalający. Stewardesa musiała go obudzić przy lądowaniu. Śniła mu się Vanessa: burzliwe kłótnie, pełne krzyku, płaczu i nienawiści.

Brant snuł się po lotnisku w Madrycie tak pochłonięty swoimi przeżyciami ze snu, że było mu niedobrze. Był jednak dość przytomny, by znaleźć właściwą bramkę, i od razu usiadł na niewygodnym plastikowym krześle. Pocił się obficie. Bolała go głowa, a ból biodra stał się jeszcze bardziej dotkliwy, gdy przestały działać tabletki.

To moja kara, powtarzał swoją mantrę ze szpitalnego łóżka. Było oczywiste, że powinien zostać ukarany. Zdradził nie tylko Vanessę, ale i swoje przekonania. Epizod z Monicą w obskurnym pokoju hotelowym zadał cios całemu jego obrazowi świata. Pozbawił ją części jej ludzkiej wartości, okazał się typowym klientem prostytutki.

Czując mdłości, odchylił głowę i przełknął ślinę. Oddychał głęboko, próbował się skupić na szczegółach wystroju lotniska, małej rysie w brudnym oknie panoramicznym, automacie z zimnymi napojami i na poszczególnych pasażerach, którzy przechodzili koło niego.

– Wybacz mi – wymamrotał, nienawidząc siebie jeszcze bardziej za te żalose słowa. Jak mogłaby mu wybaczyć? Idiota, pomyślał.

Wstał, lecz natychmiast usiadł z powrotem, bo zakręciło mu się w głowie i dopadł go strach, że może sobie teraz nie poradzi. Czy w ogóle będzie w stanie napisać obiecanie artykuły o Brazylii? Czy kiedykolwiek jeszcze będzie mógł pisać o...?

– Przestań – mruknął do siebie.

Czy potrafi spojrzeć Ann w oczy i wyjaśnić jej, co się stało? A może byłoby lepiej, gdyby zamiast żalose tłumaczeń ją też zostawił?

Muszę zacząć od nowa, pomyślał, próbując logicznie ułożyć początek powrotu do normalności i dnia codziennego, do człowieka, którym był wcześniej.



Po chwili ogarnął go lęk, że siedzi w złym miejscu, przy złej bramce, a może nawet na złym terminalu.

Wpatrywał się w tablicę, lecz Sztokholm jeszcze się na niej nie pojawił. Do odlotu zostały niecałe dwie godziny. Może coś się zmieniło? Siedział bezradny, patrząc głupkowato przed siebie, przypomniał sobie o mężczyźnie, który przez całe lata mieszkał na lotnisku. Wydało mu się to nawet atrakcyjną opcją: bujać się, wegetować bez celu i sensu w hali odlotów.

Zamknął oczy i zakolysał ciałem – lekkim, hipnotycznym ruchem, jak to robił wcześniej, by się wyzerować i odzyskać kontrolę nad myślami.

Kiedy otworzył oczy, stał przed nim niski, chudy mężczyzna. Jego pomarszczona twarz wyrażała nieskrywaną ciekawość.

– Ledwo cię poznałem – powiedział – ale ty chyba jesteś Anders.

Anders Brant go nie poznawał, lecz coś w jego głosie brzmiało znajomo, cierpki ton, który przywołał w jego pamięci nieskończenie długie niedzielne obiady z dzieciństwa.

– A ty kim jesteś?

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Nie poznajesz mnie?

Brant wziął głęboki wdech.

– Oberwałeś?

Brant poczuł narastającą złość.

– Może straciłeś pamięć?

Mężczyzna parsknął suchym śmiechem i rozejrzał się dokoła, jakby szukając publiczności.

– Idź do diabła, ty cholerna gnido – rzucił Brant.

Mężczyzna drgnął.

– Ty ciekawski mały gnojku – ciągnął Brant.

To nie zdumiona twarz mężczyzny sprawiła, że wybuchnął głośnym, niepohamowanym śmiechem, lecz raczej ulga, że może powiedzieć coś po szwedzku, a przede wszystkim kogoś zwyzywać.

Wstał z krzesła, wziął laskę i torbę z laptopem i pokuśtykał przed siebie.

– Myślisz, że jesteś taki ważny, co?! – krzyknął za nim mężczyzna.

Brant podniósł laskę, nie odwracając się.

– A piesz same kłamstwa!

Brant przystanął i obejrzał się przez ramię. Mężczyzna gestykulował i wykrzykiwał jakieś słowa, lecz Brant nie zwracał na nie uwagi, tak jakby zostawiał coś za sobą w miejscu, które opuszczał.

– Kłamstwa! – wrzasnął znów mężczyzna.

Brant pokiwał głową i poszedł dalej. Musiał iść do toalety.

– Nieźle oberwałeś – stwierdził Sammy Nilsson, kiedy Brant opowiedział o

wypadku. – Boli cię jeszcze głowa?

Przywitał dziennikarza w hali przylotów, przedstawił się i wyjaśnił, że policja w Uppsali ma do niego parę pytań. Jeśli najpierw wypiję kawę, odparł Brant i usiedli przy stoliku.

Brant nie odpowiedział, tylko patrzył niewidzącym wzrokiem na ludzi, którzy przepływali obok strumieniem. Nie był właściwie zdziwiony, że czekała na niego policja, ale zbyt zmęczony, by odpowiadać na pytania, a tym bardziej myśleć.

– Dużo się wydarzyło...

– Wiem – przerwał Brant – ale nie rozumiem, co ja mam z tym wspólnego.

– Bosse Gränsberg – rzekł Sammy. – Spotkałeś go na dzień przed jego śmiercią i myślę, że wiesz, dlaczego został zamordowany.

– Co mówi Ann?

– O czym?

Brant pokręcił głową.

– Spotkałem się z Bossem, by zrobić z nim wywiad, to wszystko.

Opowiedział, jak on i Bo Gränsberg spotkali się przypadkiem i zamienili parę słów o dawnych czasach, o bandy i tak dalej, ale zaraz potem przeszli do sytuacji bezdomnych w Uppsali.

– Piszę książkę o bezdomności na świecie i Bosse był moim źródłem informacji, po prostu.

– Czy domyślasz się motywu morderstwa? Czy Gränsberg mówił, że czuje się zagrożony?

– Nie, jedyne, co przychodzi mi na myśl, to rosyjskie papiery, jak Bosse to nazywał.

– Rosyjskie papiery?

– Twierdził, że jest w posiadaniu cennych dokumentów o Rosji.

– Mów!

– Nie wiem dużo, był dość tajemniczy. Próbował mi sprzedać te dokumenty.

– Sprzedać? Co miałbyś z nimi zrobić?

– Jestem dziennikarzem.

– I co odpowiedziałeś?

– Że dziękuję, nie.

Sammy patrzył na niego z miną wyrażającą zamyślenie. Brant chciał jak najszybciej jechać do domu, ból głowy powrócił ze zdwojoną siłą, ale wiedział, że jest więcej pytań.

To Sammy Nilsson niespodziewanie wstał z krzesła.

– Podwożę cię do domu – powiedział. – Nie masz więcej bagażu?

– Domyślam się, że wiesz, gdzie mieszkam.

– Wiem, jak mieszkasz – odparł Sammy i ruszył do samochodu.

Minęła dłuższa chwila, nim Brant zrozumiał, co miał na myśli, i przyspieszył kroku, by zrównać się z policjantem, który już był przy wyjściu.

– Co to znaczy? Byliście w moim mieszkaniu?

Sammy skinął głową, nie zwalniając kroku.

– Wyjaśnię ci to – rzekł, wskazując na czarne bmw zaparkowane w miejscu przeznaczonym dla taksówek.

– Do cholery, to włamanie!

Sammy zatrzymał się.

– Słuchaj – rzucił ostro – gdybyś porozmawiał z Ann, powiedział jej prawdę, nie byłoby to konieczne. Więc się zamknij. Podwieźć cię czy nie?

Mierzyli się wzrokiem przez kilka sekund.

– Nie, dziękuję – odrzekł w końcu Brant. – Wezmę taksówkę.

Zobaczył wahanie na twarzy policjanta.

– Wtedy i tak będę musiał po ciebie przyjechać.

– Niezły typ z ciebie – mruknął Brant. – Najpierw pogaduszki przy kawie, potem środki przymusu.

– Byłeś podejrzany o udział w morderstwie.

– A teraz?

– Zamknij się, do cholery!

Anders Brant uśmiechnął się po raz pierwszy od kilku dni, kiedy rodzina Assisów odwiedziła go w szpitalu. Otworzył drzwi bmw, wrzucił do środka torbę i sam usiadł na tylnym siedzeniu.

Sammy Nilsson przerwał milczenie dopiero przy wyjeździe do Knivsta.

– Grałeś z Gränsbergiem w bandy, prawda?

– Czemu pytasz o to, co wiesz?

– I z Jeremiasem Kumlinem. On też nie żyje, został zabity w swoim garażu.

Wiedziałaś o tym?

– Co ty gadasz?

Brant pochylił się do przodu, Sammy odwrócił głowę i ich spojrzenia na moment się spotkały.

Sammy streścił krótko, jak znaleźli Kumlina z rozbitą głową w garażu.

– Co tu się, do diabła, dzieje!?! – wykrzyknął Brant.

– Też się nad tym zastanawiamy. Co robiłeś w mieszkaniu Ingegerd Melander?

– Kto to jest?

– Znaleźliśmy twoje odciski palców w jej toalecie.

– To ta dziewczyna Bossego?

Sammy Nilsson skinął głową i rzucił mu szybkie spojrzenie we wstecznym lusterku.

– Byłem u niej, ale nie pamiętałem, jak się nazywała. Bosse mnie tam zabrał.

Mieliśmy pogadać, chciałem to nagrać, Bossego i paru innych z jego paczki. Możesz posłuchać, jeśli chcesz.

– Okej – zgodził się Sammy. – Opowiedz o tych dokumentach, które Bosse chciał ci sprzedać.

– Już mówiłem, że nie wiem, co w nich było. Bosse był dość zdesperowany i myślał, że znalazł żyłę złota, ale trudno było mi w to uwierzyć. Ani mi się śniło wywalać pięćdziesiąt tysięcy na coś, czego nawet nie widziałem. Poza tym nie mam tyle pieniędzy. I nie kupuję informacji, co mu wyjaśniłem.

– Nie pokazał próbki?

– Nie, tylko machał plikiem papierów. To była trochę chaotyczna rozmowa. Chciał założyć firmę i potrzebował pieniędzy.

– O tym wiemy – odrzekł Sammy. – Skąd miał te dokumenty?

– Nie mam pojęcia.

– Nigdy nie wspomniał Jeremiasa Kumlina?

– Nie.

Sammy przestał zadawać pytania. Wyjechali na równinę na południe od Uppsali i ukazał im się w dali kontur miasta, z katedrą, zamkiem i kominem elektrociepłowni jako najbardziej charakterystycznymi punktami.

Kiedy Brant zobaczył dzielnicę przemysłową na południowych peryferiach miasta, przypomniał mu się Bosse Gränsberg, jego rozpacz i wybuch płaczu tam w barakowozie. Zawiodłem go, pomyślał, ale szybko odpędził wyrzuty sumienia. Nie mógł postąpić inaczej. A może?

– Jak się czujesz? – Policjant przerwał jego myśli.

– Znośnie.

Opowiedział bardziej szczegółowo o wypadku i nie mógł się powstrzymać, by nie wspomnieć o tym, że odwiedził areszt w Salvadorze i o swoich wrażeniach.

– Co tam robiłeś?

– Składałem fałszywe zeznanie – odparł Anders Brant.

Zobaczył w lusterku krzywy uśmiech policjanta i pomyślał, że coraz bardziej go lubi.

– Zawiozę cię do domu, dobrze? Poczekam, aż zostawisz bagaż, a potem pojedziemy do komendy, żeby nagrać to wszystko na taśmę. Może chcesz się przedtem umyć?

– Tylko nie komenda – zaproponował Brant.

– Nie chcesz się spotkać z Ann?

Brant nie odpowiedział. Nie uważał, że to sprawa tamtego. Historia jego i Ann była ich prywatną sprawą, lecz zarazem był ciekaw, co ona powiedziała.

– To dobra kobieta – rzekł w końcu.

– Więc tak ją traktuj – odrzekł Sammy.

– Co masz na myśli?

– Na pewno sam wiesz.

Brant miał wrażenie, że bierze udział w słownych zapasach, wymianie zdań, której nie chciał, na którą nie był przygotowany. Co wiedział o Sammym Nilssonie? Nic. I niezależnie od tego, chciał wrócić do domu, położyć się do łóżka i zasnąć.

– Jestem wykończony – powiedział. – Czy możemy porozmawiać jutro?

– Musimy dzisiaj – uciął Sammy.

**Johnny Andersson nalał nową szklanke**, ostatnią. Płakał. Alkohol zawsze go rozklejał, ale były też inne powody. Może stare pamiątki, zakurzone, lecz poza tym nietknięte zębem czasu, wywołały to pijackie wzruszenie. Wazon z napisem „Pamiątka z Leksand” był tu chyba od zawsze? Johnny oddał się wspomnieniom, jak to rodzice w latach pięćdziesiątych objechali na rowerach jezioro Siljan. Jak wpadli na pomysł, by pedałowac taki cholerny kawał drogi? I czemu przywlekli ze sobą do domu wazon? Ale tak wtedy było, pomyślał z mieszanymi uczuciami zazdrości i pogardy.

Cały domek był jak muzeum nostalgii i Johnny chętnie przeniósł się myślami do czasów dzieciństwa. Załkał nad utraconymi zapachami, wspomnieniami i możliwościami.

To wszystko, co mam, pomyślał, i o nic z tego nie postarałem się sam. Odwrócił się, pogłaskał czułym gestem kwiecistą tapetę i zwałił się na łóżko.

– Gdybym tylko mógł zasnąć – wymamrotał, ale wiedział, że na to jest zbyt trzeźwy. Alkohol definitywnie się skończył, a wraz z nim szansa, by oszukać ciało.

Mieszkał w domku na działce od trzech dni. Nie wolno było mu tu nocować, lecz zakładał, że nikt w ogóle nie zauważył jego obecności. Nie wychodził na zewnątrz i nie robił żadnego hałasu, nawet nie włączał radia. Dostał wypowiedzenie, bo od kilku lat nie uiszczał spółdzielni rocznej opłaty. Nie podjęli przeciw niemu żadnych kroków tylko dlatego, że jego rodzice należeli do pierwszych działkowiczów, a ojciec był przez wiele lat prezesem spółdzielni. Wiedział, że zostanie wyrzucony zaraz po śmierci matki.

Stara Nordlander, która miała domek po drugiej stronie wąskiej uliczki, przez kilka dni pracowała na swoim polu i wieczorami wracała rowerem do domu. Ale nawet gdyby go zobaczyła, nie odważyłaby się puścić pary z ust. Zawsze się go bała.

Żywił się chlebem, kiełbasą i purée ziemniaczanym. Teraz jednak zapasy zaczynały się kończyć i, co gorsza, wypił już całe piwo i butelkę wódki, którą wziął ze sobą.

Kiedyś zawsze było tu w zapasie jakieś wino albo parę butelek mocnego piwa, w czasie, gdy siadywał pod jabłonią i patrzył na rabatki swojej mamy, często z piwem w ręku. Czasem miał zryw i jej pomagał, piłował jakąś gałąź albo przekopywał grządkę. Nic wielkiego, ale staruszka zawsze była mu wdzięczna, choćby za towarzystwo.

Domek na działce był miejscem schronienia. Nigdy nie zabierał tu swoich kompanów od kieliszka, ani nawet im o nim nie mówił. To był teren jego i matki, gdzie mogli podtrzymywać iluzje życia pracowitych działkowiczów. On miał

zastąpić ojca, który zmarł na początku lat osiemdziesiątych. Matka najwidoczniej uważała, że kilka piw jest niewygórowaną ceną za jego pomoc i towarzystwo, bo zapas w schowku pod kuchenną podłogą był zawsze uzupełniany na bieżąco.

Teraz musiał stąd iść. Wyjrzał przez okno i przygnębił go widok zapuszczonych grządek. Wiosną próbował je wypielić przynajmniej z najgorszych chwastów, ale miał wrażenie, że to jeszcze pobudziło perz i osety do szybszego wzrostu, bo prawie całkowicie zagłuszyły inne rośliny. Wyzierały spomiędzy nich tylko intensywnie czerwone maki.

Nie wiedział, która jest godzina, jego zegarek stanął, a telefon był wyłączony, lecz domyślał się, że dość wczesna.

Rozejrzał się po domku. Uderzyło go, że może jest tu ostatni raz. Mógłby tu mieszkać, pomyślał, nie potrzebując niczego większego.

Zatrzasnął drzwi, nie zamykając ich na klucz. Stał przez chwilę nieruchomo na ganku i wciągał w płuca świeże poranne powietrze.

– Tu mógłbym mieszkać – powtórzył głośno.

Nie czuł gniewu, tylko wielkie zmęczenie. Mogli pociągnąć to razem, ale Bosse zawsze był uparty.

Usłyszał rower, nim zobaczył Nordlander, lecz nawet nie próbował się ukryć.

Otworzyła furtkę do swojej działki, wprowadziła rower i odwróciła się, jakby podświadomie zarejestrowała jego obecność.

Ku jego zdziwieniu uśmiechnęła się. Odstawiła rower, wróciła i stanęła przy furtce.

– Ranny ptaszek – stwierdziła, a Johnny potwierdził to skinieniem głowy.

– Piłeś już kawę?

Pokręcił głową.

– To wstawię wodę, a ty przyjdź za dziesięć minut. Zrobię też parę kanapek.

Dostała udaru czy co? – pomyślał Johnny. Oczywiście pił u niej często kawę, lecz zawsze w towarzystwie matki, a ostatni raz było to co najmniej pięć lat temu.

Nie odpowiedział, ale uznał, że kawa z kanapkami to na pewno dobry pomysł.

– Przyjdiesz za chwilę?

Skinął głową. Sąsiadka znów się uśmiechnęła, odwróciła i weszła do domu. On usiadł na ławce pod jabłonią. Kawa i kanapki. Pamiętał jej kanapki z jajkami i sardelą, ale nie chciał sobie robić zbyt wielkich nadziei.

Zobaczył za firanką Annę Nordlander, krzątającą się po kuchni. Była emerytowaną nauczycielką i było to po niej widać, prawie zawsze miała ten łagodny, wyrozumiały wyraz twarzy, który kojarzył z latami spędzonymi w szkole w Tunabergu. Nauczyciele się poddawali, zanim w ogóle spróbował.

Oparł się o jabłoń i rozkoszował pogodą. Po nocnych przymrozkach na

początku miesiąca teraz z każdym dniem było coraz cieplej. Cholera, że też nie mogę tu mieszkać, pomyślał. Siedziałbym tak co rano, czuł pod plecami chropowatą korę, cieszył się życiem.

Frustrujące było mieć dostęp do domku i nie mieć gdzie mieszkać. Pomyślał, że pogada ze starą Nordlander, jedyną osobą w pobliżu, która mogłaby mieć zastrzeżenia do tego, że mieszka w domku na działce latem. Może da się przekonać. Mógłby jej nawet pomagać przy różnych pracach.

Wstał z ławki, pewny, że minęło co najmniej dziesięć minut. Wyszedł na drogę, przeciął ją i wszedł na ganek sąsiadki. Przez cienkie drzwi usłyszał jej głos. Mówiła do siebie? Ostrożnie uchylił drzwi.

– Pospiesz się – usłyszał i domyślił się, że rozmawia przez telefon.

– Ralf, słyszysz, co mówię? On może sobie stąd pójść – powiedziała swoim belferskim głosem.

Wtedy zrozumiał. Rozmawiała z synem, tym cholernym gliną. Ralf na pewno jej wygadał, że Johnny’ego poszukuje policja.

Ralf, z którym bawił się razem na działkach i chodził przez sześć lat do tej samej klasy. Po tej akcji zostanie bohaterem.

Starucha nasłala na niego policję! Zaproszenie na kawę było tylko pretekstem, by go tutaj zatrzymać.

Johnny Andersson wpadł w szal. Zdarzało mu się to ostatnio coraz częściej.

Otworzył drzwi na oścież i wpadł do środka.

– Ty pieprzona wiedźmo! „Piłeś już kawę”, co? Ty stara szkolna kurwo!

Anna Nordlander chwyciła z blatu nóż i trzymała przed sobą oburącz. Na blacie stała tarta.

Patrzył na jej drżące dłonie trzymające ząbkowany nóż.

– Aha, chcesz mnie pociąć?

Chwycił krzesło i podniósł. Przez chwilę zobaczył oczami duszy swoją matkę i Nordlander, siedzące w kuchni i łuskające groch, wspomnienie z dzieciństwa. Może trzydzieści pięć lat temu. On i Ralf wpadali do kuchni, zdyszani i spragnieni, a ona nalewała im rabarbarowego soku z dzbanka.

Postawił krzesło.

– Wynoś się z mojego domu!

Znów podniósł krzesło i zamachnął się w jej stronę. Noga krzesła trafiła ją w lewą skroń i Anna Nordlander upadła na okno. Zrzuciła parę doniczek, daremnie próbując utrzymać równowagę, i osunęła się pod ścianę.

Johnny wiedział już, że pozostaje mu ucieczka – z kuchni Nordlander, od wspomnień, od Ralfa z dzieciństwa, od domku na działce, jedyne stałego punktu w jego życiu.

Wziął tartę i ugryzł kawałek. Kobieta skomlała u jego nóg. Wezbrała w nim nienawiść, ta nienawiść, którą właściwie nie wiedział, gdzie skierować. Schylił się i



podniósł nóż z podłogi.

– Chciałaś go wbić we mnie – powiedział.

Anna Nordlander dźwignęła się do pozycji pólśiedzącej. Miała mętny wzrok, a z jej skroni sączyła się krew. Pokręciła głową. Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Johnny chciał słyszeć jej głos, słuchać jej kłamstw i wykretów, tylko po to, by mieć ujście dla swojego gniewu. Chciał słyszeć, jak powtarza kłamstwa tym swoim głosem nauczycielki. Chciał, by się przed nim czołgała, błagała go – ona, która zawsze miała władzę. Wtedy mógłby na nią krzyczeć, pluć i kopać, ale nie potrafił zaatakować oniemiałej starej kobiety, która z półprzytomnym wzrokiem i drżącymi rękami leżała u jego stóp.

Rzucił w nią tartą i opuścił jej dom z nożem w ręce.

**To była długa rozmowa**, która coraz bardziej przybierała formę monologu. Sammy Nilsson nie musiał zadawać wielu pytań. Anders Brant już po kilku minutach poczuł narastające zadowolenie, że może opowiedzieć o Bossem Gränsbergu i o tym, co się wydarzyło w ostatnich miesiącach.

Poczuł jakby przyływ optymizmu. Rozmawiał z człowiekiem, wprawdzie policjantem, który potrafił dodać dwa do dwóch bez szczegółowych wyjaśnień. Brant wspominał czas w Siriusie z uczuciem radości, a nawet dumy. Był niezłym graczem, zawodnikiem drużyny.

Brazylia i Salvador odpłynęły. Jego mózg w ostatnim czasie pracował na wysokich obrotach, sromotna ucieczka od Vanessy, mail od Ann, zabójstwo na jego ulicy, wizyta w areszcie i wypadek, to wszystko wytworzyło napięcie, które teraz opadało, kiedy mówił o czymś tak banalnym jak bandy. Tam nie było kłamstw ani zdrady, ani żadnych komplikacji osobistych czy politycznych. Przeżywał to jak radość ponownego spotkania, jakby on i Sammy byli dwoma kumplami z drużyny, którzy niespodziewanie na siebie wpadli i teraz wymieniają się wspomnieniami.

Brant sądził, że ta ulga może mieć coś wspólnego z Ann, choć w tej kwestii nie miał podstaw do optymizmu. Sammy napomknął, że była smutna. To na pewno będzie trudna przeprawa. Domyślił się, że dowiedziała się w jakiś sposób o istnieniu Vanessy i jego podwójnej grze. Oczywiście była wściekła. Na pewno mu się oberwie. Także w postawie Sammy'ego było coś, co odbierało mu pewność siebie, jakby nie miało już znaczenia, co on, Anders Brant, powie lub zrobi. Czy Ann się nim zmęczyła i porzuciła na dobre myśl o związku?

Ale niech tak będzie, niech wałą się na niego mury. Nie zasłużył na nic innego. A może to on wcale nie chce się z nią spotkać? Czy miał wybór tylko między Vanessą a Ann? Głina, pomyślał, jaką by to miało przyszłość?

– Czy ona tutaj jest? – zapytał nagle.

Sammy skinął głową.

– Przesłuchuje podejrzanego o morderstwo i gwałt.

– Miłe – mruknął Brant.

Podczas tych intensywnych wspólnych tygodni nie myślał właściwie dużo o jej pracy. Próbował ją sobie wyobrazić siedzącą naprzeciw bandziora, lecz obraz Ann, którą poznał, nie pasował do morderstwa i gwałtu.

– Jest policjantką – powiedział, jakby dopiero teraz to do niego dotarło, a Sammy Nilsson parsknął śmiechem.

– Dobrą policjantką – stwierdził. – Z całym szacunkiem dla bandy, wróćmy do Gränsberga. Co twoim zdaniem miał wspólnego z Jeremiasem Kumlinem?

– Nic – odpowiedział z miejsca Brant.

– Czy te rosyjskie papiery mogły pochodzić od Kumlina? Wiesz, że pracował przy ropy i gazie?

– Nie miałem pojęcia – odrzekł Brant, choć pamiętał jak przez mgłę artykuł o dawnym koledze z drużyny, który odniósł sukces na rynku wschodnim.

Coraz mocniej bolała go głowa. Lekarz w szpitalu w Salvadorze kazał mu się oszczędzać. Uderzenie spowodowało silne wstrząśnienie mózgu i drobne wewnętrzne wylewy. Powinien leżeć w domu, we własnym łóżku i lizać rany.

– Rozumiem, że kiepsko się czujesz, ale jeszcze tylko parę pytań – rzekł Sammy. – Czy znasz Johnny’ego Anderssona, kumpla Gränsberga?

– Rozmawiałem z nim na tydzień przed wyjazdem do Brazylii. Był zabawny na swój sposób, starał się dobrze wypaść i było to nawet trochę wzruszające. Przyszedł do mnie do domu po kilku dniach.

– Czego chciał?

– Nie mam pojęcia. Wychodziłem i trochę się spieszyłem, więc powiedziałem mu, żeby przyszedł kiedy indziej. Ale, szczerze mówiąc, nie zależało mi specjalnie na tym, żeby do mnie przychodził.

– Skąd zdobył adres?

– Jestem w książce telefonicznej.

Sammy uśmiechnął się.

– Wiesz, że Johnny był następcą Gränsberga jako kochanek lub partner Melander?

Brant pokręcił głową.

Sammy opowiedział mu, jak znaleźli Ingegerd Melander martwą na schodach i teraz szukają Johnny’ego Anderssona.

– Byliście na działkach w Tuna? Ma tam domek.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Sammy’ego i natychmiast ją odebrał. Brant słyszał czyjś podniecony głos. Sammy trzymał telefon w pewnej odległości od ucha.

– Może na działkach w Tuna? – zapytał z łobuzerskim uśmiechem, posyłając Brantowi rozbawione spojrzenie.

### **Czy kiedyś było lepiej?**

Nikt nie odpowiedział na pytanie Ann Lindell. Nawet tego nie oczekiwała, bo siedziała sama w pokoju.

Pracowała w uppsalskiej policji od piętnastu lat, a może dłużej? Nie miała siły teraz tego liczyć. To nie był wyjątkowo długi okres, miała kolegę z czterdziestoletnim stażem, ale wystarczający, by mogła odpowiedzieć na to pytanie.

Doszła do wniosku, że kiedyś było lepiej. Przynajmniej w jej wydziale, przynajmniej jeśli chodzi o nią, przynajmniej według jej szybkiej i bardzo subiektywnej analizy.

Ona sama była kiedyś lepsza – czy to oznacza, że teraz jest gorsza? Uśmiechnęła się. Zgoda, jest starsza, cięższa, bardziej pomarszczona, może bardziej cyniczna, nie tak ciekawa, ale nie gorsza jako policjantka. Nie chciała tak myśleć, nie chciała nawet się nad tym dłużej zastanawiać. Czy jej koledzy są gorsi? W przypadku kilku bez wahania odpowiedziała twierdząco. Riis zdecydowanie, może także Allan, głównie dlatego, że bardziej niż inni okazywał takie przygnębiające znużenie. Ottosson? Haver na wszystkich warczał. Beatrice? Tak, zdecydowanie cięższa, pomyślała Ann z cieniem uśmiechu. Sammy?

Większość przeszła po prostu te same etapy rozwoju co ona, stali się ciężsi, bardziej pomarszczeni, bardziej doświadczeni, indywidualnie może bardziej skuteczni, lecz gorsi jako całość.

Coś w wydziale zabójstw jej nie pasowało. Trudno było wskazać to palcem. Wskaźnik wykrywalności nie zmienił się znacząco w ciągu tych lat, i to mimo zwiększonego nakładu pracy, nie w pełni kompensowanego zwiększonym zatrudnieniem. Innymi słowy, produktywność wzrosła, ale zgrzytało coś innego.

Znikła radość, stwierdziła. Coraz rzadziej błyszczała w oczach kolegów. Tak jakby wszyscy byli nosicielami wirusa przygnębienia. Szemrali, stwierdziła. Ona sama nie była wyjątkiem, przeciwnie, jej własne szemranie drastycznie się wzmogło w ostatnich latach, jak gdyby nigdy nie była naprawdę zadowolona ani ze swojego wkładu pracy, ani z kolegów. Albo raczej zrzędzili na obojętne otoczenie, polityków, Główny Zarząd Policji, komendanta okręgowego, związek zawodowy, media, społeczeństwo, młodzież, imigrantów, pracowników socjalnych, więziennictwo, prokuratorów, opiekę zdrowotną. Każdemu się dostało. Krytyka rzadko wypowiedana i rzeczowo formułowana, najczęściej tylko mamrotana pod nosem.

Przez cały ranek i przedpołudnie myślała o słowach Sammy'ego Nilssona o tym, że prawdziwe historie zniszczyłyby grę pozorów i obnażyły obietnice bez

pokrycia składane przez polityków. We wcześniejszej dyskusji, jednej z tych rzadkich w ostatnim czasie, znaczących rozmów przy kawie, twierdził, że wszyscy wiedzą, co jest źle, że istnieją proste, zdroworozsądkowe rozwiązania większości problemów. Eskil Ryde zaprotestował, mówiąc, że Sammy chciałby tylko marnować pieniądze podatników. Technik miał na myśli to, że najbardziej podstawową siłą napędową człowieka jest egoizm, właściwość uwarunkowana zresztą genetycznie. Innymi słowy, nie ma wiele więcej do roboty niż próbować naprawiać, prostować i zamykać największych idiotów. Człowiek jest niedoskonały, więc po co śnić o raj? To tylko męczy.

– Klara Lovisa – powiedziała cicho.

Jej imię stało się zaklęciem. Nie rozumiała dlaczego, ale wiedziała, że prawdziwa historia o dziewczynie, która została zgwałcona, a następnie uduszona, nigdy nie będzie mogła zostać opowiedziana. Albo raczej było więcej historii, które się ze sobą łączyły i na siebie nakładały.

Ann była przekonana o winie Håkana Malmberga. W całej jego potężnej postaci było coś bezradnego. Podczas ostatniego przesłuchania dostrzegła to w jego oczach. Może chciał opowiedzieć, co się wydarzyło?

Ocena, czy nitka znaleziona w domku pasuje do bandany Malmberga, przeciągała się. Nie była to całkiem prosta analiza, a prokurator Molin wyjaśnił, że przy wszczeniu oskarżenia nie może być co do tego najmniejszych wątpliwości.

Aby przełamać swoją bierność, Ann postanowiła odwiedzić Malmberga w areszcie. Może to otoczenie, które na razie musiał uznać za „swoje”, ułatwi jej dotarcie do niego.

Ottosson zawołał ją, kiedy mijala jego pokój. Siedział za biurkiem, odchylony do tyłu i z dłońmi splecionymi na karku. Rozpiął mu się jeden guzik koszuli i przez otwór prześwitywała biała skóra. Wyglądał na nadzwyczaj zadowolonego.

– SKL potraktuje nic priorytetowo – oznajmił. – Wciąż myślisz, że to właściwy facet?

Ann skinęła głową.

– Fredriksson znalazł łopatę – dodał Ottosson. – Malmberg ma taką składaną, do pracy w ziemi, w bagażniku motocykla. Ryde dokładnie się jej przyjrzy.

– Tak, słyszałam.

Ottosson oparł ręce na biurku i popatrzył na nią.

– Sammy odebrał dzisiaj tego dziennikarza.

Może on tu jest, pomyślała.

– Muszę iść – powiedziała głośno.

– A jak leci?

– Dobrze – odparła. – Zajrzę teraz do Malmberga.

W windzie wzięła głęboki wdech i wydech. Brant, jasne! Niech zgnije w piekle!

**Zdumiewające, że dziura w płocie nadal tam była**, może dzięki temu, że zasłaniały ją krzaki. On i Ralf używali jej, kiedy chcieli iść nad rzekę Fyris, czego nie było im wolno. W ciepłe dni rozbierali się i pluskali w wodzie, płynęli pod prąd, a potem pozwalali, by znosił ich z powrotem.

Johnny Andersson stał na brzegu rzeki. Minęło pewnie trzydzieści lat, odkąd ostatnio tu był, lecz wszystko wydawało mu się takie znajome i bliskie. Na minutę powrócił do wspomnień i zabaw dzieciństwa. Zdarzeniem, które w takich chwilach wypływało mu z pamięci, było wspomnienie ojca, który przychodził na działkę, by kopać w ziemi albo dłubać przy stolarce, i raz wymknął się z nim przez dziurę w płocie. Johnny nie pamiętał, co robili, tylko obraz ojca, który stał na brzegu i rozglądał się, jakby się zastanawiał, czy nie uciec od tego wszystkiego.

Z drugiego brzegu dobiegło gniewne szczekanie psa. Johnny rozejrzał się. Nie miał planu, ale wiedział, że Ralf i jego ludzie zaraz się wyroją na działkach. Zrobił parę kroków w gęstwinie, odwrócił się i zaczął iść na południe, w stronę miasta.

Po kilkunastu metrach natknął się na łódkę, starą, rozeschniętą, z płaskim dnem, ukrytą częściowo w wodorostach. Była przywiązana do pnia olchy sfatygowaną liną. Żadnego zamka, tylko węzeł. Rozwiązał go i zepchnął krypę na wodę. Unosiła się, ale jak długo? Nie było wiosła, więc wrzucił do niej leżącą na brzegu krzywą gałąź i zszedł ostrożnie do chwiejnej łajby. Odepchnął się gałęzią, aż popłynęła ze słabym prądem.

Kiedy stwierdził, że łódka nie wywróci się od razu i nie zatonie, ogarnął go spokój. O tym marzył z Ralfem: wyruszyć z biegiem rzeki jak Tom Sawyer i Huckleberry Finn. Fyris była wprawdzie bardzo bladą kopią Missisipi, ale miał wodę na wyciągnięcie ręki.

Siedział bez ruchu na ławce i przyglądał się mijanym nabrzeżom, jakby był dobrze przystosowanym i ciekawym świata uczestnikiem zorganizowanej wycieczki.

Przepłynął koło boiska do badmintonu. Przy kempingu siedziała na brzegu para nastolatków. Pomachał im ręką, a oni mu odpowiedzieli. Na wysokości Fyrishov usłyszał syrenę jakiegoś wozu, pogotowia czy policji, lecz trudno było mu to powiązać z jego osobą. Tak jakby ostatnie wydarzenia, nawet incydent ze starą Nordlander, odpląnęły, a ich miejsce zajęło osobliwe poczucie harmonii. Łódź niosła go powoli w stronę centrum.

Po prawej stronie za mostem Fyrisvallsbron wznosiły się na wpół ukończone domy, a po lewej stary dom opieki, w którym zmarł jego dziadek. Kilku robotników schodziło nad rzekę. Johnny domyślił się, że mają przerwę. Jeden z

nich krzyknął coś, czego nie rozumiał, lecz odpowiedział mu uśmiechem i pomachał ręką.

Roślinność na brzegach była bujna, potężne drzewa zwieszały gałęzie nad wodą. Pachniało szlamem i latem. Johnny wciągnął głęboko powietrze i położył się na dnie łodzi. Zobaczył lekkie wędrujące chmury i miał wrażenie, że wszystko odpłynęło, został tylko on i białe baranki na błękitnym niebie. Po chwili od patrzenia w górę zakręciło mu się w głowie i z powrotem usiadł w łódce.

Nie myśląc o niczym szczególnym, płynął bez pośpiechu przez swoje miasto. Rzeka Fyris dzieliła Uppsalę jak miedza i wcześniej określano mieszkańców według tego, na którym jej brzegu mieszkali. Jakby dla ilustracji dawnego podziału minął starą fabrykę obuwia po stronie wschodniej, w której kiedyś pracował jego drugi dziadek, i szkołę po zachodniej, do której w młodości zupełnie bez sensu się włamał i na domiar złego został aresztowany.

Miał wrażenie, że dopływa do ziemi niczyjej, i to sprawiło, że zapomniał o swoim niewesołym położeniu. Złapał się na tym, że siedzi w łódce i się uśmiecha, nagle i niespodziewanie pogodzony z wydarzeniami ostatnich dni.

Dopiero kiedy wpłynął pod most przy Skolgatan, przypomniał sobie o młyńskiej kaskadzie koło Muzeum Upplandu. Podczas corocznego spływu w Noc Walpurgii większość łodzi tam się wywracała, albo na szczycie progu, albo spływając w dół. Łódki domowej roboty rozpadały się, a studenci wpadali do wody. Johnny nigdy nie oglądał tego widowiska, lecz czytał o nim w gazecie.

W dzień spływu na brzegu stali pływacy przygotowani do wyławiania z wody rozbitków, ale Johnny zakładał, że dziś nikt nie rzuci się do rzeki, by go uratować.

Najpierw próbował wiosłować krzywą gałęzią, potem używać jej jako tyczki, ale z równie marnym rezultatem. Strumień niósł go środkiem rzeki i przybliżał do kaskady.

Teraz miał na dodatek publiczność. Klienci restauracji Åkanten zebrali się przy barierce i wykrzykiwali słowa zachęty. Po drugiej stronie wrzeszczała gromada dzieciaków, a koło muzeum japońscy turyści filmowali łódkę, która dopłynęła do progu, wywróciła się i znikła z pola ich widzenia. Ludzie stojący na moście Dombron mieli jeszcze lepszy widok i Johnny zdążył zauważyć kobietę, która wskazała na niego i krzyknęła ze strachu. Johnny Andersson stał się atrakcją turystyczną.

Skulił się, przygotowany na najgorsze. Wypadł z przewróconej łodzi i wciągnęła go spieniona woda pod Dombron.

Nie pływał od czasów nastoletnich, lecz zupełnie instynktownie zaczął machać rękami i nogami, dzięki czemu prąd nie rzucił go na kamienie na brzegu. Walczył o oddech, krztusił się wodą, przez chwilę był na powierzchni, zobaczył w krótkiej migawce mężczyznę na moście. Miał otwarte usta, może krzyczał.



Wyciągał ręce, jakby chciał chwycić Johnny'ego, który jednak znajdował się pięć metrów niżej i dryfował nieuchronnie w stronę Nybron.

Przeczuwał, że umrze. Szansa złapania się czegoś i utrzymania przy pionowych ścianach była równa zeru, a od brzegu dzieliło go kilka metrów. Przed kaskadą miał jedyną szansę, by wdrapać się na ląd, lecz teraz było już za późno. Łykał jeden wielki haust wody za drugim. Był uwięziony w rzece i skazany na utonięcie.

Przy moście Nybron ktoś rzucił mu koło ratunkowe, lecz chybił o parę metrów i Johnny mógł tylko patrzeć, jak odpływa. Strumień zniósł go na lewo, szorował nim po chropowatych kamieniach. Wszystko mi jedno, pomyślał i w tej samej chwili mignęła mu jakaś postać i poczuł dłoń chwytającą go za ramię...

Wymiotował, stojąc na czworakach, opróżnił się z wszystkiego. Rozejrzał się. Zupełnie zapomniał o schodach prowadzących z Västra Ågatan. Wiele razy siedział na nich i pił piwo. Teraz ocaliły mu życie.

– Jak się czujesz?

Pochylał się nad nim młody mężczyzna.

– Dobrze – odparł Johnny i wstał.

– Zawieźć cię do szpitala?

Johnny pokręcił głową i na trzęsących się nogach zaczął wchodzić na górę. Zebrało się paru ciekawskich. Wycie syren zbliżało się. Ktoś na pewno zadzwonił po karetkę, może też na policję.

Wyszedł na ulicę, zatrzymał samochód i otworzył drzwi od strony kierowcy. Za kierownicą siedziała młoda kobieta.

– Spadaj – syknął. – I gęba na kłódkę.

**Przestań, do cholery!**

Håkan Malmberg siedział rozkraczony na pryczy. Opierał się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi. Uśmiechał się, pokazując garnitur zadbanych zębów.

Ann patrzyła na niego, próbując znaleźć najmniejszą szczelinę w jego pogardliwej postawie, lecz Malmberg nie dawał jej powodów do optymizmu, a wręcz przeciwnie.

Usiadła na podłodze, zamknęła na chwilę oczy i podjęła nową próbę. Starła się go przekonać, zmienić trochę perspektywę, lecz znów kręciła się bez sensu w kółko. Nie miał w sobie nawet cienia empatii, do której mogłaby się odwołać, albo bardzo głęboko ją ukrywał. Może był niewinny? Przewątkowała tę kwestię na wszystkie strony. Nie, to on zamordował Klarę Lovisę! Nikt nie przekazał informacji, że dziewczyna została pochowana, tego Ann była pewna.

Teraz znów się uśmiechnął, tym razem nie drwiąco, raczej życzliwie, jakby jej współczuł, że się pomyliła.

Przyszedł jej na myśl Anders Brant. Nie wiedziała dlaczego, nie łączyło ich nic prócz tego, że obaj byli mężczyznami.

– Tracisz czas – powiedział Malmberg, przerywając tok jej myśli.

– Pewnie tak – przyznała – ale to nic w porównaniu z tym, co ty stracisz przez najbliższe dziesiątki lat.

Parsknął śmiechem.

– Przesadzasz.

– Dostaniesz dożywocie – ciągnęła Ann. – Sąd nie znajdzie okoliczności łagodzących w przypadku gwałtu i uduszenia nastolatki. Możesz jeszcze uratować sytuację, współpracując.

Malmberg ze znużeniem pokręcił głową.

– Daj spokój – powiedział.

Ann poczuła, jak przepelnia ją obrzydzenie, i to nie tylko z powodu Malmberga. Sprawiała to cała atmosfera aresztu i stęchły zapach, którym nasiąkła jej skóra.

Malmberg znów się uśmiechnął i Ann na ten widok szybko wstała. Chciała go opluć, uderzyć, patrzeć, jak cierpi. Nigdy wcześniej nie zawładnęła nią tak mocno nienawiść i chęć zemsty.

– Weź urlop – powiedział pogardliwym tonem.

– Zamknij się!

Odwróciła się do drzwi i czekała, aż strażnik otworzy i ją wypuści. Czowała wzrok Malmberga na plecach. Przez jedną nieprzyjemną chwilę pomyślała, że

mógłby uderzyć ją z tyłu.

– Potrzebujesz fiuta – szepnął Malmberg w chwili, gdy otworzyły się drzwi.  
Ann opuściła areszt bez słowa, spocona i czerwona na twarzy.

**Został uprzedzony**, ale i tak przeżył szok. Przeryli całe jego mieszkanie, pozostawiając po sobie ślady. Teczka, która nie leżała tam, gdzie powinna, stosy dokumentów przesunięte o kilka centymetrów i otwarte drzwi szafy były widocznymi znakami.

Anders Brant obszedł powoli swoje mieszkanie. Miał wrażenie, że zostało zbrukane i w jakimś sensie stało mu się obce. Nie chcę tu mieszkać! Małe mieszkanie w Salvadorze, dwa pokoje z kuchnią i minimalnym wyposażeniem, wydało mu się nagle prawdziwym domem.

Znał to uczucie po powrocie do domu, kiedy ma się wrażenie przynależności do dwóch miejsc, a jednak do żadnego. Wiedział, że to minie po kilku dniach, ale tym razem wizyta policji wywołała to poczucie obcości i zawieszenia w próżni.

– Vanesso, co mam robić? – wymamrotał, opierając czoło o drzwi lodówki.

Był zmęczony, bolała go głowa i nie wiedział, co dalej. U jego stóp stała mała podróżna torba.

Roześmiał się z samego siebie. Co mam robić? Pytanie na niby. Wiedział, co musi zrobić: wydrukować i zredagować wszystkie wywiady, złożyć teksty, innymi słowy – wziąć się do roboty, lecz po raz pierwszy nie potrafił wyjść ze stanu zwątpienia i nieufności wobec siebie samego.

– Ann.

Wymówił jej imię na próbę. Próbował wyciągnąć od Sammy'ego Nilssona, co mu powiedziała, lecz w odpowiedzi dostał tylko krzywy uśmiech i parę zagadkowych słów o cierpliwości. Co miał na myśli? I kto miał okazać tę cierpliwość?

Ann Lindell, pospolite nazwisko, policjantka, co było dziwne, przynajmniej dla niego. Co w Ann tak go pociągało? Na pozór nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Nie wykazywała zainteresowania problemami, które zajmowały go od blisko dwudziestu lat.

Nie potrafił sobie przypomnieć ani jednego razu, kiedy poruszyła jakąś kwestię społeczną, poleciła dobrą książkę czy skomentowała wiadomość w serwisie informacyjnym. Była dziwnie bierna i wycofana. Z drugiej strony, on też nie był specjalnie otwarty i rozmowny ani nie interesował się przesadnie jej pracą. Pieprzyli się i flirtowali i dobrze im to wychodziło.

Otworzył drzwi lodówki i wyjął butelkę piwa. Kiedy je wypije, położy się na kanapie, przykryje kocem i będzie spać, najlepiej do rana. Z przytomną w miarę głową i wypoczętym ciałem powinien ruszyć z zaległą pracą.

Nie wiedział, jak rozegrać sprawę z Ann. Z nietypowym dla siebie fatalistycznym podejściem postanowił, że to jakoś się ułoży. Może Ann to

rozwiąże, podejmując decyzję. Z półsłówek Sammy'ego w żaden sposób nie mógł wywnioskować, jaka ta decyzja będzie.

Obudził go dzwonek do drzwi. We śnie przebywał w Salvadorze, w pokoju hotelowym w Barra. Widok był ten sam, port, zatoka i Itaparica w tle, lecz wystrój pokoju inny, obrazy na ścianach, grube dywany na podłodze, ogromne łóżko, które ktoś, może sprzątaczką, udekorował kwiatami w kształcie serca. Była tam Monica. Z łazienki dochodził śpiew. Dobry sen, bez winy.

Wstał, lecz nogi ledwo go niosły, był oszołomiony i trochę się zataczał. Ostry dźwięk dzwonka rozsadzał mu czaszkę i ból powrócił, jakby ktoś uderzył go w czoło.

Kiedy zawrót głowy minął, powłókł się do przedpokoju i w tej samej chwili drzwi otworzyły się na całą szerokość.

– Cholera, możesz chyba otworzyć!

Anders Brant wpatrywał się w intruza ze zdziwieniem. Zajęło mu sekundę, by rozpoznać go jako Johnny'ego Anderssona, bezdomnego, informatora i poszukiwanego przez policję.

– Pada?

Johnny nie odpowiedział, tylko zdjął buty i rzucił przemoczoną kurtkę na podłogę.

– Muszę od ciebie pożyczyć parę szmat.

– Co się stało? Skaleczyłeś się?

Johnny pokręcił głową mimo sączącej się z niej strużki krwi.

– Czego chcesz?

– Ubrań – rzekł Johnny – nie rozumiesz? Muszę się przebrać.

– Czemu przychodzisz właśnie do mnie?

Domyślał się, że Johnny ma kłopoty i wybrał jego, by pomógł mu je rozwiązać. Nie zdążył nawet się przestraszyć, kiedy prawa dłoń Johnny'ego chwyciła go za koszulę na piersi.

– Ubrania – syknął. – Marzną, kumasz?

– Okej – powiedział Anders Brant i podniósł ręce do góry.

Uchwyt nieco zelżał.

– Masz też trochę żarcia?

Brant postanowił włączyć się do gry.

– Wezmę parę ubrań, choć mogą być za małe, żebyś mógł się przebrać. Gorzej z jedzeniem, ale skombinuję pilznera i parę kanapek, może być?

Johnny puścił go. Wyglądał prawie na zdziwionego.

– Nie było mnie – rzekł Brant na usprawiedliwienie marnego poczęstunku.

Siedzieli przy stole w kuchni. Pomyślał, że to dziwne uczucie widzieć kogoś innego w swoich ubraniach. W koszuli i spodniach, które kupił przed przyjazdem Vanessy.

Johnny z miejsca pochłonał trzy tosty i piwo.

– Ale słyszałem, co się stało, że Bosse nie żyje.

– Sam się prosił.

– To znaczy?

– Za dużo gadał – warknął Johnny.

Brant postanowił nie drażnić tematu. Nie chciał żadnego wybuchu emocji. Johnny Andersson nie był najbystrzejszy na świecie, tyle zdążył się zorientować podczas wywiadów. Po co go więc prowokować? Byłoby dobrze, gdyby jak najszybciej opuścił jego mieszkanie, i przeczuwał, że lepiej będzie to załatwić po dobroci.

– Smakowało?

Johnny skinął głową.

– Niestety, nie mam więcej piwa.

– Jest okej – stwierdził wielkodusznie Johnny i postawił puszkę na stole. – Widziałeś papiery Bossego? Te ruskie? Czy naprawdę były coś warte?

– Widziałem je tylko przelotnie – odparł Brant.

– Przelotnie?

– Widziałem je, lecz ich nie czytałem – sprecyzował Brant – więc nie wiem, ile były warte.

– Bosse chciał je drogo sprzedać, przynajmniej tak twierdził, ale on często gadał głupoty. Nie dostałem za nie nawet korony.

Brant pokiwał głową i zamierzał wstać.

– Dokąd? Siadaj! Musisz mi pomóc. Wymyśl coś. Ścigają mnie, nawet stary kumpel z dzieciństwa, który jest gliną. Nikomu, kurwa, nie można ufać.

– Co zamierzasz zrobić?

– Masz samochód?

Anders Brant pokręcił głową i wstał. Chciał zaznaczyć, że nie da tak łatwo sobą rządzić, szczególnie we własnej kuchni. Sprzątając pustą puszkę i opakowanie po margarynie, zastanawiał się, jak pozbyć się intruza.

– Więc go załatw!

Co za pajac, pomyślał Brant, patrząc na Johnny'ego. Uderzyło go, jak nieprawdopodobne były wydarzenia ostatnich tygodni. Czterech zmarłych, Bosse, Ingegerd Melander, Jeremias Kumlin i Arlindo Assis, dwa rozstania, z czego jedno ostateczne, i do tego potrafił go autobus. A teraz ten Johnny Andersson.

– Mam kumpla – powiedział – który jest mi winny przysługę, może pożyczy swój samochód. Mogę zadzwonić i zapytać. To stary grat, ale jeździ. Chciał go sprzedać, ale proponowali mu tak mało, że go zatrzymał. Dokąd jedziesz?

Johnny uśmiechnął się.

– Tego nie powiem, ale daleko jak diabli.

– To pewnie będzie chciał kasę, ale możecie to załatwić później.

- Olej to. Dzwon!
- Najpierw muszę się wysikać – odrzekł Brant.

Wyszedł z kuchni, chwycił portfel leżący na stoliku w przedpokoju i wszedł do toalety. Tam wyjął wizytówkę i spuszczając wodę, zapamiętał numer. Wyszedł z toalety, wziął telefon bezprzewodowy i wrócił do kuchni.

Johnny nadal siedział przy stole.

- Co to za kumpel?
- Gość, którego zwykle...
- Dzwon!

Wbił numer i odczekał pięć sygnałów, zanim tamten podniósł słuchawkę. Pokazał Johnny'emu uniesiony kciuk.

– Cześć – zaczął. – Mam mały problem, a raczej Johnny, kumpel z dawnej drużyny bandy, i potrzebuje samochodu. Musi szybko wyjechać, a jego wózek się rozkraczył. Pomyślałem, że możemy pożyczyć twojego starego golfa.

Kiwnął Johnny'emu głową i posłał mu porozumiewawczy uśmiech.

– Jasne! Siedzi tu u mnie w kuchni. Możesz przyjechać samochodem. Masz trochę rzeczy, które... I weź ze sobą dziewczynę, dawno się nie widzieliśmy, choć może już mnie tak nie lubi.

Umilkł i znów pokazał Johnny'emu uniesiony kciuk.

- Świetnie – rzekł i zakończył rozmowę.
- Przyjedzie samochodem?
- To potrwa maks dziesięć minut – rzekł uspokajającym tonem Brant.
- Potrzebuję też pieniędzy.
- Nie jestem bankiem, ale może znajdę parę stów.
- Próbujesz mnie wystawić?

Brant spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Czemu miałbym to robić?
- Pocisz się jak cholera.
- Boli mnie – odrzekł Brant. – Potrafił mnie autobus.

Johnny przyglądał mu się w milczeniu.

– I to jest powód, żeby tak się pocić? I czemu miałbyś mi pożyczać pięć stów?

- Muszę wziąć lekarstwo – powiedział Brant i wyszedł z kuchni.

Ból rozsadał mu głowę. Przejrzał się w lustrze w łazience. Pocił się obficie i po raz pierwszy naprawdę się przestraszył. Może nie wszystko było w porządku? Czy doznał obrażeń, których nie zauważyli lekarze w szpitalu w Salvadorze?

Ile czasu zajmie Sammy'emu Nilssonowi przyjazd? I czy zrozumiał, o co chodzi? Nie miał pojęcia, jak inaczej pozbyć się Johnny'ego.

- Ty! – krzyknął Johnny z kuchni.

Brant przełknął jedną z tabletek przeciwbólowych, które dostał w Brazylii.

– Chodź tutaj!

Słyszając wrzask Johnny’ego z kuchni, Brant zaczął rozważać, czy nie spróbować wydostać się z mieszkania. Gdyby ostrożnie otworzył drzwi i zbiegł po schodach na podwórze, może miałby szansę. Ale jak daleko by uciekł przy takiej marnej kondycji? Johnny wprawdzie nie wyglądał na wysportowanego, ale pewnie i tak by go dogonił.

Johnny stał przy oknie i wyglądał na podwórze, ale odwrócił się, kiedy Brant wszedł do kuchni.

– Myślałeś, że możesz mnie wystawić? – zapytał z uśmiechem i właśnie ten jego spokój przestraszył Branta najbardziej.

– Gliny się zbierają – ciągnął Johnny. – Od razu ich poznałem. Ta suka, która mnie przesłuchiwała, próbowała schować swoją tłustą dupę.

Brant rozejrzał się, Johnny rzucił się na niego, chwycił za ramię i jednym ruchem powalił na podłogę. Ból głowy i świeżo zoperowanego ucha był nie do opisania. Krzyk zaskoczył jego samego. Zobaczył na twarzy Johnny’ego zdumienie, które przeszło w wyraz triumfu.

– Żaden sukinsyn mnie nie oszuka!

Johnny wymierzył mu kopniaka w krocze, lecz Brant zdążył instynktownie podciągnąć nogi i obrócić się na bok, więc kopniak trafił go w rzepekę.

Następny trafił w nerkę. Umrę we własnej kuchni, pomyślał. Próbował wczłochać się pod stół. Ból i szok sprawiły, że wypluł coś kwaśnego. Czuł w ustach cierpki smak kawy z lotniska.

Nowy kopniak rzucił go pod ścianę. Johnny przewrócił stół. Leżący na nim nóż upadł z brzękiem na podłogę obok Branta. Johnny z miejsca po niego sięgnął i trzymał go teraz przed twarzą Branta, uśmiechając się.

– Mogę zapłacić! – krzyknął Brant.

Johnny zdziwił się przez moment.

– Za co chcesz płacić? Żeby dalej pisać o nas te pierdoły?

Jego twarz wykrzywiła ta sama nienawiść, z jaką wyrzucał z siebie słowa.

– Piszę...

– Pasożyt! – krzyknął Johnny. – Co ty o mnie wiesz, o nas? Gównno! Kłamstwo!

Uniósł nóż. Teraz nastąpi kara, pomyślał Brant. Zobaczył przed sobą zamkniętą twarz Vanessy.

Johnny uśmiechnął się, wycelował nóż i zrobił parę wypadów w powietrze, jakby się z nim bawił. Potem ciął Branta w twarz. Błyskawiczny ruch, żadnego bólu, tylko spływająca krew.



**Cholera, jak śmierdzi** – mruknął Riis.

– Kapryfolium – stwierdziła Beatrice Andersson. – Masz alergię?

Riis nie odpowiedział, czego zresztą wcale się nie spodziewała.

Stali za kratą z pnączami na placu zabaw, obserwując tylne wejście do mieszkania Andersa Branta. Drugie drzwi od lewej, pierwsze piętro, według Sammy’ego Nilssona.

Dwóch policjantów z porządkowej, ubranych po cywilnemu, stało przy ścianie szczytowej, by wejść do akcji w razie potrzeby. Beatrice czuła się bezpiecznie. Jeden z nich, Conny Holmlund, był mistrzem Szwecji policjantów w biegach przez płotki. Od tego czasu minęło wprawdzie parę lat, lecz była przekonana, że nadal mógłby dogonić każdy autobus.

Mieli plan, że dwóch kolegów z porządkowej w cywilu wejdzie do mieszkania i zorientuje się, o czym Brant mówił przez telefon. Sammy, którego Johnny widział i na pewno by rozpoznał, miał czekać na półpiętrze. Gdyby nikt nie otwierał, wejść przy użyciu klucza, który Sammy zdobył po krótkiej i burzliwej dyskusji z dozorcą budynku.

– Ten dziennikarz – zaczął Riis.

– Tak, co z nim? – zapytała po chwili Beatrice.

W radiu zatrzeszczało. Głos Sammy’ego: „Cholera, krzyk z mieszkania. Wchodzimy”.

Radio umilkło.

– Myślę, że pieprzy Lindell – ciągnął Riis. – Widziałem ich, kiedy oddawałem krew w Akkis.

– Jesteś krwiodawcą?

Zdumienie Beatrice nie było udawane. Nie mieściło jej się w głowie, że Riis mógłby oddawać krew, po raz pierwszy słyszała, by robił coś charytatywnie.

– Biegniemy?

Riis opuścił ich kryjówkę i wystartował do drzwi. Beatrice ruszyła za nim z sekundowym opóźnieniem.

Kiedy zadzwonił Sammy, Ann Lindell zdążyła właśnie usiąść w cukierni Savoy z filiżanką kawy i pączkiem z jabłkiem. Przyjechała tutaj, by wyciszyć złość wywołaną arogancją Håkana Malmberga, jego drwiącym uśmiechem i ostatnimi słowami.

Myśl, że wymknie się z sieci, była dla niej przerażająca. Włożyła mnóstwo pracy i serca w sprawę Klary Lovisy. Dwa razy myślała już, że ją rozwiązała, lecz jej nadzieje legły w gruzach.

Poza tym nienawidziła siebie samej za to, że przy pierwszym spotkaniu czuła

fizyczny pociąg do postawnego motocyklisty. Miała wrażenie, że czytał w jej myślach, i teraz mógł z niej szydzić jeszcze bardziej.

Odsunęła filiżankę z kawą. Johnny Andersson w domu u Andersa Branta, brzmiała wiadomość od Sammy'ego. Słyszała o eskapadach Johnny'ego na działki w Tuna i o tym, jak przy moście Nybron wydostał się z rzeki, wyszedł schodami na Västra Ågatan i zatrzymał tam samochód, kazał kierowcy wysiąść i po prostu zawłaszczył pojazd. Auto znaleziono po dwudziestu minutach na Svartbäcksgatan, zatrzymane na drzewie. Według świadków kierowca opuścił miejsce zdarzenia, uciekając na wschód Sköldungagatan.

Z Savoya na Svartbäcken nie było daleko i kiedy Ann tam dotarła, zobaczyła, jak Beatrice i Riis pędzą ze swojej kryjówki do tylnego wejścia. Dla oszczędności czasu wjechała na trawnik, wyskoczyła z samochodu i pobiegła za kolegą i koleżanką.

Na schodach usłyszała alarm i krzyki. Między rzadko rozstawionymi tralkami balustrady mignęły jej nogi Bei i znikły w drzwiach. W tej samej chwili rozległ się wystrzał i zaraz po nim krzyk. To był głos Sammy'ego. Ann rzuciła się po schodach i wpadła do mieszkania.

Zapach prochu. Ona i Sammy brali kiedyś udział w strzelaninie. Wtedy zginął człowiek, zabity przez nią strzałem w czoło.

W raporcie, który Sammy sporządził tego samego dnia, opisał najlepszą policyjną prozą, że podłoga w kuchni była „skąpiana we krwi”. Ottosson poprosił go o inne sformułowanie. Miał na myśli to, że na zdrowy rozum to Anders Brant i Johnny Andersson byli skąpani we krwi na podłodze.

Johnny leżał z głową pod dziwnym kątem przy kaloryferze pod oknem. Zastanawiające było to, że miał na sobie koszulę Branta w kratę, tę samą, w której Brant odwiedził ją po raz pierwszy. Nie mógł skupić wzroku w jednym punkcie. Szok, pomyślała.

Drugie ciało było widoczne tylko od pasa w dół, lecz Ann wiedziała, kto to jest. Rozpoznała znoszone sandały Andersa Branta.

Sammy powiedział coś, czego nie rozumiała. Johnny odwrócił lekko głowę i wypluł trochę krwi.

Riis klęczał, pochylony nad Andersem Brantem.

– Cholera, niedobrze! – krzyknął. – Dzwońcie po karetkę, szybko!

– Już jedzie – odparła Beatrice.

Zapach prochu mieszał się z surowym zapachem krwi.

W kuchni zapanował chwilowy bezwład. Potem Beatrice wciągnęła plastikowe rękawiczki, przykucnęła przy Johnnym, podłożyła rękę pod jego kark i przesunęła trochę ciało, by głowa znalazła się pod bardziej dogodnym kątem. Zaczęła rozpinać przesiąkniętą krwią koszulę.

– Potrzebuję bandaża! – krzyknął Riis. – Krwawi jak zarzynany wieprz. Ma

też rany na brzuchu. Chyba umiera.

Wycie syren zbliżało się. Sammy opuścił broń, lecz nadal stał w drzwiach. Jeden z kolegów z porządkowej wyjął mu z ręki pistolet.

Ann zarejestrowała to wszystko, nim odwróciła się, weszła do sypialni i padła na łóżko.

**Często wystarczy tylko jeden cios, by zabić człowieka – skomentował lekarz.**

Chirurg Bertil Friis powiedział, że Anders Brant otrzymał ich dziewiętnaście: cztery w ręce, jeden w szyję, sześć w nogi i osiem w tułów, nie licząc draśnięcia na twarzy. Stracił więcej krwi niż ktokolwiek, o kim Friis słyszał. Najgroźniejsze były rany brzucha.

Podczas operacji lekarz pomyślał parę razy o minister spraw zagranicznych Annie Lindh, która zmarła na stole operacyjnym. Miała bardzo podobne rany, z tym, że te Branta obejmowały większą powierzchnię ciała.

Zespół operacyjny, czterech lekarzy i tyle samo pielęgniarek, pracował przez osiem godzin.

– Wyjdzie z tego?

– Na razie nic nie jesteśmy w stanie powiedzieć.

Lekarz, choć wykończony, bardzo starał się sprawiać wrażenie świeżego, lecz pewnie miał świadomość, że nie wychodzi mu to najlepiej. Stojąca przed nim kobieta też miała zapadnięte oczy, delikatnie rzecz ujmując.

– Czy jest pani krewną Andersa Branta?

– Jestem z policji.

Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby niepewne rokowania były jego winą.

– Z policji – powtórzył Friis.

Ann Lindell skinęła głową.

– Chcę, żeby pan go uratował – powiedziała, po czym odwróciła się i odeszła.

Sammy czekał na nią, kiedy wyszła na zewnątrz. Dzień był wyjątkowo piękny. Tuż przy wejściu stała grupa palących.

– Szkoda, że nie palę – rzekł, głównie po to, żeby coś powiedzieć.

Ann próbowała się uśmiechnąć. Doceniała jego troskę. Od tamtej krwawej łaźni w mieszkaniu Branta nie odstępował jej na krok. Pomyślała, że może też ze względu na siebie. To on oddał strzał, który zranił Johnny'ego. Życiu Johnny'ego nie zagrażało niebezpieczeństwo i nie odniósł trwałych obrażeń, lecz według standardowej procedury policjant, który użył broni, był zawieszany w czynnościach służbowych.

Ottosson podjął oczywiście taką decyzję, ale nikt nie mógł powstrzymać Sammy'ego od towarzyszenia Ann. Mogli twierdzić, że wizyta w szpitalu miała charakter prywatny.

– Da radę?

- Nie wiedzą.
- A ty dasz radę?
- Muszę odebrać Erika – odparła.

Görel zawiozła go do przedszkola i Ann wiedziała, że nie dzieje mu się żadna krzywda, lecz mimo to miała wyrzuty sumienia.

Przez chwilę stali w milczeniu. Sammy ziewnął szeroko. Grupa palaczy rozproszyła się. Ann poczuła, jak ogarnia ją wielka pustka, jakby była tylko chodzącą skorupą.

Objęła plecy Sammy'ego i oparła głowę o jego ramię.

- Da radę – zapewnił ją Sammy.

## Jesień

**Anders Brant przysunął się do niej.** Jego chude ciało drżało. Ann domyśliła się, że coś mu się śniło i może nadal się śni. Jęknął przez sen.

Jak zwykle leżeli na łyżeczkę, on przeważnie za nią, wtuleni w siebie i nadzy.

Na dworze było jeszcze ciemno. Ann nie chciała wyciągać ręki, by sprawdzić, która jest godzina. Oceniała, że czwarta.

Noce były przerywane, odkąd wrócił ze szpitala. Niepokój wkradł się w jego ciało, sen zawodził. Potrafił budzić się z krzykiem, cały mokry i przerażony.

Ciało też zawodziło. Pieścił ją, lecz sam często wiotczał.

Spędzał całe dnie w mieszkaniu Ann. Rzadko wychodził.

Teksty migały na monitorze jego komputera. Mówił o tym, co napisał, co chce napisać, lecz Ann wyczuwała, że nie jest tego dużo.

Nie rozmawiali o Vanessie. Wymienił jej imię, lecz nie powiedział o ich związku nic ponad to, że definitywnie się z nią rozstał.

Chciała mu wierzyć, tak postanowiła. Jego bezradność jej to ułatwiała. Kilka miesięcy wcześniej, kiedy się spotkali i zostali parą, on był tą silniejszą stroną. Teraz, po powrocie z Brazylii, ataku nożownika i pobycie w szpitalu przypominał zagubione dziecko.

Czasem irytowała ją ta jego bierność, nawet niepokój, ale widziała, jak cierpi, więc nie potrafiła się naprawdę złościć.

Pewnego dnia, gdy wróciła do domu, siedział na balkonie i palił cygaretkę, pierwszą od powrotu ze szpitala. Musiał jej nie słyszeć, bo dalej mówił do siebie, rozmawiał ze sobą, jakby sam ze sobą się kłócił. Argumentował i gestykułował. Wzięła to za dobry znak.

I stopniowo wracał do siebie. Pod koniec września „Aftonbladet” wydrukowała jego artykuł, na co zareagował, zdaniem Ann, zabawnym wręcz entuzjazmem.

Chciała spać, ale czuła, że już nic z tego nie będzie. Wysunęła się delikatnie z jego objęć i wstała z łóżka. Zamknęła za sobą drzwi, mając nadzieję, że go nie obudzi.

Zegar w kuchni pokazywał 5.14, znacznie lepiej, niż sądziła. Nie będzie długo czekać, aż zbudzi się Erik. Funkcjonował jak zegarek i zawsze budził się koło wpół do siódmej.

Wzięła „Uppsala Nya” i usiadła przy stole w kuchni, lecz nie otworzyła gazety, tylko siedziała przy filiżance herbaty.

Przed południem miała się zacząć rozprawa przeciw Johnny’emu Anderssonowi. Był oskarżony między innymi o dwa morderstwa i usiłowanie

zabójstwa. Już podczas przesłuchania przyznał się do zabicia Bo Gränsberga. Narzędzie zbrodni, żelazną rurę, ukrył w wykopie, gdzie później ją znaleziono. Powodem były tak zwane rosyjskie papiery, które Gränsberg skradł z domu Jeremiasa Kumlina. Johnny wierzył, podobnie jak Gränsberg, że są dużo warte.

Kiedy Johnny odnalazł potem Kumlina, by wymusić na nim pieniądze w zamian za nieujawnienie treści dokumentów – groził, że pójdzie z tym do telewizji – Kumlin tylko roześmiał mu się prosto w twarz. Ten śmiech przypieczętował jego los.

Henrietta Kumlin też rozpoznała Johnny'ego jako „Ruska”, mężczyznę, który stał przed ich willą w Sunnersta. Johnny dostał się do garażu i tam przenocował. Rano, kiedy Kumlin przyszedł po samochód, by jechać na Arlandę, czekał na niego w półmroku.

Beatrice włożyła dużo pracy w to, by wyjaśnić, co się stało tego wieczoru, gdy zginęła Ingegerd Melander. Jej teorii, że Johnny zepchnął ją ze schodów, nie dało się potwierdzić. O ile przy pozostałych punktach oskarżenia był, jeśli nie szczególnie chętny do współpracy, to przynajmniej mrukliwie zgodny, głośno zaprzeczał, że ponosi jakąkolwiek odpowiedzialność za śmierć Ingegerd. Twierdził, że „facet nie zabija baby”, choć Beatrice szybko mu wykazała, że wielu to robi.

Ann nie miała nic wspólnego z tą sprawą. Anders Brant miał być za to wezwany jako świadek, lecz dopiero za jakiś czas.

Otworzyła gazetę i przeczytała nagłówki. Jedynym, co przyciągnęło jej uwagę, było pobicie w Årsta. Siedemdziesięcioletni właściciel willi pokłócił się z sąsiadem; chodziło o zwisającą nad jego posesją gałąź drzewa, która od wielu lat była kością niezgody. Wymiana zdań zakończyła się tym, że emerytowany urzędnik bankowy uderzył swojego antagonistę grabiami w głowę.

Ann nie mogła powstrzymać uśmiechu. W złości ludzi z klasy średniej było coś prawie zabawnego. W nienawiści Johnny'ego Anderssona i jego skłonności do przemocy nie było nic komicznego, jego działanie i cała jego osoba budziły tylko strach. Teraz wyraźnie się poddał i stał dziwnie milczący. Można było odnieść wrażenie, że najchętniej schroniłby się w więzieniu do końca życia.

Nagle zadzwonił telefon. Rzuciła się, by zdążyć przed drugim sygnałem.

– Dzień dobry, mówi Forsberg, przepraszam, że niepokoję tak wcześnie, ale wydarzyło się coś, co powinno cię zainteresować.

– Tak?

– Håkan Malmberg nie żyje.

– Co?!

– Wygląda na to, że w pewnym sensie sprawiedliwości stało się zadość. Ojciec dziewczyny się przyznał. Zadzwonił pół godziny temu. Wysłaliśmy radiowóz i wszystko się zgadza. Malmberg nie żyje.

– Ojciec Klary Lovisy?

Czy ta chudzina mogła zamordować potężnego Håkana Malmberga?

– Tak.

– W jaki sposób?

– Odnalazł Malmberga wczoraj wieczorem i strzelił mu w kark. Potem siedział przy zwłokach przez całą noc. Może chciał zastrzelić też siebie, ale się rozmyślił. Allan Fredriksson tam jest. Prosił, bym do ciebie zadzwonił. Jest wprawdzie wcześniej, ale pomyślałem, że będziesz chciała wiedzieć od razu.

Po rozmowie Ann wyszła na balkon.

Håkan Malmberg nie żył. Coś w końcu pękło w ojcu Klary Lovisy, małomównym mężczyźnie w jej wieku. Jak zdobył broń?

Uderzyło ją nagle, że może zamordował niewinnego człowieka. Nigdy nie wykazali, że czerwona nić naprawdę pochodziła z bandany Malmberga. Jedynym, co przeciw niemu przemawiało, były jego własne słowa o pochowaniu dziewczyny. Twierdził z uporem, że od kogoś to słyszał, ale nie mógł sobie przypomnieć, od kogo ani kiedy i gdzie.

Zdaniem prokuratora nie można było wykluczyć, że mówi prawdę, więc go wypuścili. Teraz nie żył.

Ann wiedziała już, że nigdy naprawdę się nie dowie, kto zamordował Klarę Lovisę w dniu jej urodzin.

Na balkonowym stoliku stała popielniczka z trzema niedopałkami ułożonymi równo rzędem przy brzegu. Leżała tam również „Aftonbladet”, otwarta na artykule Andersa. Robił notatki na marginesie, podkreślał coś albo skreślał. Przeczytała wstęp. Była to polemika skierowana przeciw Zielonym Kierowcom, organizacji, o której nigdy nie słyszała. Ale nie wiedziała wielu rzeczy ze świata Branta, na przykład tego, jak wygląda trzcina cukrowa i wycięty las deszczowy.

Wiedziała, że wraca. Ciekawe, czy umiałby napisać o Klarze Lovisie, Gränsbergu, Sammym Nilssonie, o mnie i o pozostałych? To, o czym mówił Sammy, sprawy, o których pisać nie wolno.

Wychylona z balkonu zaczęła płakać. Uppsala leżała spowita chłodną, szarą, październikową mgłą. Płakało całe miasto.

– Zostań ze mną – szepnęła.



## Przypisy

[1] Szwedzki odpowiednik Ligi Ochrony Przyrody (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Gra słów w języku szwedzkim: *rike* – królestwo, *rik* – bogaty.

[3] Grafiskt utbildningscenter – Centrum Kształcenia Graficznego – szkoła średnia w Uppsali, kształcąca młodzież w sztukach użytkowych.

[4] szw. hańba, wstyd.

[5] Podłużny cukierek w biało-czerwone paski, produkowany w mieście Gränna.

[6] Gra słów: Amrén – nazwisko, *armén* - armia.

[7] John Ausonius, w latach 1991–1992 zabił lub poważnie zranił kilkanaście osób bronią wyposażoną w laser.

[8] Chodzi o Iana Wachmeistera, przewodniczącego partii Ny Demokrati w latach 1991–1994.

[9] Luiz Inácio Lula da Silva – brazylijski polityk, prezydent Brazylii w latach 2003–2011.

